

**CONNIE BROCKWAY
GROŹNY I NIECZUŁY**

Betinie i Donowi

*Jeśli w którejś z mych książek zdołam zawrzeć
choćby cień ich cudownej, prawdziwej miłości,
będę wiedziała, że stworzyłam Wielki Romans.*

Prolog

Teksas, 187Z

Nie tak łatwo ugryźć, co? - szydził bandyta.

- Jasne. - Duke starał się przez cały czas mieć go na muszce, ale nie było to proste. Mała wierciła się nieustannie w objęciach porywacza; koszmarna parodia miłosego uścisku! Duke zgrzytnął zębami. Jego ręka zaciśnięta na rewolwerze bez przerwy dokonywała minimalnych poprawek, gdy cel - głowa bandyty - to pojawiał się, to znów znikał za główką dziecka.

- Chyba nie taki twardziel z ciebie, jak gadają, Duke! - drwił bandyta.

- Skoro tak mówisz - odparł Duke łagodnie, bez większego zainteresowania.

Znad brudnej ręki, która zatykała usta dziewczynki, patrzyły na niego zielone dziecinne oczy. Płakała, ale - o ile się nie mylił - były to łzy bezsilnego gniewu, nie strachu.

Miała temperament, musiał to przyznać.

-A jakże! - piał triumfalnie bandyta. - Zapamiętaj to sobie, Duke! Będzie dokładnie, jak mówię! Mam wszystkie karty w garści. Lepiej o tym nie zapominaj!

Z ogromną ulgą, która nie odbiła się wcale na jego twarzy, Duke spostrzegł, że mała jest do cna wyczerpana. Może przestanie się szamotać choć na kilka sekund! To by w zupełności wystarczyło.

- Nie zapomnę. Tylko puść dziecko.

-Za kogo mnie bierzesz, Duke? Za durnia?! - obruszył się zbir i szarpnął małą z całej siły tak, by ich głowy znalazły się na jednej linii.

- Skądże znowu.

- Tylko spróbuj, ty zaszary Angolu! To ty jesteś durniem! Nie ja! Ciekawe, co się stanie z twoją forszą, jak powiesz szefowi, że jego córka się zawieruszyła! - mówiąc to, cofał się niezdarnie ku drzwiom. Przerzucił sobie dziewczynkę przez biodro i osłaniał się nią jak tarczą. Mała zorientowała się w sytuacji i zaczęła miotać się z nowym ferworem.

- Ostra - wycedził beznamyślnie Duke. Jeszcze tylko kilka kroków i bandyta wymknie się ze swym łupem. A mała pożegna się z życiem. Chyba bez większego żalu po tym, co ją czeka przed śmiercią.

- Prawda? - na brudnej gębie ukazał się obleśny uśmiezek. - Już mi się portki palą!

- Wiesz, że ci to nie ujdzie na sucho - zagadnął przyjaznym tonem Duke. Miał nadzieję, że przeciwnik wda się w dyskusję i przestanie mieć się na baczności. Oni wszyscy, choć tacy niby twardzi, lubili sobie pogadać! A w tej sytuacji jedyną bronią, jaką Duke mógł wykorzystać, były słowa.

- Gówno prawda! Mam najlepszą osłonę pod słońcem: jedyna córka twojego szefa! Wiesz, na czym ją przyłapałem? Podwędziła tacie zagraniczne cygaro i kasłała jak owca! Słodka dziecinka! - Zaśmiał się, gdy mała znów zaczęła się szamotać i wierzgać nogami. Zbir przytulił twarz do jej szyi, ale ani na chwilę nie tracił z oczu rewolweru Duke'a. - No... może nie taka znów słodka. Ale przydatna. Gdyby nie ona, już byś się na mnie rzucił, co?

Przygarnął dziewczynkę do siebie, cofając się nadal ku drzwiom.

- Rzuć gnata, Duke! - Jeszcze tylko kilka kroków i znajdą się po drugiej stronie.

Jeśli rzuci broń, podpisze wyrok na małą i na siebie.

- Nie ma głupich.

Paskudny uśmiezek zniknął z gęby zbira.

- Mówię ci: rzuć gnata!

- A ja mówię: nie ma mowy!

Pozostawało tylko jedno wyjście: pozbawić go tarczy. To było duże ryzyko... ale musiał je podjąć.

Na twarzy Duke'a nie ukazał się nawet cień emocji, kiedy strzelił.

Siła uderzenia sprawiła, że dziewczynka opadła bezwładnie na bandytę, on zaś stracił równowagę. Oboje zatoczyli się na drzwi. Mała jęknęła i mdlejąc, osunęła się na podłogę. Zbir w osłupieniu patrzył na tryskającą z dziecinnego ramienia krew.

1

Berkshire County, 1878

- Zastrzeleń ją! - powiedział z niebotycznym zdumieniem. - Ty diabelskie nasienie, ty skur...

- A jakże - odparł Duke i wypalił mu między oczy.

Do licha! Jestem rad, że cię znów widzę, Perth! - zawołał wysoki, chudy młodzieniec do Harta Morelanda, hrabiego Perth, i zbiegł po frontowych stopniach imponującej wiejskiej rezydencji Actonów na jego spotkanie. Nieco zasapany dotarł do Harta.

Perth odpowiedział skinieniem głowy na wylewne powitanie szwagra, Richarda Whitcombe'a, wicehrabiego Claredon. Przybysz ściągnął rękawiczki z miękkiej kozłęcej skórki i obrzucił wzrokiem zamieszanie na dziedzińcu. Wiejska posiadłość Actonów znajdowała się w niewielkiej odległości na zachód od Londynu. Można było tu dojechać ze stolicy w ciągu godziny. Sądząc jednak ze stert bagażu piętrzących się na dziedzińcu, większość gości wybierała się na drugi koniec świata.

Liczba gości ciągle się powiększała. W landach i kabrioletach przybywało eleganckie towarzystwo strojne w klejnoty, wstążki i koronki, by wspiąć się po szerokich frontowych schodach do wnętrza imponującego pałacu z różowego granitu. Hart nie dostrzegł w tłumie żadnej znajomej twarzy. Nic dziwnego. Mimo swego tytułu i pozycji, nie brał czynnego udziału w życiu wielkiego świata.

- Fanny będzie wniebowzięta, kiedy się dowie, że już jesteś - mówił dalej Richard. - Nie widzieliśmy cię przecież od naszego ślubu, a to już prawie rok! Beryl i Henley też będą zachwyceni, kiedy się tu zjawią. No i oczywiście Annabelle! Wszystkie twoje siostry uważają cię za ósmy cud świata!

- Ładnie z ich strony - przerwał mu Hart. - A co zatrzymało Beryl?
- Zdaje się, że Henley miał znów jakieś spotkanie z politykami.
- Annabelle jest razem z Beryl? - spytał z troską Hart.
- Oczywiście - zapewnił go Richard. - Już ona zadba, żeby jej mała siostrzyczka nie została bez opieki! Uważam, że Annabelle ma tej opieki aż za dużo. Dzieciak zrobił się przez to płochliwy jak podwórzowe kocisko!

-Drogi Richardzie -zauważył chłodno Hart -jestem pewien, że twoje słownictwo nie oznacza braku szacunku, ale wolałbym, byś nie porównywał Annabelle do żadnego kociska ani niczego związanego z podwórzem.

Przyjacielski uśmiech zniknął z dość pospolitej twarzy Richarda.

Kto wie, pomyślał Hart, czy nie jestem zbyt surowy dla tego chłopaka. .. Ale jeśli w ciągu najbliższych kilku tygodni wszystko miało ułożyć się zgodnie z planem, nie mógł pozwolić, by Annabelle ukazała się choć raz inaczej niż w pełnej chwale. Tylko wówczas księżę Acton przekona się, że ta młoda dama jest wprost stworzona do roli księżnej.

- Oczywiście, Perth... Nie miałem nic złego na myśli! - odparł Richard, przygryzając wargę i biedząc się nad wynalezieniem bezpiecznego tematu do konwersacji. Zgoła niepotrzebnie: jego szwagrowi zupełnie nie ciążyło milczenie.

- Słyszałem, żeś wrócił do Londynu, ale nie spodziewałem się zobaczyć cię właśnie tu... Prawdę mówiąc, ja też nie oczekiwałem zaproszenia. To trochę za wysokie progi dla takiego prostego wieśniaka. Zupełnie nie pojmuję, z jakiej racji taki zaszczyt spotkał Fan i mnie. A ty... Zdawało mi się, że przyjęcia w wiejskich rezydencjach nie są w twoim stylu.

- Bo nie są - odparł zwięźle Hart. - Ale Beryl wezwała mnie specjalnie z Paryża. Wygląda na to, że Acton ma poważne zamiary wobec Annabelle. Beryl spodziewa się, że podczas balu zostaną ogłoszone ich zaręczyny.

-Naprawdę? - twarz Richarda rozjaśnił uśmiech. -A to się małej udało!

Hart nie zwrócił większej uwagi na entuzjazm szwagra.

- Prawdę mówiąc, dziwi mnie, że sprawy zaszły tak daleko, a Acton nie uznał za stosowne skontaktować się z głową rodziny.

Wyraz zwięzłych oczu Harta jasno odzwierciedlał jego opinię o tym przeoczeniu.

Richard z zażenowaniem przestąpił z nogi na nogę.

-No cóż, Perth... Wszyscy wiedzą, że zasięgnąłeś dokładnych informacji na temat Actona, zanim pozwoliłeś mu na zaloty do Annabelle. Ze mną zresztą było tak samo. A i Henleya też pewnie sprawdziłeś. No

więc wszyscy byli pewni twojej aprobaty. Zresztą Acton to najlepsza partia w towarzystwie... Nie licząc ciebie, rzecz jasna!

- Czy Annabelle lubi Actona? - spytał Hart, ignorując żartobliwe przycinki Richarda.

- No cóż... chyba tak - odparł Richard. - Mam wrażenie, że nawet bardzo! Sam nie obracałem się ostatnio w towarzystwie, ale ile razy wpadaliśmy z Fan do Londynu, mała wydawała się bardzo rada z adoracji Actona.

Hart skinął głową, nieco ułagodzony, i wszedł na schody. Szwagier szedł obok.

- A gdzie twoja żona? - spytał nagle Hart.

- O, Fanny zejdzie, jak tylko się dowie, że przyjechałaś. Nie czuje się najlepiej i chciała odpocząć przed obiadem.

- Nie czuje się najlepiej...? - Hart zatrzymał się i zmierzył Richarda chłodnym, badawczym spojrzeniem. Wicehrabia zaczął się niespokojnie wiercić jak skarcony szczeniak. To ciągle podenerwowanie szwagra drażniło Harta. Ze zdumieniem spostrzegł, że młody człowiek się czerwieni.

- Chyba ci powiem od razu - podjął decyzję Richard - choć Fanny chciała sama cię o tym zawiadomić. Widzisz... ona jest w poważnym stanie.

- W poważnym stanie?...

-No tak... Na Wielkanoc sprezentuje mi dziedzica. - Richard wysoko uniósł głowę, pękając z dumy.

Hart poczuł w sercu ogromną radość. Dziecko! Jego własnej siostry!... I nagle odezwała się w nim zazdrość, wezbrał ból. Zdławił te niegodne uczucia, podobnie jak tłumił w sobie wszelkie emocje, których nie chciał odczuwać.

- Moje gratulacje! - powiedział zupełnie szczerze.

- Dzięki! Jesteśmy tacy... tacy strasznie szczęśliwi!

Richard był tak podniecony, że Hart prawie się uśmiechnął. Nie był jednak przyzwyczajony do uśmiechów, więc zamiast tego uściśnął szwagrowi rękę, a ten omal nie zmiażdżył mu dłoni: uwięził ją w swych wielkich łapskach i potrząsał zawzięcie. Potem znów ruszyli schodami w górę.

Jak dotąd Hart był zadowolony z obu swoich szwagrów. Richard nie tylko miał odziedziczyć okazały majątek, ale -co ważniejsze -był poważnie myślącym młodym człowiekiem, oddanym rodzinie, dbającym o swe posiadłości i hodowlę drobiu. Może nie był wyrafinowanym światowcem, ale miał dobry charakter i marzył nade wszystko o domu pełnym dzieci. Dzięki tym zaletom nadawał się idealnie na męża dla takiej domatorki jak Fanny.

Henley Wrexhall, mąż Beryl, nie mógł się poszczycić żadnym tytułem, ale był młodym, dobrze się zapowiadającym członkiem parlamentu; po raz drugi wybrano go do Izby Gmin. Bystry i przebiegły, choć zapalczywy, kierował się zdrowym rozsądkiem. Był odpowiednim partnerem życiowym dla najstarszej siostry Harta, która dzięki swym ambicjom i talentom towarzyskim wydawała się stworzona do roli małżonki męża stanu.

Pozostawała już tylko Annabelle, najmłodsza z rodzeństwa. Znalezienie dla niej odpowiedniego męża wymagało więcej zachodu, gdyż nie miała żadnych wyraźnie określonych skłonności.

Skromna, słodka i czarująca Annabelle oraz jej aspiracje pozostawały dla Harta zagadką. Była dziesięć lat młodsza od brata, który nie widywał jej w okresie dojrzewania, jeśli nie liczyć krótkich wizyt. Nie znał więc Annabelle tak dobrze jak starszych sióstr. Doskonale, że lubi Actona. Jeszcze lepiej, jeśli wyobraża sobie, że jest w nim zakochana. A najlepiej, zawyrokował Hart, jeśli Acton się w niej zakochał.

Przemierzyli wszystkie stopnie, przeszli przez masywne podwójne drzwi na ich szczyt i znaleźli się we wnętrzu domu. Hol był zatłoczony; damy spozierały groźnie na pokojówki, ściskając w dłoniach szkatułki z klejnotami; panowie krążyli, wydając lokajom polecenia dotyczące stert bagażu.

- Dużo osób dotąd zjechało? - spytał Hart szwagra.

- Cała kupa! Coś koło trzydziestu. Jest tu baron Coffey ze swoimi synami. Kilkoro krewnych Actonów. Stary emerytowany major, brat księżnej wdowy. Nazywa się Sotbey czy jakoś podobnie. Mają się też zjawić Marchantowie. I jeszcze inni.

Richard wzruszył ramionami.

- Ach tak.

-Przywiozłem jednego z moich chłopaków... znaczy się, lokajów. Myślałem, że ci się przyda do osobistej posługi, Perth - zaproponował nieśmiało Richard.

Hart powstrzymał odruch zniecierpliwienia. Skąd szwagier mógł wiedzieć, że ten przyjacielski gest boleśnie przypominał mu o niemiłych sprawach. Lokaj miałby być świadkiem jego załamania? Utraty samokontroli?! Nigdy!

- Dzięki, Richardzie, ale wolę radzić sobie sam. Jak zawsze.

- Tak, oczywiście... - wymamrotał Richard z nieszczęśliwą miną. - Obawiam się, że to jeszcze potrwa, nim wszystkim wyznaczą pokoje. Księżna wdowa jest w salonie... Poleciała przygotować poczęstunek dla nowo przybyłych. Może byśmy tam przeszli? - wskazał ręką kierunek.

Hart przytaknął ruchem głowy, ale jeszcze przez chwilę rozglądał się po ozdobnym holu, podziwiając lśniący parkiet z czarnego i białego mar-

murów oraz gobeliny z Beauvais, zdobiące podesty wielkich podwójnych schodów. Doskonale utrzymany dom! Żadnych jaśniejszych plam na ścianach zdradzających, że wisiły tu niegdyś cenne obrazy. Na połyskliwych stołach z hebanu pyszniły się ozdobne kandelabry ze srebra i wazony z sewskiej porcelany pełne chryzantem.

Znakomicie! -myślał Hart, podążając za Richardem do salonu. - Mój przyszły szwagier potrafi zadbać o swój majątek!

- Acton już tu jest? - spytał. - Chciałbym go poznać.

- To jeszcze się nie spotkaliście? - zapytał ze zdumieniem Richard.

-Nie trzeba znać kogoś osobiście, by ocenić jego wady i zalety.

Prawdę mówiąc, niekiedy tak zwane „pierwsze wrażenie”, oparte przeważnie na fizycznym wyglądzie, potrafi zaciemnić osąd. Zakładam, że Acton jest bez zarzutu?

- O, tak. Absolutnie bez zarzutu!

Hart skinął głową, obrzucając przelotnym spojrzeniem zgromadzonych gości.

- Musisz mi go wskazać. Ta starsza dama w wiśniowej sukni to zapewne księżna wdowa?

-Tak.

- Może zechcesz mnie jej przedstawić?

Richard, który sięgał właśnie po ciasto podsuwane mu na srebrnej tacy przez lokaja, natychmiast cofnął rękę.

-Oczywiście!

Poprowadził szwagra przez ciżbę poirytowanych i zmęczonych podróżą gości. Stali w niewielkich grupkach i rozmawiali o niczym, popijając lemoniadę i pogryzając grzanki i ciasteczka. Wszyscy czekali z utęsknieniem chwili, gdy znajdą się wreszcie w przeznaczonych dla nich sypialni, będą mogli umyć się po podróży i wypocząć przed wieczornym przyjęciem.

Tęgi starszy pan z siwymi bokobrodami, o żołnierskiej postawie, był zapewne wspomnianym przez Richarda emerytowanym majorem. Wysoki, mizerny dżentelmen z bujną grzywą srebrnych włosów w towarzystwie równie chuderlawych młodzieńców to z pewnością baron Coffey.

Rozległ się czyjś donośny, władczy głos. Stojący tuż przed nimi lokaj odwrócił się zbyt szybko. Trzymana przez niego taca zderzyła się z łokciem Harta. Wysokie kieliszki do szampana zaczęły ślizgać się po gładkiej srebrnej powierzchni. Hart zręcznie przytrzymał jedną ręką tacę, a drugą podparł tracącego równowagę lokaja.

- Uważaj, co robisz! - burknął do zmieszanego służącego. Strząsnął krople wina ze swojego rękawa... i nagle cały się sprężył. Poczł na sobie czyjś wzrok. Spojrzał w tamtą stronę.

Kobieta w ciemnobrązowej amazonce, stojąca w przeciwległym końcu sali, wyraźnie mu się przyglądała. Była niewątpliwie rozbawiona. Jej twarz - urocze połączenie wielkich, ciemnych oczu, delikatnego, prostego nosa i pełnych, miękkich warg - promieniała wesołością. Hart nie mógł poznać barwy jej włosów, gdyż przesłaniał je woal zwisający z runda modnego cylinderka nałożonego pod zawadiackim kątem. Był również zbyt daleko, by zorientować się w kolorze oczu ocienionych gęstymi rzęsami. Nagle zdał sobie sprawę, że wpatruje się w nieznajomą, a ona w niego.

Co za tupet! Nawet nie udawała braku zainteresowania! Zuchwale odwzajemniła jego spojrzenie. Jak widać, przystojna skromność nie szła w parze z przystojną buzią.

Przez sekundę mierzyli się wzrokiem, potem nieznajoma przestała się wpatrywać w Harta i zwróciła się do stojącego obok niej młodzieńca. Był to jeden z synów barona, sądząc z mizernego wyglądu. Czarne lamowki u dołu jej fałdzystej sukni były pokryte pyłem; a zatem ciekawsza dama, podobnie jak wszyscy, miała za sobą długą i męczącą podróż. Jakim więc cudem wyglądała tak świeżo?

Stojący obok mężczyzna pochylił się ku niej. Odwróciła głowę, słuchała uważnie, a potem roześmiała się. Wargi rozchyliły się, oczy zmrużyły. Hart przyglądał się jej całkiem obojętnie. Tak przynajmniej sobie mówił. Wszystkie jego siostry umiały śmiać się w sposób dystyngowany: był to melodyjny tryl z zamkniętą buzią. Ale ta kobieta otworzyła usta, błysnęły białe zęby, na policzku zarysował się dołeczek...

-Hart?...

Wyrwany nagle z zadumy Perth spojrzął na szwagra.

- Idziemy? - Richard ruchem głowy wskazał księżną wdowę.

- Prowadź! - odparł Hart i raz jeszcze obejrzał się na nieznajomą.

Znowu go obserwowała. Kiedy dostrzegła, że to zauważył, udała zmieszanie i przestraszenie. Zupełnie jakby czytała mu myśli i jego zarzuty na temat braku przystojnej skromności ją rozbawiły. Swawolnie potrząsnęła głową, zasznurowała usta i bezgłośnie rzuciła pod jego adresem karcące: „No, no!”

Jak śmiała drwić z niego?! Nie zaszczyciwszy jej odpowiedzią, Hart odwrócił się i podążył śladem Richarda przez tłum gości.

Szwagier stał już obok księżnej wdowy i czekał na niego. Księżna była drobną zasuszoną staruszką o siwych włosach i głęboko osadzonych, nieodgadzionych oczach, przesłoniętych cieniutkimi jak bibułka powiekami. Jej pożółkłe policzki zostały dyskretnie uróżowane, wąskość starczych warg maskowała różowa pomadka.

Richard odchrząknął.

- Wasza książęca mość, czy mogę przedstawić Harta Morelanda, hrabiego Perth?

- Miło cię widzieć, hrabio - zaskrzeczała księżna wdowa sopranem.

- To prawdziwy honor, że znalazł pan dla nas czas. Wiem od syna, że tylko nieliczni doznają tego zaszczytu.

W uprzejmych słowach księżnej kryła się nutka ironii. Hart w jednej chwili zmienił swą opinię na temat starej damy. Księżna mogła wyglądać na podniszczoną figurynkę z porcelany, ale inteligencji jej nie brakowało! Byłaby z pewnością godnym przeciwnikiem... i jeszcze cenniejszym sprzymierzeńcem!

- To ja czuję się zaszczycony, wasza książęca mość.

Pozwoliła, by podniósł do ust jej poznaczoną żyłami upierścienioną rękę.

- Pańska mała siostrzyczka, Perth, podbiła z kretesem nasze serca.

- Miło mi to słyszeć. Mam nadzieję, że Annabelle zachowuje się bez zarzutu? - spytał, z góry pewny odpowiedzi.

-Jak najbardziej! Cóż można by zarzucić tak uroczej młodej damie?

- Doprawdy? Jestem ogromnie rad.

Księżna zamierzała coś dodać, ale niewielkie zamieszanie u wejścia przyciągnęło jej uwagę.

- A fe! - Cienkie wargi zacisnęły się w jeszcze węższą kreskę. Pomadka się rozmaszała. - To z pewnością hrabina Marchmont domaga się natychmiastowej uwagi! Cóż, muszę podejść i uleczyć jej urażoną godność. Panowie wybaczą.

Zarówno Hart, jak i Richard pożegnali ją głębokim ukłonem i księżna odeszła. Hart wyprostował się powoli, myśląc o zawołanym przycinku księżnej na temat jego izolowania się od towarzystwa. Uważał ogromnie na swe zachowanie i starał się być zawsze bez zarzutu. W ciągu ostatnich pięciu lat miał się nieustannie na baczności, by nic w jego sposobie życia nie odbiło się niekorzystnie na opinii siostr i nie zniweczyło ich planów na przyszłość.

Richard zaczął się wiercić; wyciągał szyję jak żuraw i rozglądał się dookoła. W końcu nachylił się do szwagra i spytał szeptem:

-Co to za jedna?

- O kogo ci chodzi?

- O kobietę, której tak się przyglądałeś.

Hart zeszywniał. Jego spojrzenie powędrowało za wzrokiem Richarda w stronę eleganckiej damy, która to pojawiała się, to znikwała wśród

niespokojnego, wciąż powiększającego się tłumu. Zbyt szybkie, zbyt mało dystygowane ruchy, pomyślał.

Białe ręce nieznajomej kreśliły w powietrzu płynne, ulotne gesty. To pochylała, to znów przekrzywiała głowę. Wykonywała te szybkie, pełne życia ruchy, słuchając tego, co do niej mówiono, i udzielając odpowiedzi. W tym jej pośpiechu nie ma jednak nic z grubiaństwa, przyznał. Była wdzieczna jak tancerka. Nie! Jej wdzięk nie miał nic wspólnego ze sztywną, zaplanowaną choreografią! Przypominała raczej jakąś leśną istotę. Dziką zwierzynę, poprawił się szorstko Hart. Nierozważną, niedomyślającą się nawet niebezpieczeństwa i hasającą beztrosko po lesie.

Zaniepokoił się, że przyłapano go na tak nietaktownym wpatrywaniu się w nieznajomą. Jeśli zauważył to nawet Richard, to musiało być do prawdy kompromitujące!

- No więc?... - dopytywał się szwagier.
- Nie mam pojęcia, kto to taki - odparł Hart z przymusem.
- Nie masz pojęcia? - zdumiał się Richard.
- Nie - uciął Hart. - Wiem, że to w złym tonie obserwować kogoś tak uparcie... - Nie zamierzał przyznać, że się po prostu gapił! - ..ale nie muszę przecież zawierać znajomości z każdą niewiastą, na którą rzucę okiem.

Richard gwałtownie zamachał rękami.

- Nie, nie! Myślałem, że ją znasz, nie dlatego, żeś się jej przyglądał! Sam bym się chętnie na nią pogapił, gdyby nie moja Fan! Wdzięczne toto jak młoda żróbka...

Muszę koniecznie pogadać z Fanny, postanowił w duchu Hart, by odzwyczaiła męża od tych sielskich metafor!

- ..tylko dlatego, że odkąd się tu zjawiała dziś rano, wypytuje o ciebie!
- Co takiego?!

Richard energicznie skinął głową.

- To szczerą prawdą! Sam słyszałem, jak pytała księżną: czy lord Perth już przyjechał? Najwyraźniej w świecie! A Fanny mówi, że zadała to pytanie kilku innym osobom.

- Ale kim ona jest?

Richard nawet nie próbował ukryć zniecierpliwienia.

- Nie mam pojęcia. Dlatego pytałem ciebie.

Hart zmarszczył brwi.

- No cóż, skoro tej damie tak zależy na zawarciu znajomości ze mną, nie mogę jej rozczarować.

- Spóźniłeś się, staruszkule! - Richard klepnął go po ramieniu. - Właśnie wyszła. No cóż, wkrótce znowu ją zobaczysz. To pewnie cór-

ka jakiegoś milionera albo żona jednego z tych podstarzałych kawalerzy sto w!

Żona? Nieznajoma nie wyglądała na niczyją żonę. Myśl, że może być mężatką, z niezrozumiałego powodu była dla Harta znacznie bardziej nieprzyjemna niż wieść, że jakaś obca kobieta rozpytuje o niego.

- No to baw się swoją zagadką, nim się wyjaśni - paplał dalej Richard, nie dostrzegając wściekłego grymasu szwagra.

- Nie znoszę zagadek - syknął Hart przez zaciśnięte zęby.

2

T

JL o Amerykanka! - oznajmił z triumfem Richard, powróciwszy z krótkiej wyprawy wokół sali.

Wieczorne przyjęcie właśnie się zaczęło. Hart zszedł na dół ze swego pokoju już przed kwadransem; myśl o tajemniczej nieznajomej ściągnęła go tu wcześniej niż zazwyczaj.

Nie udawał, że nie rozumie, kogo Richard ma na myśli.

- Cóż... to wyjaśnia jej sposób bycia - stwierdził.

- Jak to?

Hart wzruszył ramionami.

- Takie właśnie bywają Amerykanki: nieopanowane, impulsywne, niesforne...

Na pospolitej twarzy Richarda odbił się głęboki namysł.

- Chyba nie dała żadnego powodu do tak surowej...

- Jak ona się nazywa? - przerwał mu Hart.

Dobrze znał Amerykanki; dobroduszny Richard z pewnością nie miał z nimi do czynienia.

- Nie mam pojęcia. Tych kilku znajomych, których mogłem zagadnąć, wie o niej tyle co my. A obcych nie mogę przecież wypytywać, to byłoby niewybaczalne natręctwo! Jeśli Annabelle ma zostać księżną, tym bardziej muszę się pilnować.

- Czegoś się jeszcze dowiedział?

- Podobno dołączono ją do listy gości dosłownie w ostatniej chwili.

Na wyraźne polecenie księżnej. To teraz całkiem w dobrym tonie. Wszyscy goszczą u siebie młode Amerykanki i wprowadzają je do towarzystwa. Ostatni krzyk mody!

- Nie miałem pojęcia.

- Tak czy owak, żaden z chłopaków, których rozpytywałem o nią, nie został jej dotąd przedstawiony. Wszyscy aż się do tego pałą. Bardzo ponętna osóbką!

- Ach tak... - mruknął Hart, starając się wyrzucić Amerykankę z myśli. - Czy Fanny nie dołączy do nas?

Richard poczerwieniał.

- Nie może. Syn i spadkobierca strasznie jej się daje we znaki. Biedna moja kruszynka!

Hart zmierzył szwagra badawczym spojrzeniem. Czyżby Richard pozwalał sobie na kpinki z jego siostry?! Fanny, choć urocza i przemiła, z pewnością nie zasługiwała na miano kruszynki. Była wysoka, dorodna, pełna.

- Jakoś to przeżyje - stwierdził.

- Pewnie, pewnie... Tylko wielka szkoda, że tak siębiedulka męczy!

- odparł zmartwiony Richard. - O, popatrz: twoja tajemnicza dama!

Hart spojrzał w tamtą stronę. Kilka kroków od nich stała na progu „jego” dama.

Włosy miała ciemnorude, gęste i sprężyste. Cóż za głęboka czerwień! Jak łania w jesiennej szacie. Fałdzista ciemnozielona suknia stanowiła dla nich znakomite tło. Loki spływały po miękkim aksamicie jak kolia z wyjątkowo pięknych granatów, wyeksponowana na wystawie jubilerskiej.

Kobieta odwróciła się w jego stronę. Ich spojrzenia się spotkały. I nagle w sali nie było nikogo oprócz ich dwojga. Ma oczy zielone jak liście, a zarazem złote, myślał. Skrzą się jak leśne jeziorka, gdy zajrzy do nich słońce. Zmienne bursztynowe światełka pod osłoną rzęs o barwie ciemnego mahoni. Podwiniętych, długich rzęs. Tak gęstych, że ukryte pod nimi oczy z daleka robią wrażenie prawie czarnych.

Zatrzymała się i uniosła nieco głowę. Był to nieznaczny ruch, ale wynurzająca się z połyskliwej siateczki jedwabnego szala łabędzia szyja wydała się dzięki temu jeszcze bardziej wysmukła. Każdy mężczyzna zapragnąłby w tym momencie zmierzyć jej długość własnymi dłońmi.

- Ponieważ sama księżna wzięła ją pod swoją opiekę, a do tej pory się nie zjawiała - szeptał Richard - obawiam się, że przyjdzie nam trochę poczekać na zawarcie tej znajomości.

Do tej pory Hart powinien był przywyknąć do czekania. Przez całe lata uczył się cierpliwości. Nigdy nie chwycił bez namysłu za broń, zawsze czekał na odpowiedni moment. Teraz jednak nie miał wcale ochoty czekać na przybycie księżnej wdowy. Nieznajoma kokietowała go otwarcie. Spoglądała na niego z rozmysłem. Niespiesznym oględzinom towarzyszyło pytające uniesienie ciemnych brwi.

- Do diabła! - mruknął Hart. - Ktoś przecież musi ją znać!
- Pewnie. Aleja nigdy dotąd jej nie spotkałem. Cóż... obracamy się z Actonem w różnych kręgach. Sam wiesz. Może Beryl ją zna?
- A właśnie! Gdzie się, u diabła, podziewają Beryl i Annabelle?
- Coś je zatrzymało - wyjaśnił Richard. - Miałem ci powiedzieć. Liścik czekał na mnie w pokoju. Przyjadą jutro.

Ani Fanny, ani Beryl, ani Annabelle. Równie dobrze mógł wrócić na górę do swego pokoju i uniknąć ciekawskich spojrzeń i spekulacji, jakie wywoływało każde jego pojawienie się w wielkim świecie, od którego stronił.

Ale wówczas nie dowie się, kim jest owa tajemnicza Amerykanka!

Właśnie przeszła obok niego swym niezwykłym, płynnym i szybkim krokiem. Zmierzała do biblioteki. Przy drzwiach zatrzymała się, odwróciła do Harta i spojrzała mu prosto w oczy. Uniosła rękę i przesunęła dłonią po brzegu szala. Było to wyraźne zaproszenie, by poszedł za nią. Sam.

Rozejrzała się dokoła, pośpiesznie i dyskretnie. Upewniwszy się, że nikt ich nie obserwuje, przeszła Harta jeszcze jednym nieodpartym spojrzeniem i wślizgnęła się do mrocznej biblioteki, zamykając za sobą drzwi.

Oczy Harta zwięzły się. Od czasu do czasu któraś z dam traktowała jego chłód i oziębłość jako wyzwanie i pragnęła sprawdzić, jak dalece okaże się nieczuły na jej wdzięki. Hart docenił ironię losu: w tym momencie jego ciało reagowało ze zwierzęcą gwałtownością. Był zdumiony siłą pożądania, które nim ośwładnęło. Od lat namiętność nie była w stanie przebić pancerza jego samokontroli duchowej i fizycznej.

- Chyba zaniosę Fan coś dobrego do zjedzenia - oświadczył niewinnym tonem Richard. - Krem śmietankowy, a może grzanki z herbatą? Wybaczysz, że cię opuszczę? - I nie czekając na odpowiedź, oddalił się, pozostawiając szwagra wpatrującego się w drzwi biblioteki.

Nie upłynęła nawet minuta i Hart znalazł się wewnątrz.

Mówił sobie, że chce się tylko dowiedzieć, skąd ona go zna. Nie była to jednak cała prawda. Jej bezpośrednie zachowanie przyprawiało go o szybsze bicie serca. Jakiś naturalny pociąg, jakieś zachwianie równowagi limfy czy krwi musiały być przyczyną nagłego zbudzenia się do życia jego uśpionego ciała. Jeśli nieznajoma liczyła na schadzki, cóż... może tym razem zapomni o zwykłej ostrożności i spełni życzenie damy?...

Była w końcu tylko żadną przygodą Amerykanką. Nie mogła zniszczyć jego dobrej opinii ani - co ważniejsze - przyszłości jego sióstr. Mała przygoda - którą nieznajoma z pewnością nie będzie się chwalić - i wróci do swojego Nowego Jorku, Bostonu, San Francisco, czy skąd tam jądia-

bli przynieśli! On zaś pozbędzie się tego nieoczekiwanego, dojmującego bólu w łądźwiach.

Otworzył drzwi i natychmiast zamknął je za sobą. Nie życzył sobie ingerencji żadnych ciekawskich. Sam był wystarczająco ciekawy, czym to się skończy.

Stała przy oknie. Gazowe światło kinkietu rozpałało rdzawe błyski w jej włosach i złociło atlasowo gładki owal policzka. Kiedy wszedł, wyprostowała się i otuliła szczelniej szalem, jakby poczuła chłód. Jej zielonozłote oczy zwały się z jego oczami.

- Pani wie, kim jestem?

-Tak.

Niewątpliwie była Amerykanką. Miała ciepły, niski głos. Ciemnoczerwone, aksamitne wargi drżały. Z namiętności... a może ze strachu? Hart zatrzymał się nagle, rozczarowany i zniechęcony. Jeszcze jedna komedia! Nie było w niej ani prawdziwego pożądania, ani szczerego zainteresowania. Po prostu chciała sprawdzić, czy podola wyzwaniu!

- Pani sobie czegoś ode mnie życzy?

-Tak.

- O co chodzi?

Zmusi ją, by mu to powiedziała otwarcie!

Przełknęła z trudem ślinę i wzięła głęboki oddech. Zaciśnięte pod szyją na siateczce szala ręce wydawały się bardzo białe.

- Pańskiej... współpracy.

Hart przymknął oczy. W jej głosie brzmiał niepokój, a nie namiętność.

- Dlaczego właśnie mojej?

- Znam pańską reputację, więc pragnę...

No cóż, była przynajmniej szczerą.

- O nie! - odparł półgłosem. - Niczego pani nie pragnie! Nawet pani nie wie, co znaczy to słowo!

Jej jasna twarz zbladła jeszcze bardziej. Ujrzał w niej rozpacz i poczuł nagłą litość. Ostatecznie nie zrobiła nic innego niż te wszystkie panie, które nagabywały go w ciągu ostatnich kilku lat. Cóż była winna temu, że tylko ona wzbudziła w nim pożądanie?

- Proszę, niech pani odejdzie - powiedział cicho. Nie chciał jej słuchać, nie chciał widzieć, jak otula się tym żalonym szalem ze strachu przed jego rzekomym chłodem. - Natychmiast! Proszę sobie powiedzieć, że szkoda zachodu. Że jestem zimmokrwisty jak wąż. Niech pani sobie wmówi, co chce. I spisz ten eksperyment na straty.

- Co to ma znaczyć?

Nachmurzyła się. Dąs nie wywołał najmniejszej zmarszczki na doskonale gładkim czole.

- Niechże pani odejdzie! - powtórzył. Frustracja potęgowała w nim z każdą chwilą niezaspokojonego pożądania. - Proszę!

- Nie! Jeszcze nie. Nie odejdę, dopóki...

Poruszył się bezszelestnie, błyskawicznie i w ułamku sekundy był już przy niej. Omal nie krzyknęła. Wyciągnęła rękę, chcąc go odepchnąć. Chwytał ją za nadgarstki tak gwałtownie, że jej twarz znalazła się tuż obok jego twarzy.

Zaklął, wzburzony własną brutalnością. Nigdy nie wykorzystywał swej siły fizycznej do pokonania kogoś tak słabego jak ona. Poczul obrzydzenie i gniew na samego siebie. Jeszcze bardziej rozwścieczyło go to, że ta dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z własnej słabości; nie podejrzewała, jak łatwo mógłby skruszyć jej delikatne nadgarstki, zacisnąwszy na nich mocniej palce. I wziąć siłą to, co tak nierozważnie mu podsuwała.

- Dopóki co? - spytał umyślnie beznamiętnym głosem. - Dopóki nie przeżyje pani dreszczyka emocji?

- Nie! - Próbowała się wyrwać.

Nie mógł pozwolić, żeby uciekła. Nie teraz! Kiedy stali tak blisko, dostrzegł cieniutką rysę na jedwabistym policzku. Czuł na wargach powiew jej nerwowego oddechu. Stał bez ruchu, porażony gwałtownym pożądaniem. Nie uległ mu tylko z racji niezrozumiałych wymogów honoru.

Łudził się - Boże, wybacz głupotę! - łudził się, że ona też go pragnie. Z jakiegoś przekłętego powodu bolało go, że wcale tak nie jest.

-A więc, na co pani jeszcze czeka? - nalegał, lekko nią potrząsając.

W jej oczach błysnął gniew. Zacisnęła zęby i z dzikim pomrukiem wyrwała się z jego rąk. Zaczepiła o sygnet Harta szalem; ześlizgnął się z jej ramion. W ciszy, która nagle zapadła, połyskliwa siateczka opadała na podłogę między nimi - jak piórka przeszytego strzałą ptaka. Hart wpatrywał się w dziewczynę.

Kilka centymetrów nad głębokim dekoltem, w miejscu gdzie bark łączy się z ramieniem, widniała na białej skórze okrągła, wypukła blizna wielkości pensowej monety.

Jak z wielkiej dali dobiegł do niego głos nieznajomej.

- Nie odejdę, dopóki nie wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia, Duke!

3

Mercy Coltrane.

- Pamiętasz moje imię? - zdumiała się.

Zmysłowe usta Harta, które bezlitosny trening pozbawił naturalnego wyrazu, wygięły się niemal w uśmiechu. Zaraz jednak zeszywniały, przybierając poprzedni obojętny wyraz.

- Cóż... nie tak znów często strzelałem do małych dziewczynek.

Głos miał dokładnie taki, jaki zapamiętała: dość niski, suchy, z wytwornym angielskim akcentem.

- No tak... oczywiście...

Przykłęka, by podnieść szal. Spojrzała na niego z tej pozycji. Wysoka, smukła, nieruchoma postać wznosiła się nad nią, oświetlona od tyłu blaskiem kinkietów. Ciemna sylwetka, cień mężczyzny.

Nie miała pojęcia, co poczuł, gdy został zdemaskowany. Żadne uczucie nie odbiło się na jego kamiennej twarzy. Gdy Mercy chciała wstać, pochylił się i ująwszy ją pod łokcie, bez wysiłku podniósł na nogi. Nie pytając o pozwolenie, odwrócił jej rękę i uważnie obejrzał przegub.

- Sprawilem pani ból?

- Ależ skąd! - odparła Mercy.

Chwył był mocny, ale nie bolesny. Duke znał swą siłę i panował nad nią. Wszystko w nim poddane było nadludzkiej, żelaznej samokontroli.

Zadowolony się tą odpowiedzią, zamilkł. Najwyraźniej spodziewał się, że teraz odezwie się Mercy, i czekał, czujnie i cierpliwie, na jej słowa.

- W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć, że to ty - mruknęła, przyglądając mu się uważnie.

Jako rewolwerowiec Duke nosił długie włosy, według mody z Dzikiego Zachodu. Miał też gęstą brodę chroniącą twarz od wichrów prairii. Teraz krótko obcięte włosy sięgały ledwie do kołnierza śnieżnobiałej koszuli. Były gęste, brunatne. Gładko ogolona twarz pozwalała dojrzeć mocno zarysowane szczęki i kwadratowy podbródek z niewielkim dołkiem.

- Nie mogłaś uwierzyć, że to ja? Kiedy to było? - powtórzył, przerywając te oględziny.

- Jeszcze w Londynie. Zauważyłam cię, gdy wysiadałeś z pociągu na Victoria Station. Wydawało mi się, że to ty... ale tragarz powiedział, że to hrabia Perth.

- I miał rację.

-Ale ty jesteś Duke, rewolwerowiec mojego taty!

- Byłem nim kiedyś.

Mercy uśmiechnęła się, a on cofnął, jakby jej wesołość zbiła go z tropu.

- Rozumiesz chyba zamęt, jaki powstał w mojej głowie. Prawdę mówiąc, z początku byłam pewna, że się pomyliłam.

- Ach tak? Czy można wiedzieć, co cię skłoniło do zmiany zdania?

- Twoje oczy.

- Moje oczy? - powtórzył. - Daj że spokój, panno... Nie jesteś jeszcze mężatką... panno Coltrane? Widziałaś mnie zaledwie kilka razy, gdy... pracowałem dla twego ojca. I mam uwierzyć, że rozpoznałaś mnie po oczach?!

Mówił tak arogancko, z takim chłodem, że jego zachowanie zaczęło Mercy irytować.

- Powiadają- odezwała się z wyższością- że ludzie w chwili śmiertelnego zagrożenia zapamiętują raz na zawsze to, co mają przed sobą. Pewna mała dziewczynka wpatrywała się w oczy mężczyzny, który do niej strzelał. Nic dziwnego, że wryły się jej w pamięć!

Kamienna twarz nie zmieniła wyrazu. Gniew i sarkazm Mercy nie wywarły na nim najmniejszego wrażenia. Ni stąd, ni zowąd przyszło jej do głowy pytanie: jak też by wyglądał, gdyby się uśmiechnął? Wydawał się o wiele młodszy niż wówczas. Nie mogło być między nimi nawet dziesięciu lat różnicy. I choć wysoki, nie był już tamtym olbrzymem w pokrytym kurzem długim płaszczu i drelichowych spodniach, ze stetsonem wciśniętym na czoło. Ale oczy pozostały te same. Zielonobłękitne, zbyt jasne, by zasługiwać na miano turkusowych. Całkowicie pozbawione emocji.

Poczuła zimny dreszcz. Nagie ramiona pokryły się gęsią skórką. Mercy owinęła się ciasniej szalem.

- Wybacz, że powątpiewałem w twą dobrą pamięć. - W jego tonie było więcej lekceważenia niż skruchy.

- Wybaczam - odparła krótko.

Nie może pozwolić, by poniósł ją gniew! Musi przekonać Duke'a, jak ważne było dla niej to, że go odnalazła.

-Tak czy inaczej, zaczęłam o ciebie rozpytywać. Kilka tygodni wcześniej zawarłam w Londynie znajomość z księżną Acton. Nawet się zaprzyjaźniłyśmy. I nagle znalazłam się w bardzo kłopotliwej sytuacji. Moja protektorka, lady Timmons, uległa wypadkowi i do tej pory nie wróciła całkiem do zdrowia. Kiedy odkryłam, że księżna wydaje poza sezonem wielkie przyjęcie w wiejskiej rezydencji Actonów i że masz być na nim obecny, beczelnie się wprosiłam.

-W jakim celu?
- Potrzebuję twojej pomocy.
Napięcie, które odczuwał mimo pozorów absolutnego spokoju, jeszcze wzrosło.
- Mojej pomocy?
- Tak. Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłam na twój widok! Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić, gdzie szukać pomocy. Kiedy przekonałam się, że to naprawdę ty, uznałam, że same niebiosy odpowiadają na moje modły!
Usta Duke'a skrzywiły się w ponurym uśmiechu.
- Bardzo wątpię, by niebiosy chciały się mną posłużyć. A w czym, jeśli wolno spytać, miałbym ci pomóc?
Oddechnęła głęboko.
- Chodzi o mojego brata.
Jedna z ciemnych, skośnych brwi uniosła się do góry.
- O Willa. Williama. Nigdy go u nas nie widziałeś, gdy pracowałeś w Circle Bar, bo przebywał wtedy w szkole w Bostonie.
- Nigdy nie pracowałem w Circle Bar - poprawił ją, jeszcze bardziej zamykając się w sobie. - Przeczesałem całą okolicę, tropiąc wrogów twojego ojca.
W jego głosie była nutka pogardy dla samego siebie, której Mercy nie mogła zrozumieć.
- Strzelali do ludzi z naszego rancza - przypomniała mu.
Wzruszył ramionami.
- Mów dalej o swoim bracie. Miał wtedy wrócić na ranczo, tak jak ty. Wasz ojciec wspominał, że musi was odebrać z drogich szkół, bo nie starczy mu pieniędzy na opłacenie moich usług.
- Tak. - Mercy nie miała ochoty dyskutować na temat swojego brata z angielskim arystokratą, którego to nic a nic nie obchodziło. Nie miała jednak wyjścia. -Ale Will nie wrócił do domu. Został na Wschodzie, u krewnych mamy. Nie lubił nigdy Teksasu ani naszego życia na ranczo.
- Doprawdy? Zdumiewające! - powiedział Hart.
- Nigdy nie mogłam zrozumieć tej jego niechęci - przyznała.
- Być może miało to coś wspólnego z wszami i z pchłami... i z nagłymi burzami piaskowymi, które oślepiają, palą skórę i zatykają gardło kurczem. Albo z nocami tak zimnymi, że powieki przymarzają. Albo z tym, że tamtejsi mieszkańcy gotowi każdemu rozwalić głowę za kulawego muła.
Wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Nareszcie w jego głosie odezwały się jakieś uczucia, szczere i gwałtowne.
- Niezbyt ci się u nas podobało!

Parsknął krótkim, zgrzytliwym śmiechem.

- Cóż za czarujący eufemizm, panno Coltrane! Istotnie. Niezbyt mi się tam podobało.

- Musiałeś przecież dostrzec, jakie to wspaniałe, jakie...

- Mówiliśmy o twoim bracie.

Mercy wzdygnęła się.

- Tak - powiedziała cicho. - Wybacz, że się uniosłam, ale gdy ktoś znieważa moją ojczyznę, muszę...

- Na tym polega cały problem z Amerykanami. Jak wam się czegoś zachce, musicie postawić na swoim! Wszystko jedno za jaką cenę. Choćby teraz: chcesz czegoś ode mnie, więc odrzucasz wszelkie konwenanse i reguły obowiązujące w towarzystwie. Wystawiasz na szwank nie tylko własną reputację, ale także moją oraz dobre imię domu, w którym przebywasz. I wabisz mnie na schadzke.

- To nie jest żadna schadzka!

- Spróbuj to wytłumaczyć ludziom, którzy dostrzegli, jak znikasz w bibliotece! -odparował. -Ale przecież ty „muisz”, więc do diabła z konsekwencjami! Zwykła przyzwoitość nic dla ciebie nie znaczy! Jeśli tak ci zależy, żeby postawić na swoim, to czemu nie spróbujesz tego osiągnąć kobiecą łagodnością i słodyczą?

- Chciałeś powiedzieć „kobięcymi sztuczkami”?! - oburzyła się.

Natychmiast pożałowała swego wybuchu. Największym wysiłkiem woli powstrzymała się od zganienia go, jak należy.

Nie mogła zawieść brata. I bez względu na to, co o niej sądził ten twardy, wzdorczy mężczyzna, potrzebowała jego pomocy.

- Przepraszam - rzucił szorstko. - Wybacz mi. Mój żaloszny brak dobrych manier jest tylko pozostałością mojego krótkiego pobytu w twojej ojczyźnie.

-Och!

- A teraz może się dowiem, co ma mnie łączyć z twoim bratem?

Mercy odetchnęła głęboko.

- Willa... zawsze pociągało życie towarzyskie, kultura i „wyższa cywilizacja”, jak by się pewnie wyraził. Tak mi się przynajmniej zdaje. Nie byliśmy... - po raz pierwszy w trakcie rozmowy Mercy spuściła wzrok.

- Nie byliśmy sobie zbyt bliscy. Z mojej winy. Nigdy go nie rozumiałam i nie starałam się zrozumieć. Nie znośił rancza. - Skuliła ramiona. - Ja je kochałam.

Podniosła oczy na Duke'a. Dlaczego opowiada mu o tym wszystkim?! Może właśnie dlatego, że był taki obojętny. Nie okazywał współczucia - prawdziwego ani fałszywego. Ale nie wyrażał też potępienia.

- Rok temu zmarła moja matka. Ona i Will byli ze sobą bardzo związani. Mama ubóstwiała swego synka, a on odwdzięczał się jej tym samym. Po jej śmierci Will błagał ojca, by pozwolił mu wyjechać do Anglii. Tłumaczył, że nie zniesie pobytu w domu, gdzie wszystko przypomina mu matkę. Ojciec wyraził zgodę. Will miał zostać w Anglii trzy miesiące, ale te trzy miesiące zmieniły się w pół roku, potem w trzy kwartały...

- Jest tu od dziewięciu miesięcy?

- Od dziesięciu - odparła Mercy. - Jego listy zaczęły przychodzić coraz rzadziej i były jakby inne. Ostatnio zaledwie parę słów z prośbą o pieniądze. A z tych wcześniejszych można było się domyślić, że wpadł w złe towarzystwo. A potem przez trzy miesiące ani jednego listu.

- Doprawdy?

- Ojciec oświadczył, że nie wyśle mu już żadnych pieniędzy. Chyba właśnie dlatego Will przestał pisać, chciał ukarać tatę. Nigdy się ze sobą nie zgadzali.

- A teraz ojciec pozwolił, żeby jego mała córeczka wyruszyła na poszukiwanie brata? - spytał Hart.

- Nie! - pośpiesznie ujęła się za ojcem. - Skądże znowu! Tata myśli, że przyjechałam do Anglii szukać męża.

W jego błękitnych oczach pojawił się błysk zdumienia.

-Słucham?...

- Że chcę się tu wydać za męża. - Mercy poczuła, że się czerwieni. Nigdy nie wyraziłaby się tak prostolinijnie, gdyby sytuacja nie zmuszała jej do całkowitej szczerości. Nie miała aż tak złych manier, jak - zresztą dość otwarcie - przypuszczał Duke.

- Moja mama, świeć Panie nad jej duszą, zawsze pragnęła dla nas obojga wytwornego życia. Jeśli mam być całkiem szczerą... Możesz tak na mnie nie patrzeć, wiem doskonale, co myślisz o mojej szczerości! No więc chciała, żebyśmy weszli do wyższych sfer. Wszystko jedno czy do naszych, nowojorskich, czy do waszej angielskiej arystokracji.

Nie odezwał się ani słowem, więc brnęła dalej.

- Ojciec ubóstwiał mamę. Właśnie dlatego zgodził się na te bostońskie szkoły z internatem. I dlatego pozwolił, by wzięła mnie pod opiekę lady Timmons, którą poznaliśmy ubiegłej zimy w Nowym Jorku; była ogromnie miła i sama zaproponowała mi swoją protekcję. Tatus wyraził zgodę tylko dlatego, że mama by sobie tego życzyła.

-A, tak... Ta twoja opiekunka, która zachorowała w bardzo odpowiednim momencie.

Mercy przygryzła zębami policzek od wewnątrz, żeby nie krzyknąć: „a idźże do diabła!” Jednak słuchał jej uważnie... Poczowała odrobinę nadziei.

- Księżna Acton i lady Timmons bardzo się ze sobą przyjaźnią.
- Rozumiem. A zatem twój ojciec sądzi, że przybyłaś do Anglii, by urzeczywistnić marzenia matki.

-Tak.

-Ale w istocie zjawiłaś się tu, by odnaleźć swego brata?

- Tak! Muszę znaleźć Willa. Ojciec grozi, że go wydziedziczy! Muszę sprawić, żeby się pogodzili... -Zniżyła głos do szeptu. -Przyrzekłam to mamie. Zanim umarła, obiecałam jej, że dopilnuję, by tata i Will żyli w zgodzie. Ale najpierw trzeba odnaleźć Willa. Tylko ty możesz tego dokonać.

Odwrócił się od niej niecierpliwie, potrząsając głową, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom. Prosty nos widziany z profilu wydał się Mercy ogromny i arogancki. Zaciśnięte szczęki były jak wykute z kamienia.

- Jest jeszcze coś... - powiedziała.

- Tak? - burknął.

-Will wie, że tu jestem. Tydzień po przyjeździe dostałam od niego list. Prosił o pieniądze i napomykał, że znalazł się w trudnej sytuacji. Posłałam mu pieniądze pod wskazany adres. Od tamtej pory dostałam jeszcze dwa listy. Pisał coraz krócej i żądał coraz więcej pieniędzy. I za każdym razem powtarzał, że nie może się ze mną spotkać.

- Rany boskie! - warknął.

Podeszła do niego bliżej. Czowała się okropnie w roli petentki, ale w jej głosie mimowolnie odzywały się błagalne tony. Wyczerpała już wszystkie inne możliwości. Pomoc Duke'a była jej niezbędna.

- Zachowałam te listy. Mam też kilka dawniejszych, w których wymienił nazwy lokali, jakie odwiedzał. Możesz...

- Panno Coltrane! - Odwrócił się i spojrzał na nią z góry przenikliwym wzrokiem. Kosmyk włosów opadł mu na czoło, rzucając smużkę cienia na jego pociągłą twarz. Miała nieodgadniony wyraz. - Bez względu na to, kim byłem w przeszłości, teraz jestem hrabią Perth.

- Wiem, wiem! I orientuję się, że pracowałeś u mego taty, bo potrzeba ci było pieniędzy. Mojemu ojcu bardzo się powiodło, panie Perth...

- Nazywam się Hart Moreland, hrabia Perth. Możesz do mnie mówić „Perth” albo „Hart”. Ale w żadnym wypadku nie „panie Perth”!

- Dobrze, dobrze - powiedziała. - Niemniej ojciec jest teraz bardzo zamożnym człowiekiem i bardzo hojnym dla mnie. Nie byłam w stanie wydać wszystkiego, co mi przesyłał, więc udało mi się zbierać całkiem sporą sumę.

- O Boże! - mruknął.

-Nie wiem, jak się przedstawia twoja obecna sytuacja finansowa, ale przypuszczam, że mogłaby być lepsza. Spędziłam tu sporo czasu

w dworach i starych zamczyskach, które są w tak oplakany stan. A wy, arystokraci, uważacie za swój obowiązek utrzymywać te ruiny... Jestem skłonna zrewanżować się za twoje usługi dość okazałą sumą.

- O Boże! - powtórzył.

Przelknęła ślinę.

-I nie będziesz musiał nikogo zabijać.

Na sekundę zamknął oczy. Kiedy je otworzył, zielonobłękitne tęczy skrzyły się w blasku gazowych lamp.

-I nie będę musiał nikogo zabijać - powtórzył głuchym, zimnym głosem.

- Nie, nie! - zapewniła go spiesznie. - Nic w tym rodzaju! Musisz tylko odnaleźć Willa. Resztą ja się zajmę. Nie znam Londynu, nie miałabym pojęcia, od czego zacząć. Pytałam już wszędzie, za każdym razem odmawiano mi pomocy. Grzecznie, ale definitywnie.

-Ach tak?

Sam jego ton powinien ją zmrozić, ale odnalezienie brata było tak ważne, że nie mogły jej odstraszyć ani lodowaty głos, ani płonące, namiętne oczy.

- Pomożesz mi?

- Nie - odparł stanowczo. - Wracaj do domu, panno Coltrane! Wracaj do Ameryki. Jestem pewien, że twój braciszek po prostu chce się wy szumieć, zanim wróci na łono kochającej rodziny i poświęci się bez reszty hodowli bydła i płodzenia małych Coltrane'ów.

Mercy cofnęła się, całkiem zbита z tropu. Czy nie wytłumaczyła mu dość jasno, jakie to wszystko ważne? Jak sprawić, żeby zrozumiał, że nie mogła stracić brata... ani zawieść zaufania matki?

-Nic nie rozumiesz! Will naraża swoją przyszłość! Mój ojciec jest niezwykle zawziętym człowiekiem. I nie wybacza łatwo. A William zawsze się przeciwko niemu buntował... I zrobił się taki... Może nie wytłumaczyłam dość jasno, jak bardzo się zmienił od...

-Wyjaśniłaś wszystko aż za dokładnie -przerwał jej. -Wracaj do domu, moja panno! I zapomnij, bardzo proszę, że znaliśmy się w przeszłości. Ogromnie mi zależy na tym, by do niej nie wracać. Mogłaby zaważyć na losie i szczęściu bardzo mi drogich osób. Będę je chronił za wszelką cenę, panno Coltrane!

Mercy wstała, starając się zachować godność mimo porażki. A więc zależało mu - i to bardzo - na szczęściu jakichś bliskich osób! Poczowała ukłucie zazdrości. A gdyby ktoś równie silny, równie wspaniały troszczył się o nią...? No cóż, nie tylko jemu zależało na losie bliskich.

- Nigdy nie zdradzam czyjegoś zaufania.
- Bynajmniej cienie obdarzyłem zaufaniem- odparł. - Wkradłaś się w moje sekrety, i tyle.

- Nie zdradzę nikomu, kim naprawdę jesteś. Potrafię dochować twoich hrabiowskich sekretów, lordzie Perth! - powiedziała z godnością. - Widzisz? Nawet zwracam się do ciebie z właściwymi tytułami! W bostońskich szkołach z wielkim staraniem wbijali nam do głowy angielskie uwielbienie dla heroizmu. I jakim wielkim faux pas może być źle skierowana czołobitność.

- Słusznie! A teraz zapomnij raz na zawsze o Duke'u. I zrobiłabyś lepiej, moim zdaniem, zapominając również o bracie.

Nie raczyła odpowiedzieć ani na lekko zawołowaną pogroźkę, ani na oburzającą radę. Odwróciła się, aż zaszeleściły sztywne halki, muskając czubek jego buta.

-I bądź łaskawa wymknąć się stąd jak najdyskretniej. Nie chciałbym, żeby ktoś się domyślił, że siedzieliśmy w zamkniętym pomieszczeniu sam na sam.

Jego słowa sprawiły, że zatrzymała się nagle przed samymi drzwiami.

Potem sięgnęła po klamkę i otworzyła je na oścież mocnym szarpnięciem. Do biblioteki wpadło światło i gwar rozmów z sąsiedniego pokoju. Dostrzegła błysk gniewu w oczach Harta i jego zaciśnięte szczęki, zanim skrył się w cieniu.

Doskonale! - pomyślała. Niech się pan hrabia przestraszy.

Kilka osób w pobliżu odwróciło się i zerknęło ciekawie, któż to wychodzi z biblioteki.

- Nie zapomnę o Willu! - oświadczyła głośno. -I odnajdę go!

4

Niech to wszyscy diabli! - klął w duchu Hart. Miał ochotę wybiec za tą panną do salonu, chwycić ją za ramię, obrócić ku sobie i... Zgrzytnął zębami. Na razie mógł tylko skryć się w cieniu i bić z myślami, zastanawiając się, jak niepostrzeżenie opuścić bibliotekę.

Choć był wściekły, że z winy tej smarkuli znalazł się w takim niezręcznym położeniu, pod gniewem czaiła się niewczesna wesołość. Mała szelma! Bez ogródek zaproponowała mu pieniądze za odnalezienie marnotrawnego braciszka i pocieszyła zapewnieniem, że „nie będzie musiał

nikogo zabijać". Była tylko jedna istota, którą z przyjemnością by zamordował. .. ale właśnie wymknęła mu się z rąk!

Na szczęście lata żelaznej samodyscypliny pomogły Hartowi znieść tę horrendalną rozmowę bez mrugnięcia okiem. Dziewczyna nie miała pojęcia, jaki przeżył szok, gdy poznał w niej dziecko, które postrzelił przed sześcioma laty w Teksasie.

Szok. Całkiem nowe doznanie! A już myślał, że po tych wszystkich makabrycznych niespodziankach, jakie zgotowało mu życie, nic go nie zadziwi!

Ale któż mógłby przewidzieć, że spotka tę dziewczynę?...

Że też ta zielonooka zjawa z przeszłości musiała wtargnąć w jego życie właśnie teraz, gdy był o krok od osiągnięcia celu, który postawił sobie przed dziesięcioma laty. Co za ironia losu!

Właśnie teraz, gdy wprowadzał najmłodszą ze swych siostr w świat, dla którego poświęcał się, trudił w pocie czoła, a nawet zabijał. ..Iw tym momencie pojawia się ona, z tymi swoimi oczami jak prześwielone słońcem liście, śmiejącymi się ustami, grzywą ognistych włosów... i śladem po jego kuli na ramieniu.

Jej obecność mogła zniweczyć wszystko, do czego dążył. Ręka Harta sama zacisnęła się w pięść. Siłą woli zmusił palce do rozprostowania się. Za wszelką cenę musi się postarać, by nie zniszczyła owoców jego ciężkiej pracy. Zrobi wszystko, by zapewnić sobie jej milczenie. Może to będzie całkiem proste? Zorientowała się z pewnością, że nie rzucał pogrózek na wiatr.

Rozejrzał się po bibliotece. W każdej chwili mógł tu zajrzeć ktoś wścibski, żeby przekonać się na własne oczy, któż to dotrzymywał towarzystwa pannie Mercy Coltrane. Nawet jeśli ta pannica gwizdała na własną reputację, on dbał o swoją! Wystarczy kilka słów szepniętych księciu lub księżnej i Annabelle może zapomnieć o planowanych zaręczynach! Actonowie znani byli ze swych niezłomnych zasad.

Hart podkraść się do okna i otworzył je spiesznie. Piętro niżej rozciągał się wypielęgnowany trawnik. Bez wahania Hart uchwycił się parapetu i zawisł na rękach za oknem, tuż przy ścianie. Przez sekundy bujał się beztrąsko, ale potem dostrzegł, co ma bezpośrednio pod sobą.

Krzewy różane. Gęsty szpaler kolczastych krzewów pod samą ścianą starej rezydencji. Hart dodał jeszcze jedno przekleństwo do długiej litanii tych, którymi obrzucał w duchu Mercy Coltrane, i oderwał się od parapetu.

- Hart! - wykrzyknęła Fanny, gdy nazajutrz brat pojawił się w małym salonie.

Było wczesne popołudnie. Mnóstwo gości czekało na zapowiedziany przez gospodarzy koncert. Z lekkim stęknieniem Fanny uniosła się na sofie. Richard pośpieszył do żony, chwycił ją pod ramię i pomógł wstać. Hart przyglądał się siostrze w niemym zdumieniu.

Fanny zawsze była przyjemnie zaokrąglona, ale teraz bardzo przytyła. Jej policzki przypominały przyrumienione knedle, na szyi pojawiły się wałeczki tłuszczu. Wyciągnęła rękę w czułym powitalnym geście. Spojrzała na twarz brata i ręce jej opadły.

- Co się stało, Hart?!

- Co się stało? - powtórzył jak zdumione echo, nadal oszołomiony tuszą Fanny. Potem dotknął ręką twarzy. -A, o to ci chodzi! Wybrałem się dziś rano na przejażdżkę. Byłem trochę roztargniony i koń zapędził się pod zwisające gałęzie.

- Paskudne zadrapania! - stwierdził Richard, przyglądając się krwawym szramom na policzku szwagra.

- Jakie to do ciebie niepodobne! - zauważyła Fanny.

- Ale prawdziwe - odparł Hart tonem, który sugerował wyraźnie „nie ma o czym mówić!”

- No tak... I nie ulega wątpliwości, że to twoja biedna buzia... prawda?

Kochana Fanny! Śliczna, złote serce, ale inteligencją nigdy nie grzeszyła. Skinęła teraz mądrze główką, aż podskoczyły jej lśniące loki barwy miodu. Biust, istna góra ściśle opakowanego ciała, zakołysał się, tworząc mocny efekt końcowy.

- Mam nadzieję, że ty, siostrzyczko, dobrze się dziś miewasz? - spytał Hart.

Fanny spuściła oczy i uśmiechnęła się nieśmiało. Każdy odsłonięty fragment jej ciała przybrał odcień mniej lub więcej różowy.

- Tak... Przynajmniej na razie. - Podniosła oczy na brata. - Richard ci powiedział?

- Tak, Fan. Moje gratulacje! Nie masz pojęcia, jaki jestem rad z waszego szczęścia! Żadne dziecko nie będzie miało tak wspaniałych rodziców. .. zwłaszcza mamusi!

- Och, Hart! - W wielkich chabrowych oczach załśniły łzy.

- Tylko bez szlochów, Francesca! - Zaniepokojony Hart przestąpił z nogi na nogę.

- Przepraszam, braciszku! Wiem, że nie lubisz takich scen, ale przez to macierzyństwo zrobiłam się okropnie skora do łez...

- Widzę.

- Obiecuję, że nie będę więcej płakać! - pociągnęła noskiem i zrobiła trzy głębokie wdechy. Fiszby gorsetu zaskrzypiały. - No, już mi lepiej! - Uśmiechnęła się dzielnie, trochę łzawo. - Widzisz? Potrafię być całkiem zrównoważoną... - zatchnęła się- przyszłą... mamą!... -1 ukryła twarz w wielkiej chustce, którą podsunął jej Richard.

- Zrób coś z nią! - powiedział do szwagra Hart. Ale Richard nie robił nic, tylko gapił się ze współczuciem na żonę.

- Och...! Pomyśleć, że zostanę... mamusią...! - wyłkała Fanny i nagle dostała czkawki.

- Zróbże coś, chłopie! - powtórzył Hart z większym zniecierpliwieniem.

- A cóż ja mogę zrobić? - spytał Richard. - Od kilku tygodni płacze i płacze! Kupiłem Bóg wie ile chustek, odkąd Fan jest w poważnym stanie. Niewiele więcej można zrobić, więc przynajmniej się staram, żeby miała w co wytrzeć oczy.

-Ale czy to normalne? - zaniepokoił się Hart. - Czy ona nie jest przypadkiem chora?

- Nie! - potrząsnęła główką Fanny. - Ona wcale nie jest chora. Ona się spodziewa... dzidziusia...!

- Biedactwo! - Richard poklepał ją po ramieniu.

- Daj jej kremu śmietankowego - zaproponował Hart w przystępie natchnienia. - W dzieciństwie przepadała za kremem ze śmietanki z Devon! Zjesz odrobinę kremu, Fan?

Skinęła głową, nadal pochlipując.

- Śmietanka z Devon dobrze mi robi.

- Biegnij po krem! - polecił szwagrowi Hart.

- Poproszę kucharza Actonów... na pewno coś znajdzie - gruchał czule Richard. -No, chodź, najdroższa! Zasyjemy się w jakimś kątku i uruczemy śmietankowym kremem!

Hart odetchnął z ulgą, kiedy Richard wyprowadził jego siostrę z salonu. Dobry Boże! Jeśli ciąża tak odmieniła zrównoważoną, spokojną Fanny, to co by się działo z kimś takim jak Mercy Coltrane...? Zmarszczył gniewnie brwi. Skąd mu, u diabła, przyszło coś podobnego do głowy?!

Jakby w odpowiedzi na to niewypowiedziane - i nieprzemysłane! - wezwanie, pojawiła się dziewczyna, przez którą podrapał sobie twarz, a w nocy nie zmrużył oka. Wraz z nią weszła księżna wdowa i jakiś mężczyzna - zapewne James Trent, księżę Acton.

Mimo wszelkich starań Hart nie był w stanie skoncentrować się na Actonie, gdy Mercy Coltrane była tak blisko. Zadowolił się więc pobież-

nymi oględzinami przyszłego szwagra. Wzrost nieco poniżej średniego, potężna klatka piersiowa, wijące się rudawe włosy zaczesane do tyłu, sympatyczna, raczej grubo ciosana twarz. Spojrzenie Harta powędrowało w stronę Mercy.

Nie pokazała po sobie, że się znają. Patrzyła na niego z uprzejmym zainteresowaniem. Na jej ustach drżał cień uśmiechu. Wystroiła się w jakąś nieprawdopodobną ciemnoróżową toaletę. Ciężka spódnica była obficie udrapowana z tyłu i ozdobiona kaskadą jasnych koronek i falban, które burzyły się niczym morskie fale, gdy zbliżała się tym swoim nieco zbyt energicznym krokiem. Hart zauważył, że suknia była pod szyję, ze stójką - w odróżnieniu od toalet pozostałych dam. Czy zawsze tak się starała ukryć bliźnę po ranie, którą jej zadał? Hart zacisnął zęby.

Księżna wdowa rozłożyła z trzaskiem wielki biały wachlarz ze strusich piór. Na widok Harta uniosła swe cienkie srebrne brwi.

- Witam, lordzie Perth!

Hart odpowiedział ukłonem. Księżna odwróciła się do syna i trzepnęła go wachlarzem po ramieniu.

- Jamesie, to jest Hart Moreland, hrabia Perth. Panie hrabio, oto mój syn, James Trent, ksiązę Acton.

Acton zrobił krok w stronę Harta i wyciągnął do niego rękę. Hart ujął ją i uścisnęli sobie dłonie. Potem ksiązę odwrócił się do Mercy.

- Panno Coltrane, czy mogę przedstawić...

- Hrabiego Perth? Słyszałam już, jak się nazywa. - Uśmiechnęła się szelmowsko, pokazując dołeczki. - Oczywiście, że ksiązę może mi go przedstawić. A ja zaprezentuję się sama! Jestem Mercy Coltrane, panie Perth. Z Teksasu. To w Stanach Zjednoczonych - wyjaśniła. - A pan skąd pochodzi?

- O, jestem obywatelem całego świata.

Czuł, że nie zachowuje się tak swobodnie, jak by chciał. Bezczelna smarkuła!

- Perth to doświadczony podróżnik. Bez przerwy przemierza świat - powiedziała księżna. - Na szczęście poświęcił się i odłożył swą kolejną wyprawę, by wziąć udział w naszym skromnym przyjęciu.

- Nie ma mowy o żadnym poświęceniu, księżno! To dla mnie zaszczyt i przyjemność.

- W każdym razie bardzo mi miło zawrzeć znajomość z obywatelem całego świata - odezwała się Mercy. - Miał pan z pewnością mnóstwo ciekawych przygód!

Wyciągnęła do niego rękę. Bez rękawiczki.

Nie było rady, ujął podaną dłoń. Ciepłą, delikatną, ogromnie kobiecą. Mercy z pewnością wiedziała, że podawanie nieosłoniętej ręki jest

wręcz nieprzyzwoite. Kpiła sobie z niego! Dostrzegł wyzywający błysk oczu i zadziornie wysuniętą brodę.

Nie mógł oprzeć się pokusie i uścisnął jej rękę nieco mocniej, niż wypadało. Spodziewała się widocznie, że potrząśnie tylko lekko jej dłoń, ale podniósł ją do ust i ucałował smukłe palce. Były miękkie jak aksamit. Z satysfakcją zauważył zaskoczenie dziewczyny. Wyrwała rękę z jego uścisku.

Nieokrzescana dzikuska! Z takimi manierami nie utrzyma się w towarzystwie nawet przez dwa tygodnie. Hart zerknął na księżnę i Actona. Oboje uśmiechali się pobłaźliwie do tego rudzielca, jakby bezczelność smarkuli ich oczarowała.

- Czuję się zaszczycony, panno Coltrane - wymamrotał Hart.

- Boże święty! - wykrzyknęła nagle Mercy - A cóż to się panu stało?! - Spojrzała na jego podrapaną twarz i przytknęła rękę do ust w geście teatralnego przerażenia. Hart był pewien, że za osłoną dłoni kryje się uśmiech.

- To wina konia - wyjaśnił spokojnie. - Zboczył ze ścieżki pod nisko zwisające gałęzie.

- I nie umiał go pan opanować? - spytała Mercy, szeroko otwierając swoje nakrapiane złotem oczy. - Powinien księżę porozmawiać ze stajennymi! Widać nie umieją dobrać konia do możliwości jeźdźca. Trzeba coś z tym zrobić, bo więcej osób ucierpi tak jak pan Perth!

- Lord Perth albo hrabia - poprawił ją Hart. - A koń był całkiem dobrze dobrany do moich możliwości.

Niech to diabli! Ta dziewczyna usiłuje go sprowokować! Ma przed nią zdać egzamin ze znajomości konnej jazdy czy co?!

Przestała trzepotać rzęsami w stronę Actona. Księżę poważnie skinął głową. Miał taką minę, jakby już obmyślał zestaw prostych ćwiczeń jeździeckich na użytek gościa. Mercy z triumfem odwróciła się do Harta.

- Pan coś do mnie mówił? - spytała słodko.

- Hrabia wyjaśniał pani, jak należy się do niego zwracać, panno Coltrane - powiedziała księżna.

- A mianowicie?

- „Lordzie Perth” albo „panie hrabio”.

- Ach tak... - Mercy spoglądała to na księżnę, to na Actona z uroczą konsternacją. - A byłam taka dumna z siebie, że już się połapałam w tej arystokratycznej hierarchii! Może wystarczy, że zapamiętam kilka najważniejszych tytułów i nie będę zwracać sobie głowy całą resztą?...

I znów zatrzepotała rzęsami.

Hart poczuł łaskotanie w gardle, ale się nie roześmiał. Nie będzie rozzuchwalał tej nieznośnej szelmy!

Acton nie miał jednak podobnych oporów. Roześmiał się z całego serca. Mercy zrobiła taką minę, jakby fakt, że ktoś się z niej wyśmiewa, był najwspanialszą zabawą pod słońcem, uśmiechnęła się do księcia i zawtórowała mu. Nawet księżna parsknęła, zapominając o dystynkcji.

- Przestań drażnić Perthę, nieznośna dziewczyno! On się nie zna na waszych absurdalnych amerykańskich żartach! - ofuknęła swą podopieczną.

- Wierzę, że dzięki panie Coltrane uzupełnię te luki w moim wykształceniu - powiedział Hart, rzucając Mercy wymowne spojrzenie.

-Acton! - odezwała się księżna wdowa, spoglądając ponad ramieniem syna. - Przybyli państwo Wrexhall. I panna Moreland.

Na jej znak wszyscy spojrzeli w kierunku drzwi.

Istotnie, zjawiała się najstarsza z sióstr Harta, Beryl, oraz jej mąż, Henley Wrexhall. Byli tak do siebie podobni, że brano ich niekiedy za rodzeństwo. Oboje średniego wzrostu i smukłej budowy. Oboje czarnowłosi i ciemnooccy, o dość ostrych rysach zdradzających żywą inteligencję. Hart zauważył, że szwagier jest nieco roztargniony; jego oczy biegały po sali, gdy idąc, witał skinieniem głowy licznych znajomych.

Za Wrexhallami kroczyła Annabelle, czarujące uosobienie kruchej kobiecości. Sunęła tak lekko, że rąbek jej koronkowej sukni niemal się nie poruszał. Na jej widok serce Harta wezbrało -jak zawsze - braterską dumą. Przypominała małeńki, prześliczny pączek róży. Jej loki miały barwę i blask czerwonego złota. Kiedy Annabelle była jeszcze malutka, rodzeństwo przekomarzało się z nią, twiedząc, że ma „różowe włoski”.

Annabelle - chodząca doskonałość, prawdziwa dama. Grała na fortepianie niemal po mistrzowsku, mówiła płynnie trzema językami i miała - zdaniem wszystkich guwernantek i nauczycieli - wyjątkowe zdolności do rachunków. Będzie z niej wspaniała księżna!

Zgodnie z wrodzonym poczuciem taktu Annabelle nie podbiegła do brata z nieprzystojnym pośpiechem. Szła ku niemu powoli, miarowym krokiem, z powitalnym uśmiechem na pogodnej twarzyczce.

- Hart! - powiedziała. - To cudownie znowu cię ujrzeć! Oczywiście nie zrobiła żadnej nietaktownej uwagi na temat podrapanej twarzy brata.

- Co ci się stało w policzek, Hart?! - zagadnęła od razu Beryl, gdy tylko podeszła.

Henley, który przystanął za plecami żony, zmarszczył brwi i odchrząknął.

- Musi cię porządnie boleć! Jak to się stało?

- Koń go poniósł - wyrwała się nieproszona Mercy Coltrane.

Absolutny brak wychowania!

Beryl i Annabelle spojrzwały ze zdziwieniem na Amerykankę. Hart mimo woli znów zmierzył ją wzrokiem. Wyglądała zgoła egzotycznie w jaskraworóżowej toalecie; była taka zuchwała i pełna życia! Cóż za kontrast ze słodką, pastelową Annabelle! Hart miał nadzieję, że Acton dostrzeże tę różnicę.

Księżę zbliżył się do nowo przybyłych i powitał ich uroczystym ukłonem.

- Pani Wrexhall, panno Morland, panie Wrexhall, jesteśmy zachwyceni, że raczyli nas państwo odwiedzić. Mam nadzieję, że podróż nie okazała się zbyt męcząca?

- Była bardzo przyjemna - odparła Beryl.

Annabelle uśmiechnęła się nieśmiało.

- Chciałbym państwu przedstawić pannę Mercy Coltrane - powiedział Acton. - Mamy przyjemność gościć ją pod naszym dachem, gdyż jej przyjaciółka i opiekunka, lady Timmons, uległa wypadkowi i nie wróciła jeszcze do zdrowia.

Damy poinformowały się nawzajem, że bardzo im miło, Henley zaś oświadczył, że jest oczarowany.

- Zbyt rzadko się widzimy, Hart! - zwróciła się do brata Beryl. - Kiedy zamierzasz osiąść wreszcie w domu?

- Bentwood jest teraz waszym domem, Beryl. Twoim i Henleya. Ja mogę w nim być tylko gościem.

- Nonsens! - orzekł stanowczo Henley. Jakiś cień przemknął po jego szczupłej twarzy. - Bentwood od Bóg wie ilu pokoleń było siedzibą hrabiów Perth. Opiekujemy się nim tylko do chwili, gdy wprowadzisz tam swoją żonę, Hart. Damy sobie z Beryl radę w mieście. Z całą pewnością!

- Bentwood wymaga stałej opieki. Ja zbyt często wyjeżdżam, by należycie zarządzać posiadłością- odparł Hart.

Niejednokrotnie już odbywali tę rozmowę. Zdumiewające, że słowa Henleya w dalszym ciągu budziły w nim ten cień beznadziejnej tęsknoty za rodzinnym domem.

Nie mógł osiąść na stałe w Anglii. Istniało zbyt wielkie ryzyko, że jego przeszłość wyjdzie tu na jaw. Zbyt wiele osób kursowało ostatnio między Anglią a Ameryką. Ot, choćby Mercy Coltrane.

Nie bardzo wiedział, co począć z tą dziewczyną. Jeśli okaże się rozsądna, taktowna i nadal będzie udawać, że się nigdy przedtem nie znali, może nie będzie musiał niczego robić.

Wokół kwitła uprzejma towarzyska konwersacja i Hart pochylił głowę, udając, że słucha tego, co szeptała mu Annabelle. Nie potrafił się skoncentrować. Mercy Coltrane znajdowała się zbyt blisko.

Nie musiał się nawet odwracać w jej stronę. Czuł zapach perfum Mercy; dobrze go zapamiętał od czasu ich krótkiej rozmowy, a intuicja podpowiadała mu, że nigdy nie zapomni tej woni. Cierpki, leśny zapach. Nie dla niej słodkie kwiatowe perfumy!

Zbliżył się lokaj i szepnął coś księżnej. Skinęła głową i odprawiwszy służącego, powiedziała:

- Powiadom naszych gości, Actonie, że orkiestra jest już gotowa do występu. Nie będę, niestety, na koncercie. Rozboliła mnie głowa. Annabelle i Beryl wyraziły natychmiast swe ubolewanie i spytały, czy mogą w czymś pomóc. Mercy spoglądała na księżną w milczeniu. Księżna wdowa zbyła grzeczne propozycje gestem ręki.

- Dziękuję bardzo, ale lepiej nie zwracać ogólnej uwagi na moją nieobecność. Zaprowadź naszych gości do oranżerii, Actonie.

- Oczywiście, mam - odparł książę i podał ramię Annabelle.

Obejrzała się na brata, a gdy lekkim ruchem głowy wyraził swe przyzwolenie, złożyła koniuszki palców na ramieniu Actona i odeszła wraz z nim. Henley znowu odchrząknął i rzuciwszy okiem na szwagra, skłonił się nieco teatralnie przed żoną. Wzięła go pod rękę i oboje również się oddalili.

I tak oto Hart znalazł się sam na sam z Mercy, pośród tłumu zdążającego do oranżerii.

Odwrócił się do niej z drapieżnym uśmiechem.

- Jak widać, panno Coltrane, sam los wydał panią w moje ręce.

5

JL/epiej trzymaj się swojej dawnej pozy niedostępnego -powiedziała Mercy i poczuła satysfakcję, gdy jej słowa zbiły z tropu Harta.

-Słucham...?

- Ta groźna mina robi znacznie mniejsze wrażenie niż tamta lodowata obojętność.

Niewiele mogła wyczytać z jego rysów, ale wyraźnie się ściągnęły. Trochę cierpliwości, pomyślała Mercy, a po tygodniu będzie na mnie krzyczał!

Dużo by dała, żeby tak było.

Chciała przełamać tę lodowatą fasadę i wywołać w nim jakąś reakcję: gniew, niepokój, rozbawienie... Gdyby udało jej się dotrzeć do jego

starannie skrywanych ludzkich cech, może pomógłby jej w odnalezieniu Willa?

Powolutku! - pomyślała. Ten sopel lodu nie ma pojęcia o rozpacz. Nie zrozumiałby, czym jest strata kogoś bliskiego. Nie pojąłby wagi przyrzeczenia danego umierającej matce. Ani konieczności załagodzenia rozłamu, do którego się przyczyniła.

Spoglądał na nią obojętnym wzrokiem. Z pewnością tylko dobre maniery powstrzymywały go od opuszczenia jej, gdy reszta towarzystwa wyszła z sali. Nie chcemy wywoływać skandalu, pozostawiając damę samą, co? - sarknęła w duchu.

- Nie zamierzam słuchać tego koncertu. Nie musisz więc stać tu i zastanawiać się, na kogo zrzucić ciężar mojego towarzystwa, panie Perth!

- Jeśli „lord Perth” ani „hrabia” nie przejdą ci przez gardło, to może zdołasz wykrztusić samo „Perth”?

Wzruszyła ramionami.

- Być może... Perth.

Ani cienia emocji.

- Jeśli nie chcesz słuchać koncertu, który nasi gospodarze przygotowali z takim staraniem, to co zamierzasz robić? Chwytać w parku na laso oswojone jelenie Actonów?

Mercy wybuchnęła śmiechem; spojrział na nią zdumiony. Czyżby nikt dotąd nie śmiał się z twoich żarcików, Perth?

- No, no! Skąd wiesz, że łąso to moja specjalność? Ale teraz wybieram się do kuchni.

- Jeśli masz ochotę coś przekąsić, powiedz swojej pokojówce, to ci przyniesie.

- Nie mam pokojówki. W razie potrzeby skorzystam z pomocy jednej ze służących księżnej. Zupełnie nie rozumiem, po co ktoś ma bezustannie kręcić się koło mnie, wyłącznie po to, żeby mnie obsługiwać! To okropnie upokarzające. A ja nie zamierzam upokarzać Brenny! To kochana dziewczyna. Ma wspaniałą fryzurę! I obiecała, że pomoże mi uczesać się podobnie. Prawda, że to miło z jej strony? Powiadam ci, ta dziewczyna ma... - zawahała się, nie wiedząc jak opisać wspaniałość uczesania Brenny - najbujniejsze w świecie włosy! A poza tym nosi „szczury”...

Hart zaniemówił na chwilę.

- Szczury...? - odezwał się wreszcie, kiedy ciekawość przemogła niechęć wdawania się w pogawędkę z Mercy.

- Właśnie! To takie podkładki, przypina sieje do głowy, zupełnie jak kapelusz, a na wierzch zaczesuje własne włosy. Fantastyczne! Brenna obiecała, że uczesze mnie tak samo!

- Przyznam, że niezbyt mnie interesują koafiury służących - powiedział Hart. - Chciałem tylko przypomnieć, że jeśli masz na coś ochotę, ktoś ze służby ci to przyniesie.

- Bardzo wątpię! Chcę zaparzyć specjalną herbatę.

- Cóż może być specjalnego w herbacie? Założę się, że kucharki Actonów potrafią zaparzyć całkiem znośną.

Mercy nie dała się wciągnąć w dyskusję.

-Idędo kuchni!

- Wiesz, jak tam trafić?

Nie raczyła odpowiedzieć i ruszyła przodem. Zdziwiła się, gdy poszedł za nią.

- To nie taki wielki dom - rzuciła przez ramię. - Z pewnością nie zabłądzę!

- Mam pewne zobowiązania wobec Actonów, więc dopilnuję, by twoje zachowanie nie wzbudziło niepotrzebnych komentarzy. Nie powinnaś samotnie spacerować po domu ani zaglądać do wszystkich pokojów.

Zmierzyła go wzrokiem pełnym oburzenia. W jasnoniebieskich oczach Harta pojawił się błysk satysfakcji.

- Rób, co chcesz - burknęła.

Ruszyła korytarzem w stronę obitych zielonym rypsem drzwi oddzielających reprezentacyjną część domu od pomieszczeń dla służby. Dobrze naoliwione zawiasy nie zgrzytnęły i Mercy znalazła się od razu w kuchni.

Dwie młodziutkie podkuchenne, przycupnąwszy na wysokich stołkach, skrobały jarzyny. Krzepka kucharka, owinięta fartuchem, wsuwała właśnie okazałą brytfankę pełną pulchnych kurzych piersi do przepaścistego piekarnika; inna mieszała coś w miedzianym garnku, a trzecia, obficie obsypana mąką, zagniała na poszczerbionym stole bryłę ciasta tak energicznie, że ramiona trzęsły jej się z wysiłku.

Na widok nieoczekiwanych gości personel kuchenny zamarł w osłupieniu.

- Jak się masz, Minnie? - zagadnęła Mercy specjalistkę od ciast.

- Ja...? Doskonale, proszę panienki - wymamrotała Minnie.

Stojący za plecami Mercy Hart zabrał głos.

- Panna Coltrane ma pewną sprawę do załatwienia w kuchni. Proszę nas zostawić.

- Nie, nie! Wcale nie muszą...

- Natychmiast - dorzucił Hart.

Cała służba kuchenna rozpierzchła się jak stadko kuropatw, znikając w rozmaitych drzwiach i drzwiczkach, nie zwracając uwagi na protesty Mercy. W ciągu kilku sekund ona i Hart zostali w kuchni sami.

- Nie musiałeś im przerywać pracy! - ofuknęła go gniewnie.

- Nie chcę, żeby twoje zdumiewające zachowanie wzbudziło jeszcze więcej plotek. Im mniej osób dowie się o tej dziwacznej zachciance zaparzania herbaty własnymi rękami, tym lepiej. Czyżbyś sądziła, że chcą cię tu otruć? Zapewniam, że tylko ja miałbym na to ochotę.

- Bzdura! Po prostu nie chciałeś się skalać, przebywając w towarzystwie uczciwie pracujących ludzi!

- Panno Coltrane! - odparł bez pośpiechu. - Kto jak kto, ale pani z pewnością doskonale wie, że zarabiałem na życie w taki sposób, o jakim nawet się nie śniło tym pocziwcom.

Zmieszana Mercy spuściła oczy. Był doprawdy zagadkowym człowiekiem. Bezsensownie upierał się, że nie powinna przebywać w kuchni... a równocześnie sam przypominał jej o swojej przeszłości, która z każdą chwilą spędzoną w jego towarzystwie wydawała się jej coraz mniej realna. Wysoki, spalony słońcem rewolwerowiec gdzieś zniknął. Pozostał tylko Perth, arystokrata w każdym calu: niedostępny, władczy, wyrafinowany.

- A poza tym chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby służba przebrała na chwilę pracę? - spytał.

- Oczywiście, że mam! Zniszczyłeś im cały rozkład dnia i do wieczora będą musiały strasznie się śpieszyć, żeby to nadrobić!

- Spójrz na to z innej strony: mają dzięki nam chwilę wolnego.

- No cóż, spróbuję - odparła cierpko.

Podeszła do drzwi spiżarni i otworzyła je szeroko, rozejrzała się po wnętrzu.

Z tyłu zapchanego różnymi produktami pomieszczenia stał rząd beczulek. Od sufitu zwisały pokryte woskiem sery, wieńce czosnku i barwne pęki suszonych ziół. Puszki korzennych przypraw, słoiki połyskliwych jak klejnoty galaretek i muslinowe worki suszonych jarzyn stały równo poukładane na półkach. Mercy uskubnęła kilka gałązek ze zwisającego z haka pęku suszonych kwiatów i dodała kilka innych składników.

Wróciła do kuchni i rozłożyła wszystko na stole. Zakasawszy rękawy, zaczęła odrywać główki kwiatów od łodyżek.

- Wyszukana kompozycja! - zauważył Hart. Nie ruszył się z miejsca. Stał sztywno, a cała jego postawa wyrażała dezaprobatę.

- Usiądźże wreszcie! - fuknęła Mercy. - Od razu humor ci się poprawi. Te groźne miny muszą być męczące!

- Nie robię żadnych groźnych min! - odparł absolutnie obojętnym głosem. Mercy uśmiechnęła się w duchu: nie przyszło mu to łatwo! Przyciągnął sobie jeden ze stołków kuchennych i usiadł.

- Te dwie damy to naprawdę twoje siostry? - zagadnęła Mercy od niechcienia, napełniając imbryk wodą i stawiając go na ogniu.

-Tak.

- No, no! Kto by uwierzył? - mruknęła, wracając do stołu i odmierzając zioła srebrnym siteczkiem. - Postrach Teksasu oczkiem w głowie dwóch kochających sióstr!

- Trzech. I nie jestem żadnym oczkiem w głowie - zbagatelizował sprawę.

-Trzech?! -powtórzyła, potrząsając głową. -Jeśli już musisz tu siedzieć, to przynajmniej mi pomóż! Masz, pokrusz te kwiatki! - Wręczyła mu moździerz i tłuczek. Patrzył na nie jak na jakąś niezrozumiałą łamigłówkę. - To jest tłuczek, masz je utrzyć w moździerzu! - dodała zachęcająco.

Spojrzał na nią z niechęcią, ale wypełnił polecenie. Tłukł suche kwiatki ze zdumiewającym entuzjazmem.

- Czemu tak trudno uwierzyć, że mam rodzeństwo? - spytał nagle. Zrobił to wbrew woli; sam nie umiałby wyjaśnić, co go podkusiło.

- No cóż... - odparła Mercy. - Biorąc pod uwagę twoją reputację, a raczej twoją dawną reputację bezdusznego demona siejącego zniszczenie, sądziłabym raczej, że wyrosłeś ze smoczych zębów jak wojownicy Kadmosa!

Hart wpatrywał się w nią przez sekundę, a potem ku zdumieniu Mercy odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Był to cudowny śmiech: niski, potężny i zaraźliwy. I całkowicie odmienił twarz Harta, który wyglądał teraz o wiele młodziej i bardzo, bardzo przystojnie.

- Więc uważasz mnie za mitycznego potwora, co? - spytał, a błękitnozielone oczy płonęły sardoniczną wesołością.

Jakbyś zgadł!

- Coś w rodzaju Minotaura albo Chimery? - spytał, kończąc powierzone mu zadanie.

- Raczej któregoś z centaurów.

Ledwie się jej to wymknęło, Mercy poczerwieniała. Centaury były jeszcze bardziej chutliwe niż wojowniczki!

Zbita z tropu sięgnęła po moździerz, który jej podawał. Ich palce otarły się o siebie. Ten przelotny kontakt sprawił, że Mercy z nagłym dreszczem uświadomiła sobie, co się z nią dzieje. Zabrakło jej tchu. Gwałtownie cofnęła rękę.

Hart Moreland pociągał ją jako mężczyzna!

W ciągu ostatnich sześciu lat prześladował ją ustawicznie w sennych koszmarach. Nieustannie przeżywała w nich tamtą strasliwą chwilę: spojrzanie zimnych, wrogich oczu i ból rozdzierający jej ramię.

Nigdy dotąd nie myślała o Duke'u jak o mężczyźnie. Nie był człowiekiem, lecz kimś równocześnie wyższym i niższym od człowieka. Pozbawionym sumienia, bezlitosnym i niezawodnym. Dlatego właśnie starała się go odnaleźć. Dlatego zwróciła się do niego o pomoc. Dlatego był jej potrzebny tylko on, nikt inny! Duke nie wiedział, co to porażka.

Ani razu nie pomyślała o nim jak o mężczyźnie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest młody i bardzo męski. Że jego nieczęsty uśmiech i jeszcze rzadszy śmiech mogą być tak pociągające. Że wbrew woli tak zareaguje na jego bliskość: jego zapach, jego szerokie ramiona, jego sylwetkę jak wyrzeźbioną z twardego drewna. Mercy zmarszczyła czoło i chwyciła ciężki imbryk, by napęlić gorącą wodą dużą filiżankę. Oddychała z trudem, puls bił nierówno. Jakże pragnęła znów dotknąć jego ręki...

Ależ by się uśmieł! Pozbawiona wdzięku i ogłady Amerykanka omal nie mdleje z powodu hrabiego Perth! Odwróciła się do niego plecami i odetchnęła głęboko, starając się opanować. Za żadne skarby nie narazi się na jego kpiny ani - co gorsza - politowanie! Choćby nikt inny się o tym nie dowiedział. Wątpliwe, by Hart dzielił się z kimkolwiek swym niepokojem, emocjami czy wesołością.

Usłyszała jego głos.

- Pewnie wypić to też chcesz w kuchni?

-Wypić...? A, to... -wymamrotała. -To nie dla mnie, tylko dla księżnej wdowy.

- Znowu udało ci się mnie zaskoczyć. Brawo! Czemu przyrządzasz herbatkę dla księżnej? Tak dbasz o uczucia służby, a nie przyszło ci do głowy, że pokojówka księżnej pani może poczuć się urażona, kiedy przejdziesz jej obowiązki?

- To nie zwykła herbata, tylko specjalny napar. Lekarstwo na ból głowy. Nasza kucharka na ranczo pokazała mi, jak je przyrządzać.

Zawahał się przez chwilę, nim odpowiedział.

- To miło z twojej strony. Pozwól, że cię wyręcę. - Wstał ze stołka.
- Ten czajnik musi być ciężki.

Poczula znów dotyk jego długich smukłych palców. Godnych artysty. Choć tym razem Mercy mogła przewidzieć, że do tego dojdzie, była wstrząśnięta własną reakcją. Przebiegł ją zmysłowy dreszcz, ręka jej zadrżała i i wrzący płyn chlapanął na palce.

- Do licha! - syknęła z bólu.

Jednym susem Hart znalazł się przy zlewie i chwycił wiaderko z lodowatą wodą, w której pływały marchewki. Postawił je z rozmachem na stole. Złapał Mercy za przegub, zanurzył jej dłoń w zimnej wodzie i mocno przytrzymał.

-Ależ ze mnie niezgraba, psiakrew! - zakłęła.
 -Co za język!
 -A co? Nie podoba się? - spytała szorstko. Była wściekła na własną niezgrabność, na męski urok Harta, który tak ją rozstroił, i na jego zimny ton, pełen dezaprobaty. - Przecież to boli, psiakrew!
 - Żadna dama tak się nie wyraża, panno Coltrane!
 - A żaden dżentelmen nie postępuje jak ty, Perth!
 - Wobec tego oboje stroimy się w cudze piórka - odparł, niedbałym gestem wręczając jej suchy ręcznik.
 - Nic podobnego! - oburzyła się. - Ja przynajmniej nie udaję dobrze wychowanej damy!
 Przymrużył oczy ocienione gęstymi, brunatnymi rzęsami.
 -Aja...
 Pochylił się ku niej. Mogła dostrzec rozdymające się leciutko nozdrza, jak u drapieźnika wietrzącego zdobycz.
 -Aja nie zawsze bywam dżentelmenem. Lepiej o tym pamiętaj!
 Wpatrywała się w niego, wiedząc, że powinna czuć lęk. Na dnie tych lodowatych oczu coś się żarzyło. Słowa wypowiedziane cichym spokojnym głosem wydawały się tym groźniejsze.
 - Nie próbuj ze mną igrać, Mercy - mówił. - Gdybyś szepnęła choć słówko na temat naszej dawnej znajomości, konsekwencje byłyby bardzo... niemiłe. Dla wszystkich. Zwłaszcza dla ciebie. Właśnie dlatego poszedłem teraz za tobą. Chciałem ci przypomnieć o twojej obietnicy. Może nie jesteś damą, ale nie tylko damy odznaczają się zdrowym rozsądkiem.
 Nim zdobyła się na odpowiedź, zniknął za zielonymi drzwiami.
 Wstrząśnięta Mercy wyżeła mokry brzeg rękawa i zdjęła obierzynę marchewki, która przyłgnęła jej do przegubu.
 Miał rację. Nie była damą.
 O, zdobyła nieco poloru, ale w głębi duszy, ilekroć była sama, czuła niepokój i frustrację.
 Choć starała się ze wszystkich sił, choć tego pragnęła, nie wyrosła na damę, jaką pragnęła zrobić z niej matka. Myśl, że sprawiła takie rozczarowanie ukochanej matce, dokuczała Mercy jak niegojąca się rana, zatrutowała każdą „niekobiecą” przyjemność, której oddawała się z poczuciem winy.
 Tak bardzo starała się dostosować do reguł! Polubić stateczne przejażdżki wytyczonymi raz na zawsze ścieżkami, gdy dusza jej się wyrywała do galopu po bezdrożach, wśród traw sięgających do pasa. Okazywać całemu światu spokojną, pogodną twarz, kiedy tak lubiła śmiać się na cały głos. Próbowwała nawet malować akwarele, ale temperament japo-

sił. Zamiast pastelowych odcieni używała krzyczących barw, które w dodatku gryzły się ze sobą.

Był to jakby symbol jej osobowości: jaskrawe kolory toczące ze sobą bój. A kiedy próbowała je pogodzić, stawały się brudne i zamazane. Ani subtelne, ani pełne życia. Szare i nijakie.

Przekonała się z upływem lat, że nie zmieni swego charakteru. Mogła jednak dotrzymać przyrzeczenia danego matce, a odnalazłszy Willa, doprowadzić do pojednania między nim a ojcem. Zwłaszcza że czuła się odpowiedzialna za rozłam między nimi.

Przygryzła wargę. Mama była taka dumna z Willa! Cieszyła się jego oglądą i wyrafinowaniem. Ale ojciec... Tata nie był zbyt rad z tego błyskotliwego młodego światowca. Obaj ubóstwiali mamę, lecz poza tym nie mieli ze sobą nic wspólnego. W tej sytuacji tata zwrócił się do niej, do swej córeczki urwisa i ku jej wiekiej radości wychował ją na „zastępczego syna”.

Mercy w zamyśleniu postawiła filiżankę i imbryk na niewielkiej tacce. Jakże ojciec był z niej dumny! Z jej umiejętności jeździeckich, celności strzałów, mistrzostwa w wędkowaniu... Stawiał ją za przykład Willowi, irytując syna wyliczaniem jej osiągnięć.

A ona - Boże, zlituj się! - była z tego rada! Cieszyło ją, że ona także jest czymś oczkiem w głowie. Lubiła zwracać na siebie uwagę, budzić aprobatę. Z rozmysłem wciskała się pomiędzy ojca i syna, poszerzała dzielącą ich przepaść w obawie, że pewnego dnia tata uświadomi sobie wartość Williama i jej kobiece niedoskonałości.

Musi teraz naprawić swoje winy! Liczył się tylko ojciec, Will i obietnica, której dotrzyma za wszelką cenę.

Jeśli Hart odmówi jej pomocy, da sobie radę sama. Niechże hrabia Perth zachowa swoje przeklęte tajemnice! Miała czas, Will przebywał w Anglii od wielu miesięcy, więc tydzień czy dwa więcej nie ma wielkiego znaczenia.

Skrzyp otwieranych drzwi przyciągnął uwagę Mercy. Jedna z podku-chennych zajrzała przez szparkę. Zrobiła wielkie oczy na widok Mercy z tacą w ręce. Wymamrotała jakieś przeprosiny i znów zniknęła za drzwiami.

Mercy uśmiechnęła się z goryczą. Nie była ani prawdziwą damą, ani urwisem z Teksasu. W każdym z tych dwóch światów grała tylko cudzą rolę.

Ale to, co przez chwilę czuła w towarzystwie Harta Morelanda, było... prawdziwe. Rozbłyły wówczas wszystkie żywe barwy i jakoś nie klóciły się ze sobą.

Podniosła tacę i skierowała się kuchennymi schodami do prywatnych apartamentów księżnej. Nie ma o czym myśleć, przecież budziła tylko urazę, irytację i oburzenie Harta Morelanda!

I nagle przypomniało jej się, że potrafi go także pobudzić do śmiechu.

6

„L!^ ziękuję ci, moje dziecko - powiedziała księżna wdowa, odstawiając filiżankę na tacę. - Muszę jednak przyznać, choć to może niezbyt ładne, że mój ból głowy spowodowany był przede wszystkim perspektywą dwóch godzin muzyki Mozarta!

Niebrzydka! - pomyślała, gdy Mercy uśmiechnęła się, pokazując dołeczki. Trochę zbyt wydatne rysy i za ciemne włosy jak na prawdziwą piękność... Ale ma dobrą cerę i wspaniałe zęby!

- Jeśli wasza książęca mość nie znosi Mozarta, to po co było organizować taki właśnie koncert?!

Księżna prychnęła pogardliwie. Mercy Coltrane była bez wątpienia bardzo pociągająca, ale jeszcze bardziej naiwna!

- Ponieważ to modne i ogólnie przyjęte. Jeśli chcesz utorować sobie drogę do londyńskiego towarzystwa, nie zapominaj, moja panno Coltrane, że należy postępować tak, jak się tego po nas spodziewają.

Księżna westchnęła w duchu. Co za diabeł ją podkusił, by wzięła pod skrzydła tę dziewczynę! Sama nie pojmowała, czemu podjęła się opieki nad Amerykanką. Mogła przecież spowodować tyle kłopotów! O tak, Mercy była kłopotliwa... ale całkiem bystra! Kto wie, może będzie z niej jakiś pożytek?

- Co sądzisz o Annabelle Moreland? - spytała.

Księżna nigdy nie ośmieliłaby się poruszyć tego tematu z kimś ze swojej sfery. Ale z Mercy mogła sobie na to pozwolić. Gdyby małej przyszło do głowy podzielić się z kimś treścią tej rozmowy, nikt by nie uwierzył. To przecież tylko Amerykanka! Gdyby w dodatku okazała się niedyskretna, wykluczono by ją natychmiast z towarzystwa.

- O pannie Moreland? - spytała Mercy. -No cóż... robi wrażenie sympatycznej, uprzejmej, uroczej młodej damy.

- Istotnie - potwierdziła księżna. - Robi takie wrażenie.

- Czemu księżna o nią pyta?

- Byłam pewna, że Acton zaraz po przyjeździe zacznie mnie zanu-
dzać peanami na jej cześć, ostatnio ciągle to robił, i nalegać, by podczas
piątkowego balu ogłosić ich zaręczyny...

- A on nie nalegał?

- Nie. - Księżna westchnęła.

- I to rozczarowało waszą księżęcą mość?

Księżna wdowa znowu westchnęła i skrzywiła się lekko, jakby skosz-
towała cytryny.

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem, co myśleć o panie Moreland.
Przez cały sezon usiłowałam poznać bliżej tę dziewczynę, ale nadal po-
zostaje dla mnie zagadką.

Mercy skinęła głową.

- Jest zupełnie inna niż ty, Mercy - powiedziała księżna z ledwo wy-
czuwalną przyganą w głosie. - Ty masz serce na dłoni i bez ogródek wy-
powiadasz się na każdy temat.

Mercy poruszyła się niespokojnie.

- Księżę Acton koniecznie chciał poznać moją opinię na temat ho-
dowli bydła.

- No właśnie! Czasem lepiej nie śpieszyć się z odpowiedzią na każ-
de pytanie, które nam zadają.

Mercy spuściła zielonożłote oczy. Księżna zauważyła, że dziewczyna
ma niezwykle długie i gęste rzęsy.

- Nie zamierzałam cię krytykować! Wybacz, dziecko. Chciałam tyl-
ko poznać twoje zdanie w tej materii.

- Jeśli chodzi o pannę Moreland, nie mam żadnego zdania. Przynaj-
mniej raz! - odcięła się Mercy.

- Ja również nie. I na tym polega cały problem. Powinnam wyrobić
sobie opinię o panie, która być może zostanie moją synową i przyszłą
księżną Acton, nieprawdaż?

- Czy księżna pani ma co do niej jakieś zastrzeżenia? - spytała Mer-
cy tonem osoby, która chciałaby pomóc, ale nie ma pojęcia, jak się do
tego zabrać.

- Nie, nie! Jej koneksjom nic nie można zarzucić. Morelandowie to
stara i szacowna ziemiańska rodzina. Podobnie jak Whitcombe'owie,
z którymi się skoligacili. Wrexhall zaś to bardzo obiecujący młody poli-
tyk, choć o jego pochodzeniu nie warto wspominać.

- AlordPerth?

- Perth, podobnie jak jego siostra, pozostaje dla mnie zagadką. Rozpy-
tywałam o niego, gdzie się dało. Jego ojciec był rozrzutnym hulaką... za to
matka pochodziła z Quintonów Kiedy jacht, na którym przebywał ojciec,

zatonął u wybrzeży Nowej Gwinei, Hart Moreland zaciągnął się do wojska. Walczył w Afryce Północnej jako żołnierz zawodowy. -Księżna zmarszczyła brwi. - Byłoby w znacznie lepszym tonie, gdyby służył w armii jako oficer, ale zgłosił się jako młodziutki chłopak. Wiesz chyba, jak wojsko pociąga romantycznych wyrostków! Szkoda, że matka nie zdołała go skłonić, by zaczekał, aż nieco podrośnie i zdobędzie oficcerski patent. Mercy słuchała z wielką uwagą.

- Tytuł hrabiego otrzymał po śmierci kuzyna. Całkiem niespodziewane, ale pomyślnie zrządzenie losu! Żadna z siostr nie zrobiłaby dobrej partii, gdyby Perth pozostał zwykłym panem Moreland.

- Pewnie wraz z tytułem odziedziczył majątek? - spytała Mercy.

- Nie - ucięła księżna.

Była zażenowana tym, że rozmowa zesłała na pieniądze. To przecież domena mężczyzn. Oczywiście nie przeszkodziło to księżnej wywiedzieć się dokładnie o stan finansów Perth. Nie lubiła się jednak do tego przyznawać, nawet przed sobą.

- Ich majątek rodziny bardzo podupadł, ale Perth przywrócił go do dawnej świetności. Z pewnością nie starczyłoby na to pieniędzy, które odziedziczył. O ile wiem, poszczyściło mu się w interesach w twoim kraju, moje dziecko, więc podreperował rodzinne finanse.

- Rozumiem.

-Ale nie zamierzam dyskutować z tobą o majątku Morelandów! Zresztą, nie dowiedziałam się na ten temat niczego więcej.

- Bardzo mi przykro, że nie okazałam się bardziej pomocna - powiedziała Mercy.

-Nie szkodzi. Zdamę jeszcze wyrobić sobie opinię o tej dziewczynie. Acton nie pali się tak do ogłoszenia zaręczyn, jak sądziłam.

Mercy skinęła głową z pewnym roztargnieniem.

- O cóż chodzi, moja droga? - zagadnęła ją księżna.

Mercy zawahała się. Ciemne brwi się zbiegły, a na czole pojawiła się zmarszczka.

-Wasza książęca mość sama przyznaje, że zbierała informacje na temat lorda Perth...

Księżna bez pośpiechu skinęła głową w milczeniu.

- Muszą więc być jacyś ludzie, z którymi księżna pani rozmawiała. .. Znajomi, którzy mogli udzielić tych informacji...

- Owszem - odparła księżna lodowatym tonem. - Ale zapewniam cię, że uczyniłam to bardzo dyskretnie. Zadawałam pytania tylko wówczas, gdy nadarzyła się po temu sposobność; nigdy w sytuacji, która mogłaby wywołać jakieś niepożądane komentarze pod adresem Perth.

- O, jestem tego pewna! - zapewniła pośpiesznie Mercy. - Chodzi o to, wasza książęca mość, że nie znam prawie nikogo w Anglii. Zaledwie garstkę osób...

- Czyżbyś znalazła odpowiedniego kandydata na męża, Mercy? - Księżna uniosła cienkie brwi i uśmiechnęła się z królewską wspaniałością. - Z pewnością mogłabym dowiedzieć się czegoś o twoim wybrańcu, jeśli ci na tym...

-Ależ skąd! Musiałam źle się wyrazić... -Mercy potrząsnęła głową. - Wasza książęca mość... ja muszę odnaleźć mego brata!

- Oczywiście, moje dziecko - odparła spokojnie księżna. - Pamiętam, że spytałaś mnie przy pierwszym spotkaniu, czy znam tego młodego człowieka. Powiedz po prostu, gdzie mieszka, a ja wyślę kogoś, by doręczył mu twój list jutro przed południem. Bardzo to rozsądnie z twojej strony, że nie wybierasz się sama do Londynu pod nieznaną adres! Kto wie, może to jakiś męski klub...

- Nie znam obecnego adresu brata - powiedziała Mercy. - Mam wrażenie, że William często przenosi się z miejsca na miejsce.

- Rozumiem... No cóż, to nieco komplikuje sprawę. A gdzie mieszkał poprzednio?

- Nie jestem pewna. W kilku listach wymienił nazwy... różnych lokali - odparła Mercy z wahaniem.

- A! - Księżna usiadła wygodniej i złączyła oba palce wskazujące. - Wreszcie do czegoś dochodzimy. Co to za kluby, moja droga?

- Jeden nazywa się Pawi Ogon, drugi Harmonia. A najczęściej wspominał o jakimś Łowczym... Czy coś się stało?...

Księżna osunęła się na oparcie fotela. Na jej twarzy malowało się oburzenie i szok.

- Wielkie nieba, dziewczyno! To lokale o najgorszej sławie! O czymś takim się nie mówi!

Mercy z trudem przełknęła ślinę. Wpatrywała się błagalnie w starszą damę.

- Rozumiesz chyba - odezwała się księżna wdowa - że to wykluczone, bym rozpytywała o młodzieńca o podobnych narowach!

-Wykluczone?...

- Jak najbardziej! - Starsza dama potrząsnęła głową. - Zebranie wiadomości na temat Perthy było bardzo proste, choć trzyma się raczej na uboczu. Wystarczyło spytać kilku starych przyjaciół rodziny. Całkiem co innego, gdybym zaczęła zbierać informacje o cudzoziemcu, w dodatku o takich złych skłonnościach!

Księżna nie mogła zdobyć się na to, by spojrzeć w oczy Mercy, pełne rozczarowania i wyrzutu. Z wielkim wstydem odwróciła wzrok.

- Z pewnością nie oczekujesz ode mnie czegoś takiego!
- Oczywiście... - szepnęła Mercy.

Księżna wdowa miała wrażenie, że piekący wstyd, który zabarwił jej policzki, powędrował w dół i przez gardło przeniknął do jej piersi. Przez całe życie dbała o to, by uchodzić za idealną księżną, nieposzlakowaną damę. Ktoś taki nie może wypytywać o bywalców jaskiń hazardu i domów rozpusty! Prawdziwa dama nie wie o istnieniu podobnych lokali. A poza tym była zbyt stara, by narażać się na potępienie ze strony własnej sfery, której zasad wiernie przestrzegała przez całe życie. I to dla kogoś spoza towarzystwa! Nie robi tego. Nie może!

- Nie mówmy o tym więcej - powiedziała Mercy.

- Tak będzie lepiej - pośpiesznie zgodziła się księżna. Chciała jak najprędzej zapomnieć o niemiłej sprawie. Nie myśleć, że postąpiła tak tchórzliwie. Wcale jej to nie odpowiadało! Poczowała niechęć do Mercy Coltrane, bo przez nią znalazła się w tej niemiłej sytuacji. - Tak będzie lepiej! - powtórzyła z większą mocą. - A teraz powiedz mi, co zamierzasz włożyć na bal.

Annabelle opadła na krzesło z łagodnym uśmiechem zadowolenia. Partie skrzypcowe wykonano po mistrzowsku, reszta orkiestry była też nieprzeciętna.

Zerknęła na Actona. Nie górował nad wszystkimi urodą ani dowcipem. Był jednak miły w obejściu, wyrozumiały i niegłupi - choć z pewnością nie intelektualista! Przede wszystkim jednak był księciem i szukał żony. Annabelle zaś miała szczerzy zamiar zostać księżną.

Od ósmego roku życia przygotowywano ją do tej właśnie roli. Zdobyć książęcego diadem stało się dla Annabelle nie tylko celem wytrwałych zabiegów, ale ideą przewodnią jej życia. Teraz jednak, gdy była już tak blisko mety, napotkała przeszkodę. I domyślała się, a jakże, co stanęło jej na drodze. Mimo woli zacisnęła usta.

- To było cudowne - odezwała się do księcia.

- O tak - odparł Acton z pewnym roztargnieniem. - Muszę pogratulować dyrygentowi. - Rozejrzył się wśród dam zbierających swe szale, mantylki i rękawiczki. - Jakoś nie widzę panny Coltrane!

- Panny... Coltrane? - powtórzyła Annabelle; dłonie na jej podołku same się zacisnęły.

- Naszego gościa z Ameryki - odparł Acton, marszcząc brwi. - Przedstawiłem ją pani przed koncertem.

- A, tak! To ta dama... w bajecznie kolorowej sukni?

Acton uśmiechnął się z aprobatą i Annabelle odetchnęła z ulgą. Jeśli ten subtelny przycinek nie uraził księcia, jej obawy były bezpodstawne. Nie interesował się Mercy Coltrane. Po prostu z uprzejmością gospodarza troszczył się o podopieczną swej matki.

- Bajecznie upierzony rajski ptak, nieprawdaż? - dorzucił.

- O, tak... bardzo rzucający się w oczy - mruknęła Annabelle, wciągając rękawiczki z niezwykłą energią.

- „Rzucający się w oczy” to za mało powiedziane! To prawdziwy cud! Niezwykle czarująca istota. Pełna życia, spontaniczna, tryskająca humorem - entuzjazmował się Acton.

Annabelle zdołała zachować miły wyraz twarzy.

- Jestem pewna, że panna Coltrane jest urocza. I jak księżę sam zauważył, wyróżnia się w tłumie.

- I to jak! - przytaknął Acton.

Wstał z miejsca i podał ramię swej towarzyszce. Położyła delikatnie czubki palców na jego rękawie i podniosła się lekkim płynnym ruchem.

Nathan Hillard przechodził właśnie obok i rzucił im roztargniony uśmiech. Annabelle nie знаła zbyt dobrze Hillarda, ale zdziwiła się, ujrzawszy go na koncercie. Na ogół nie interesowały go takie mdłe rozrywki. W towarzystwie szeptano, że wierzyciele depczą mu po piętach. Być może, uznał rezydencję Actonów za bezpieczną kryjówkę. Zresztą przywykł od dawna mieszkać raczej w cudzych domach niż we własnym.

Szkoda by go było!... Ma doskonałe maniery i pochodzi z dobrej rodziny, pomyślała Annabelle, nim wróciła do ważniejszych problemów.

- Coś, co różni się od reszty, zawsze wydaje się zajmujące. Powiedziałabym nawet... sensacyjne - odezwała się do towarzyszącego jej księcia.

- Sensacyjne? To nie jest chyba właściwe określenie - odparł Acton, marszcząc czoło, na które opadały rudawe kosmyki.

- A zatem... podniecające - poprawiła się Annabelle. - Czy wie pan, księżę... - dodała takim tonem, jakby właśnie przyszło jej to do głowy - to dziwne, ale wszelkie podniecające czynności, do których często się zapalamy, wkrótce tracą swój urok. Czy z podniecającymi osobami nie bywa podobnie...?

Popatrzyła na niego z ukosa. Czoło księcia już się wygładziło. Nie zwracając uwagi na swą towarzyszkę, obiegał tłum niecierpliwym spojrzeniem. Annabelle zwolniła kroku i zamilkła. Nie jest nic nieznaczącą osobką, która powtarza w kółko pytanie, zanim doczeka się odpowiedzi!

Zauważywszy milczenie swej damy, Acton odwrócił się do niej. Kiedy zorientował się, jaką popełnił gafę, jego twarz oblał ceglasty rumieniec.

- Błagam o wybaczenie, panno Moreland! Nie widzę w naszym gronie protegowanej mojej matki i zaniepokoiłem się, czy nie stało się coś złego. Czy zechce pani łaskawie powtórzyć pytanie?

- O, to nie było nic ważnego! - odparła lekkim tonem Annabelle.

Z wdzięcznością poklepał ją delikatnie po rękawiczce i przeszli do sąsiedniej sali. Księżę skinął na jednego z nieco pryszczatych synów barona Coffeya. Młodzian podbiegł natychmiast jak niezgrabny psiak, rad, że go dostrzeżono.

- Carlton marzy o tym, by podyskutować z panią na temat Mozarta, panno Moreland. Mnie, niestety, wzywają obowiązki gospodarza. Pozwolę sobie natychmiast panią powiadomić, gdyby zaszło coś... nieprzewidzianego. Państwo wybaczą...

Sklonił się pośpiesznie, zawrócił i poszedł w kierunku schodów.

Carlton Coffey promieniał wprost uśmiechem.

-No to porozmawiajmy, panno Moreland. O tym... jak mu tam... Mozarcie. Mozart... Mozart... Pewnie jakiś Węgier? Jeden z tych kontynentalnych wierszokletów, co?

Tylko długie lata żelaznego drylu sprawiły, że na twarzy Annabelle nie odbiło się nic prócz uprzejmego zainteresowania.

Stanowczo trzeba coś zrobić z tą Mercy Coltrane!

7

7

L[^] nasz tę Amerykankę, Mercy Coltrane? - spytała go następnego dnia Beryl. Hart zatrzymał wierzchowca obok niej. Popatrzyła na niego błyszczącymi oczami. - Ma w ramieniu dziurę od kuli!

Gniew i zaskoczenie sprawiły, że Hart zamarł, zsiadając z konia. Czyżby Mercy złamała już swą obietnicę? A może tylko drażniła się z nim, napomykając mgliście o wydarzeniach z przeszłości?... Zsunął się z siodła i rzucił lejce stajennemu. Udusi ją własnymi rękami, jeśli zdradzi, skąd ma tę bliznę!

- Skąd wiesz? - spytał.

- Szramę sama widziałam wczoraj wieczorem. A dziś rano po śniadaniu lady Jane Carr zdobyła się na odwagę i spytała ją wprost, jak do tego doszło.

- Widać tej Jane Carr brakuje wychowania.

Hart zmierzył groźnym spojrzeniem towarzystwo spacerujące pod rudozłotymi gałęziami topoli, którymi był ogrodzony park Actonów. Wypatrywał damy, która tak mu się naraziła. Zobaczył jednak cały tłum eleganckich kobiet, to stojących w grupkach, to krążących wśród mężczyzn, którzy ostentacyjnie oglądali i porównywali swoją broń.

W programie dzisiejszego popołudnia były zawody strzeleckie; oczywiście tylko dla dżentelmenów. Zakładano, że rola dam ograniczy się do wydawania dyskretnych okrzyków zachwytu. Hart nie miał najmniejszego zamiaru stawać do zawodów. Nastrzelał się dość, starczy na całe życie! Chyba że mógłby sobie postrzelać do pewnej damy o rudych włosach.

- O, nie zwracaj uwagi na Jane Carr! Tym razem zjawiała się bez tego zramolałego męża. Ale liczy się tylko to, że Jane spytała, a panna Coltrane opowiedziała nam, jak to się stało. Najspokojniej w świecie! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - dodała Beryl z pewnym zniecierpliwieniem.

- Owszem.

- No i co? Czy to nie pierwszorzędna sensacja? - spytała siostra.

Hart, nie zwracając na nią uwagi, ruszył wielkimi krokami w stronę pozostałych gości.

- Co ty na to? - dopytywała się Beryl, starając się dogonić brata.

Z bezsilną złością Hart zwolnił nieco, dostosowując swój krok do statecznego dreptania siostry.

- Fascynujące.

- Opowiadała o tym całkiem od niechcienia - ciągnęła dalej Beryl. - Utrzymuje, że postrzelił ją jakiś... wyobraź sobie... rewolwerowiec.

A więc panna Coltrane drażniła go z premedytacją. Widać nie obejdzie się bez następnej rozmowy.

-Beryl...

Zatrzymał się w pewnej odległości od reszty towarzystwa, by nikt go nie usłyszał.

- Jestem pełna podziwu dla niej! - paplała siostra. - Ciekawe, czy widziała kiedyś prawdziwego Indianina? Muszę ją o to spytać! Założę się, że przeżyła wiele zapierających dech przygód... A ta blizna! Wielkości szylinga, naprawdę okropna. Jak jato musiało boleć!... Co za niezwykle życie! A jednak to taka słodka, taka urocza...

- Beryl, ty chyba nie plotkujesz?!

Przerwała raptownie pean na cześć Mercy Coltrane i spojrzała na brata z takim zdumieniem, jakby spytał ją: „Beryl, czy ty znasz angielski?”

-Ależ tak, Hart -wyjaśniła mu cierpliwie. -Oczywiście, że plotkuję.

- Niemożliwe! Nie ty!

- Naturalnie, że tak - odparła. - Zawsze lubiłam plotki. Nie słucham przecież paplania pokojówek... chyba że służyły u kogoś naprawdę interesującego! Ale ubóstwiam najświeższe nowinki i lubię wiedzieć, kiedy zanosi się na jakiś skandal. No wiesz, kto, kiedy, gdzie - oczy jej płonęły entuzjazmem - i z kim!

-Boże święty...

- Daj spokój, Hart! Nie wmówisz mi, że nie lubisz dowiadywać się tego i owego o różnych ludziach!

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że jeśli ci ludzie się z tym kryją, to mają po temu ważne powody?

Przez mózg przemknęło mu nagle wspomnienie: cień w drzwiach... błysk słońca na lufie... rewolwer sam wskakuje mu do ręki... bezwładne ciało wali się na wahadłowe drzwi... Krew i zapach prochu.

Stał bez ruchu, starając się zdławić w sobie strach. Niekiedy jakies przypadkowe wspomnienie wywoływało atak paniki. Czuł wtedy nagłe zeszywnienie stawów, ciało odmawiało ruchu, serce biło mu na alarm, jakby ścigało go całe piekło. Paniczny strach. Trwoga przesłaniająca wszelkie inne uczucia.

Gdyby to zdarzyło się właśnie teraz, musiałby uciekać. Zmagał się z tym zawsze w samotności, nie zwracając niczyjej uwagi.

-Hart...?

Odczekał dwa uderzenia serca. Nic.

- Jeśli więc trzymają coś w sekrecie, należy uszanować ich prywatność - zakończył gładko, jakby nic się nie wydarzyło.

- Bzdury! - oświadczyła Beryl. - Sekrety są od tego, żeby je wyjawiać! To z pewnością nikomu nie wyjdzie na złe. A jeśli to jakieś wyjątkowo ohydne tajemnice, tym bardziej ludzie powinni się o nich dowiedzieć! Łatwiej wtedy uniknąć nieszczęścia.

Nie zdołał jej przekonać. Dla Beryl wszystko było proste i jasne. Itak właśnie powinno być! -mówił sobie w duchu. Przecież czynił wszystko co w ludzkiej mocy, by jego trzy siostry miały takie właśnie życie: czyste, proste i jasne. Żadnych nocnych koszmarów. Żadnych potępięczych wyborów, których skutki dręczyły go latami, przyćmiewały mu każdą radość... Mimo wszystko należy upomnieć Beryl, by zwalczyła tę naganną skłonność do plotek!

- Czy Henley wie o twoim... jak by to określić?... nadmiernym zainteresowaniu sprawami innych osób?

Błyszczące oczy Beryl na chwilę przesłoniła chmura. Zaraz jednak siostra potrząsnęła głową i uśmiechnęła się z jeszcze większym ożywieniem.

- Oczywiście! Oboje lubimy zbierać informacje. I pozwól sobie wyjaśnić - poklepała go żartobliwie po policzku - że moje talenty pod tym względem są bardzo przydatne dla kariery Henleya! - Puszyła się po prostu; trudno to inaczej określić. - To ogromna zaleta dla żony polityka!

- Nic podobnego! - zaoponował Hart. - Twoje maniery, twoje talenty dyplomatyczne to prawdziwe zalety, które...

- Kochany braciszku! - uśmiechnęła się do niego. - Ależ z ciebie niewiniątko! Masz rację, nie zawadzi wiedzieć, jak nisko trzeba się kłaniać każdemu z filarów parlamentu! Ale to tylko teatralna dekoracja. Byłe pudła można nauczyć takich ukłonów. Mam coś więcej do ofiarowania Henleyowi prócz talentów uroczej pani domu! Nieważne, jak się podaje herbatę. Liczy się to, o czym się przy niej rozmawia. - Skinęła głową, jej oczy obieżyły zebranych. - Spójrz, zjawiała się panna Coltrane. Idziemy, Hart! Postanowiłam się z nią zaprzyjaźnić.

- A to po co, na litość boską?!

- Powiększę zapas moich ukrytych skarbów. - Chwyciła go za ramię i pociągnęła za sobą. - Jest formalnie oblegana!

Pośrodku niewielkiej grupki, w stronę której ciągnęła go Beryl, stała Mercy Coltrane. Miała na sobie prostą brązową spódnicę i białą bluzkę. Podniszczony stetson ocieniał jej oczy i zakrywał przepych rudych włosów. Jesienny chłód sprawił, że jej pełne wargi były jeszcze czerwieniejsze. Kilka delikatnych lśniących pasemek wymknęło się spod kapelusza na rozpięty kołnierz bluzki. Znów promieniała uśmiechem.

Zawsze roześmiana i pełna życia! Nawet jemu nie szczędziła uśmiechów. Nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego jak ona. A poza tym, mimo wszystkich wad, była taka śliczna!

Przechyliła głowę na bok, słuchając uważnie Actona i jakiegoś ulizanego blondyna z przewieszoną niedbale przez ramię strzelbą. Obok niej jak uosobienie skromności i spokoju stała Annabelle w suto ozdobionej koronką sukni koloru mięty.

- Oto pani Wrexhall i lord Perth! - Księżę Acton dostrzegł ich i powitał uprzejmie. - Jak to miło, że zainteresowały państwa nasze skromne popisy strzeleckie. Czy mogę przedstawić Nathana Hillarda? A może już się państwo znacie?

- Chyba nie miałem dotąd zaszczytu - mruknął Hillard.

Pochylił się nad ręką Beryl i powitał jej brata skinieniem głowy. Hart zmierzył go wzrokiem, podczas gdy księżę dokonywał prezentacji.

Blondyn, wytwornie odziany w strój myśliwski z tweedu. Średniego wzrostu. Blżej mu do czterdziestki niż do trzydziestki. Niezwykła twarz! Całość robi ujmujące wrażenie, ale poszczególne rysy dziwnie nie przystają do siebie: mocno zarysowany podbródek i delikatnie rzeźbiony nos. Pełne miękkie wargi i niezwykle bystre oczy. Pod gęstymi blond włosami wysokie czoło bez jednej zmarszczki... i głębokie bruzdy po obu stronach szerokich ust.

- Czy pan Wrexhall również się do nas przyłączy, łaskawa pani? - spytał książę.

-Nie -odparła cicho Beryl. -Henley nie interesuje się sportem. A poza tym musiał udać się do Londynu na jakieś zebranie polityczne.

-Rozumiem -odparł Acton. -A zatem, gdy tylko zjawi się pani szwagier, możemy zaczynać.

- Richard? - spytała Beryl. - Richard nie strzela!

-O!

Ta jedna samogłoska w połączeniu ze zdumioną miną księcia była niewątpliwym, acz łagodnym wyrzutem. Annabelle rzuciła siostrze i bratu szybkie błagalne spojrzenie.

- Za to Hart po prostu szaleje na punkcie broni palnej - odezwała się spieszenie Beryl, jakby w duchu widziała już Actona wpisującego Annabelle punkty karne z powodu rażących niedostatków jej krewnych. -

Prawda, braciszku?

Jeśli matrymonialne szanse Annabelle mają zależeć od tego, jak celnie strzelają jej bracia i szwagrowie, to niech Acton idzie do diabła! Szczęśliwej drogi!

-Nie.

Książę zarumienił się, słysząc tę opryskliwą odpowiedź.

- W takim razie... - zwrócił się do Mercy - możemy chyba zaczynać?

Spojrzenie Harta również pobiegło ku Mercy. Co oni chcą zaczynać?! Boże wielki, chyba ta pannica nie zamierza stanąć do zawodów z mężczyznami i zrobić z siebie pośmiewiska? Jeśli tak postąpi, może się pożegnać z nadzieją na złapanie utytułowanego męża... Co prawda twierdzi, że jej na tym nie zależy. Taki tupet może przypaść do gustu panom, ale z pewnością nie czcigodnym matronom! A większość młodych arystokratów trzymana jest przez nie mocną ręką. I to one wybierają przyszłą księżnę czy hrabinę.

- Wyświadczy mi pani ten zaszczyt i skorzysta z mojej broni, panno Coltrane?

Hillard zdjął strzelbę z ramienia i podał Mercy. Przyjęła ją z uśmiechem.

- Panna Coltrane potrafi strzelać? - spytała Beryl z podziwem i zdumieniem w głosie.

- O tak - odparł Nathan Hillard, którego przenikliwe oczy płonęły jawnym uwielbieniem. - W Teksasie wiele dam wykazuje talenty strzeleckie.

- Był pan w Teksasie? - spytała Mercy. - Nie wspomniał pan o tym, panie Hillard!

- Niestety, nie byłem - odparł z zażenowaniem. - Obawiam się, że moja noga nie powstała na innej ziemi prócz Wysp Brytyjskich. Ale wielu przyjaciół uraczyło mnie wspomnieniami z podróży po pani ojczystych stronach, panno Coltrane. Mam nadzieję, że z pani ust usłyszę jeszcze więcej o tym nieustraszonym, „młodym” kontynencie!

- Opowiem panu o nim z miłą chęcią. - Przysunęła się bliżej do Hillarda. - Teksas to...

- Panna Coltrane naprawdę zamierza strzelać?

Hart ciągle nie mógł uwierzyć, by Mercy zdobyła się na takie zachwalstwo.

Nagle odezwanie się Harta sprawiło, że siostry popatrzyły na niego ze zdumieniem. Mercy również zwróciła ku niemu oczy.

- Owszem - odparł księżę. - Panna Coltrane uległa moim prośbom i zgodziła się zademonstrować nam celność swoich strzałów.

Hart odprężył się. Wystrzeli raz czy drugi, żeby się popisać. Czemu właściwie tak go to obeszło? Nie jego sprawa, czy Mercy Coltrane wystawi się na pośmiewisko z wulgarnej żądzy popularności!

-Och, to cudownie! -zawołała Beryl. -Nie jesteś zachwycony, Hart?

- Niezwykle.

Acton klasnął w dłonie, chcąc przyciągnąć uwagę wszystkich gości. Annabelle cofnęła się, taktowna jak zawsze; zbytne trzymanie się boku księcia mogło wywołać niepotrzebne komentarze. Po raz pierwszy Hart dostrzegł na delikatnej twarzyczce siostry dziwnie twarde, krytyczny wyraz.

- Jak państwo wiecie, dziś po południu odbędą się zawody strzeleckie z udziałem wszystkich chętnych panów - mówił Acton. - Najpierw jednak mam dla państwa specjalną atrakcję. Nasz gość z Teksasu, panna Mercy Coltrane, zgodziła się zademonstrować nam, jak strzela się w jej ojczyźnie. Czy zechcą państwo ustawić się jak najdalej od alejki?

Goście posłusznie odsunęli się od ozdobionej poręczkami linki przeciągniętej między dwoma rzędami topoli rosnących po obu stronach drogi wytyczonej do konnych przejażdżek. Hart spojrzął w głąb alejki,

szukając tarczy strzeleckiej. I natychmiast odwrócił wzrok. Nie wierzył własnym oczom!

Na samym środku alei stał z groźnie pochyloną głową zdobną w monstrualnie wielkie rogi i grzywę z przędzy - naturalnej wielkości bizon z masy papierowej. Byłaby to całkiem wierna podobizna, gdyby nie to, że na sporządzonym ze sznurka ogonie srogiego zwierza zawiązano różową kokardkę.

Hart zerknął w stronę Mercy. Rozśmieszona i zdumiona zarazem, wpatrywała się w „bestię”. Wreszcie przełknęła ślinę i odwróciwszy wzrok, napotkała spojrzenie Harta. Soczyste wargi zeszywniały, broda podniosła się zaczepnie.

- Bardzo ładny bizon! - powiedział Hart, obserwując z rozbawieniem reakcję Mercy. Miała urażoną minę, doszła widać do wniosku, że stroją sobie tu żarty z jej ukochanego Teksasu. - Podoba mi się zwłaszcza ta kokardka. Czyj to pomysł, Acton?

- No, mój... - odparł księżę i pokraśniał z zadowolenia.

Hart skinął głową.

- Od razu bestia wydaje się mniej straszna! Co za subtelność, co za dbałość o delikatne uczucia naszych dam! To takie wrażliwe istoty... przynajmniej większość z nich.

- Do czego mam strzelać? - spytała Mercy.

Miała wyraźne zakusy na różową kokardkę.

-Ależ... oczywiście do bizona, panno Coltrane!

- Tak, tak... Ale w co konkretnie mam trafić?

Acton i Hillard uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

- W co tylko pani zechce - odparł Acton.

Skończony dureń! - pomyślał z niesmakiem Hart. Z tej odległości nawet ośmioletni dzieciak musiałby trafić w to paskudztwo! Acton zrobił wszystko, by Mercy w żaden sposób nie mogła spudłować. Protekcyjnalny pyszałek!

- Może w rogi? - podsunął Hart. - Proszę spróbować, czy trafi pani w róg, panno Coltrane.

Spojrzenie Mercy pobiegło ku niemu.

- W który, panie Perth?

Zarozumiała smarkula!

- Ten dalszy. Założę się o gwineę, że to się pani nie uda.

To był przynajmniej uczciwy sprawdzian, z tej odległości było wyraźnie widać jakieś trzydzieści centymetrów dalszego rogu.

- Jakże tak można, Perth? - zaprotestował Hillard. - Dżentelmen nie proponuje damie podobnych zakładów! Nie miałyby żadnych szans...

- Zgoda! - zawołała Mercy. Bez wahania uniosła broń do ramienia i wypaliła. Na odgłos strzału zamarły wszelkie rozmowy. Głowy zwróciły się w jedną stronę, niedokończone zdania zawisły w powietrzu, rozszerzyły się źrenice. Wszyscy wpatrywali się w bizona z masy papierowej. Na potężnym łbie widać było wyraźnie oba rogi.

- Bardzo mi przykro, droga pani - odezwał się Acton. - Może spróbuje pani jeszcze raz? Oczywiście bez przymusu! I proszę celować, w co tylko pani zechce. W głowę...? Albo w bok?

Mercy wybuchnęła śmiechem.

-Ależ ja trafiłam w róg! Jakies dziesięć centymetrów od czubka.

- Oczywiście, panno Coltrane - przytaknął Acton. - Ale jeszcze raz...

- Tam do licha! Ona naprawdę go ustrzeliła! - wykrzyknął z niebotycznym zdumieniem jakiś męski głos. Stojący w głębi alei major Sotbey, brat księżnej wdowy, przyglądał się rogowi z bliska. Wetknął nawet palec w dziurę i pokiwał nim. -I to w sam środek!

Acton i Hillard zwrócili zdumione oczy ku Mercy. Ona jednak nie patrzyła na nich. Uniosła drwiąco ciemną brew i z wyzywającym uśmiechem odezwała się do Harta:

-Gdzie moja gwinea, wasza pyszałkowatość... albo raczej wasza despotyczność? A może chce się pan jeszcze raz upewnić?

- Jak sobie pani życzy, panno Coltrane - odparł Hart. - Zdoła pani raz jeszcze trafić w ten sam róg?

- Naturalnie! - odparła i zawołała do grupki dżentelmenów oglądających z bliska postrzelonego bizona: - Mogliby się panowie odsunąć?

Ciekawscy wycofali się spieszenie pod osłonę drzew. Mercy oddała drugi strzał. Wszyscy trzej synowie barona Coffeya wyskoczyli z tłumu i popędzili do bizona.

- Dziura na wylot! - wykrzyknął jeden z nich. - Kilka centymetrów nad tamtą!

Mercy obdarzyła Harta uśmiechem. W jej oczach błysnął złośliwy triumf, ale zaraz nakryła je rzęsami i mruknęła skromnie:

- Jakoś mi dzisiaj szczęście dopisuje...

- Rzeczywiście - odparł Hart. - To z pewnością kwestia szczęścia - dodał z naciskiem.

Sięgnął do kieszeni po złotą monetę. I właśnie wówczas Mercy zaproponowała:

- Może chciałby się pan ze mną zmierzyć?

Bezczelna, pyszałkowata smarkula!

-Nie.

Westchnęła i zrobiła skruszoną minkę.

- Och! Strasznie przepraszam! Wydawało mi się... No cóż, myślałam, że pan się na tym zna... Jaka ja niemądra! Powinłam się była domyślić, że pan nie interesuje się sportem... Przecież koń pana poniósł, i w ogóle...

Uśmiechnęła się przepaszająco i wzruszyła ramionami.

Z naburmuszoną miną wręczył jej gwineę. Czuł, że zachowuje się jak gbur, ale panna była wyjątkowo irytująca!... I podniecająca! - szepnął mu jakiś wewnętrzny głos.

Mercy wzięła do ręki monetę i zaczęła ją podrzucać na dłoni. Zerkała spod oka na Harta z poufałością płynącą z dawnych wspólnych przeżyć. Wyraźnie go prowokowała!

- Zgódź się, Hart! - nalegała Beryl. - Tak dobrze strzelasz!

- Doprawdy? - spytała Mercy. Udało się jej zawrzeć w tym jednym słowie cały bezmiar niedowierzania.

- O, tak! Walczył w Afryce Północnej. Był wtedy jeszcze chłopcem, a mimo to najlepszym strzelcem w całym regimencie!

Psiakrew! Czy Beryl musi rozgłaszać te stare dzieje wszem wobec?!

- Otrzymał kilka medali za męstwo. A towarzysze broni nie mogli się nadziwić celności jego strzałów!

- Ach tak? - Mercy pokiwała głową. - Teraz już rozumiem, czemu pan Perth nie kwapi się do zawodów!

Miał się już odwrócić i odejść, gdy jej słowa zatrzymały go.

- Jak pani to rozumie? - usłyszał pytanie Annabelle.

- No cóż... Nikt by nie chciał psuć sobie dawnej dobrej opinii obecną porażką.

Hart skamieniał. Niemożliwe, żeby ta szelma tak bezczelnie go nabierała!

Niemożliwe... ale prawdziwe.

- O, jestem pewna, że Hart i teraz strzelałby doskonale, gdyby tylko chciał! - obstawała przy swoim Beryl.

-Tak, tak... Oczywiście - odparła Mercy uspokajająco, ale bez większego przekonania.

- Zapewniam panią, panno Coltrane - nie ustępowała Beryl. - Hart nigdy nie pułkuje!

- W młodych latach był z pewnością niezrównany. Bardzo mi przykro, że postawiłam go w tak kłopotliwym położeniu...

- W jakim znów położeniu? - spytała Beryl.

- No cóż... Gdyby przegrał, poczułby się upokorzony, że pokonała go niewiasta. A gdyby wygrał - z tonu Mercy wyraźnie wynikało, że

uważa to za nieprawdopodobne - można by powątpiewać, czy naprawdę jest dżentelmenem...

- Zgoda! - burknął i odwracając się, zmierzył ją wściekłym wzrokiem. Jeśli tej pannicy zależy na tym, żeby dostali się oboje na ludzkie języki, niechże i tak będzie! A jeżeli przyczyni się do jej kompromitacji towarzyskiej, to sama tego chciała!

-Zgoda?...

Jak można takimi długimi i gęstymi rzęsami trzepotać w takim tempie?!

- No co, zgoda, milordzie Perth?...

- Zmierzymy się w strzelaniu. Nie mogę odrzucić tak uprzejmego zaproszenia?

- Daj spokój, Perth! Panna Coltrane ma świętą rację, dżentelmen nie staje do zawodów z damą. To nie do pomyślenia! - zaprotestował Acton.

- Czy doprawdy nie można zrobić wyjątku? - spytała słodko Annabelle. - Przecież oboje mająna to ochotę... Zresztą to tylko przyjacielska zabawa...

Sporo osób ją poparło.

- Pozwoli pani, że będę nabijał broń, panno Coltrane? - zaoferował się Nathan Hillard. Ten człowiek był stanowczo zbyt przymilny, a jego obłudny uśmiech zbyt wszechobecny wokół Mercy! Zaczyna się plotki, jeśli będzie ją w dalszym ciągu tak prześladował! Tylko że Mercy wcale nie wyglądała na prześladowaną ofiarę. Była wyraźnie zadowolona.

Uśmiechnęła się do Hillarda, pokazując dołeczki, a potem zatrzepotała rzęsami do zebranych. Jej złoto nakrapiane oczy rozszerzyły się niewinnie.

- Oczywiście, że to tylko przyjacielska zabawa.

- Chyba dołączę do tamtych pań - powiedziała nerwowo Beryl. Uświadomiła sobie nagle, że kilkoma nierozważnymi słowami wplątała brata w pożałowania godną sytuację.

- No cóż... jeśli pani sobie tego naprawdę życzy, panno Coltrane...

- powiedział z wahaniem Acton.

-Ależ tak! - zapewniła go Mercy. Podała Hartowi strzelbę. - Proszę, panie Perth. Zobaczymy, czy pan też trafi w róg!

Spojrzał zmrużonymi oczami na jej niewinną buzię, ściągnął surduta i rzucił go jednemu z mężczyzn. Podwinął rękawy do łokci i wziął strzelbę Mercy.

Przez sekundę jego palce musnęły jej gładką białą dłoń. Z niezwykłą wyrazistością czuł aksamitną miękkość i chłód skóry. Powtórzyło się dokładnie to samo, co w tej przeklętej kuchni! Zbyt silne doznanie... Zbyt potężny pociąg.

- Postaram się nie sprawić pani zawodu, panno Coltrane - powiedział.

8

Mercy przyglądała się, jak jej przeciwnik sprawdza działanie winchestera. Pocierała odruchowo grzbiet dłoni. W miejscu, którego dotknęły palce Harta, nadal czuła dziwne mrowienie. Cóż, musnął je zmysłowy płomień... zgoła nieszkodliwy. Nieszkodliwy?... Czy coś, co wiązało się z Hartem Morelandem, mogło być nieszkodliwe?

Zmarszczył brwi, sprawdzając wnętrze lufy. Twarde mięśnie przedramienia, wyraźnie widoczne dzięki podwiniętym rękawom, zagrały pod opaloną skórą, gdy uniósł strzelbę. Nadgarstki miał jak z żelaza. Ręce piękne, subtelne... Powinny należeć do niewidomego rzeźbiarza. Nie do rewolwerowca!

Obejrzał się na nią. Szafirowozielone oczy błyszcząły ponurą uciechą. Kapryśny wiatr rozgarnął liście i z góry padł promień światła; w brunatnych włosach zapłonęły złote iskry, na pociągłej twarzy zatańczyły zmienne cienie. Mercy popatrzyła na pozostałych gości, tłum wytwornych, poprawnych, godnych zaufania dam i dżentelmenów. Nie mieli pojęcia, że w ich gronie przyczał się ktoś o dwóch obliczach. Światło i mrok. Promienny blask i absolutna ciemność...

- W róg? - upewnił się Hart.

- Tak, tak... - wymamrotała, zmuszając się do odwrócenia wzroku.

- Jeśli pan jest pewien...

Wystrzelił.

Zrobił to od niechcenia, nie oparł nawet strzelby na ramieniu. Uniósł ją nieco i strzelił. Żadnych efektów na pokaz. Tylko jeden płynny, oszczędny ruch.

Mercy miała wrażenie, że podniósł strzelbę tylko dlatego, by nie razić widzów swą oryginalnością. Mogłaby się założyć, że równie dobrze mógł strzelić z biodra - i też byłoby po rogu.

- Dobra robota! Już po nim! - wykrzyknęło kilka męskich głosów.

- Co dalej? - spytał Hart.

Mercy roześmiała się wesoło. W jego głosie brzmiała ledwie dostrzeżalna nutka samozadowolenia, zaspokojonej męskiej próżności. Stał się dzięki temu bardziej ludzki i znacznie sympatyczniejszy.

- Może spróbujemy z większej odległości? - zaproponowała.

- Odmierzyć następne trzydzieści metrów! - zawołał.

Odziani w liberię lokaje księcia nie zdążyli zareagować. Tłum dżentelmenów, zafascynowanych sensacyjnym pojedynkiem, rzucił się wypełnić polecenie Perthy.

- Panie mają pierwszeństwo - stwierdził Hart.
- Może w kokardkę?

Sprawdziwszy dokładnie wnętrze lufy, Mercy zrobiła długi, miarowy wydech, przeniosła ciężar ciała na wysuniętą do przodu nogę i wyprostowała plecy, jak jączył tata. Pociągnęła za cyngiel. Kokardka podskoczyła i spadła na ziemię.

- Brawo, panno Coltrane! - pochwalił Hart. - Ale teraz nie mam do czego strzelać.

- Można zawiązać jeszcze raz! - zawołał Hillard, podając Mercy kieliszek szampana. - A zwycięzca weźmie ją sobie na pamiątkę!

Mercy roześmiała się, ujęła podsunięty kieliszek i sącząc wino, zerkała znad jego krawędzi na adoratora.

- Jest pani równie utalentowana, jak piękna - oświadczył Hillard, spoglądając na nią wzrokiem tak płomiennym, jak lodowate było spojrzenie Harta.

- Święta prawda! - poparł go Acton.

Kokardkę zawiązano ponownie i przysła kolej na Harta. Wystrzelił od razu, z całym spokojem - tak samo jak poprzednio. Kokarda po raz drugi sfrunęła na ziemię. Okrzyki podziwu stawały się coraz głośniejsze. Posypały się pierwsze zakłady.

Acton przywołał jednego ze służących.

- Przynieś stolik! - polecił i zwracając się do Hillarda, dodał: - Bądź tak dobry, Hillard, i przyjmij zakłady. Urządzimy z tego zbiórkę datków na cele dobroczynne. - Dotknął lekko ramienia Mercy. - Czy może się pani chwilkę wstrzymać, panno Coltrane? Niektórzy goście chcą się założyć, kto wygra w tym pojedynku.

- Ależ bardzo proszę!

- Ja oczywiście stawiam na panią, moja piękna! - Głos Hillarda był cichy, ale wysoka postać Harta nagle znieruchomiała. Widać usłyszał jego słowa. Aż za dobrze!

- Proszę, niech pan tego nie robi! - odparła Mercy. W jej głosie po raz pierwszy zabrzmiała nuta niepokoju. Nie chciała, by ktoś z jej powodu poniósł straty materialne... a z różnych napomknień i półsłówek wiedziała już, że Hillard nie ma tyle pieniędzy, by je przepuszczać na niemądre zakłady.

On jednak wzruszył ramionami.

- Przecież to na cel dobroczynny! A poza tym pani z pewnością zwycięży. Już i tak pokonała pani nas wszystkich... i zdobyła nasze serca.

Teraz też zwracał się do niej szeptem. Jednak Mercy z wyrazu twarzy Harta domyśliła się, że słyszał wszystko. I choć wyznanie Nathana

Hillarda wywołało u niej rumieńce, świadczyły raczej o zakłopotaniu niż o satysfakcji.

- Dziękuję za komplement.

Księżę skinął na Hillarda, który rzucił Mercy spojrzenie pełne żalu i podszedł do gospodarza. I tak oto Mercy i Hart zostali nagle sami. Annabelle stała kilka metrów dalej; nie odrywała oczu od odwróconego w tej chwili plecami Actona.

-I co dalej, panno Coltrane? - spytał cicho Hart. - Następne trzydzieści metrów do tyłu? A może będziemy kropić na przemian do tego straszdyła, aż zostanie tylko drucziany szkielet? Jak długo mamy robić z siebie widowisko? Już się o nas zakładają jak o zapaśników z cyrku!

Jego dezaprobata dotknęła Mercy do żywego. Znowu poczerwieniała, tym razem z pewnością nie z satysfakcji. Upokorzył ją swoją krytyką. Poczuli się znów nieznośną smarkułą, która uparła się udawać chłopaka. Wraz z upokorzeniem wezbrał w niej gniew.

Księżna ofuknęła ją ostro, gdy zwróciła się do niej o pomoc. Każdy, od kogo chciała zdobyć wiadomości na temat swego brata, zbywał ją niczym. Każde jej pytanie wywoływało odruch oburzenia. „Dama nie powinna pytać o takie sprawy! Dama nie powinna wiedzieć o podobnych lokalach! Dama nie powinna zadawać takich pytań!”

Niech ich wszyscy diabli! - pomyślała z wściekłością. Nie popełniła żadnej zbrodni, demonstrując swe zdolności strzeleckie! Nie pozwoli, by ten zimny obcy człowiek pozbawił ją niewinnej przyjemności pochwalenia się swymi talentami!

- Może pan w każdej chwili się wycofać - stwierdziła.

- Jakżebym śmiał przeszkodzić damie w spełnieniu jej kaprysu?

- Panno Moreland! - zawołała do Annabelle, która nadal stała w pobliżu, nieruchoma jak posąg. - Może zechciałaby pani podrzucić w górę swój kieliszek?

-Słucham?...

-Kiedy zawołam „już!”, proszę rzucić kieliszkiem jak najwyżej - powtórzyła Mercy z przymusem. - Chyba brat nie zabraniał pani w dzieciństwie bawić się piłką?

Annabelle zaczerwieniła się i skinęła głową. Mercy zrobiło się przykro. Cóż ta mała winna, że ma takiego brata?

- Proszę wybaczyć moje maniery. Przepraszam! Rzuci pani?

- Proszę bardzo.

Mercy podniosła broń do ramienia.

-Już!

Kryształowy kieliszek poszybował w powietrzu. Gdy osiągnął najwyższy punkt, jakieś sześć metrów nad ziemią, Mercy wystrzeliła. Przez sekundę kryształowe okruchy lśniły na czystym błękitnie nieba.

- Chwileczkę! - zawołał z wyrzutem ktoś z tyłu. - Nie ustaliliśmy jeszcze zakładów!

Hart zignorował te pretensje.

-Teraz ten, Annabelle! -powiedział, chwytając jakiś pusty kieliszek i rzucając go siostrze. Wyciągnął rękę po strzelbę i Mercy mu ją oddała.

Nim dał siostrze znak, zanim nawet uniósł broń, Annabelle rzuciła kieliszkiem pod samo niebo. Huknął strzał, kieliszek się rozprysnął.

Mercy, nadal kipiąc z gniewu, zastanawiała się nad następną próbą. Prawie nie słyszała przelatujących wśród tłumu okrzyków podziwu.

- Czy mogę pana o coś prosić? - zwróciła się do osłupiałego młodzieńca stojącego na skraju alei, dwadzieścia metrów od nich. - Tak, tak, pana w myśliwskim kapeluszu! Czy mógłby pan podrzucić go do góry? Znowy wybuchły okrzyki. Podwajano zakłady.

Mercy oparła broń o ramię. Młodzieniec spojrział z wyraźnym żalem na swój kapelusz, westchnął i podrzucił go w powietrze.

Obiad był wyborny i obfity. Przez trzy godziny na stołach pojawiały się w szybkim tempie coraz to nowe dania: bulion, krokiety z łososia, zielony groszek w miętowym sosie, sałatka po rosyjsku, galantyna z gołębi, plastry polędwicy wołowej, krem malinowy i bezy. Na koniec podano sery oraz gruszki i morele ze szklarni Actonów.

Z każdym nowym przysmakiem, z każdym nowym trunkiem konwersacja przy stole coraz bardziej się ożywiała. Wszystko obracało się wokół południowych zawodów strzeleckich.

Damy, widząc entuzjazm dżentelmenów i pobłażliwy, choć nieco wymuszony uśmiech księżnej wdowy, z rezerwą przyjęły Mercy do swego kręgu. Zasypywały ją pytaniami na temat życia w Teksasie i gratulowały jej niezwykłych talentów. Mercy nie mogła powstrzymać się od rzucania Hartowi triumfalnych spojrzeń. Zaskoczył ją całkiem, reagując szczerym rozbawieniem na jej zarozumiałe uśmiechy.

Obiad dobiegł wreszcie końca. Damy gawędziły w salonie, czekając na powrót panów, którzy raczyli się koniakiem i cygarami.

Dostrzegłszy Annabelle, zmierzającą w jej kierunku z wyraźną obawą, Mercy skarciła się w duchu za to, jak niegrzecznie ją wcześniej potraktowała.

- Proszę usiąść koło mnie, panno Moreland - zachęciła ją, zbierając fałdy swej śliwkowej sukni w zielonawe pasy, by zrobić miejsce na krytej perkalem kanapie. Z dyskretnym „dziękuję” Annabelle przysiadła na brzeżku poduszki, splatając wdzięcznie ręce na podolku.

Dopiero po chwili Mercy zorientowała się, że Annabelle obserwuje ją spod oka. Ani rusz nie mogła znaleźć tematu do rozmowy z tym uosobieniem wszelkich cnót! Sama również nie powstrzymała się od rzucania ukradkowych spojrzeń na Annabelle. Dama w każdym calu. Mama byłaby wniebowzięta, gdyby zamiast córki urwisa wydała na świat taką anielską istotę!

Pozostałe panie wymieniały zwierzenia i najświeższe ploteczki, podczas gdy ona i Annabelle siedziały obok siebie napuszone jak kwoki na grzędzie, czekając, która pierwsza zagadacze. Musi przecież znaleźć się jakiś temat, na który mogłyby porozmawiać!

- Czy pani bratu zdarzyło się kiedykolwiek spudłować? - spytała wreszcie Mercy.

- Spudłować? - powtórzyła zdezorientowana Annabelle.

- Nie trafić do celu. Dziś po południu nie chybił ani razu. Bez względu na to, z jakiej odległości strzelał, pod jakim kątem i do czego!

-Ach, o to pani chodzi! Rzeczywiście, jest wyjątkowym strzelcem.

„Wyjątkowym strzelcem”? Cóż za gorąca pochwała z ust kochającej siostry! Ale w tym towarzystwie powściągliwość była cnotą numer jeden. Nie tolerowano tu nieprzystojnych uniesień, szkodliwych emocji, gwałtownych namiętności. Mercy zwróciła się do Fanny Whitcombe, która, skulona w rogu kanapy, wpatrywała się rozmarzonym wzrokiem w wiszący na ścianie obraz. Madonna z Dzieciątkiem.

-Pani Whitcombe - zagadnęła ją Mercy - czy pani brat nigdy nie pudłuje?

Fanny oderwała wzrok od malowidła. Jej chabrowe oczy były pełne łez.

- Jakie to bosko piękne! - wyszeptała.

Bosko piękne?! Tłustawa Madonna miała taką minę, jakby chciała natychmiast pozbyć się dzieciaka, który z szelmowskim uśmiechem szczypał ją w pierś. Cóż w tym pięknego?! Mercy przemknęło przez głowę podejrzenie, że Fanny brakuje piątej klepki.

- Mówiłam o tym, że pani brat znakomicie obchodzi się z bronią - wyjaśniła. - Świetny z niego strzelec!

- Z bronią? To bardzo niebezpieczne! Nigdy nie pozwolę moim dzieciom bawić się bronią! - wyszeptała Fanny drżącymi ustami.

Mercy spojrzała na nią, zdumiona tym gwałtownym wybuchem.

- Ależ oczywiście! Nie miałam nic podobnego na myśli, lady Clarendon. Zastanawiałam się tylko, czy pani brat nigdy nie chybia.

-Nie mam pojęcia, panno Coltrane -odparła Fanny, powracając spojrzeniem i myślą do fascynującego ją obrazu.

Mercy zmarszczyła brwi. Nie ma pojęcia?! Przecież to jej brat! A Will? - pomyślała nagle. Co ja właściwie o nim wiem?

- Ja pani odpowiem, panno Coltrane. - To była najstarsza siostra Harta, Beryl. Miała w sobie najwięcej życia. Mercy wyczuwała w niej również serdeczność. Ciężki smutek czał się w kąciakach szerokich ust, jakże podobnych do ust brata. - Wystarczy jedno słowo: nigdy.

-Naprawdę? -uśmiechnęła się Mercy, zachwycona tą jawną siostrzaną dumą.

- Naprawdę. - Beryl odwzajemniła uśmiech. - Nie zdarzyło mu się to ani razu! Ale muszę przyznać, że nie ma zwyczaju stawać do podobnych zawodów. Zdecydował się na to dopiero dziś. Staliście się oboje, pani i on, ośrodkiem zainteresowania!

Mercy odwróciła wzrok. Nie była pewna, czy w słowach rozmówczyni nie kryje się przygana.

- Niezręcznie się wyraziłam, panno Coltrane! Proszę mi wybaczyć.

- Beryl pośpiesznie usiadła obok niej, odsuwając Annabelle na bok. Położyła rękę na dłoni Mercy i poklepała ją przyjaźnie. - Wcale nie uważam, żeby było w tym coś niestosownego! Zachowała się pani uroczo i z wielkim taktem. Zwłaszcza wtedy, gdy Hart trafił w te trzy gwinee, a pani sama uznała się za pokonaną. To piękny gest!

- Mam wrażenie, że pani brat był odmiennego zdania - odparła z wahaniem Mercy. - Miał bardzo niezadowoloną minę.

- Wiem, wiem! Jacy ci mężczyźni zabawni, prawda? - odparła Beryl, a jej ciemne oczy promieniały. - Hart nie znosi, kiedy ktoś mu robi łaskę!

- Nie robiłam mu żadnej łaski! - zaprotestowała Mercy. - Nie potrafiłabym tak jak on zestrzelić trzech gwinei. Przyznałam otwarcie, że zdołam trafić najwyżej jedną, a i to nie zawsze!

- Hart nigdy w to nie uwierzy. Podejrzewa, że pani chciała mile pogłaskać jego męską dumę. Czy na pewno tak nie było? Strzela pani znakomicie!

- Na pewno! - odparła Mercy, marszcząc brwi. - Może mi pani wierzyć, gdybym była w stanie pokonać tego pyszałka, z pewnością bym to zrobiła!

Beryl roześmiała się.

- Nie zmartwiłaby się pani, gdyby coś podobnego spotkało jej brata? - spytała Mercy. Cóż to za rodzina! Jedna siostra: nakręcana lalka, druga: nieprzytomna płaksa, a ta trzecia?

- Nic a nic! - potwierdziła Beryl, kiwając energicznie głową.
- Beryl - odezwała się Annabelle niespokojnym szeptem - może być...
-Spójrz, Annabelle! - przerwała jej starsza siostra. -Fanny jakoś
nietęgo mi wygląda...

Mercy popatrzyła na nią ze zdumieniem. Mało która kobieta wyglądała równie tęgo jak Fanny Whitcombe!

- Odprowadź ją lepiej do jej pokoju.

Złociste loki Annabelle zafalowały, gdy odwróciła się z przestraczem w stronę drugiej z sióstr. Fanny zamrugła zażawionymi oczami.

- Powinnaś odpocząć, Fan. Wracaj do swego pokoju! - powiedziała Beryl nieznoszącym sprzeciwu tonem starszej siostry. Fanny posłusznie wstała i oddaliła się niepewnym krokiem pod eskortą sfrustrowanej Annabelle.

- W porządku! - oświadczyła Beryl, wygładzając spódnice. -O czym to mówiliśmy? A prawda, o Harcie! I o tym, dlaczego tak się cieszę, kiedy coś go zbije z tropu. To całkiem proste, w ciągu ostatnich dziesięciu lat ani razu nie dostrzegłam na jego twarzy żadnych uczuć. Dopiero dziś! I myślę, że to wyszło mu na dobre.

Mercy zmarszczyła brwi.

- Harta dawniej pociągało wszelkie wyzwanie. Nie tylko lubił wygrywać, ale i walczyć! Strasznie się wtedy zapalał... - mówiła Beryl. Twarz jej promieniała, gdy snuła te miłe wspomnienia. - Był taki żarliwy, pełen entuzjazmu! Dawał z siebie wszystko... i żądał tego samego od przeciwnika. Choć może zabrzmiało to zbyt poufale... jestem pewna, że pani polubiła by tamtego Harta! Dziś mignął mi cień dawnego brata. Jestem zachwycona, choć nie pokazał się chyba z najlepszej strony... Uparty despota!

Mercy wiedziała, że natrętne wypytywanie to szczyt złego wychowania. Ale mimo woli wyrwało się jej:

- Cóż go tak odmieniło?! - Zaczerwieniła się, uświadomiwszy sobie własny nietakt. - To znaczy... wydaje się taki opanowany, zamknięty w sobie...

- Nie zawsze tak było. Nasz ojciec... Ojciec zostawił nas w wyjątkowo trudnym położeniu. Hart miał wtedy piętnaście lat. Natychmiast zaciągnął się do wojska. Zapewniał nas, że zawsze o tym marzył. Podejrzewam jednak, że chciał po prostu ulżyć matce: miała o jednego domownika mniej do wykarmienia. A potem, kiedy walczył w Afryce Północnej, mama umarła.

- Tak mi przykro... - szepnęła Mercy.

Beryl przyglądała się jej przez chwilę bacznie, bez uśmiechu.

- Myślę, że mówi to pani szczerze, moja droga - powiedziała cicho. - No więc, tym sposobem Hartowi spadły na głowę trzy młodsze siostry i mnó-

stwo długów. A nie miał ani grosza. Potraktował swe obowiązki bardzo poważnie. Zapewniam panią, że jestem mu bardzo, ale to bardzo wdzięczna! Gdyby nie on, tkwiłybyśmy nadal w tej pleśniejącej starej ruderze w Nottingham! Jednak Hart wrócił z Afryki Północnej tak odmieniony... i nie sądzę, żeby powodem były wyłącznie nowe obowiązki.

- Zdołał zarobić na wasze utrzymanie, mimo tak młodego wieku?! - wyrwało się Mercy.

- Nie od razu, ale niebawem utrzymywał już całą rodzinę - odparła Beryl. - Wkrótce po powrocie z Afryki wyruszył do Ameryki. Mówił, że znajdzie jakiś sposób i dorobi się pieniędzy. W tym właśnie czasie odziedziczył tytuł hrabiowski. A po kilku latach wrócił z Ameryki. Zajął się przede wszystkim rodową posiadłością Perthów, Bentwood. - Beryl uśmiechnęła się nieco krzywo. - Nic tak nie przywabia konkurentów jak tytuł hrabiowski i dobrze utrzymany majątek ziemski! Hart kocha Bentwood, ale życzy sobie, żeby zarządzał nim mój mąż, Henley. Sam rzadko tam zagląda. Dziwne!

- Był w Ameryce? - spytała Mercy, czepiając się tego skrawka informacji. Ciekawe, ile siostra Harta wiedziała na temat jego pobytu za oceanem?

- Tak - skinęła głową Beryl. - Prowadził jakieś interesy z hodowcami bydła na zachodnich terenach.

Cóż, można to i tak określić.

- Pani ojciec także ma ranczo, nieprawdaż? - zapytała Beryl.

- Tak. W Teksasie.

- Hart przebywał w tamtych stronach. - Beryl zmierzyła rozmówczynię przenikliwym wzrokiem.

- To wielki kraj, pani Wrexhall.

- Niech mi pani mówi Beryl. Bardzo proszę! Tak, wiem od Harta, że to wielki kraj. Ale o nim opowiadał niewiele. Nie jest skłonny do zwierzeń. Poza tym rzadko przebywa w Anglii. Przez ostatnie dziesięć lat ciągle nosi go po świecie. Bardzo mi go brak... Słyszałam, że i pani ma brata. Tęskni pani za nim? - Splotła leżące na podolku ręce.

- Tak - odparła cicho Mercy. Uświadomiła sobie nagle, że tęskni za Willem. Pragnęła go odnaleźć nie tylko z powodu danej matce obietnicy i trapiących ją wyrzutów sumienia. Pragnęła odzyskać brata! Prawie już go zapomniała...

Mama miała wielkie plany w stosunku do niej, ale to właśnie Will robił, co mógł, by te zamiary się spełniły. I robił to bez żadnego wyrachowania, z czystej miłości. Nigdy nie był o nią zazdrosny. Mercy nieraz uważała go za rywala, ale on nigdy tak o niej nie myślał.

Zamiast tego był jej przewodnikiem, wprowadzał ją w nieznany, zapierający dech świat opery, wyrabiał w Mercy poczucie humoru, posługując się własnym ciętym dowcipem, pomógł jej docenić skarby sztuki i literatury. Poczwała w oczach piekące łzy.

Tak bardzo pragnęła go odzyskać!

-Wie pani co? - odezwała się Beryl, przerywając milczenie, które zaległo między nimi. - Brakuje mi Harta takiego, jaki był dawniej. Tęsknię za starszym bratem, który przekomarzał się ze mną. I pokpiwał ze „smarkatej” wraz ze swymi przyjaciółmi! Niech pani nie robi takiej zdziwionej miny, moja droga. W tamtych czasach Hart miał mnóstwo przyjaciół! I duże poczucie humoru. - Otrząsnęła się z melancholijnej zadumy. - Teraz już pani rozumie, dlaczego tak panią podziwiam: zdołała pani wykrzesać iskierkę z zimnych popiołów!

- Jestem pewna, że pan hrabia nie podzielił pani entuzjazmu.

-A ja jestem pewna, że panu hrabiemu zbyt wiele osób potakuje, ulega i pobłaża! - odparła Beryl. - O, nasi panowie wracają. Precz z melancholią! Dżentelmeni nie lubią sentymentalnych nastrojów. Jestem ogromnie rada z naszej pogawędki, panno Coltrane. Musimy sobie znów porozmawiać... i to wkrótce!

9

Skąd mam tę bliznę na ramieniu? - powtórzyła Mercy.

Panowie, którzy - po zbyt długiej, zdaniem Harta, męskiej pogawędce zakrapianej francuskim koniakiem - dołączyli do dam, zamilkli nagle jak nożem uciął. Kilku podeszło bliżej do Mercy. Jej jasne ramiona i szyja, skapane w złocistym blasku gazowych lamp, były nieskazitelnie piękne - nie licząc wypukłego, lśniącego perłowo krążka blizny.

Czy całe jej ciało było równie miękkie i ciepłe jak dłoń, której dotknął? A może jeszcze delikatniejsze...

- Nie chciałabym państwa zanudzać - powiedziała.

- O, jestem pewna, że to fascynująca historia! Niechże ją pani nam opowie - dopraszała się Beryl.

Jego rodzona siostra. Ta plotkara! Bogu dzięki, Fanny i Annabelle już wyszły. A Henley, zauważył Hart ze wstrętem, jeszcze potakuje swojej żonie idiotce!

Mercy rzuciła mu przelotne, rozbawione spojrzenie. Cały się sprężył. Nie, niemożliwe! Nie wyjawি jego sekretów! Podczas zawodów strzeleckich ani razu nie napomknęła o tym, że spotkali się już wcześniej. „Spotkali się”? Cóż za ugrzeczniony zwrot na określenie tego brutalnego wydarzenia! Ale co tam! Może to rozpuszczona smarkuła, ale z pewnością honorowa. Co obiecała, tego dotrzyma.

- O tak, niech nas pani uraczy tą historią, panno Coltrane - wmieszał się Nathan Hillard. - Nasze życie jest takie bezbarwne!

-No, no, Hillard! To już przesada! -zaprotestował Henley -Tylko nie opowiadaj o swoim „bezbarwnym” życiu! Zbyt dobrze się znamy, Nate! Hillard uśmiechnął się do Henleya.

- W porównaniu z przeżyciami panny Coltrane, moje życie z pewnością zasługuje na to określenie. Nigdy nie żyłem w głuszy, o dwieście kilometrów od najbliższego miasta.

- Skąd pan wie, że nasze ranczo leży o dwieście kilometrów od najbliższego miasta? - roześmiała się Mercy.

Hillard zbył machnięciem ręki to figlarne pytanie.

- Czy nie wszystkie teksaskie rancza leżą o dwieście kilometrów od miasta? - spytał niby to niewinnym tonem, pobudzając zebranych do śmiechu. - No, niechże nam pani opowie!

Z przesadną skromnością Mercy wygładziła fałdy sukni i nadal się certowała: potrząsała główką, uśmiechała się przepraszająco.

- Doprawdy nie sędzę...

- Jestem pewien, że panna Coltrane woli zapomnieć o niefortunnych okolicznościach, w jakich otrzymała ranę - wtrącił się Hart.

Mercy uniosła głowę. Przez sekundę ich spojrzenia zwały się ze sobą. W oczach dziewczyny zapłonęły wyzywające błyski.

- O, nie mam nic przeciwko temu - powiedziała. - Chętnie opowem państwu o tych „niefortunnych okolicznościach”. Ale czy państwo są pewni, że to ich zainteresuje?

Posypały się zapewnienia, że umierają z ciekawości. Hart zaczął bębnić palcami po poręczy fotela. Wszyscy obstąpili Mercy. Panowie przysunęli krzesła dla dam i ustawili się za ich plecami. Sądząc z uniesienia widniejącego na twarzach młodych Coffeyów, gotowi byli niczym wierne psy leć u stóp narratorki. Na szczęście jakoś się opanowali.

- Otóż... - zaczęła Mercy - na żądanie mojego ojca wróciłam z pensji w Bostonie na nasze ranczo, Circle Bar. Znajduje się ono w najbliższej części Teksasu. Jest to rodzaj korytarza między sąsiednimi stanami.

-Najdzikszej? Czyżby tam byli Indianie? - spytała Beryl bez tchu.

-Ależ oczywiście! - potwierdziła Mercy. - Jednak czerwonoskórzy są znacznie mniej groźni od pewnej grupy białych Tekszańczyków. Niestety, chciwość skłania niektórych do najhaniebniej szych występków.

Hart spodziewał się, że dziewczyna przesyje go wymownym spojrzeniem, ale mówiła dalej, nie zwracając na niego uwagi. Stwierdził ze zdumieniem, że nie był to przytyk pod jego adresem. Zmarszczył brwi, całkiem zbity z tropu.

- Tereny, które mój ojciec nabył, przez długie lata były bezprawnie użytkowane przez innych ranczerów. Zamiast kupić ziemię, woleli za darmo wypasać na niej swoje bydło. Odkąd Circle Bar przeszło w ręce mego ojca, nie mieli już wolnego wstępu na ranczo. Postanowili więc pozbyć się nowego właściciela.

- W jaki sposób? - spytała ładna, ciemnowłosa kobieta. Ani chybi, ta wścibska Jane Carr!

Mercy zniżyła głos do dramatycznego szeptu.

- Zmówili się z bandą groźnych zbirów bez sumienia, by kradli nam bydło i nekali naszych kowbojów. Zranili ośmiu. - W głosie Mercy zabrzmiał ból. - Dwóch straciło życie.

Słuchacze aż jęknęli. Synowie barona Coffeya mieli wyraźną ochotę chwycić niezwłocznie za broń.

Przez chwilę wydawało się, że Mercy nie dokończy swej opowieści. Siedziała w milczeniu, a jej leżące na podolku ręce były zaciśnięte tak mocno, że zbieleły kostki. Ze stężałą twarzą rozpamiętywała dawną tragedię. Hart zrobił krok do przodu. To przedstawienie trwało stanowczo za długo!

- Więc to jeden z tych łotrów postrzelił panią, panno Coltrane? - Pełen oburzenia wykrzyknik Nathana Hillarda wznosił się ponad zgłęb przerażonych głosów. Nate opiekuńczym gestem położył rękę na ramieniu Mercy, ona zaś podniosła na niego oczy. Hart zdławił w sobie gwałtowną chęć strąśnięcia łapy Hillarda z ramienia dziewczyny. Cóż go w końcu obchodzi, że ta smarkuła zachęca do umizgów kogoś, kto mógłby być jej ojcem?!

- To oni tak panią skrzywdzili? - zawtórował Hillardowi Acton.

Lepiej by zamknęła usta, bo jej muchy wpadną! - pomyślał Hart obserwując Mercy, która wpatrywała się w tego cholernie przystojnego Hillarda.

- Nie - odpowiedziała wreszcie, zwracając się do reszty słuchaczy. - Zranił mnie człowiek wynajęty przez mego ojca do ochrony naszej rodziny.

-Co takiego?!

Zadowolona z efektu Mercy skinęła głową.

- A czemu to zrobił? - spytał sucho Hart.

- Czyżby ten bydlak... bardzo przepraszam, panno Coltrane! Czyżby ta nędzna kreatura zdradziła dla pieniędzy swego chlebodawcę? -dopytywał się Hillard.

Hart przestał bębnić palcami. Jego ręce zacisnęły się na poręczach fotela.

-No więc?!

Mercy spojrzała na niego tak, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności.

- Och, stokrotnie przepraszam, wasza dostojność... to znaczy panie hrabio! Nie miałam pojęcia, że słucha pan z takim napięciem!

Hart powstrzymał się od riposty. I tak reszta gości patrzyła na niego ze zdziwieniem. Kilka dam, łącznie z Beryl, zachichotało.

- Co się tyczy pańskiej sugestii, panie Hillard, i mnie nieraz przychodziła do głowy taka ewentualność. W gruncie rzeczy jednak nie wierzę, by ten postępek świadczył o jego zdradzie.

-Więc dlaczego do pani strzelał?! -nalegał Acton. Hillard się naburmuszył.

- Nie potrafię zgłębić myśli ani motywów takiego człowieka...

-No pewnie! -poparł ją Acton. Hart popatrzył nań zmrużonymi oczami. Czyżby popełnił błąd, zamierzając wydać siostrę za Actona? Książę nie był wcale taki bystry ani inteligentny, jak sądził.

- ..Ale mogę państwu opowiedzieć, jak do tego doszło - dokończyła Mercy.

- Prosimy! - zawołali chórem baron Coffey i jego synowie. Nawet hrabina Marchant wyraziła swą zachętę skinieniem głowy.

- Muszę najpierw wyznać państwu, że kocham Teksas - powiedziała Mercy. - Jest to, moim zdaniem, najpiękniejsze miejsce na świecie. Wyższe niebo, żywsze kolory, a krajobraz nieskończenie wspanialszy i bardziej majestatyczny niż gdziekolwiek indziej na ziemi. Nic więc dziwnego, że z ogromną radością spełniłam rozkaz mojego ojca i powróciłam z pensji w Bostonie do domu wiosną 1872 roku.

- Byłeś wtedy w Ameryce, Hart, nieprawdaż? - spytała żywo Beryl.

- Tak - odparł krótko.

Mercy rzuciła mu przelotne spojrzenie i spieszenie mówiła dalej.

- Jednak pobyt w domu rodzinnym nie okazał się tak przyjemny, jak sądziłam. Mój ojciec, chcąc odparować nikczemne ataki tamtych łotrów, zatrudnił -jak się to ładnie mówi - „obrońcę bydła”. Czyli wynajął rewolwerowca.

Zrobiła dramatyczną pauzę i osiągnęła zamierzony efekt. Kilka dam jęknęło. Nawet panowie wydawali się przejęci użyciem tak drastycznych środków. Usta Harta wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

- Tak! - powtórzyła Mercy, a jej zielone oczy wydawały się jeszcze większe w uroczej twarzy. - Wynajął rewolwerowca!

- Jak on wyglądał?

To znowu Beryl! Jeśli ta pannica jeszcze bardziej wychyli się z fotela, wyląduje na podłodze.

Mercy wyprostowała się i wzruszyła ramionami.

- Nic ciekawego - odparła znudzonym głosem.

- Niech pani nie żartuje! - nalegała Beryl. - Ktoś taki?! A pani znała go osobiście... Jaki on był?

- Brudny.

- Proszę powiedzieć coś więcej! - dopraszała się inna dama.

Mercy znów wzruszyła ramionami.

- Był dość wysoki, chudy, wyglądał na głodnego. Przypominał zabiedzonego górskiego lwa. Miał długie, przetłuszczone włosy i ciemną cerę. Może to była opalenizna, a może świadectwo jego wątpliwego pochodzenia. Nie mam pojęcia.

-A jak się zachowywał? - spytała księżna wdowa. Coś podobnego! Całe towarzystwo wykazywało niezdrowe zainteresowanie tematem.

- Był twardy - powiedziała Mercy. -I zimny. Bez sumienia, bez serca. Nie miał pojęcia, co to takiego współczucie, dobroć, pogoda ducha czy...

- Na litość boską! - warknął z cicha Hart.

Mercy urwała w połowie zdania i utkwiała w nim zranione spojrzenie.

- Proszę wybaczyć, ale wyraźnie proszono mnie o szczegóły.

- Doceniamy w pełni pani poświęcenie. Z pewnością te wspomnienia muszą być dla pani bolesne! - zapewniła ją Beryl. Skonsternowana wybuchem brata rzuciła mu niespokojne spojrzenie. Także księżna z dezaprobatą pociągnęła nosem.

- Proszę wybaczyć, łaskawa pani - wykrztusił Hart. Choćby ta panna zachowywała się jeszcze gorzej, nie pozwoli się sprowokować. Z pewnością nie!

- Proszę mówić dalej, panno Coltrane - zachęcał Hillard, pochylając się znów nad ramieniem Mercy.

- Jeśli państwo nalegają... No cóż... Pewnego ranka wybrałam się na konną przejażdżkę, jeszcze przed świtem. Rozciągało się nade mną mroczne niebo, ale szkarłatne obłoki rozwijały się już jak łopoczące sztandary nad horyzontem...

- Jakie to śliczne! - szepnęła Beryl.

Mercy spojrzała na nią z aprobatą.

- O, tak! Ja też byłam tego zdania. Osiodłałam mojego kucyka i skierowałam się na zachód, w stronę stacyjki kolejowej odległej o kilka kilometrów od naszego domu. Chciałam stamtąd podziwiać zachód słońca.

- Czy to było rozsądne? - spytał Hart. - Zważywszy na sytuację pani ojca i w ogóle...

Mercy zrobiła śliczną minkę, zbolałą i zakłopotaną.

- Nie, panie hrabio Hart! To nie było rozsądne. Ale byłam tylko dzieckiem, małą dziewczynką, która zbyt długo przebywała poza domem. Dzieci i kobiety to impulsywne, sentymentalne istoty, rozumie pan?

Wyjaśniała skromnie, jakby wstydząc się swej słabości. Hart nie wierzył jednak, żeby była skromna, słaba czy zawstydzona. Z całą pewnością nie!

-Co zabre...

Kilku mężczyzn spojrzało na niego gniewnie.

- Nie mamy takiej siły woli ani stanowczości jak wy, panowie - podsumowała Mercy.

- O właśnie! - sapnął major Sotbey.

- Teraz wiem, że postąpiłam niemądrze... Ale wówczas pojechałam na spotkanie słońca. I kiedy zatraciłam się w cudownych marzeniach, wpadłam w ręce jednego z łotrów, którzy nękali nasze ranczo!

Cudowne marzenia, co?! Mięsień w policzku Harta zaczął drgać. Bezcelna! Wymknęła się z domu, żeby wypalić cygaro podwędzone z gabinetu taty!

- Bóg raczy wiedzieć, jaki by mnie spotkał los, gdybym się nie opierała - mówiła ściszym głosem. - Kilkakroć niemal udawało mi się dobiec do mojego dzielnego kuczka... Ale za każdym razem ten potwór mnie chwycił i odciągał z powrotem...

Siły mnie opuszczały, ale wola pozostawała nieugięta. Nie wiem, czy zdołałabym pokonać mego prześladowcę... Ośmielę się jednak powiedzieć, że dziewczęciu broniącemu swej czci opatrność daje nadludzkie siły!

- Brawo, brawo! - huknął Sotbey. Mercy uśmiechnęła się do niego skromnie.

- To były straszliwe zmagania! Zwarliśmy się w śmiertelnym boju... czas się zatrzymał... I wówczas - zakończyła dramatycznym szeptem - zjawił się rewolwerowiec! Na jego widok bandyta zasłonił się mną jak tarczą. Przeraził się wielkiego rewolweru z rękojeścią pokrytą karbami...

- Pokrytą karbami?

Mercy z całą powagą pokiwała głową.

- Każdy karb oznaczał zabitego przeciwnika.

- A na tym rewolwerze było dużo karbów? - zainteresowała się księżna.

- Cała rękojeść była pokryta głębokimi nacięciami. Omal nie odpadła!

- O Jezu! - wymamrotał Hart. Co za bezczelna dziewczucha! Ku swemu zaskoczeniu omal nie wybuchnął śmiechem. Od lat nie słyszał takich bzdur! A ta smarkula z Teksasu karmi nimi wytworne towarzystwo! Wargi zaczęły mu drgać.

Spojrzenie Mercy poszybowało ku niemu. Ujrzał w zielonych oczach złośliwą radość. Złośliwą, wstrętną... i zaraźliwą!

- Właśnie, panie Perth - przytaknęła ze świątobliwą minką. - Ja też się wówczas modliłam! Tylko to mogło mnie ocalić. Ten rewolwerowiec nie znał miłosierdzia! Był jak ogar, który zwęszył trop. Pochłonięty bez reszty swoim zadaniem. Łaknął krwi... I było mu chyba wszystko jedno, czyja krew się poleje.

Hart przymknął oczy. Jeśli będzie tego dalej słuchał, wybuchnie śmiechem albo stekiem obelg!

-Wiem, jakie to straszne, Perth -powiedziała, mierząc go rozba-
wionym wzrokiem. -Ale najgorsze dopiero nastąpi!

Hart otworzył nagle oczy. Powiedziała „Perth” - bez kpin, bez sarkazmu! To jedno słowo całkiem go rozbroiło.

- O nie! -jęknęła księżna.

- O tak! - Mercy zwróciła się znów do pozostałych słuchaczy. - Ten potwór, który zawlókł mnie do pobliskiej chaty, usiłował się teraz z niej wydostać, zasłaniając się mną jak tarczą. Wyczuwałam jego strach... A miał się czego bać! Nie widziałam nic równie przerażającego jak oczy tego rewolwerowca, kiedy się w nas wpatrywał... - Głos Mercy nie był już przesadnie dramatyczny. Załamał się nagle.

Ona wtedy naprawdę umierała ze strachu! - pomyślał Hart i poczuł w sercu dobrze znany chłód. A teraz przeżywa to wszystko jeszcze raz... Krew całkiem jej odpłynęła z twarzy. To już nie jest udawanie!

Czy naprawdę myślała wtedy, że on ją chce zabić i uciec z łupem? To podejrzenie strasznie go zabolowało. Omal się nie zerwał z miejsca, by zawołać, że wcale nie miał takich zamiarów!

- Jak wtedy wyglądał?

- Wydawał się... zaciekawiony, nic więcej - odparła Mercy cichym, monotonnym głosem. -I to właśnie było najstraszniejsze! Nie był zły ani gwałtowny. Wyglądał jak ktoś, kto rozwiązuje łamigłówkę, ale niezbyt by się przejął, gdyby jej nie dokończył.

Jakim głupcem był tamtego wieczoru, gdy podejrzewał, że Mercy pociągał jego lodowaty chłód! Budził w niej przerażenie i wstręt. A jednak chciała koniecznie rozmówić się z nim - dla dobra brata.

-1 co było potem? - spytał ktoś ze słuchaczy.
- Co potem? - powtórzyła jak echo Mercy. Jej wargi rozchyliły się nieco. Była zatopiona w myślach, żyła przeszłością. - Strzelił do mnie.
- Boże święty! - rozległ się czyjś szept.
- Chciał panią zabić?
- Nie - odpowiedziała bez namysłu.
Hart nawet sobie nie uświadamiał, że wstrzymuje oddech. Teraz powietrze ze świstem wyrwało mu się z płuc.
- Nie. Uratował mi życie. Gdyby mnie nie postrzelił, porywacz wywlókłby mnie z chaty, ciągle zasłaniając się mną jak tarczą. Gdyby dotarł do konia... Miał w olstrach broń. Mógłby zza moich pleców zastrzelić rewolwerowca... a mnie zabrałby ze sobą.
Hart wpatrywał się w zbiegające kostki swych rąk zaciśniętych na poręczach fotela.
- Więc ten łajdak strzelił do pani, by ocalić własną skórę - powiedział Hillard i znów musnął koniuszkami palców ramię Mercy. Hart poczuł lekkie ukłucie zazdrości.
Mercy potrząsnęła głową, jakby chciała uporządkować myśli.
- Być może - przyznała, lecz spojrzawszy na Harta dorzuciła: - Ale drogi boskie są niezbadane. Kto wie... może ten człowiek był moim aniołem stróżem... - Uśmiechnęła się i lodowaty chłód, z którym nauczył się już żyć, nagle ustąpił. Hart poczuł się wolny i mógł odwzajemnić jej uśmiech.
- A co się zdarzyło potem? - spytała Beryl.
Mercy roześmiała się.
- Jeszcze pani za mało?
Beryl się zaczerwieniła.
- Rewolwerowiec zastrzelił porywacza i odjechał. Ruszył, zdaje się, za resztą szajki. Nie wiem, czy ich zabił, czy oddał w ręce sprawiedliwości, czy tylko przepłoszył. W każdym razie od tamtej pory nikt nam nie zagrażał.
- Zostawił panią bez pomocy i odjechał?! - spytał Aston z oburzeniem.
- Zajrzał na ranczo i zawiadomił mego ojca, który wkrótce przyjechał po mnie wozem. Długo nie mogłam dojść do siebie, ale na szczęście kula ominęła kości i wszystkie ważne organy. - Mercy wyprostowała się.
-1 to już koniec opowieści o mojej bliźnie. Nie przejmujcie się tak, moi państwo! Wysłałam obronną ręką, bez nieodwracalnych szkód!
- Bez nieodwracalnych szkód? Ależ moja droga, zostałaś przecież oszpecona! - przypomniała jej księżna.

-O nie, księżno! -mruknął cicho Hart. -Została zraniona, ale z pewnością nie oszpecona!
Usłyszała go tylko Beryl.

10

Hart ocknął się z jękiem. Uniósł się nieco, wsparty na łokciach. Przez chwilę klęczał ze zwieszoną głową; płuca pracowały jak miechy. Potem opadł na pięty i skulił się pod osłoną własnych ramion.

Powinien był to przewidzieć! Życie od dawna wbijało mu do głowy, że choćby udawał niewzruszony spokój, nigdy go nie zazna. Od jedenastu lat bezskutecznie usiłował zatrzeć w swej pamięci gorzki ślad minionych wojen i potyczek.

Kiedyś zdołał się uwolnić od przeszłości! - mówił sobie z ponurą determinacją. A i teraz nie ulegnę koszmarnym widmom! Zwalczę ten podły, poniżający strach!

Wstał z trudem i błędnym wzrokiem omiół ciemny pokój, szukając czegoś, na czym mógłby się skoncentrować, co pomogłoby mu odzyskać choćby częśćkę zwykłego opanowania.

- Weź się w garść, ty śmierdzący tchórze! - mruknął do siebie na wpół pogardliwie, na wpół błagalnie. Upokarzające cierpienie odzierało go z resztek godności, przewyższało ludzką miarę. Żył w ciągłej trwodze, że pewnego dnia ulegnie panice i zacznie krzyczeć. A jak raz zacznie, to nie przestanie nigdy...

Wbił wzrok w szarawą plamę światła na przeciwległej ścianie. Zmuszał się do obliczania w myśli wymiarów okna, do śledzenia drogi kropeł deszczu na szybach. Wszystko, byle nie myśleć o skurczu szarpiącym mięśnie, o niewidzialnej pięści zaciskającej się na jego wnętrznościach, o dławieniu w gardle.

Nadal jednak mógł oddychać. Była to pewna pociecha i poczuł wdzięczność do losu. Zaraz się opanuje. Samokontrola jest przecież jego jedyną bronią.

Po tylu latach praktyki, pomyślał w przebłysku czarnego humoru, powinienem być mistrzem w sztuce ujarzmiania samego siebie! A jednak nie zdołał pozbyć się prześladowcy. Ten upiór, pozbawiony głosu i kształtu, raził go huraganowym ogniem niepowiązanych ze sobą obrazów z

przeszłości; był kwintesencją wszelkiego zła, z jakim Hart zetknął się w życiu.

Ścisnął mocno głowę rękami, ale zaraz cofnął je z gniewem. Poddawanie się tej słabości było podłym tchórzostwem! Zwłaszcza teraz, szydził sam z siebie, jak mógł sobie na coś takiego pozwolić?! To przecież tylko majaki, na litość boską!

Odwrócił się gwałtownie i chwycił ubranie leżące na kredensie. Wskoczył w bryczesy, narzucił batystową koszulę, szyję owinął krawatem. Wyciągnął z kufra leżącą na samym wierzchu kurtkę do konnej jazdy i ruszył ku drzwiom. Gorączkowe kroki, stłumione przez puszysty dywan z Aubusson, świadczył o tym, że była to paniczna ucieczka.

Niebo rozpościerało się nad nim jak szarawy wilgotny koc. Mgła wciśkała się między mokre od deszczu pnie drzew i zalegała nisko przy gruncie wzdłuż całej drogi. Hart pochylił się nad karkiem młodego, nie w pełni jeszcze ujeżdżonego wierzchowca i zmusił go do galopu po tonącym we mgle trakcie. Wąłach szarpał wędzidło; jego wysilony, chrapliwy oddech mącił ciszę. Zwierzę ze wszystkich sił opierało się żelaznej woli jeźdźca.

Ten zaś dokładał sił, by ujarzmić konia. Kłut go ostrogami i gnał, aż piana z udręczonego pyska spryskała jeździecką kurtkę, a bryczesy na udach przesiąkły końskim potem. Opamiętał się dopiero wówczas, gdy spostrzegł, że mięśnie wierzchowca dygoczą jeszcze silniej od jego własnych rozedrganych mięśni. Pofolgował zwierzęciu, z galopu przeszedł w stępa. Jęknął i pochylił się w siodle tak nisko, że dotknął czołem spienionej końskiej szyi.

- Wybacz... - szepnął.

Koń zarżał gniewnie, szarpnął głową, wyrwał oczami i stanął na zadnich nogach.

- Ach, ty diable! - mruknął Hart. - Omal cię nie zabiłem, a ty nadal walczysz? Wolisz zginąć, niż zmienić się w potulnego niewolnika?

Przystanął i wpatrywał się posępnym wzrokiem w ciemną linię odległego lasu. Zbierał siły do powrotu. Nie ucieknie przed upiorami, które siedzą mu na karku!

I nagle w pełnej napięcia ciszy, odmierzanej mocnym, spiesznym rytmem serca, dotarł do niego jakiś słaby, świszczący odgłos. Wyteżył wzrok.

W niewielkiej odległości, wyżej na zboczu, po którym pięła się droga, ujrzał kobiecą postać. Z wyraźnym trudem szła w jego stronę, smaga-

jąc wściekle trawę gałęzią odartą z liści. Pierwsze promienie słońca oświetlały od tyłu jej ramiona i rozwichrzone włosy, które ognistą aureolą otaczały tonącą w cieniu twarz. Hart przechylił głowę na bok i nasłuchiwał. Z powiewem chłodnego porannego wiatru doleciało do niego niezbyt melodyjne podśpiewywanie.

Mercy Coltrane!

Podniosła właśnie oczy i dostrzegła go. Krew odpłynęła z jego pociągłej twarzy. Zobaczy go w takim stanie... Cóż za upokorzenie! Przynajmniej tego mogłeś mi oszczędzić, Boże! Ale Bóg nie miał litości dla słabeuszy.

-Widziałeś mojego konia?! -zawołała; chciała do niego podbiec, ale zaraz skrzywiła się z bólu i przystanąła.

Zaczerpnął wielki haust powietrza. Niepokój o Mercy okazał się silniejszy od czających się w jego mózgu upiorów.

- Dlaczego utykasz? - spytał ochrypłym głosem. - Coś ci się stało?

-Nie, nie! -zapewniła go. -Wszystko w porządku. No... prawie wszystko. Te przekłete buty do końskiej jazdy nie nadają się do spacerów! Jestem pewna, że mam na piętach pęcherze wielkości gwinei! Ale mów: widziałeś mojego konia?

Hart odprężył się wyraźnie, a Mercy wykrzywiła śliczne usta i zmarszczyła brwi. Była uosobieniem niewinności, gdy stała tak z pochyloną na bok głową i włosami opadającymi na ramiona. Nie wiedziała nic o upiorach, które czaiły się pod pozorem jego sztucznego spokoju, wołając o głos. Najwyższym wysiłkiem woli przybrał niewzruszony wyraz twarzy.

Mercy zaczęła rytmicznie tupać i spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem. Od bardzo dawna Hart nie przyprawił nikogo o irytację. Zdarzało się, że kogoś przeraził, onieśmielił albo rozjuszył... ale jeszcze nigdy nie zniecierpliwiał. To było zupełnie nowe doznanie - zostać potraktowanym tak całkiem bez szacunku. Ożywcza odmiana.

- No i co? Mowę ci odjęło? A może widziałeś dziś rano tyle koni bez jeźdźca, że nie możesz się połapać, o którego chodzi? -I bezczelnie uniosła brew.

Przyjrzał się jej bacznie i pojął, że Mercy nie zwróciła uwagi na jego zmierzwione włosy i stężałą twarz. Nikły cień dawnego Harta zachwyił się młodością i swobodą dziewczyny. Dojrzały mężczyzna, którym był obecnie, zareagował na jej doskonałą, pozbawioną wszelkiej sztuczności kobiecość.

Dlaczego? - zadawał sobie pytanie. Dlaczego właśnie teraz uświadomił sobie w pełni pożądanie, jakie wzbudziła w nim od pierwszej chwi-

li? Pewnie dlatego, że był zbyt wyczerpany, by z uporem przeczyć oczywistości. Zresztą jakie to ma znaczenie, że przestał się okłamywać? Przecież to niczego nie zmieni!

Przyglądała mu się uważnie. Dostrzegł na jej twarzy cień niepokoju. A może to był strach? Pewnie uświadomiła sobie, że są sami na tym odludziu. Wezbrał w nim gorzki śmiech. Za późno, moja panno! - pomyślał, zanim spytał głośno:

- Co się właściwie stało?

Niepokój Mercy znikł; zastąpił go wyraz rozżalenia. Westchnęła i odrzuciła gałąź.

- Sama bym chciała wiedzieć! Ja... - Zerknęła na Harta i wciągnęła głęboko powietrze. - Ześlizgnęłam się z siodła i spadłam!

Wybuchnął śmiechem, zaskoczony nie tylko tym, że zdołała go rozśmieszyć w takiej chwili, ale i tym, że rozbawienie może iść w parze z pożądaniem, nie gasząc go, lecz jeszcze mocniej rozpalając, dodając pikanterii zmysłowemu marzeniom. A nie da się ukryć, że były zmysłowe.

Wodził po niej spojrzeniem spod powiek. Nie uszła jego uwagi ani wypukłość piersi pod żakietem amazonki, ani wymownie zaokrąglona z tyłu spódnica. Dzięki Bogu, że Mercy nie mogła czytać mu w myślach i nie miała pojęcia, jak całe jego ciało reaguje na jej ciepły, rozkoszny śmiech!

Uśmiechnęła się szeroko; była zadowolona, że go rozbawiła. Hart zaczął drwić z samego siebie. Jakże łatwo sforsowała barierę jego samokontroli, dzięki której utrzymywał się przy zdrowych zmysłach!

- Nie mogę liczyć na twoją dyskrecję, prawda? - spytała przekornie.

Odpowiedział leniwym uśmiechem i zsiadł z konia. Jakże tu się z nią nie droczyć?

- I tak na nianie liczyłam! - Potrząsnęła głową i gęste lśniące włosy opadły na jedno ramię.

Pragnął pochwycić jedwabiste pasma i zamknąć je w dłoni. Zetrzeć delikatnie grudkę błota z jej policzka. Przesunąć palcem po cudownym łuku szyi.

Pragnął poczuć jej smak.

Zaskoczyło go własne pożądanie. Nigdy nie traktował seksu jak lekarstwa na swoje cierpienie. W Afryce Północnej, w Nowym Meksyku, w Teksasie widywał nieraz mężczyzn, którzy świętowali swe ocalenie w tak pierwotny sposób. On jednak nigdy nie przyłączył się do nich.

Śmierć, którą musiał zadawać, i ta, której udało mu się uniknąć, sprawiła, że czuł przytłaczającą pustkę. Nie miał wówczas nic do ofiarowania, a tym bardziej nie był w stanie nic przyjąć. Teraz jednak, gdy spoglą-

dał na Mercy Coltrane, weszła w nim fala pożądania, wdzierając się do lodowej fortecy, skąd czuwał nieustannie nad sytuacją.

Oderwał wzrok od zagadkowych, złotozielonych oczu Mercy. Gdyby patrzył w nie dłużej, musiałby jej dotknąć. I nie poprzestałby na jednym dotknięciu. Nie zamierzał wystawiać na próbę swego opanowania. Przekonał się już, ile było warte! A jednak- zdumiewające! - nie odczuwał już paniki. Jedynie lekki niepokój. Zaczął się rozglądać dookoła, byle tylko nie patrzeć na dziewczynę. I nagle coś sobie uświadomił.

- Gdzie stajenny? - spytał.

- Jaki stajenny? - mruknęła, odwracając oczy.

- Co takiego?! - Zmarszczył brwi. - Wyjechałaś bez eskorty?

- Jeżdżę tak co rano. - Mówiła zadziornym tonem, ale wzrok utkwiła w ziemi. - Bez żadnych stajennych! Nie znoszę, kiedy ktoś ciągle się koło mnie płacze!

Podniosła wzrok i ucięła wszelkie protesty gestem ręki. Jej palce wyglądały na spierzchnięte. Z pewnością zmarzła.

- Możesz sobie darować te oburzone miny! Księżna wie o tym. Uznała to za jeszcze jedno amerykańskie dziwactwo.

Widocznie wyrwał mu się pomruk dezaprobaty, kiedy patrzył na ręce Mercy. Prychnęła pogardliwie.

- Zachowuję się bardzo dyskretnie. Wymykam się dość wcześnie, żeby być na posterunku w pełnej gali, kiedy twoi arystokratyczni przyjaciele raczą wstać z łóżka!

- Dość wcześnie?! - syknął Hart, zły na dziewczynę, że nie dba ani o własne bezpieczeństwo, ani o dobrą opinię. - Nie ma jeszcze szóstej! Gdybyś nie natknęła się na mnie przypadkiem, miałabyś przed sobą dobrych kilka godzin marszu na piechotę! Nie jesteśmy co prawda w Teksasie, ale i tutaj może przydarzyć się coś złego nierozsądnej, impulsywnej, samotnej młodej damie.

- To był zwykły pech! Jeśli myślisz, że będę siedziała w pokoju i trzęsła się na myśl, co też by się stało, gdybym wyjrzała na zewnątrz, to mnie jeszcze nie znasz! Jeśli się czegoś boję, to chyba tego, że z powodu tych pęcherzy nie będę mogła tańczyć na balu u Actonów! - oświadczyła. - A w ogóle jak można marnować taki śliczny ranek w łóżku tylko dlatego, że mogłoby się coś złego przydarzyć?! Ty przecież nie kulisz się ze strachu pod kołdrą!

Nie miała pojęcia, jak bliska była prawdy.

- Jesteś pewna, że chciałabyś wiedzieć, co mnie zatrzymałoby w łóżku? - spytał półgłosem.

Zarumieniła się i odwróciła wzrok.

- To była niemądra uwaga - powiedział, przeklinając się w duchu. Czemu tak paskudnie ją potraktował? - Wybacz mi! A teraz musimy wracać. Pomogę ci wsiąść.

- Na twojego konia?

- Właśnie.

Spojrzała podejrzliwie na niespokojnego wałacha.

- A potem?

- Potem cię poprowadzę do domu.

- Jeśli tak uważasz...

Pokuśtykała w stronę konia i chwyciła za brzeg siodła. Hart pochylił się i wyciągnął dłoń, by miała na czym postawić stopę. Kiedy jednak Mercy podciągnięta spódnicę, wałach spłoszył się, zaczął parskać i brykać. Spłaszczony uszy przylgnęły do kształtnego łba.

- Coś mi się zdaje, że koń tak samo nie znosi kobiet jak jeździec! - burknęła Mercy i cofnęła się, opuszczając spódnicę.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zdumiał się Hart i trzepnął lejcami, by poskromić krnąbrne zwierzę.

- Bo ja wiem? Zapomnij o tym.

- Ja bardzo lubię kobiety!

- Jeśli tak twierdzisz...

- Nie podoba mi się to wyrażenie, zwłaszcza w twoich ustach. Brzmi dość nieszczerze.

- Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Może tylko ja nie przypadłam do gustu ani tobie, ani twemu koniowi.

- Wcale mnie nie uraziłaś - odparł. - Po prostu nie masz racji. Jestem pełen podziwu dla kobiet. I dla ciebie. Ja tylko...

- Naprawdę? - Jej niesamowite oczy jeszcze się rozszerzyły. Błyszczały niekłamaną radością. Tak się ucieszyła z jego podziwu? Cóż za pomysł! Ten koszmar senny pozbawił go widać rozumu.

- Oczywiście, że tak - powiedział, raz jeszcze podprowadzając do niej konia. - Jesteś szczerą. Jesteś inteligentną. A twoja troska o brata, choć to przykład źle ulokowanej lojalności, jest również godna podziwu.

-Aha! - W jej głosie brzmiało wyraźne rozczarowanie.

Cóż ona spodziewała się usłyszeć?! Że wczoraj wieczorem na tym przeklętym przyjęciu przez cały czas nadstawiał uszu, by nie stracić żadnego jej słowa? Że łowił każde jej spojrzenie, że czekał na najmniejszy dowód, że dostrzeżę jego obecność? Jak niedowarzony młokos!

Mercy odwróciła się od niego i ze spuszczoną głową poprawiała coś przy siodle. Jej pokryty puszką kark wydawał się kruchy i bezbronny. Hart odchrząknął.

- Może spróbujemy jeszcze raz?

Próbowali niejeden, ale pół tuzina razy. Za każdym razem kapryśny wałach uskakiwał raptownie. W końcu Mercy wzięła się pod boki, wysunęła brodę i oświadczyła stanowczo:

- Wsiądziesz pierwszy, a potem wciągniesz mnie. Nie ma innej rady. Ja nie dojdę na piechotę, a on nie uznaje damskiej ręki.

- Niech będzie - zgodził się Hart, kiedy wałach raz jeszcze wyszczerzył zęby i stanął dęba. Wskoczył na siodło i wyciągnął rękę do Mercy. Zawahała się na sekundę, nim ją ujęła. Nie mylił się: dłoń miała szorstką i zziębniętą. Odbiła się od ziemi, a on pociągnął ją w górę, schwycił w pasie i posadził bokiem tuż przed sobą.

Poczuł miękki dotyk jej ciała. Delikatną woń zmoczonych deszczem paproci, pod którą czaił się zapach mydła. Jakaż była ciepła i słodko zakrąglona!

Kiedy jednak trącił wałacha, ciesząc się z góry na długą, długą jazdę, znów wpadł w panikę. Wynikała ona z całkiem innej przyczyny niż trwoga, która wyгнаła go z domu.

- Jak to się stało, że koń cię zrzucił? - odezwał się wreszcie, gdy przebyli kilka kilometrów w kompletnym milczeniu. Książęca rezydencja majaczyła już na horyzoncie, ale Hart czuł, że nie znieśie dłużej tej przymusowej intymności i ciszy.

Musi zająć się czymś innym, oderwać się od myśli o bliskości Mercy, o objaniu się miękkiej pupy o wnętrze jego ud, o dziewczęcych plecach napierających na jego klatkę piersiową, o zapachu jej ciała... Nie ważne, że Mercy była szczelnie spowita w grubą wełnę. Czuł się tak, jakby tulił ją nagusieńką.

A co gorsza, widział wyraźnie, że i ona czuje się nieswojo w jego ramionach. Przyczyny były, oczywiście, krańcowo odmienne: Mercy przeszkadzała panińska skromność, a jemu dojmująca żądza. Zapragnął, by zapomniała o krępującej ją pruderii. Uznał jednak to pragnienie za dowód swej dwulicowości - choć zżymał się na brak rozwagi Mercy w kontaktach z innymi mężczyznami, chciał, by wyzbyła się oporów w stosunku do niego.

- No więc, Mercy? - dopytywał się z nutką desperacji. - Jak do tego doszło?

Zerknęła na niego z ukosa.

- To chyba był kłusownik - wymamrotała.

Zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz?

- Ktoś strzelił. Mój koń się spłoszył i zrzucił mnie. A ja... - zerknęła na Harta zza firanki sobolowych rżęs - nie bardzo uważałam na drogę.

- Nikt się nie pokazał, żeby sprawdzić, czy coś ci się nie stało? Potrząsnęła głową. Poczul na wargach chłodne muśnięcie jedwabistych włosów.

- Wołałam, ale nikt się nie odezwał. Pewnie kłusownicy zobaczyli, że nic mi nie jest, więc wzięli nogi za pas.

- Być może - mruknął, rozważając jej słowa. Kłusownicy? Przecież oprócz ptaków oraz oswojonych saren i jeleni Actona nie było tu żadnej zwierzyny! Zbyt blisko Londynu.

- To w końcu nie ma znaczenia, prawda? Nic złego się nie stało. - Rzuciła mu przekorne spojrzenie. - A na balu zatańczę, choćby na bosaka! Jestem pewna, że wcale by cię to nie zdziwiło.

Nie odpowiedział. Mercy zamilkła na chwilę, po czym odwróciła się twarzą do niego i spojrzała mu poważnie w oczy. Wąłach, zirykowany tym nagłym ruchem, znów zaczął brykać. Chcąc zachować równowagę, Mercy oparła się ręką o pierś Harta. Czuł wyraźnie dotyk każdego jej palca: lewy kciuk tuż nad sercem, mały palec niemal dotykał sutka i parzył go jak ogniem przez cienką koszulę. Poczul suchość w ustach.

-Ja... chciałam ci podziękować -powiedziała Mercy. -Byłeś dla mnie taki dobry, a wcale na to nie zasłużyłam. Sama nie wiem, czemu stale mnie kusisz, żeby ci robić na złość!

- Naprawdę? - wymamrotał. Dłoń Mercy to podskakiwała, to opadała w rytm jego gwałtownych wdechów i wydechów.

- Naprawdę. I zdaję sobie sprawę- przyznała niechętnie - że robięś te wszystkie niemiłe uwagi dla mego dobra.

- O, tak! Jestem ucieleśnieniem altruizmu - odparł, obserwując grę uczuć na jej twarzy. Najpierw pojawiła się podejrzliwość, ale zaraz ustąpiła miejsca rozbawieniu.

- Chyba nie powinnam była zwabiać cię do biblioteki... - wyznała cichutko.

- Istotnie. - Pochylił się, by lepiej ją słyszeć. Ich głowy znalazły się bardzo blisko siebie. Czuł jej oddech, wyraźnie widział cynamonowe piegi na policzkach.

-I nie należało przypominać ci o dawnej znajomości, o której wolałbyś zapomnieć. - Jeszcze jedno zdyszane przeprosiny.

Jej wargi lekko się rozchyliły, pozwalając dostrzec cieniste wnętrze ust. Hart przesłonił oczy powiekami, by nie mogła dostrzec w jego wzroku gwałtownej żądz i nie domyśliła się, kto jest jej obiektem. Chyba

jednak wybieg się nie udał, gdyż oczy Mercy rozszerzyły się nagle, jakby czytała w jego myślach.

- Nie należało - odparł.

- Byłam dla ciebie niesprawiedliwa - szepnęła, wpatrując się w niego. Jej oczy były tak blisko... W ich lśniącej zielonej głębi ujrzał zdumienie i niedowierzanie. A jednak nie cofnęła się!

- Bez wątpienia - odparł i dotknął ustami jej ust. Poczłł, jak drzą. - A to - dodał, cofając głowę - jest jeszcze mniej rozsądne.

- Bez wątpienia... - powtórzyła szeptem, nadal wpatrując się w jego oczy. Niemądra dziewczyna! To ją zgubiło.

Otoczył ją ramieniem w pasie i przyciągnął do siebie. Drugą ręką objął od tyłu jej głowę, naprowadzając jej niestawiające oporu usta ku swoim.

-1 wyjątkowo niebezpieczne - wymamrotał i przyłgnął wargami do jej warg.

U

P

JL owinnał mu coś powiedzieć, myślała oszołomiona Mercy, gdy Hart podniósł wreszcie głowę. Rzucić jakąś wyrafinowaną, kąśliwą, pogardliwą uwagę. Coś, co dowiodłoby mu, że znał się na takich sztuczkach równie dobrze jak on!... Bo to przecież była sprytna sztuczka, nic innego, myślała. Lekcja rozumu dla naiwnej Amerykanki! Dlatego właśnie powiedział, że to wyjątkowo groźne...

Nie miała jednak pojęcia, co mogłaby mu powiedzieć. Zagubiła się ze szczeniem w emocjach, jakie w niej budził. Bezradnie spojrzła w oczy podobne do morza nie tylko z barwy; zimne i niezgłębione. On też patrzył na nią. Jego twarz była jak nieprzenikniona maska. Jedynie lekki rumieniec świadczył o tym, że pocałunek na nim też zrobił pewne wrażenie.

Otworzyła usta, zamierzając coś powiedzieć. Ten niewielki ruch natychmiast przyciągnął jego drapieżny wzrok. Usłyszała, jak wstrzymał oddech, dostrzegła rozdęte nozdrza, wyczuła dreszcz, który przebiegł mu przez pierś; pod jej dłonią sprężyły się mięsy.

- O Boże! - westchnął i znów zaczął ją całować. Jego usta były gorące i zaborcze, ramiona obejmowały ją jeszcze mocniej.

Ależ jestem naiwna! - pomyślała, obejmując go za szyję, i przytuliła się, całkiem bezsilna. Całowała się już z kilkoma kowbojami, ale te nie-

śmiało, ukradkowe całusy nie przygotowały jej na ten... żywioł! Namiętność Harta przestraszyła ją nieco, ale przede wszystkim podnieciła, budząc w niej równie silne pożądanie.

Każda pieszczota ruchliwych rąk Harta, błędzących po jej brzuchu i piersi, uświadamiała Mercy potęgę jej własnej namiętności. Czuli się całkowicie bezradni w obliczu pożądania, które Hart w niej rozniecił. Kiedy zaś poczuła na wargach jego gorący oddech, wszelkie myśli uciekły jej z głowy.

Nie odtrąciła mnie! - pomyślał z niebotycznym zdumieniem. A gdy tuliła się do niego, był jej wdzięczny bez względu na to, czy przyłgnęła tylko dlatego, że nie miała innego oparcia, czy dlatego, że pragnęła jego bliskości. Tak czy owak, był to cudowny dar i pragnął go odwzajemnić. Z każdą chwilą przytulał ją mocniej i całował słodkie aksamitne wargi. Ona zaś pod wpływem jego ognia także stanęła cała w płomieniach. Wyrażała swe pragnienia równie żarliwie jak on, przeżyła się ku niemu, obejmowała dłońmi jego głowę, przyciągając go do swoich ust.

Z własnej woli rozchyliła wargi. Ta szczodrość wywołała w nim reakcję tak namiętną, że cały świat zawirował wokół niego. Przerzucił nogę przez siodło i przycisnąwszy Mercy mocno do siebie, zsunął się wraz z nią na ziemię. Ale nawet ta bliskość mu nie wystarczała. Pragnął więcej. Pochylając się nad cudownym kobiecym ciałem, które rwało się ku niemu, zapragnął choćby namiastki tej bliskości i wtargnął do wnętrza ciepłych wilgotnych ust. Jakaż była słodka, jaka namiętna...

Poczuł nieśmiało muśnięcie jej języka. Zanurzył się głębiej, błagając o więcej, jeszcze więcej... pieszczotą języka, warg i dłoni. Mercy jęknęła cichutko. Był to ledwie dosłyszalny jęk, ale świadczył o jej całkowitym zapamiętaniu. Zbudził uśpione sumienie Harta, które przemówiło nagle wielkim głosem. Hart cofnął się i spojrzał na jej rozognioną twarz, na zaróżowione policzki ocienione półksiężycami rzęs.

Mercy zawierzyła mu całą siebie, zaufała mu bez reszty. Bez względu na to, jaką namiętność w niej rozbudził, nie posunie się dalej, niż mogła mu ofiarować bez ujmy dla siebie. Jego własne pożądanie było teraz bez znaczenia. Raptownie postawił ją na nogi.

Zamrugła półprzytomna, ze spuchniętymi od pocałunków ustami, z opadającymi na plecy włosami. Sam je rozwichrzył i ręce, które trzymał teraz po bokach, aż drżały z pragnienia, by znów się zanurzyć w jedwabistym gąszczu. Siłą woli nakazał im spokój. Nie obejmie jej znowu!

- O Boże... - szepnęła.

- Właśnie - odparł zdumiony, że tak go roznamiętnił niewinny pocałunek i kilka pieszczot, może nieco mniej niewinnych... Nie był pewien, jak Mercy wytłumaczy sobie tę zwięzłą odpowiedź.

-A więc dowiodłeś swego! - powiedziała, odwracając wzrok. Policzki jej kwitły jak róże. - Miałaś rację.

- Cóż to ma znaczyć?

- Że jestem wulgarna i łatwa... A jeśli nie występna, to tylko z braku okazji.

Sposób, w jaki Hart dowiódł jej, że bez trudu może doprowadzić ją do całkowitej uległości, był dla Mercy bardzo bolesny. Pragnęła więc i jemu sprawić ból. Jej słowa trafiły w czułe miejsce. Wyraźnie zbladł.

- Doskonale zrozumiałam, co chciałeś mi udowodnić!

- A mianowicie? - spytał szorstkim głosem.

- Że nie potrafię sama się upilnować. Że powinnam być wyjątkowo ostrożna, gdyż drze mię we mnie instynkty niegodne damy. Że w ogóle, jak mi umiejętnie zademonstrowałeś, nie zasługuję na to miano.

- Instynkty niegodne damy... - Wydawał się naprawdę zbity z tropu.

- Tak! Jestem pewna, że... - zdławiła szloch - żadna z twoich sióstr nie zareagowałaby na pocałunek w ten sposób.

- Nie mam pojęcia - odparł całkiem oszołomiony.

-Aleja mam! Z pewnością nie czułyby tego wszystkiego, co ja czułam, kiedy mnie całowałeś. Przyzwoite kobiety tak nie reagują!

- Jesteś pewna, że nie upadłaś na głowę, kiedy koń cię zrzucił?

- Dość tych kpin! Czytałam wiele książek na temat właściwego zachowania i... i innych kobiecych spraw. Wszyscy autorzy są zgodni, że przyzwoita kobieta nie odczuwa żadnego podniecenia podczas... intymnych pieszczot. - Oczy jej napełniły się łzami. Otarła je niecierpliwym gestem. Popatrzyła na Harta z taką godnością, na jaką mogła się zdobyć. Nie było to łatwe, zważywszy, że miała wciąż przed oczami kształt jego ust i czuła nadal ich dotyk.

Hart potrząsnął głową. Dostrzegła w jego jasnych oczach cień gorzkiego smutku, błysk rozpacz, niezaspokojone pragnienie... Jak mogła uważać jego twarz za nieprzeniknioną maskę? Nieustannie odbijały się na niej ledwie dostrzegalne emocje. Wystarczyło uważnie się przyjrzeć. Wyciągnął do niej rękę i Mercy pomyślała, że znów ją obejmie. Nie opierałaby się; prawdę mówiąc, pochyliła się już ku niemu, ale Hart uniósł tylko jednym palcem jej podbródek.

- Jesteś prześliczna i zachowujesz się całkiem naturalnie - powiedział.

Zrozumiał wreszcie, co ją trapi. Mercy myślała, że pocałował ją tylko po to, by dać jej nauczkę, udowodnić, jaka jest bezbronna i wyzwolić

w niej najniższe instynkty. Nie mógł pozwolić, by trwała nadal w tym błędnym mniemaniu.

- Każdy normalny mężczyzna szalałby z radości, że swym pocałunkiem może obudzić w tobie coś więcej niż ciekawość. Dama nie musi być nieczuła, Mercy, bez względu na to, co wypisują na ten temat faworyzowani przez wyższe sfery pismacy!

Kiedy nic nie odpowiedziała, cofnął się o krok i rzucił okiem w kierunku domu. Nie miał teraz czasu na przekonywanie Mercy, a sądząc z ognistych rumieńców, które nie znikły z jej policzków, uparcie trzymała się rzekomego pewnika, że szlachetna kobiecość jest równoznaczna z oziębłością.

Nie mógł nic na to poradzić, szarpnął więc za cugle, przyciągając opornego wałacha. W każdej chwili ktoś mógł wyrzeć z okna i ich dostrzec. I wtedy Mercy będzie rzeczywiście skompromitowana. Bo choć zapewniał dziewczynę, że jej reakcje są całkiem naturalne, wiedział aż za dobrze, jak nienaturalne reguły obowiązują w tak zwanym wielkim świecie. A ponieważ Mercy zamierzała żyć zgodnie z panującymi tam zasadami, lepiej się pośpieszyć.

- Nie musisz sobie niczego wyrzucać, Mercy. To ja ponoszę winę za wszystko, co się wydarzyło. To ja wykorzystałem sytuację, w której byłabyś absolutnie bezpieczna... gdybym okazał się dżentelmenem. Błagam o przebaczenie.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Bierzesz na siebie całą winę za nasze... za moje...

- Za moje pocałunki? Tak! - odparł zwięźle. W jednym z okien górnego piętra rezydencji Actonów błysnęło światło.

- Cóż za szlachetność! - nachmurzyła się. - A co ze mną? Czyżbym była... - szukała odpowiedniego określenia i znalazłszy je, nie wydawała się wcale zachwycona - ..nieświadomą ofiarą?

Poczuł ucisk w piersi.

- Jeśli tak to odczuwasz... - powiedział niewesoło.

-Wcale nie! -wykrzyknęła. -Można rozmaicie określić moje zachowanie, ale z pewnością nie byłam nieświadoma! Dowiedz się, że i ja ciebie całowałam... jeśli sam tego nie zauważyłeś!

Popatrzył na nią, czując, że budzi się w nim niebezpieczna wesołość.

- Chyba jednak zauważyłem.

- To dobrze! - Zaczerwieniła się, a on zapragnął znów chwycić ją w ramiona. - Ponoszę taką samą winę za to, co się stało. Chociaż mnie uprzedziłeś, że to nierozważne. I wiesz co? Nigdy nie mówiłam, że chcę być prawdziwą damą! - Zaczęła z wielkim zapałem wygładzać spód-

nicę. - A teraz przestańmy się wreszcie sprzeczać, kto jest bardziej winny!

Skinął głową z uśmiechem.

- Zgoda! Wracajmy lepiej do domu, nim zauważą naszą nieobecność. - Wskoczył na siodło i wyciągnął rękę do Mercy. Pozwoliła, by jej dopomógł; posadził ją przed sobą.

Ależ ze mnie oszustka, dumiała Mercy, i wulgarna dziewczyna! Zawsze to podejrzewałam. Czemu Hart próbował mnie przekonać, że tak nie jest?...

Postanowiła w pełni wykorzystać następnych kilka minut, zanim Hart Moreland wypuści ją z objęć. Była pewna, że nigdy więcej nie znajdzie się w jego ramionach.

Oparła się więc o niewzruszony mur jego piersi, zaszyła między poły rozpiętej kurtki i cichutko westchnąwszy, przytuliła się do niego policzkiem. Żar ciała Harta parzył ją przez cienki batyst koszuli. Jego serce biło mocno pod samym jej uchem. Przylgnęła jeszcze mocniej i poczuła, że ramię Harta obejmuje ją ciaśniej.

- Zaraz po powrocie zapomnimy o wszystkim, prawda? - spytała.

- Tego ci nie mogę obiecać - odparł cicho.

Mercy podziękowała Brennie za pomoc przy zdejmowaniu wieczorowej sukni i poleciła służącej, by poszła spać. Sama była zbyt podniecona, by zasnąć, ale tak pogrążona w myślach, że nie miała ochoty na pogawędkę. Zaskoczyło ją, że Brenna czekała na nią w sypialni. Było już późno, dobrze po północy; Mercy wróciła na górę jako jedna z ostatnich.

Była przez cały wieczór wzorowym gościem. Nawet wymagająca księżna Acton nie mogłaby jej niczego zarzucić. Mercy bawiła innych i pozwalała, by jej nadskakiwano. Była przyjacielska, ale nie zalotna. Dowcipna, ale nie siliła się na żarciki. I uśmiechała się przez cały czas. Och, ileż było tych uśmiechów! Aż rozboleły ją policzki!

Westchnęła i opuściła ramiona. Miejmy nadzieję, że Hart Moreland zauważył, że byłem duszą towarzystwa! -pomyślała. Uczucie samozadowolenia ją opuściło. W przyпіływie szczerości przyznała w duchu, że nie zdołała oszukać samej siebie. Przez cały dzień myślała tylko o namiętnym pocałunku Harta, o jego smukłych palcach pieszczących jej ciało przez fałdy ubrania, o jego gorących ustach i...

Niecierpliwym ruchem rzuciła szal na krzesło i podeszła do toaletki, rozplatając po drodze luźno upięte włosy. Usiadła na taborecie i zsunęła pantofle.

Tak bardzo starała się dorównać Hartowi w obojętności, z jaką-jej zdaniem - podchodził do porannego wydarzenia. Czym w końcu jest jeden pocałunek dla takiego światowca jak Hart? Flirtowała więc i chichotała, starając się ukryć przed nim za wszelką cenę, jak bardzo wstrząsnął nią jego pocałunek. Ale Hart Moreland doskonale wiedział, co o tym myśleć. Można to było poznać po jego wszechwiedzącym uśmiechu, który tak bardzo chciała ignorować.

A potem, wkrótce po obiedzie, kiedy to promieniała sztuczną wesołością, Hart nagle zniknął, pozostawiając ją w towarzystwie osób, które tak zawzięcie oszukiwała. Kiedy go zabrakło, wszystko straciło blask. Ożywiona rozmowa stała się płytka, wesołość wymuszona. Nawet wytworny dowcip Nathana Hillarda nie miał dla niej uroku.

Siedziała teraz, szcztokując automatycznie włosy, pogrążona w nie miłych myślach. Kiedy Nathan wpatrywał się w nią, dostrzegła w jego oczach słabe odbicie żarliwego spojrzenia Harta. Ale uśmiechali się w sposób diametralnie różny. W uśmiechu Harta było rozbawienie, a zarazem żal, podczas gdy uśmiech Hillarda był ciepły, pełen podziwu i czułości.

Nathan Hillard był przystojny i elegancki. Mama z pewnością uznałaby go za idealnego konkurenta! Mercy zadrżała i odłożyła szcztokę na blat toaletki. Trąciła przy tym niechcący kopertę opartą o dolną ramę lustra.

Odwróciła ją niedbale i ujrzała swe imię wypisane na gładkiej kremowej powierzchni. Rozerwała kopertę, wyjęła pojedynczą kartkę i rozłożyła ją. List nie miał nagłówka.

Potrzebuję pieniędzy, Mercy. I to bardzo. Wpadłem w tarapaty i nie mogę się wyplątać. Zrób to dla mnie, najdroższa siostrzyczko. Wystaraj się o trochę grosza, co najmniej pięć tysięcy funtów. Nie spraw mi zawodu, błagam! To strasznie ważne. Ci ludzie to prawdziwe potwory. Nie cofną się przed niczym. Masz na to tydzień. Chyba dadzą mi tyle czasu na zdobycie pieniędzy. Po tygodniu znów się odezwę.

Will

Po omacku sięgnęła po porzuconą kopertę. Obracała ją w palcach, chcąc się zorientować, skąd przysłano list. Nie odkryła niczego.

Myśli jej biegały jak oszalałe. Poprzednio Will domagał się znacznie mniejszych kwot. Ten list był okropny! Pismo brata można było określić tylko jako bazgroły, litery stawiał nierówno, jakby ręka mu się trzęsła.

Nawet czuły zwrot „najdroższa siostrzyczko” wydał się Mercy jakiś sztuczny, całkiem nie w stylu Willa.

Hart nie miał racji! Will nie należał do młodzieńców, którzy „muszą się wyszumieć”. Znalazł się w jakichś poważnych kłopotach. Chyba nawet jego życie było w niebezpieczeństwie.

A ona o nim zapomniała!

Zakryła twarz rękami, przerażona i ogarnięta skruchą. Jakże łatwo straciła z oczu cel swej wyprawy! Hart Moreland tak ją omotał, że całkiem zapomniała o bracie.

Podniosła się z trudem. Przepelniał ją wstyd. Musi odnaleźć Willa, nim stanie mu się coś złego! A jeśli jego prześladowcy nie zechcą czekać na pieniądze cały tydzień?... Trzeba koniecznie coś zrobić. I to już! Nie będzie siedzieć bezczynnie w rezydencji Actonów, zajadając ciasteczka i biorąc udział w zabawach towarzyskich, kiedy jej brat może zostać ranny... albo nawet zabity...

Rozejrzała się dokoła, jakby w tym luksusowym wnętrzu mogła znaleźć odpowiedź na dręczące ją pytanie. Wyczerpała już wszelkie dostępne sposoby. Do Actona nie mogła się zwrócić. Choćby nawet ze względu na nią sprzeciwił się woli matki, był uwięzany w rodzinnych dobrach. Cóż mógłby jej zaoferować prócz pocieszających słów?... Nie potrzebowała pociechy, tylko konkretnej pomocy!

Potrzebowała Harta.

Myśl o złamaniu przyrzeczenia była dla Mercy nieznośna. Poczucie winy ją przytłaczało. Ale nie mogła sobie pozwolić na skrupuły. Zrobi wszystko, byle ocalić brata!

Uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz. Był mroczny i całkiem pusty. Wszyscy spali. Mercy odetchnęła głęboko i podjęła ryzykowną decyzję. Hart zajmował narożny pokój przy końcu korytarza.

Wymknęła się z sypialni i ruszyła w tamtą stronę na palcach. W uszach rozbrzmiewało jej bicie własnego serca. Bała się zarówno przyłapania na nocnych wędrówkach, jak i reakcji Harta na jej żądania.

Dotarła do jego drzwi i chwyciła mosiężną klamkę. Nie skrzypnęła. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Mercy po cichutku wślizgnęła się do wnętrza.

Zamrugnęła, porażona nagłym blaskiem. Na kominku płonął jasny ogień, rzucając na ściany wielkie ruchliwe cienie. Reszta pokoju tonęła w mroku. Mercy rozejrzała się dokoła, szukając Harta.

Pośrodku wielkiej komnaty stało ogromne hebanowe łoże z baldachimem. Było puste. Na kapie z ciemnego brokatu nie dostrzegła ani jednej fałdki. Obok stała ława z ciemnego orzecha, a na niej otwarty kufer.

Z podniesionego wieka zwisało kilka sztuk garderoby. Oczy Mercy spoczęły na niewielkim poobijanym neseserze i parze podniszczonych butów. Na biurku leżało kilka dobiazgów toaletowych. Jakże niewiele zabierał ze sobą w podróż! A pod przeciwległą ścianą, w najdalszym, najciemniejszym kącie pokoju leżał na podłodze porządnie złożony koc i poduszka.

Dziwne! Mercy zmarszczyła brwi i zrobiła krok w tamtym kierunku.

Poczuła znany zapach drzewa sandałowego i koniaku, zanim jeszcze dostrzegła Harta. Stał w miejscu, gdzie głęboki mrok zmagął się z bijącym od kominka blaskiem. Pełna napięcia postać w rozchełstanej białej koszuli i czarnych spodniach. Mocna szyja omotana białym, rozwiązanym krawatem, szerokie ramiona, wąskie biodra. Włosy, które zarówno wchłaniały światło, jak i emanowały blaskiem. W księżycowej poświacie jego twarz była srebrna, oczy jak z kryształu. Czyżby stał tam przez cały czas, wpatrując się w nią tym swoim niesamowitym wzrokiem? Na tę myśl Mercy cofnęła się o krok.

- Co ty tu robisz, u diabła? - spytał Hart.

12

mógł uwierzyć, że ona tu jest - w jego pokoju w środku nocy, w domu jego przyszłego szwagra. Czyż nie wiedziała, że przychodząc tu, może zniweczyć przyszłość jego siostry? Jedna mała plamka na jego nazwisku, jedna ploteczka na jego temat - i Annabelle może zapomnieć o Jamesie Trencie, księciu Acton.

Hart potrząsnął głową, usiłując rozjaśnić myśli. Szkoda, że wypił tak dużo po opuszczeniu jadalni Actonów. Jadalni Actonów?! Kogóż on chciał oszukać? Opuścił Mercy Coltrane, bo nie mógł znieść jej uśmiechów i słów wypowiedzianych z miękkim, amerykańskim akcentem. Żaden uśmiech, żadne słowo nie było przeznaczone dla niego. Wszystkie dla Nathana Hillarda!

Alkohol mógł zamroczyć umysł Harta, lecz nie stąpił ostrza trawiącej go zazdrości. Ani straszliwego pożądania, które Mercy rozbudziła jednym pocałunkiem.

A teraz stała tu - smukła postać w długiej szacie, podobna do płaszących na ścianie cieni. Z plecami przyciśniętymi do zamkniętych drzwi jego sypialni. Z twarzą przysłoniętą woalem mroku.

Nie wyrzekła ani słowa. Słyszał jej gorączkowy oddech. Wpatrywał się w nią, wściekły na siebie za to, że nie potrafi wyrzucić jej z pokoju.

- Po co tu przysłaś? - Jego znizony głos dotarł do niej przez cały pokój. Polano na kominku trzasnęło, sypnął się rój iskier, oświetlając na krótką chwilę twarz Mercy. Była spięta i zdeterminowana. Twarz kobiety, która musi zdobyć to, na czym jej zależy.

Z pewnością nie chodziło o niego. Ta myśl zapiekła Harta żywym ogniem. Jego własne tęsknoty wzbudziły w nim gniew. Niech diabli wezmą tę czarownicę! Zmusiła go, by jej zapragnął! Gotowa zmusić do tego, by za kilka minut spędzonych razem z nią poświęcił przyszłość siostry!

- Przysłałam w sprawie mojej dawnej propozycji - odparła.

Roześmiał się nieprzyjemnie.

- Obejrzeć dokładnie towar przed dobieciem targu? - spytał szorstko, z gorzkim uśmiechem. - To przecież wasza amerykańska zasada: nie kupuj kota w worku!

- Nie! - zaoponowała, wyraźnie dotknięta.

Okazał się zbyt brutalny? Zbyt natarczywy? Do licha, czyż nie dlatego właśnie był potrzebny Coltrane'om?! Czy brutalna napaść... przemoc... nie były jego firmowym znakiem od dawien dawna?

- Zgoda, bardzo proszę! - oświadczył. Wyszarpnął koszulę ze spodni

i rozpiął pozostałe guziki, omal ich nie urywając. Ani na chwilę nie odwracał oczu od twarzy Mercy. Rozłożył szeroko poły koszuli, obnażając pierś. Obrócił się ze sztywno rozpostartymi rękami, z dłońmi zwróconymi ku górze, poddając się oględzinom.

Pragnął zobaczyć wyraz jej oczu. Co ujrzalby w nich teraz, gdy wpatrywała się w jego ciało? - Uznanie, obojętność czy pogardę?

Był jednak równie tchórzliwy, jak dwulicowy. Nawet w tej chwili, gdy stał niczym zwierzę wystawione na sprzedaż, miotał nim strach. Bał się, że nie uzyska aprobaty. Że nie spełni jej wymagań. Że Hillard okaże się lepszy. Że Mercy odwróci się i odejdzie.

Miał już prawie dwadzieścia osiem lat, a folgował swoim zmysłom tak rzadko, że mógł wyliczyć na palcach wszystkie zbliżenia. To nie były dla niego istotne problemy, a zbyt długi przymusowy celibat traktował najwyżej jak drobną niedogodność. Odkąd jednak ujrzął Mercy, owa niedogodność sprawiała mu dojmujący ból, była głęboką, wiecznie jęczącą się raną.

- Nie chodzi mi wcale o... Przysłałam tu dlatego, że musisz mi pomóc! Błagam cię, Hart!

Jej widoczny przestach otrzeźwił go. Zdusił w sobie pożądanie, ukrył je głęboko jak rozżarzony węgiel zakopany w śnieżnej zaspie. Od-

wrócił się od Mercy. Nie chciał, żeby spostrzegła, jak bardzo zaboląły go jej słowa. Oczywiście, że nie przyszła tu dla niego! Oczywiście...

- Wybacz, Mercy - powiedział i roześmiał się niewesoło. - Ostatnio stale ci to powtarzam.

Usłyszał, jak Mercy przetyka ślinę. Podeszła do ognia; ujrzał ją wyraźnie w migotliwym blasku. Wyraz twarzy miała niepewny, ruchy lękliwe. Włosy opadały jej na ramiona rubinowym płaszczem.

- Nie zrobię ci nic złego. Nawet się nie zbliżę - uspokoił ją. Trawiący go wstyd sprawił, że zabrzmiało to szorstko. Jakiż z niego głupiec! Mimo uroczego, obiecującego zapału, z jakim dziś rano odpowiedziała na jego pocałunek, Mercy nie miała pojęcia o cielesnych żądzach, które ostatnio tak go dręczyły.

- Powiedz, o co ci chodzi?

- O Willa.

- Już ci mówiłem, nie warto się nim przejmować!

- Dostałam od niego list. Błaga o pieniądze. - Podała mu trzymaną w ręce kartkę papieru.

Hart wziął list, przeczytał i zwrócił dziewczynie.

- No więc cóż? Zabrakło mu pieniędzy i tyle. Żebyś wiedziała, ile czytałem podobnych listów!

-Od kogo?

Zignorował jej pytanie.

- Nie warto ich posyłać. Na tym się nie skończy. Będzie następny list. Kolejne żądania. To po prostu szantaż moralny, Mercy - stwierdził i nagle poczuł ogromne zmęczenie.

- Tym razem to co innego! Will jest zrozpaczony! Wplątał się w jakieś tarapaty, jestem tego pewna! - mówiła błagalnym tonem.

- Zapomnij o nim, Mercy! - Ujął ją za ramię i odwróciwszy twarzą do drzwi, ruszył w tamtą stronę, popychając dziewczynę przed sobą. - Odpocznij, zażyj wiejskich rozkoszy u Actonów. Jedź do Londynu zakosztować wielkowiejskich uciech...

- Niech cię wszyscy diabli! - Wyrwała się i odwróciła gwałtownie, by spojrzeć mu z bliska w twarz. Jej pełne napięcia oczy płonęły. - Posłuchaj, mój brat potrzebuje pomocy! Muszę go ratować. A ty mi w tym pomożesz!

- Na to nie licz.

- Pomożesz! - Odetchnęła głęboko i dodała zniżonym, przenikliwym głosem: - Jak nie, rozpowiem wszystkim, że byłeś rewolwerowcem.

Była pewna, że Hart wybuchnie gniewem. Posunęła się stanowczo zbyt daleko, ale nie miała innego wyjścia. Był jej potrzebny. I gotowa była zapłacić każdą cenę.

Jego surowa twarz nagle znieruchomiła, straciła wszelki wyraz. Zachowywał się tak, jakby mówiła do niego w języku Indian. Błaski ognia lśniły na jego smukłym, muskularnym torsie jak szron na granicie. Niemal czuła bijący od niego chłód. Żył w nim tylko oczy, błyszczące i czujne.

- To szantaż? - spytał cicho.

Z trudem przełknęła ślinę.

-Tak.

Jego twarz stała się jeszcze bardziej napięta. Mercy dostrzegła na niej uśmiech; napełnił ją przerażeniem.

- A więc tyle jest warte twoje słowo - powiedział Hart.

- Dla takiej sprawy gotowam je złamać choćby tysiąc razy!

- Ładną sobie wybrałaś sprawę! - Szydercze słowa zawisły między nimi. - Orientujesz się chociaż, o co chodzi? Może twój brat jest hazardzistą karta mu nie szła. - Zrobił krok w jej kierunku. Mercy nie cofnęła się. - A może to żaloszny narkoman, którego nie stać na opium. - Wyciągnął rękę i musnął kostkami palców brodę Mercy. - Albo w jakiś inny sposób stoczył się jak śmieć do rynsztoka. Rozpił się, łajdaczył albo przepuszczał forszę na zakłady. Dofinansować kogoś takiego to naprawdę szczytny cel!

Wargi jej się trzęsły.

- Nic mnie to nie obchodzi! Nie dbam o to, co myślisz. Wiem tylko, że pomożesz mi go odnaleźć.

- Doprawdy? - szepnął. Jej skóra była delikatna i jedwabista. Znał już jej miękkość i wiedział, jak smukłe i kruche kości kryją się pod nią. Mercy drżała. Tętno u nasady jej szyi trzepotało dziko.

- Tak! - powiedziała cicho, ledwo ją usłyszał.

- Jestem bezwzględny, Mercy. Pozbawiony sumienia. Sądziłem, że zdajesz sobie z tego sprawę. Zwłaszcza po tym, jak cię potraktowałem dziś rano. - Głos Harta był niski i groźny, przypominał pomruk dzikiego kota. - I zawsze zdobywam to, na czym mi zależy. Czy jesteś pewna, że chcesz mi stawać na drodze?

Milczała.

- Powinnaś się mnie bać.

- Boję się.

- To dobrze - powiedział. - Wracaj do łóżka!

-Nie!

Napotkawszy opór, zmarszczył brwi. Skończyło się delikatne głaskanie po twarzy. Jego palce przesunęły się niżej, na szyję Mercy. Objął ją silnymi palcami, jakby chciał sprawdzić jej obwód. Nie zrobił tego brutalnie. Jego dotknięcie było przerażającą parodią czulej pieczyoty.

Patrzył na nią niemal obojętnie. Było to o wiele gorsze niż dławiący, brutalny uścisk. Prawdopodobieństwo użycia przemocy jest samo w sobie gwałtem. Hart doskonale o tym wiedział.

- Tak, tak i jeszcze raz tak! - szepnęła. A może jęknęła... - Tak, boję się ciebie! Czy właśnie to chciałeś usłyszeć? Ale nie poradzę sobie sama. Nie mam nikogo innego. A ty zdołasz odnaleźć Willa! - Mówiła coraz szybciej. - Jest gdzieś w Londynie. Na pewno szybko się uporasz z przeszukaniem miasta! W jednym z ostatnich listów Will wspomniał o jakimś lokalu czy klubie, który się nazywa Pawi Ogon. Będziesz wiedział, gdzie to jest. Z pewnością znasz podobne miejsca.

- Tak sądzisz? - Powiedział to groźnym tonem, w którym brzmiała nutka goryczy. Opuścił rękę.

- A w każdym razie potrafisz je odnaleźć. Mnie by się to z pewnością nie udało. Musisz mi pomóc!

I wówczas go dotknęła. Wyciągnęła rękę i rozpostartą dłonią dotknęła jego nagiej piersi, budząc tysiące niewypowiedzianych tęsknot. Wpatrywała się w niego błagalnym wzrokiem, bez śladu pożądania. Nie odrywał oczu od jej ręki, nie mogąc się napatrzeć na smukłe palce na swojej skórze. Mercy nie miała pojęcia, jak na niego działa. Nie dostrzegała niczego. Ważne było tylko to, czy zdoła go przekonać.

- Poświęć mi jeden tydzień - mówiła. - O nic więcej nie proszę. Jeden tydzień, zanim Will do mnie napisze, dokąd mam przesłać pieniądze.

- A potem czekać na kolejne żądania? - Głos Harta brzmiał dziwnie bezosobowo.

- Kto wie, co z nim będzie za tydzień? Może znajdzie się w jeszcze gorszych opałach? A jeśli ci ludzie, którzy mu grożą, nie zgodzą się czekać tak długo? Jeśli zażądają pieniędzy za trzy albo cztery dni...?

- Na pewno go nie zabiją, Mercy. Nikt nie zabija dłużnika, bo kto wie, może jeszcze zwróci pieniądze? Wiem o tym z własnego doświadczenia.

- Ale wyrządzą mu jakąś krzywdę!

- Możliwe.

Jęknęła mimo woli i zachwiała się na nogach.

- Dobry Boże! Nie mogę przecież stać beczynnym i pozwolić, by go skrzywdzili! Muszę ich powstrzymać! Nie rozumiesz?! Zrobiłbyś to samo, gdyby chodziło o twoje siostry!

Odpowiedziało jej milczenie.

Przygryzła dolną wargę. Czuł, że na widok choćby kropelki krwi ulegnie. Poczul wstręt do samego siebie. Zrozumiał, że jest w stanie poświęcić przyszłość własnych sióstr, byle tylko Mercy nie rozcięła sobie wargi! Napotkała jego wzrok i wyprostowała się.

- Zresztą jakie to ma znaczenie? - powiedziała. - Odnajdziesz Wila. Dobrze ci zapłacę. Obiecałam i zapłacę na pewno. Ale jeśli nie zaczniesz go szukać, szepnę Actonom słówko na temat twojej przeszłości. Kto wie, może i twoim siostrą? Czy one wiedzą, w jaki sposób podreperowałaś rodzinny majątek? Nie sądzę! Więc pojedziesz go szukać. Zaczniesz jutro wieczorem.

Odsunął się od niej, jakby budziła w nim wstręt. Podeszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

- O, tak. Zabiorę się do roboty.

Z cichym szlochem wyminęła go i wyszła na mroczny korytarz.

-1 z całą pewnością zażądam zapłaty! - rzucił za nią.

13

Był ostatnim głupcem, wierząc, że ta dziewczyna dotrzyma słowa! Ła-
twowiernym durniem! Jak długo trzymała język za zębami? Przez jedną dobę, psiakrew! - dumął Hart, oparty o ścianę małego salonu, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Przez cały ranek ścigał Mercy wzrokiem, całe popołudnie, całutki dzień. Nie zważał na ciekawskie spojrzenia innych gości, którzy w przyległym pokoju oczekiwali na kolejną rundę żywych obrazów. Kąciki ust Harta wyginały się w sardonicznym uśmiechu, ilekroć Mercy rzucała niespokojne spojrzenie w jego kierunku. W końcu Hillard - znowu on! - ujął ją pod ramię i wyprowadził z pokoju. Wielka szkoda, pomyślał z goryczą Hart. Amatorski zespół stracił wytrawną komediantkę!

Teraz, gdy Mercy odeszła, pozbawiając go niezbyt wyrafinowanej, lecz jakże pociągającej rozrywki, jaką było przyprawianie jej o dreszcze, Hart nie mógł usiedzieć na miejscu. Podeszedł do okna. Ładną porę wybrała na rozpoczęcie pościgu za swoim marnotrawnym bratem!

W nocy pogoda wyraźnie się pogorszyła. Niebiosa pluły lodowatym deszczem, który dudnił w okna, zdzierał szkarłatne liście z drzew i walił gniewnie o ziemię. Odzwierciedlało to idealnie stan ducha Harta. Przez cały dzień usiłował zdławić w sobie pociąg do tej amerykańskiej szantażystki. Przez cały dzień tłumaczył sobie, że dziewczyna haniebnie go wykorzystuje. Przez cały dzień... bez żadnego skutku.

Nie był w stanie powstrzymać reakcji własnego ciała, zarówno naporu w lędźwiach, gdy obserwował ruch jej warg, jak zajądłego bólu

w sercu, gdy przypominał sobie jej kłamstwa. On, który doprowadził do perfekcji sztukę samokontroli, nie mógł zdławić emocji, jakie budziła w nim ta śliczna... ta fałszywa amerykańska pannica!

Obejrzał się i skinął na lokaja, by podał mu kieliszek sherry. Miał szczerzy zamiar odnaleźć Willa Coltrane'a i przyciągnąć go za kark do stóp tej dziewczyny. Jeśli jest na świecie jakaś sprawiedliwość, to przekona Mercy, dla kogo poświęciła swój honor. Dla żadnego mocnych wrażeń goło węża o zbyt kosztownych zachciankach!

Opróżnił kieliszek i chciał już wyjść, gdy z pokoju bilardowego dobiegł gwar męskich głosów. Hart zatrzymał się. Od kilku godzin Acton z najbliższymi przyjaciółmi okupował to pomieszczenie. Annabelle przez cały ten czas dreptała za księżną wdową jak posłuszny piesek.

Hart zamierzał podejść do najmłodszej siostry, ale zaprzętała go bez reszty rozgrywka z Mercy. Głos Actona, dolatujący z pokoju bilardowego, przypominał mu o tym zamiarze. Chciał odszukać Annabelle i spytać ją bez ogródek, co się, u diabła, stało Actonowi?! Jednak siostra była od niego znacznie młodsza; czy podobna rozmowa nie wprawiłaby jej w zakłopotanie? Cóż on w końcu wiedział o Annabelle?

Rozejrzał się za innymi członkami rodziny. Może oni wyjaśnią mu, czemu książęce konkury utknęły w martwym punkcie? Richard i jego żona wycofali się do swego pokoju podczas lunchu, gdy Fanny zzieleniała nagle na widok węgorka w galarecie i faszzerowanego pstrąga na zimno. Beryl jeszcze wcześniej zaszyła się w jakimś ustronnym zakątku z żonami kilku wybitnych polityków. Pozostawał więc tylko Henley. Popijał właśnie herbatę w przeciwległym końcu salonu, przysłuchując się jednemu z monologów barona Coffeya.

Hart pochwycił spojrzenie szwagra i dał mu znak, by podszedł. Z lekkim grymasem na swej szczupłej twarzy Henley przeprosił barona i ruszył w jego stronę.

Hart patrzył z uwagą na zbliżającego się Wrexhalla. Ostatni rok spędził poza Anglią, więc się nie widywali. Szwagier zmienił się przez ten czas, i to nie na lepsze. Grymas rozdrażnienia osiadł na stałe w kącikach jego ust. Spojrzenie biegało niespokojnie po pokoju. Uśmiech nie był szczerzy, raczej dobrze wyćwiczony.

- Witaj, Hart! Nie miałem dotąd sposobności podziękować ci za wszystko, coś zrobił dla nas; dla Beryl, dla mnie i dla mojej kariery. Zdaję sobie w pełni sprawę z mego długu wdzięczności wobec ciebie. Wiem, że bez pomocy nie zdobyłbym takiej pozycji w parlamencie...

- Daj spokój! Jeśli ci się powiodło, bardzo się cieszę - przerwał mu, zbywając podziękowania machnięciem ręki. Henley poczerwieniał. -

Chciałbym wiedzieć, do licha, co to wszystko ma znaczyć - ciągnął dalej Hart.

Henley rzucił mu szybkie spojrzenie. Z zarumienionej przed chwilą twarzy odpłynęła nagle krew; stała się bezbarwna. Tym razem ciemne oczy nie biegały po sali. Nie odrywał ich od Harta.

- O co ci chodzi? - spytał, odstawiając filiżankę na pobliski stolik.

- O Annabelle. Co się, u diaska, popsulo między nią a księciem?

Henley westchnął cichutko, prawie niedosłyszalnie.

- Ach, o Annabelle...

W jego głosie zabrzmiało dziwne rozczarowanie w połączeniu z ulgą. Co się z nim dzieje, do diabła?!

- Właśnie, o Annabelle - potwierdził Hart. - Beryl dała mi do zrozumienia, że Acton ma poważne zamiary i zaręczyny zostaną ogłoszone lada chwila. Tymczasem po przyjeździe widzę, że wcale się na to nie zanoszą. Actonowi bynajmniej nie spieszą do ołtarza, a Annabelle, zamiast go oczarować swoim urokiem, zachowuje się przedziwnie.

- Tak uważasz?

- Tak. Możesz mi to wyjaśnić? Byłbym srodze zawiedziony, gdyby się okazało, że ściągnięto mnie do Anglii tylko po to, bym zakosztował wiejskich igraszek.

- Nie wątpię. - W głosie Henleya brzmiała jakaś zaczepna nuta. Odwrócił jednak oczy, nim Hart zdołał w nich cokolwiek wyczytać. - Oczywiście - wymamrotał. - To zupełnie zrozumiałe. Nigdy byśmy cię nie narazili na coś podobnego. Dobrze wiemy, czego sobie życzysz i jakie mamy wobec ciebie zobowiązania.

- Zobowiązania? - powtórzył Hart. To dziwne, szwagier po raz drugi wspominał o jakichś zobowiązaniach czy długach wdzięczności. Zachowywał się jak służący, na litość boską! Albo jak pokorny petent. Hart nie był w nastroju do takich komedii. - Co to za bzdury, Henley? Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań! Lubię mieć najświeższe informacje o konkurentach do ręki Annabelle, ale to raczej domena Beryl, nie twoja. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak stoją sprawy z Actonem.

Henley potulnie skinął głową, opuściła go wszelka zadziorność.

- Sam nie wiem - przyznał. - Wszyscy myśleliśmy, że Acton jest o krok od oświadczenia. Annabelle wydawała się bardzo zadowolona. Ale odkąd tu przyjechaliśmy, mała zamknęła się w sobie bardziej niż zwykle. A książkę... nie można powiedzieć, że się od niej odsunął, raczej się waha. Mam wrażenie, że coś... a może ktoś sprawił, że ogarnęły go wątpliwości.

-Ktoś...?-spytał Hart.

Henley zaczerpnął głęboko powietrza.

- Jest wyraźnie oczarowany panną Coltrane.
 Acton, Hillard, major Sotbey... i on sam.
 -Niech to diabli!
 Skonfundowany Henley przestąpił z nogi na nogę.
 - No cóż... To urzekająca dziewczyna.
 - Nieprawdaż? - rzucił cierpko Hart. Najpierw go szantażuje, a teraz jeszcze chce sprzątnąć książęcy tytuł sprzed nosa Annabelle! Ciekawe, czym tak usidlili Actona? Czy i jemu składa nocne wizyty w sypialni?
 Lecz obok piekącej zazdrości odezwał się w nim inny, mniej egoistyczny niepokój. Mercy nie może nawet marzyć o wejściu do tak dostojnego rodu! Taka pogoń za mrzonkami nie przyniesie jej szczęścia.
 - Co ona najlepszą wyprawia?
 Henley spojrzał na niego ze zdumieniem.
 - O ile wiem, panna Coltrane nie musi nic „wyprawiać”. Wystarczy, że różni się diametralnie od Annabelle. I od wszystkich naszych panien z towarzystwa. Mam wrażenie, że Actona pociąga jej... świeżość i oryginalność.
 - Chcesz powiedzieć, że każda odmiana nęci?
 - Coś w tym rodzaju.
 -I tylko to pociąga w niej Actona? Ależ z niego tępy młokos! - stwierdził z niesmakiem Hart. Odwrócił się od Henleya i wbił wzrok w smagane deszczem okno. - Nie nauczył się jeszcze, że każda nowość wkrótce się opatrzy? - mruknął. - Co zrobi z Mercy, kiedy mu się znudzi? Traktuje ją jak zabawkę, nie jak ludzką istotę!
 - Jeśli tak nisko cenisz wszelkie nowości, to czemu sam stale poszukujesz nowych wrażeń? - spytał Henley. - Nie podróżowałbyś tyle, gdybyś nie pragnął niecodziennych przeżyć.
 Przez chwilę Hart zapomniał całkiem o obecności szwagra. Teraz spostrzegł, że Henley bacznie mu się przygląda, i przypomniał sobie, że od początku uderzyła go jego spostrzegawczość. Choć ostatnio ta cecha szwagra mniej się rzucała w oczy. Niemniej Hart nie zamierzał zwierzać się Henleyowi, jak bardzo nużą go te wszystkie osławione podróże.
 - To całkiem co innego. Jeśli znudzi mi się jakaś okolica, porzucam ją, nie narażając niczyich uczuć ani pozycji towarzyskiej.
 - Rozumiem.
 - No cóż... - powiedział Hart, zły na siebie, że wyraził głośno swoje myśli. - Pozostaje tylko nadzieja, że Acton odzyska rozum.
 - Tak - przytaknął Henley.
 -A wówczas przekonamy się, czy Annabelle nadal jest nim zainteresowana. Poproś Beryl, by dowiedziała się o jej uczucia.

- Oczywiście.

-A teraz wybacz, że cię opuszczę. - Hart skinął głową szwagrowi. Wrexhall podniósł filiżankę i spoglądał za odchodzącym znad jej brzegu.

14

Hart zaobserwował, że Mercy podczas obiadu obdarzała życzliwą uwagą na przemian to Hillarda, to znów najmłodszego synalka barona Coffeya. Niestety, siedział zbyt daleko, by słyszeć, o czym rozmawiali. Jako hrabia Perth zajmował jedno z miejsc u szczytu stołu, podczas gdy nieutytułowana i nienależąca właściwie do towarzystwa panna Coltrane siedziała na szarym końcu.

Powinien być z tego zadowolony, z oddali Mercy nie mogła odciągać uwagi Actona od Annabelle. Co prawda dostrzegł, że wzrok księcia nieraz zbłądził w tamtym kierunku. Cóż, specjalnie się temu nie dziwił.

Mercy miała na sobie połyskliwą suknię z ciemnobłękitnego aksamitu, która miękko opływała jej biust i biodra. Wyglądała urzekająco. Szerokie wstęgi w kolorze nagietków stanowiły wykończenie wąskich rękawów, niżej zaś podtrzymywały ciężkie fałdy sukni, pozwalając dostrzec rąbek brokatowej halki o barwie granatów. Mimo wyszukanego kroju suknia Mercy wydawała się niemal surowa w porównaniu z toaletami innych dam. Te pastelowe kreacje przyozdobiono niezliczonymi falbanami i koronkami, bukietkami sztucznych kwiatów i szklanymi paciorkami tworzącymi wzory na staniku sukni.

Hart zapytywał się w duchu z ironią, czy Mercy ubrała się tak powściągliwie, by przyciągnąć tym większą uwagę? Czy zdawała sobie sprawę ze swej oryginalności? Czy świadomie posługiwała się tym atutem? Potrząsnął głową, odpędzając te myśli, a równocześnie wymawiając się od podsuwanych mu moreli w rumowej polewie.

- Nie, nie... Proszę to zabrać - odezwała się siedząca po jego prawej ręce młoda ciemnowłosa dama, której lokaj proponował ten sam przysmak. - Nie przełknę już ani kęsa, choć kucharz Actonów to prawdziwy mistrz! Zgodzi się pan ze mną, lordzie Perth?

- W zupełności - odparł grzecznie, odwracając się do sąsiadki. Do tej pory prawie jej nie dostrzegał. Teraz jednak, gdy przemówiła do niego pierwsza, uprzejmość nakazywała podtrzymać rozmowę.

- Jak by to było przyjemnie korzystać do woli z rozkoszy podniebienia... ale niestety mam zbyt delikatną naturę.

Ciemnowłosa dama - chyba lady Jane Carr?... - zerknęła w stronę Mercy. Spojrzenie Harta poszybowało w tym samym kierunku. Nie wiedząc, że jest obserwowana, Amerykanka ściągnęła zębami z widelca spory kawał kurczaka.

Kropła żurawinowego sosu splamiła dolną wargę.

Z ust wysunął się koniuszek języka i zlizął ją do czysta. Hart poczuł gwałtowną reakcję we własnym ciele.

- Wiele pan podróżował, hrabio... nieprawdaż? - spytała lady Jane.

- Istotnie, łaskawa pani - odpowiedział, starając się nie patrzeć na wargi Mercy, oczy Mercy, porcelanowo gładkie, częściowo przysłonięte ciemnobłękitnym aksamitem ramiona Mercy...

- Zdążył pan niewątpliwie obejrzeć wiele ciekawych widoków od czasu naszego ostatniego spotkania?

- O tak... - Dobry Boże! Czyżby się już kiedyś spotkali?! Wyteżył umysł. Ach, oczywiście, na weselu Beryl, przed trzema laty. Zapamiętał dziewczuszkę o słodkiej buzi, naiwnie zachwyconą swoim pierwszym londyńskim sezonem. Trzy następne lata nie poczyniły widocznych szkód w jej urodzie. Nic nie skaziło delikatnych rysów, ale też nic nie dodało im szczególnego uroku. Hart przyłapał się na porównywaniu jej z Mercy i zaklął w duchu.

- Był pan na Dalekim Wschodzie? - pochyliła ku niemu twarz w kształcie serca. - Zawsze fascynowały mnie starożytne zabytki. Niestety, Donald nie znosi zamorskich podróży. - Zerknęła na Harta, by przekonać się, czy słucha uważnie. - Donald to mój mąż.

- Proszę mu ode mnie pogratulować. - Hart skłonił lekko głowę. - Jesteście państwo zapewne tuż po ślubie?

- Skądże znowu! Jestem mężatką już od dwóch lat.

- Och, to jest pani zaledwie młodą oblubienicą - powiedział szarmancko Hart i zauważył, że dama oblewa się lekkim rumieńcem. - A gdzie szczęśliwy pan młody?

- W Szkocji. Na polowaniu.

Przesłoniła oczy powiekami i dotknęła serwetką nieskalanych warg. Jeszcze nie widział osoby, która by tak delikatnie jadła. Niezwykły talent.

- Donald wiecznie poluje. To jego prawdziwa pasja. Ale porozmawiajmy lepiej o pańskich podróżach. A zatem, był pan na Wschodzie?

Hart skinął głową.

- Słyszałam, że w Egipcie odkryto ostatnio prawdziwe cuda - zauważyła lady Jane.

Była wzorem angielskiej damy - spokojna twarz, pogodny ton głosu, dyskretna toaleta. Kiedy mówiła, jej ręce spoczywały skromnie na podłoku. Nie trzepotały w powietrzu, nie podkreślały wypowiedzanych słów jak dłonie Mercy.

- Bardzo wiele cudów, lady Jane - odpowiedział. - W Egipcie nie brak grobowców, w których drzemią istne skarby, pogrzebane tam przed trzema tysiącami lat.

Zrobiła wielkie oczy.

- I pan je widział, hrabio? Czy mógłby mi pan o nich opowiedzieć? Marzę o czymś, co zabawiłoby mnie choć przez chwilkę!

Doleciał do nich drażniący, gardłowy, czarujący śmiech. Był odpowiedzią Mercy na słowa któregoś z adoratorów. Ten wybuch wesołości przypomniał Hartowi, że wczoraj zareagowała podobnie na jakąś jego uwagę. Był zdumiony, że doceniła jego poczucie humoru tam, gdzie inni doszukiwali się szyderstwa.

Lecz to było, zanim zaczęła go szantażować. Zanim nagięła go do swej woli. Zanim go oszukała. Ale już po tym, gdy dotknął rozchylonymi wargami jej przyzwalających ust... Gdy zakosztował ich ciepła i słodyczy. .. Gdy jego ręce zapoznały się z kształtem i ciężarem jej piersi...

Zdołał się opanować i uśmiechnął się do lady Jane. Biedactwo, smutno jej bez męża!

- Będę zachwycony, jeśli zdołam zabawić tak uroczą damę - oświadczył.

Przysiągł sobie nie zważać na irracjonalne skłonności swego serca i przez resztę wieczoru poświęcić się zabawianiu lady Jane.

U stajennych wrót powitał Harta kościsty, niewyrośnięty chłopak - ten sam, który wybrał mu poprzednio narowistego wałacha. Na grubo ciosanej twarzy pojawił się impertynencki uśmiech.

- Co ty tu robisz o tej porze, chłopcze? - spytał Hart, zerkając na zegarek. Była już prawie jedenasta wieczór.

- To, za co mi płacą, panie szanowny! Strasznie się ostatnio ludziska tłoczą do tej stajni. Zwłaszcza jak się ściemni. - Mrugnął bezczelnie i z miną konspiratora zaszalował brudnym palcem. - Ale też się tłoczą!

Hart chętnie by zadał chłopakowi kilka pytań, ale się pohamował. Chciał dotrzeć do Londynu koło północy.

- Potrzebuję konia. I to szybkiego. Ale nie to opętane bydlę, którym mnie uraczyłeś wczoraj.

- Sie robi, panie szanowny! A wczoraj to sam pan chciałeś coś z ikrą!
- odparł chłopak tonem skrzywdzonej niewinności.

Poczłapał do boksów i wkrótce wyprowadził srokatą klaczą, która gryzła wędzidło.

Hart wspiął się na siodło i trącił piętami boki klaczy. Chłopak uskokoczył z drogi, gdy skierował się ku wrotom stajni.

- Pojedziesz pan drogą na wschód jakie dwa kilometry i już będzie londyński trakt. A jakbyś pan szanowny chciał zajrzeć do porządnego lokalu, to mogę dać parę adresów - zaproponował impertynenckim tonem.

- A wiesz, gdzie jest Pawi Ogon?

- Pawi Ogon, mówisz pan? Jeśli to to, o czym myślę, spróbuj pan koło Cambridge Circus - odparł chłopak z pewnym wahaniem, łapiąc rzuconą przez Harta monetę. - Ale to nie jest porządny lokal, panie szanowny!

Wiał zimny wiatr i zacinął lodowaty deszcz. Hart mrugał oczami, przeklinając ciemności, pluchę i Mercy Coltrane. Objechał dom i był już blisko frontowego wejścia, gdy z kępy ociekających wodą świerków wyłoniła się jakaś postać na siwym koniu.

Najpierw zalała go fala radości, ale prawie natychmiast poczuł gniew.

- Co ty tu robisz, u diabła?! - warknął.

Mercy Coltrane spoglądała na niego spod runda swego śmiesznego, sfatygowanego stetsona. Rękami w skórzanych rękawicach mocno trzymała cugle.

- No? - ponaglił ją.

W odpowiedzi wyciągnęła spod męskiego płaszcza, w który się przebrała, owiniętą w papier paczkę i mu ją rzuciła. Schwycił jedną ręką.

- Dwieście funtów szterlingów - wyjaśniła szorstko.

Nieźnośne stworzenie! Naprawdę myślała, że robił to dla pieniędzy? A zresztą co go u diabła obchodzi, co o nim myślała! Pośpiesznie wetknął paczkę do kieszeni. No dobrze. Zatrzyma te pieniądze, żeby nie zapomnieć, kim jest w jej oczach. Bynajmniej nie kochankiem! Najemnym zbirem.

-A, moja forsa! - Nie mógł oprzeć się pokusie odegrania się za to, że go tak fałszywie osądziła. - Dobra. Na pewno jest tego tyle? Przeliczę dokładnie, możesz być pewna.

Skinęła głową i wydeła dolną wargę.

- No to powtórzmy, żeby wszystko było jasne: nie muszę nikogo zabijać? - spytał.

-Nie!

Mimo ciemności spostrzegł, że zbladła. Dobrze jej tak.

- Mówi się trudno.

Westchnął z przesadnym rozczarowaniem i nagle rozjaśnił się, jakby zaświtała mu jakaś przyjemna myśl.

-Ale chyba przyjdzie upuścić trochę krwi, co? Nie obejdzie się bez tego nawet w tak drobnej sprawie. Mam okaleczyć na dobre, czy tylko uspokoić na jakiś czas?

-Ani jedno, ani drugie! Nie życzę sobie, żebyś strzelał, okaleczał, zabijał albo ranił! Masz znaleźć mojego brata i tyle!

-I to ma być zabawa? - spytał żałośnie.

Mercy zamrugła i nagle pojawił się w jej oczach błysk zrozumienia.

- Nabierasz mnie! - stwierdziła.

- Czyżby?

-Pewnie!

Rozchyliła usta ze zdumienia, a Hart przypomniał sobie aż za dobrze chwilę, gdy jej smukłe ciało tuliło się do niego, a jej serce biło w tym samym rytmie, co jego rozszalałe tętno.

-No... może troszkę - odparł, przypominając sobie poniewczasie, jak niebezpieczne bywa drażnienie się z Mercy Coltrane. - W porządku, Mercy. Wręczyłaś mi pieniądze i możesz wracać.

- Nic podobnego! Jadę z tobą.

Właściwie powinien był to przewidzieć. Ale ona miała talent do robienia niespodzianek.

- Nie ma mowy! Wracaj do domu.

-Nie! Nie chcę, żebyś buszował samopas po Londynie, przepił wszystkie pieniądze i oświadczył po powrocie, że robiłeś co w ludzkiej mocy, ale niestety...

- Myślisz, że jestem do tego zdolny? - spytał cicho.

Spuściła głowę, by nie dostrzegł wyrazu jej twarzy.

- Wolę nie ryzykować - burknęła.

- Będiesz musiała - uciął, wymijając dziewczynę.

Spięła konia ostrogami i zrównała się z nim.

- Zrozum, Hart - powiedziała błagalnym tonem. - Ja muszę jechać z tobą! Jeśli odnajdziesz Willa, to co mu powiesz? Jak się do niego zbliżysz? Muszę być z tobą!

Nie raczył nawet odpowiedzieć na te bzdury. Nie odnajdzie Willa tak od ręki. Z pewnością nie dziś! Rozejrzy się za nim, to jasne. Ale ktoś, kto chce zniknąć w Soho, może się tam ukrywać do końca życia i nikt się nawet nie domyśli, gdzie się przyczaił.

- Przebrałam się po męsku - mówiła szybko i nieskładnie. - Potrafię ci dotrzymać kroku, słowo daję! I nie będę przeszkadzać!

Ściągnął cugle i zawrócił klacz. Koń Mercy zarżał, gdy zatrzymała go raptownie. Hart zmierzył ją szyderczym spojrzeniem. Pod płaszczem jej figura była niewidoczna. Włosy schowała pod kapeluszem. Ale niewiele to dało.

- Nie bądź głupia - wycedził. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie weźmie cię za mężczyznę.

-No to za chłopca!

-Ani za chłopca. - Jej karnacja była zbyt świeża, biała i gładka. Wargi zbyt miękkie i soczyste. Niesamowite rzęsy zbyt gęste i długie, by mogły należeć do mężczyzny.

- Przecież jest ciemno! - błagała. - Zostawisz mnie na dworze!

- Wybij to sobie z głowy. - Odwrócił się i miał już odjechać różnym klusem, kiedy nagle chwyciła jego cugle tuż przy końskim pysku.

-Nie! - W jej głosie nie było już błagania, tylko gniew i upór. - Niech cię diabli! Niech cię wszyscy diabli! -powtórzyła z wyraźną satysfakcją. - Jak to się dzieje, że nie rozumiesz?! Ze wszystkich ludzi właśnie ty powinienesz mnie zrozumieć! Przecież to mój brat! Mój jedyny brat! Pomyśl o tym, co zrobiłeś dla własnych sióstr, Hart! Na jakie ryzyko się dla nich narażałeś!

- Sama nie wiesz, co mówisz - przerwał jej.

- Ślepy by zobaczył, ileś dla nich zrobił, gdyby wiedział połowę tego co ja! - odcięła się. - Stroje, londyńskie sezony, odrestaurowane Bentwood... Gotów byłeś na wszystko, byle tylko siostry miały takie życie, do jakiego były stworzone... może nie? Księżna wspomniała, że ojciec zostawił was bez grosza. A Beryl dopowiedziała resztę. Dobrze wiem, coś dla nich zrobił, Hart!

- Jesteś nie tylko krnąbrna i uparta, ale robisz się melodramatyczna.

- Dobrze wiem, jak było - powtórzyła stanowczo.

Trącił konia kolanem. Mercy nie puściła cugli. Nie mógł oderwać jej rąk siłą- po prostu obawiał się jej dotknąć.

- Ze mną jest tak samo - przekonywała. - Wiem, że cię oszukałam. Dałam ci słowo, a potem je zламаłam. Ale nie miałam innego wyjścia!

Burknął coś z lekceważeniem.

- Nie miałam innego wyjścia! - upierała się Mercy. - To, że jestem kobietą, nie znaczy wcale, że mniej kocham brata niż ty swoje siostry. Jestem równie mocno związana z rodziną! Nie chodzi o to, że nie chcę zostawić brata bez pomocy. Ja po prostu nie mogę go zostawić!

- Wcale go nie zostawisz bez pomocy - powiedział sztywno. - Wy-najęłaś przecież mnie.

- Nie, nie! Muszę pojechać z tobą - przekonywała. - Jeśli Will zobaczy cię w tym stroju - wskazała grubą odzież Harta - pomyśli, że zo-

stałeś nasłany przez jego prześladowców. Że zrobisz mu krzywdę. Wymknie się nam i nigdy go już nie odnajdziemy!

To, co mówiła, było całkiem rozsądne. Aż za rozsądne! Hart nie mógł dopatrzeć się słabych punktów w jej rozumowaniu, choć bardzo mu na tym zależało. Kim jest ta kobieta, która wie o nim tak dużo, a zarazem tak mało? Która równocześnie zaklina go i chce nim dyrygować? Zmusiła go szantażem, by spełnił jej wolę. Dała mu słowo i zaraz je złamała. Topniała w jego objęciach, a później zapominała o tym ze szczętem!

Ich spojrzenia zwały się ze sobą.

Miała rację, psiakrew! Dla swoich siostr nie tylko łamał przyrzeczenia. Zabijał dla nich.

- Zostaniesz tam, gdzie ci każę. Podejdiesz wtedy, kiedy cię zawołam. Będziesz się trzymała z tyłu. A przede wszystkim: ani pary z ust!

- Dobrze! - odparła ledwie dosłyszalnym szeptem.

Bez słowa Hart spał konia i wynurzył się z cienia wielkiego domu. Pokłusował aleją.

Wysoko nad nimi poruszyła się jasna zasłona, opadła bezszelestnie na jedno z nieoświetlonych okien.

15

Mercy wierciła się na obitej splekaną skórą ławeczce powozu. Siedzący naprzeciw niej Hart wyglądał przez okno. Pozostawili wierzchowce przyzwoicie wyglądającej stajni na obrzeżach Soho; tam też Hart wynajął powóz. Odkąd opuścili rezydencję Actonów, nie odezwał się ani razu.

Mercy wiedziała, że ciągle jest na nią zły, może nawet wściekły. Ale cały dzień siedziała jak na rozżarzonych węglach pod jego pełnym lodowatej wrogości wzrokiem i miała już tego dość. Nikomu dotąd nie pozwoliła się zastraszyć, więc nie pozwoli na to Hartowi Morelandowi, choćby nie wiem jak groźnie wyglądał! Gdyby była płochliwa, nigdy by się nie uchowała w najdzikszej części Teksasu!

Z westchnieniem odsunęła zakurzoną firankę przesłaniającą brudne okno powozu. Byli już w Londynie, ale takich widoków nie oglądała ani razu podczas swego miesięcznego pobytu w tym mieście.

Wysokie latarnie rzucały chorobliwie żółty blask na mokry czarny bruk. Mimo późnej godziny było tu pełno ludzi. W tym niesamowitym oświetleniu wydawało się, że są ich całe tłumy. Należeli do różnych grup społecznych. Robotnicy w ciężkich buciorach mieli na sobie pod wytar-

tymi kurtkami kilka warstw swetrów. Kupcom i urzędnikom śpieszyło się nawet o tej porze. Nie brakło też elegantów w cylindrach i czarnych pelerynach. Omiatali wzrokiem zatłoczone trotuary. W niemiłym blasku latarni srebrne gałki ich laseczek lśniły barwą żółci.

Kobiet było równie dużo, jak mężczyzn. Szorstkie, ordynarne i zdumiewająco do siebie podobne. Mercy nie od razu zorientowała się w ich profesji. Wszystkie miały grubą, niechlujną odzież - brudne wełniane spódnice, spod których wystawały połatanе halki, toporne buty i robione na drutach pończochy. Jedyne żalosny strzep koronki, kawałek jaskrawego jedwabiu lub wyzywający dekolt pozwalały się domyślić, kim były. Ich pozbawione wyrazu twarze i martwe oczy stanowiły rażący kontrast z chrapliwymi okrzykami, którymi wabiły błądzących wśród tłumu elegantów.

- Dokąd oni się tak śpieszą? Gdzie oni wszyscy mieszkają? - spytała Mercy.

-Nie żartuj.

Mercy nie uświadamiała sobie, że głośno myśli, dopóki nie usłyszała sarkastycznej uwagi Harta. W ciemnym wnętrzu powozu nie mogła dostrzec jego twarzy, ale bez trudu rozpoznała w głosie cyniczną nutę.

-Nie żartuję - odparła. -Nigdy jeszcze nie widziałam takich tłumów... Ani takiego brudu.

-To jeszcze nic.

Mercy znów wyjrzała przez okno. Grupka młodych mężczyzn stała przy narożniku walącego się domu. Oparci plecami o ramę okna z zachęcającym napisem DOBRA WHISKY, wykrzykiwali szydercze uwagi pod adresem przechodniów. Była to brudna i niebezpieczna banda. Jakiś kundel usiłował przemknąć obok nich. Jeden z szajki cisnął w niego butelką i ryknął śmiechem, gdy pies zaskomlał i powłócząc łapą, zniknął w ciemnym zaułku.

Mercy nie uświadamiała sobie dotąd, w jak niebezpieczne zakamarki zapuścili się z Hartem. Mogli tu zostać napadnięci i nikt by im nie pośpieszył z pomocą. Nikt by nawet nie zauważył.

Przełknęła z trudem ślinę.

- Wziąłeś gnata?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- No, gnata... spluwę. Rewolwer, nie rozumiesz? - spytała ze zniecierpliwieniem.

- Dobrze znam to określenie. Ale nie mam przy sobie gnata. Nie jesteśmy w Teksasie, Mercy. Londyńczycy nie chodzą z nabitą bronią w pogotowiu.

Spojrzała na niego kwaśno.

- Tym gorzej dla nich! - stwierdziła. - Na szczęście ja o tym pomyślałam.

Jej słowa sprawiły, że znieruchomiał w trakcie opuszczania zasłonki.

-Co takiego?!

- Mam w kieszeni płaszcza rewolwer. Kolta 38.

-Niech to diabli!

- Myślałam, że dżentelmeni nie klną- zauważyła niewinnym tonem.

- Już ci mówiłem, że nie jestem dżentelmenem.

-Widzę!

-I lepiej o tym nie zapominaj.

- Jak spojrzę na ciebie, zaraz mi się przypomni.

- Cóż to ma znaczyć, do cholery? - spytał, zapominając o rewolwerze.

- No, no... do czego to dojdzie?! - ofuknęła go. Zdawała sobie sprawę, że drażnienie się z Hartem jest jak szarpanie za wąsy tygrysa, ale nie mogła oprzeć się pokusie. Zdecydowanie wolała jego gniew od lodowatej pogardy. - Widzę przynajmniej jasno, co o mnie myślisz!

- Bardzo wątpię.

Mercy nie raczyła skomentować tej niezrozumiałej uwagi. Jej zachwalstwo rosło z niepokojącą siłą.

-I nie powtarzaj mi znowu, jaki to jesteś niebezpieczny! Nie dam się na to nabrać!

Piękne oczy Harta zwęziły się.

- Cóż to ma znaczyć?

- Dobrze wiem, jak wygląda prawdziwe niebezpieczeństwo. Powódź. Rozpędzone stado bydła tratujące wszystko. Tornado. Pożar prerii. Wiesz, że niebezpieczeństwo się zbliża, kiedy na pustej równinie zaskoczy cię burza z piorunami. Albo kiedy pędzi na ciebie pięciuset Apaczów w pełnym runsztunku wojennym - powiedziała wyniośle.

- Do czego zmierzasz?

- Spoglądałam nieraz w oczy niebezpieczeństwu, Perth! I wiesz co? Nigdy nie stroiło hrabiowskich min!

Ku jej zaskoczeniu wybuchnął śmiechem, co mu się prawie nigdy nie zdarzało. Przymrużył oczy, błysnął zębami w ciemnym wnętrzu powozu. Jego śmiech był nieodparty, znacznie groźniejszy niż jego gniew.

- Punkt dla ciebie - powiedział. - Już nigdy nie będę się przechwalał, jaki to jestem niebezpieczny.

Mercy usiadła wygodniej i uśmiechnęła się.

- No to może nie będę musiała na ciebie kłać.

Powóz zwolnił.

- Zaraz będziemy na Cambridge Circus! - oznajmił woźnica.
- Doskonale - mruknął Hart. - Może ktoś nam wskaże dalszą drogę.
- Chcesz powiedzieć - spytała z niedowierzaniem - że nie wiesz gdzie jest Pawi Ogon?

Hart westchnął.

-Nie.

- Ale musiałeś przecież bywać... to znaczy... sam mówiłeś, że młodzi ludzie powinni się wy szumieć... - Całkiem się zaplątała i umilkła.

- Bardzo mi przykro, ale muszę cię rozczarować, Mercy. Próbowałem ci już wyjaśnić, że przez ostatnie sześć lat starałem się unikać podobnych miejsc.

- Naprawdę?

- Od wyjazdu z Teksasu prowadziłem niesmacznie cnotliwe życie.

- Bardzo mi przykro...

Znów się roześmiał.

- Ubolewasz nad swoją pomyłką czy nad moją cnotą?

Gorący rumieniec oblał jej policzki i szyję. W oczach Harta zgasły wesołe błyski, przybrał znów maskę zimnej obojętności. Powóz zatrzymał się raptownie. Hart otworzył drzwi kopniakiem i wyskoczył, zostawiając swą towarzyszkę wewnątrz. Rzucił woźnicy garść monet. Mercy wyrzła na zewnątrz, wypatrując schodków. Nim się zorientowała, co się dzieje, silne ręce objęły ją w talii. Hart uniósł ją bez najmniejszego wysiłku. Przez sekundę, która zdawała sienie mieć końca, Mercy unosiła się w powietrzu, a Hart wpatrywał się w jej oczy.

Serce biło jej głucho. Zacisnęła palce na ramionach Harta. Jego wargi drgnęły, jakby chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili stopy Mercy dotknęły ziemi, a on cofnął się, odwrócił i zaczął rozglądać po ulicy.

- Tam! - mruknął, wskazując słabo oświetlone masywne drzwi w murowanej niszy. Widniało nad nimi witrażowe okno w kształcie rozwiniętego pawiego ogona.

Hart ruszył w tamtym kierunku i pociągnął Mercy za sobą. Bił od niego męski zapach piżma i rozgrzanej, zakurzonej skóry, ale oddech miał czysty i świeży.

- Zapamiętaj sobie: ani słowa! Żadnych pytań. Nic nie rób na własną rękę. Masz się mnie trzymać.

Mercy skinęła głową. Pociągnął ją jak drzewom. Otworzyły się, gdy tylko w nie zastukał. Ukazał się osiłek o byczym karku, nienaturalnie czarnych kędzierzawych włosach i pożółkłych zębach.

- Ile? - spytał Hart.

- Zależy za co - odparł odźwierny gardłową gwarą londyńskich zaułków. Jego małe oczka mierzyły ich z wyraźnym znudzeniem. - Za pokój dla ciebie i chłopaka dwa kawałki. Do palarni za funciaka. A za sam wstęp po koronie od łebka.

Hart bez słowa wręczył mu pół funta. Odźwierny wzruszył ramionami i odsunął im się z drogi.

- Jak sobie chcecie. Zawsze można zmienić zdanie.

Znaleźli się w wąskim pustym korytarzu, w którym unosiły się jakieś szczypiące w oczy, błękitnawe opary. Po obu stronach ciągnęły się dwa rzędy zamkniętych drzwi. Na końcu znajdowały się strome schody wiodące do jakiejś czarnej otchłani. Od czasu do czasu dolatywał stamtąd śmiech.

- Niemożliwe, żebyśmy znaleźli tu Willa. Musi być jakiś inny Pawi Ogon! - protestowała Mercy.

- Miałaś być cicho! - Hart chwycił ją za ramię i przyciągnął bliżej do siebie. Twarz miał surową i twardą, nozdrza rozdęte. - Ani słowa więcej! - burknął szorstko. - Zrozumiano?

Puścił ją raptownie i ruszył korytarzem. Widać było, że gniew go rozsada. Chcąc nie chcąc, Mercy podreptała za nim. Szarpnął za klamkę pierwszych drzwi, otworzył je i wepchnął dziewczynę do wnętrza.

Mercy zamrugła powiekami, gdy dym zaczął ją szczypać w oczy. Poczula jakiś słodkawy, mdlący zapach. W gardle ją dławiło. Przymrużyła oczy, by lepiej widzieć. Pokój umeblowano niegdyś z przepychem, ale wszystko było zniszczone i brudne. Złocone meble, wyściełane czerwonym pluszem, wyglądały obskurnie. Na puszystych wschodnich dywanach leżał popiół i niedopałki. Ktoś poszczerbił lepiące się od brudu blaty zmatowiałych stolików. Ktoś inny gasił na nich cygara.

Wszyscy znajdujący się w pokoju mężczyźni ubrani byli w stroje wieczorowe. Mieli sztywne białe koszule, wysokie kołnierzyki, czarne zakłady i kosztowne jedwabne krawaty. Kilku obejrzało się na wchodzących, ale zaraz odwrócili głowy.

Nie brakowało im zapewne pieniędzy, ale wyraźnie stracili kontakt z rzeczywistością. Byli czymś tak pochłonięci, tak odurzeni, że wszystko inne przestało dla nich istnieć.

Mercy zerknęła na Harta. Po lodowatym spokoju nie było już ani śladu. Miał wściekłą minę, twardy wzrok i zaciśnięte szczęki. Popchnął Mercy przed sobą w stronę niewielkiego baru, za którym stał uśmiechnięty młodzieniec o czarnych, lśniących od pomady włosach i policzkach pokrytych trądzikiem.

- Brandy! - zamówił Hart.

Barman zmierzył wzrokiem szczupłą postać w ciężkim, wygniecionym płaszczu i sfatygowanych butach.

- Płatne z góry - oświadczył.

Hart bez słowa położył na blacie pięciofuntowy banknot. Młodzieniec wyszczerzył zęby i napenił dwa kieliszki. Szczupła biała dłoń podkradła się do banknotu. Hart chwycił go za przegub żelazną ręką.

- Dostaniesz, jak udzielisz nam informacji.

Młody człowiek westchnął.

- Nie mogę. Wbrew przepisom. Tutaj nikogo nie pytamy, co on za jeden. I nie zdradzamy żadnych nazwisk. Ja, oczywiście, mogę się wam przedstawić. Mówcie mi Ned - rzekł, siłąc się na elegancką wymowę.

Hart położył drugi banknot obok pierwszego.

- Niepotrzebne nam żadne nazwiska.

Ned oblizwał wargi i zerknął w stronę drzwi.

- A co chcielibyście wiedzieć?

- Zaglądał tu pewien Amerykanin. Znamy jego nazwisko: William Coltrane. Młody, wykształcony. Może jest i dziś?

Mercy wstrzymała dech. Barman zaprzeczył lekkim ruchem ciemnej wypomadowanej głowy.

Poczuła ogromną ulgę. Jak mogła pomyśleć, że spotka Willa w podobnej speluncie?!

-Ale tu był?

Barman skinął głową. Mercy ścisnęło w żołądku.

- Kiedy?

- Ostatnio jakieś dwa miesiące temu. Przedtem bywał regularnie, ale potem już się nie pokazał.

- Regularnie? - spytała Mercy.

Hart rzucił jej wściekle spojrzenie, ale ona nie mogła milczeć - bez względu na konsekwencje! W co się ten Will wpakował?!

Po raz pierwszy Ned spojrzał prosto na nią. Uśmiechnął się leniwie, przymilnie, pokazując drobne żółte zęby.

- A jakże, synku - odparł. - Nasz stały klient. Zwyczajnie, ćpun. - Mru-gnął do Mercy. Odskokczyła, przytulając się do boku Harta. Był taki mocny i ciepły. Nie zwracał na nią uwagi. Gdyby nie pulsujące tętno na opalonej szyi, można by pomyśleć, że wszystko to nic a nic go nie obchodzi.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie się podział? Może znasz jego adres?

- Nie - odparł Ned, nie odrywając oczu od banknotów. - Nigdy go o to nie pytałem.

- Zapłacimy ci więcej. Dużo więcej! - wtrąciła się Mercy. - Mamy mnóstwo pieniędzy! - Ramię Harta z błyskawiczną szybkością owinęło

się wokół dziewczyny i przyciągnęło ją z taką energią, że Mercy całkiem zabrakło tchu.

Ned wydał wargi.

- Rany Julek, to nie chłopak! To lalunia!

- Nie twój interes! - warknął Hart. - Wiesz coś więcej o tamtym?

Ned wzruszył ramionami. Wydawał się nadal skłonny do współpracy, lecz na sekundę jego spojrzenie pobiegło gdzieś w dal, za ich plecami. Wargi drgnęły lekko, w oczach pojawił się twardy błysk... Ale zaraz znowu się uśmiechnął.

- Jak tu ostatnio był, zadał się z jakimiś frantami... Studentami czy coś takiego. - Zrobił się nagle rozmowny. - Moglibyście zajrzeć do domów przy Red Lion's Square. Całkiem miłe domki, tylko tanio się tam nie mieszka. Albo... -urwał na sekundę i znów zerknął na coś za ich plecami.

Hart odwrócił się raptownie. Chwytał Mercy za rękę, pociągnął ją do drzwi i wybiegli na słabo oświetlony wąski korytarz. Zatrzymał się i rozejrzał dokoła.

Z czarnej czeluści na końcu korytarza dobiegł chichot. Hart ruszył w tamtą stronę. Oczy koloru wody morskiej badały szereg zamkniętych drzwi.

Zdyszana Mercy starała się za nim nadażyć. Trzymał ją za rękę tak mocno, że sprawiał jej ból. Nagle wyrósł przed nimi już im znany podobny do byka odźwierny. Na jego tłustej twarzy widniał złowróżbny uśmiech.

- Ależ on wielki, cholera... - mruknął Hart.

Mercy dosłyszała.

- Za wielki dla ciebie? - szepnęła niespokojnie.

- Stanowczo za wielki - burknął i zrobił kilka kroków do tyłu, pociągając dziewczynę za sobą.

- No i co? Dwa szczurki w pułapce! - rozległ się za nimi głos Neda. Zapomniał całkiem o wykwintnej wymowie. - Lalunia dla was, chłopaki. Dla mnie forsa.

Hart rzucił się ku najbliższym drzwiom i szarpnął za klamkę. Zdołał otworzyć, zanim Ned i jego dwaj pomocnicy wypadli na korytarz. Wepchnął Mercy do środka, wskoczył za nią i zatrzasnął drzwi. Tupot nóg stawał się coraz donośniej szy. Prześladowcy biegli w ich stronę. Hart chwycił krzesło i zaklinował klamkę.

Mercy podbiegła do zamkniętego okna i zaczęła się z nim mocować. Nie poddawało się. W jednej chwili Hart znalazł się obok niej. Stęknął, szarpnął, otworzył i wyjrzał na zewnątrz. Wyglądał, jakby chciał kogoś

zamordować. Podsadził Mercy na parapet i pomógł jej wyslizgnąć się przez okno. Usłyszała za sobą trzask wyłamywanych drzwi.

Hart ją popchnął.

Upadła niezdarnie na żwir. Rozerwała sobie spodnie i zdarła skórę z dłoni. Kiedy wstawała, ciężko dysząc, tuż za nią spadło coś ciężkiego, uderzając ją w ramię z taką mocą, że znów się przewróciła. Odwróciła głowę. To był Hart.

- Wstawaj, do cholery! - warknął, chwytając ją za ramię. - Wstawaj i uciekaj!

-Przecież próbuję! -podniosła się jakoś, choć dwa razy znów by leżała, gdyby jej nie podparł. Miała w ustach przekleństwa.

- Gdzie was tak goni, szefie? - spytał zasapany Ned. Jego głos zabrzmiał głucho w ciasnym, wilgotnym zaułku.

Po tych słowach rozległy się ciche chichoty. Mercy podniosła głowę. Na końcu alejki, w żółtawym blasku latarni, stało czterech mężczyzn. Odwróciła się raptownie i serce w niej zamarło. Nie mieli dokąd uciec, po drugiej stronie był tylko ślepy mur.

16

Mowiłem: uciekaj! - wrzasnął gniewnie Hart.

- Oczywiście! - odkrzyknęła Mercy. - Mam według ciebie staranować tego byka czy raczej naszego uśmiechniętego przyjaciela z tłustymi włosami?

- Nie pora na żarty - ofuknął ją.

-Oczywiście! -powtórzyła z ironią. -Jeszcze byśmy pękli ze śmiechu.

- Słuchaj no! - pomachał jej palcem przed samym nosem. - Gdybyś się nie uparła ogłaszać na całe Soho, ile to mamy forsy, nie wpadlibyśmy w tarapaty.

Miał całkowitą słuszość, ale to jeszcze bardziej rozzłościło Mercy. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że skoczył na nią z okna specjalnie!

- A gdybyś ty zadał parę sensownych pytań...

- Hej, wy tam! - wykrzyknął zbity z tropu osilek. - Rozum wam odjęło, czy co?!

- Od razu widać, że to pomyleńcy! - zauważył jeden z pomocników.

- Kłóć się zęb za zęb, całkiem jak moja stara! A lada chwila diabli ich wezmą- zdumiał się inny.

- Zamknij się, jeden z drugim! - warknął Hart.

-Ach, wy tumany! - wypluł z siebie Ned, przeciskając się do przodu. - Nie widzicie, że chcą zyskać na czasie? Myślą, że zaraz tu nadleci jakiś gliniarz. Nie lądź się, laluniu! Żaden się tu nie zjawi - wyjaśnił szyderczo, wyciągając z tylnej kieszeni krótką grubą pałkę. Machnął nią, aż zaświstało.

- Psiakrew, nie znoszę bójek - mruknął Hart, rzucając swojej towarzyszce mordercze spojrzenie. -Tym razem jak powiem „Leć!”, masz lecieć bez gadania!

Czterej mężczyźni sunęli ku nim. Na ich twarzach malowało się napięcie. Rozdzielili się, oskrzydłając Harta i Mercy. Ned buńczucznie wystąpił do przodu i zagroził jedyne przejście.

- Stać! -wrzasnęła Mercy, sięgając do kieszeni. Głos miała donośny, dykcję bez zarzutu. Takim właśnie tonem udało się jej wygonić z kurnika buszującego tam kojota. I z takim samym skutkiem, chociaż chyba dopiero wyciągnięty z kieszeni kolt zrobił na opryszkach wrażenie. Wszyscy, łącznie z Nedem, zamarli z otwartymi ustami. Wytrzeszczyli zdumione oczy. Nawet Hart był zaskoczony.

- Zapomniałeś, że mam gnata? - spytała.

- Istotnie. - Przysięgłaby, że po jego ustach przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech.

- No to może... - choć zwracała się do niego, nie odrywała wzroku od niespokojnych, zdezorientowanych opryszków - ...przemyślisz swoją opinię na temat chodzenia z bronią po Londynie?

-Hm...

Towarzysze zerkali na Neda, oczekując od niego jakiejś wskazówki. On zaś wpatrywał się z takim napięciem w rewolwer, który dzieliło od jego głowy zaledwie dziesięć centymetrów, że aż zezował.

- A teraz - zwróciła się do nich Mercy - radzę wam się stąd zabierać. Chyba że chcecie zobaczyć, jak z bandą zbirów radzi sobie dama z Ameryki! - Dziękowała gorąco Bogu, że nie zaczęła się z przerażenia jękać. Choć ręka z rewolwerem ani drgnęła, kolana w każdej chwili mogły się pod nią załamać.

Bandyci zerkali na nią niepewnie. Mercy demonstracyjnie przesunęła lufę pistoletu, mierząc w inną ważną część anatomii Neda.

-Wynocha!

- Nie odważy się... - zaczął osilek.

- Mówię ci, że się odważy! - zaskrzeczał Ned.

- Też tak sędzę - poparł go Hart.

Pozostali mężczyźni nie podzielali jednak tej pewności. Mercy westchnęła dramatycznie.

- Słuchajcie, chłopcy. Nawet jeśli położyliście już krzyżyk na Nedzie - a choć krótko się znamy, mogłabym przysiąc, że tak jest - pomyślcie, że takie zabawki - machnęła rewolwerem, a barman wydał zdławiony jęk - robią dużo hałasu. Nawet najbardziej niemrawy glina zaraz tu przyleci! A coś mi się zdaje, że nie zależy wam na rozgłosie.

- Lala ma rację - wykrztusił Ned. - W nogi!

- Niech to szlag! - burknął osiłek i odwrócił się z zawiedzioną miną. Bez słowa, bez spojrzenia wyminął kamratów. Zawahali się przez sekundę i poszli w jego ślady.

- Idziemy, Ned. Tylko spokojnie! - Mercy wskazała wylot uliczki. - I nie wyobrażaj sobie, że zaraz ruszycie naszym tropem i dopadniecie nas w odpowiedniej chwili. Percy - wskazała ruchem głowy Harta i z przyjemnością spostrzegła zaskoczenie na jego twarzy - to cholernie niebezpieczny gość. Lepiej nie mówić, co was czeka, jak mu się narazicie.

Ned silił się na groźną minę, ale ukradkiem zerknął z niepokojem na Harta. Ten wszedł w swą rolę, uśmiechnął się więc złowróźnie i coś warknął.

- No dobra... - wymamrotał Ned. Aż się zgarbił, straciwszy resztę brawury. Wyglądał teraz dokładnie na to, czym był. Pryszczaty chłopak, z głową lepka od pomady, który mimo pseudo wytwornego akcentu nigdy nie wydzwignie się z rodzimego rynsztoka. - Ned Bright wie, kiedy spasować. Spróbowaliśmy, nie wyszło. Rozstańmy się bez urazy, co?

Mercy omal nie wybuchnęła śmiechem. Co za bezczelność! Ale gdy przypomniała sobie twarde chytre oczka Neda i koniuszek języka oblizujący wargi, kiedy zorientował się, że jest kobietą, odechciało jej się śmiać. Byli już u wylotu alejki. Hart dał ręką znak i ruszył przodem, rozglądając się na prawo i lewo, nim przywołał ich gestem.

Ned chciał się wymknąć, ale Hart schwycił go za ramię. Barman drgnął. Hart zmierzył go beznamiętnym wzrokiem. Podbiegunowy wiatr wydałby się tchnieniem wiosny w porównaniu z jego twardym lodowatym spojrzeniem.

- Gdzie on jest? Gdzie Will Coltrane?

- Nie mam pojęcia, przysięgam! - odparł Ned, wijąc się jak wąż. - Wiecie, jakie są ćpuny. Najpierw przyłazą, potem gdzieś znikają. Ależ ten Willy był nienażarty! Nie każdego tak bierze. A w ogóle to mówiłem prawdę. Na waszym miejscu zajrzałbym na Red Lion Square. Pełno tam chińców.

Hart odepchnął go na bok. Ned rzucił się pędem i po chwili zniknął za ukrytymi w podcieniu drzwiami Pawiego Ogonu.

-No to musimy...

- Ty się nie odzywaj! - fuknął Hart.

-Ale...

- Jeszcze jedno słowo i przysięgam, że cię tu zostawię! - wysyczał.

Przywołał dorożkę, która pojawiła się właśnie na rogu ulicy. Zatrzymała się raptownie, a Hart pociągnął do niej Mercy, wepchnął do cuchnącego pleśnią wnętrza i zatrzaskał za nią drzwi.

W obokurnym, ale stosunkowo bezpiecznym powozie Mercy poczuła, że strach, który dławiała w sobie przez ostatnie pół godziny, teraz bierze nad nią górę. Zaczęła drżeć i nie mogła się uspokoić.

O mały włos nie zginęli!

Jeśli o nią chodzi, to zagrożenie jeszcze nie minęło. Nie dziwiłaby się Hartowi, gdyby ją udusił gołymi rękami. I co im w końcu dała ta eskapada? Nazwę jakiegoś miejsca, gdzie znajdą następne dowody ostatecznego upadku jej brata... O Boże! Co opętało Willa?!

Kiedy twarz Williama przesłoniła wszystko, nawet chytre oczka i podstępne sztuczki Neda, Mercy ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

Muszę ją tak nastraszyć, aby odechciało się jej podobnych eskapad! - mówił sobie Hart, stojąc obok dorożki i dając woźnicy dokładne instrukcje. Jeśli mam odnaleźć tego jej przekłętą brata, ona nie może mi się plątać pod nogami!

Zdał sobie nagle sprawę, że ma szczerzy zamiar odszukać Willa. Niezłomna lojalność i determinacja Mercy wzbudziły w nim szacunek, mimo wszystkich jej kłamstw, manipulacji i... zgrzytnął zębami na myśl o grubym zwitku banknotów w wewnętrznej kieszeni, tych przeklętych dwustu funtów szterlingów!

W każdym razie więcej jej ze sobą nie zabierze. Co prawda dziś uratowała ich z opresji, ale nie życzył sobie, by znalazła się znów w podobnej sytuacji! Zbyt jej zależało na wskazówce, jakiegokolwiek wskazówce, która pomogłaby dotrzeć do Willa. Nie nauczyła się jeszcze cierpliwości. Kierowała się wyłącznie sercem.

Miał nadzieję, że jej to nigdy nie przejdzie.

Rzucił woźnicy funta jako dodatkową zachętę, by odstawił ich jak najszybciej do stajni. Obszedł dokoła obskurne pudło na zdezelowanych resorach. Musi napędzić dziewczynie takiego stracha, żeby nawet nie pomyślała o następnej wyprawie! Nie chciał, żeby spotkało ją coś złego.

Znieruchomiał z ręką zaciśniętą w pięść, z posepną twarzą. Choć Mercy nie знаła rynsztokowego żargonu, z pewnością domyśli się, co znaczy słowo „ćpun”. Narkoman. Niewolnik opium. I z pewnością bardzo jąto zabolі.

Wzruszył ramionami, jakby poprawiając dźwigane na barkach brzemię. Zapatrzył się w drzwiczki powozu. Od tego bólu jej nie ustrzeże, ale może ją uchronić od fizycznej przemocy.

Zebrał wszystkie siły, by odegrać rolę nieugiętego tyrana z przekonaniem. Zmusić Mercy, by ujrzała w nim jeszcze większe zagrożenie niż w tym przyglupim olbrzymie albo tym zgniłku z przymilnym uśmiechem. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi powozu.

Mercy płakała.

Zabrakło mu nagle powietrza w płucach. Wsiadł i zatrzasnął za sobą drzwiczki. Mercy nawet tego nie zauważyła. Siedziała zgięta w pól, plecy jej drżały. Zaskaniała usta obiema rękami i zanosiła się urywanym szlochem. Włosy ciemną falą wymknęły się spod kapelusza, ocieniając twarz dziewczyny.

- Mercy... - szepnął bezradnie.

Jeśli nawet go usłyszała, nie okazała tego. Hart nie wiedział co robić, co powiedzieć. Nie mógł jednak siedzieć beczynnie i przyglądać się, jak Mercy płacze! Wyciągnął rękę i pogłodził jej pochylony kark.

Odwróciła się raptownie i przywarła do niego, objęła kurczowo ramionami, jakby nigdy już nie chciała go puścić. Przytuliła do niego swoją ciepłą mokrą twarz. Hart spoglądał bezradnie na ciemnorude włosy spływające na jego pierś.

Nigdy dotąd żadna kobieta nie szukała pociechy w jego objęciach. Do diabła, nigdy żadnej nie trzymał w ramionach, chyba że chodziło wyłącznie o seks. Bóg wie, że od trzech dni palił się do niej jak prawiczek! Ale nie teraz. Teraz nawet o tym nie myślał.

W tej chwili czuł tylko wszechogarniającą potrzebę pocieszenia Mercy, złagodzenia jej bólu, ochrony jej od rozpacz. Pragnął ją utulić i przyjąć na siebie jej cierpienie. Było to wstrząsające doznanie. Czuł ucisk w gardle. Całym ciałem pochylał się nad Mercy jak ochronna tarcza.

Leciutko głaskał ją po włosach. Jego drżące palce plątały się w ich gęstwinie. Mercy przytuliła się jeszcze mocniej. Hart niezręcznie objął ją ramionami. Kiedy go nie odrzuciła, przygarnął ją do siebie. Jak cudownie uległe było w jego ramionach to smukłe ciało, takie delikatne i tak niewiarygodnie silne! Kiedy owionął go jej oddech, Hart zatracił się całkowicie.

Nie mógł wykrztusić ani słowa. Poraziła go czułość, jaką Mercy zdołała wykrzesać z jego wyschniętej, złodowaciałej duszy. Nie miał prawa

obejmować jej w ten sposób. Dobrze o tym wiedział, nawet jeśli Mercy nie zdawała sobie z tego sprawy. A jednak, pomyślał z gorzką autoironią, nic w świecie nie zmusiłoby go do tego, by ją teraz puścił.

Pląkała długo, z całego serca. Wreszcie oddech jej stał się bardziej równomierny. Znieruchomiała, całkowicie wyczerpana. Czując się jak złodziej, Hart otarł się policzkiem o jej kształną głowę i chcąc zamaskować tę pieśczość, próbował odsunąć dziewczynę od siebie. Wymamrotała coś niezrozumiałego i przywarła do niego z całej siły. Przełknął ślinę i dał za wygraną.

Oddając się tej nowej dla siebie roli, przyciągnął Mercy na kolana, okrył jej stopy i zaczął ją leciutko kołysać. Westchnęła z ulgą.

Hart oparł głowę na zniszczonym skórzanym podglówku. Wpatrując się w ciemność, przeklinał w duchu własną głupotę. Miał jednak nadzieję, że woźnica nie zastosuje się do jego poleceń i nie będzie się zbytnio śpieszył.

- Jesteśmy na miejscu.

Głos Harta obudził ją ze snu. Podniosła głowę. Znikło gdzieś cudowne ciepło, które ją dotąd otaczało. Było zimno. Zadrżała i wyteżyła wzrok, usiłując coś dostrzec w ciemnym wnętrzu.

- Dojechaliśmy do stajni? - spytała zaszpanym głosem.

- Nie. Do rezydencji Actonów.

-A nasze konie?...

- Uwiązane z tyłu - odparł obojętnym tonem. - Jesteśmy przy bramie wjazdowej.

Całkiem zapomniała, że Hart był na nią zły. Pozwolił, by schroniła się w jego ramionach, ale sądząc z tonu, było to tylko chwilowe zawieszenie broni. Kiedy to pojęła, łzy znów napłynęły jej do oczu.

Ach, ty idiotko! - mówiła sobie w duchu. Raz cię pocałuje, a ty rzucasz mu się na szyję! Poklepie cię na pocięgę, i już ładujesz mu na kolanach! A jeśli cię nie zrzuci na ziemię, to zaraz myślisz... to wmawiasz sobie...

Odwróciła głowę. Nigdy więcej nie będzie mu się narzucać! Nigdy więcej się przy nim nie rozklei!

Otworzył drzwi i wyskoczył z powozu. Mercy wstała, ciągle jeszcze niezbyt przytomna. Nim zdołała podjąć jakąś decyzję, Hart pochwycił ją, zaniósł do koni i podsadził na siodło.

Ile w nim dobroci, myślała całkiem zdezorientowana, chociaż taki groźny... Przez sekundę podtrzymał ją, chcąc się upewnić, czy bezpiecznie siedzi na koniu.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Kiwnęła głową.

- Jak, u licha, przeszmyglujemy cię do domu?! - mruknął, wskakując na swoją klacz.

Chciał się jej pozbyć jak najszybciej! Uwolnić się od jej oszustw i szantażu. Usunąć ją ze swego życia... Powiedział co prawda, że ją podziwiał, ale przyznał się do tego niechętnie. Cóż, nawet kojota można podziwiać za jego upór i chytryść!

Tym właśnie jestem dla Harta, kojotem, który wdarł się do jego domu, myślała z rozpaczą. Trudno mieć do niego o to pretensję. Uosabiała wszystko, o czym pragnął zapomnieć: przemoc, podstęp, prostackwo...

Na litość boską! - pomyślała i wezbrał w niej niezdrowy śmiech. Przecież szantażujesz hrabiego Perth. Czego się po nim spodziewasz? Zaproszenia do opery? Grzbietem ręki otarła wilgotne policzki.

- Zabezpieczyłam sobie powrót - wyjaśniła i spięła konia, chcąc uciec od Harta i od swych absurdalnych marzeń.

17

Mam nadzieję, że dobrze się pani spało, panno Coltrane?

Mercy drgnęła na dźwięk głosu Henleya Wrexhalla. Była zmęczona, niepewna i spragniona widoku Harta. Woliała nie analizować tego pragnienia.

- Miałam bardzo dobrą, spokojną noc, panie Wrexhall - odparła. - A pan?

Uśmiechał się grzecznie, jak zwykle, ale przyglądał się jej wyjątkowo uważnie. Nieprzyjemnie. Czyżby widział, jak wracała wczoraj w nocy...?

Bzdura! - pomyślała Mercy. Brenna pomogła jej wśliznąć się służbowym wejściem. Nikt z pewnością tego nie zauważył. Dałaby sobie uciąć głowę, że tak było! Głowę? Omal jej wczoraj nie straciła.

Wrexhall przestąpił z nogi na nogę.

- O, spałem doskonale.

No to skąd u ciebie te ciemne kręgi pod oczami? - pomyślała. Dziś rano, gdy robiła pośpieszną toaletę, dostrzegła w lustrze podobne cienie...

- Uroczy ranek, nieprawdaż? - zauważyła, szukając gorączkowo jakiegoś tematu do rozmowy.

O ile pamiętała, Wrexhall był dobrze zapowiadającym się młodym parlamentarzystą z ramienia partii liberałów. Ta informacja niewiele jej pomogła. Mercy zupełnie się nie orientowała w angielskiej polityce.

- Jakoś nie widziałam dziś pańskiego szwagra.

- Pewnie niańczy Fanny - odparł Henley. - Biedak, ma pełne ręce roboty. Ale z pewnością nie narzeka. Richard nigdy nie lubił tłumu ani wielkich zebrań towarzyskich. Najlepiej się czuje we własnym domu.

Richard? A, prawda! Drugi szwagier, przypomniała sobie Mercy.

- A zatem przybyli tu ze względu na upodobania lady Claredon? - spytała. - Szczęśliwa, że ma tak wyrozumiałego męża!

- Fanny? Ona wcale nie przepada za takimi spotkaniami. Zawsze się boi odezwać w towarzystwie, bo nie grzeszy dowcipem.

Mercy zmarszczyła czoło, całkiem zbita z tropu.

- To czemu, na litość boską, przyjęli zaproszenie... - Urwała przerażona własnym nietaktem. - Proszę mi wybaczyć!

Henley znów się uśmiechnął. Tym razem nie był to automatyczny skurcz mięśni. Coś mu błysnęło w oczach. Prawdopodobnie ironia, ale z dwojga złego lepsze to niż ten wieczny uśmiech manekina.

- Nic nie szkodzi - odparł.

- Prawdę mówiąc, gdy wspomniałam o pańskim szwagrze, miałam na myśli lorda Perth.

- Ach tak? - Ciemne oczy Henleya straciły wszelki wyraz. - Niestety, nie mam pojęcia, gdzie Perth się podziewa. Pewnie znów snuje plany uszczęśliwienia rodziny. - Jeśli towarzyszący tym słowom uśmiech miał złagodzić posmak krytyki, niewiele to dało. - Oczywiście, wszyscy jesteśmy mu ogromnie wdzięczni... Ale chyba byłoby lepiej dla Annabelle, żeby sama mogła decydować o swym małżeństwie i swojej przyszłości.

Mercy spoglądała na rozmówcę ze zdumieniem, nie mając pojęcia, jak zareagować na to zaskakujące oświadczenie. Ocaliło ją przybycie Nathana Hillarda.

Był tego ranka w doskonałym humorze, wypoczęty i przyjacielski. Jego jasne włosy lśniły jak złoto, ubrany był z dyskretną elegancją. Musiała obiektywnie przyznać, że to wyjątkowo przystojny mężczyzna.

- Dzień dobry, panno Coltrane - powitał ją. - Mam nadzieję, że dobrze się pani spało? Chyba te przejażdżki o świcie nie są zbyt męczące? Proszę nie zapominać, że my tu nie chodzimy spać z kurami. Niech się pani nie przemęcza, moja droga!

Wygłaszał te napomnienia nieco zbyt poufałym tonem. Mercy poczuła, że się rumieni pod jego badawczym wzrokiem.

- Wypoczęłam doskonale. Dzięki na troskliwość, panie Hillard. - Już druga osoba mierzy ją takim sokolim wzrokiem! Trzeba spytać Brenny, czy nie zna jakiegoś sposobu na te cienie pod oczami.

Henley, wyraźnie rad, że nie musi tłumaczyć się ze swoich niedyskretnych uwag, powitał Nathana przyjaznym klepieniem w plecy.

-Nie miałem jeszcze okazji, Nate, podziękować ci za poparcie w ubiegłorocznych wyborach!

- To była nie tylko przyjemność, ale obywatelski obowiązek. Każdy powinien przyczynić się do pomyślności i dobrobytu swojej ojczyzny. Nieprawdaż, Wrexhall? A dopilnowanie tego, byś wszedł w skład parlamentu, było doprawdy krokiem we właściwym kierunku. - Ta wielkoduszna odpowiedź, zamiast sprawić przyjemność Wrexhallowi, wywarła wręcz przeciwny efekt. Zacerwienił się jak burak.

Hillard zwrócił się do Mercy.

- Jak pani zamierza spędzić ten uroczy dzień, panno Coltrane?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam - odparła. Oprócz tego, że musi znaleźć Harta i ustalić z nim następne posunięcia, nie miała żadnych planów.

- Ach tak? Może więc zechciałaby pani przejechać się konno po okolicy albo wybrać do Fair Redding? To wyjątkowo malownicze miasteczko.

- Może innym razem, panie Hillard. - Miała dziś co innego na głowie. Wycieczka byłaby zapewne urocza, nie mogła jednak tracić czasu na puste rozrywki, kiedy Will potrzebował pomocy. Ale jej decyzja podejrzanie przypominała odprawę daną wielbicielowi.

Henley prychnął pogardliwie.

- Co ty tam wiesz o malowniczych miasteczkach, Nate? Prawdę mówiąc, bardzo się zdziwiłem na twój widok. Nie sądziłem, że takie wiejskie rozrywki są w twoim guście.

- To zależy od towarzystwa - odparł Hillard. Jego błyszczące oczy spoczęły na Mercy. Jeszcze nigdy takich nie widziała: ogromne szafirowe tęczęwki, źrenice prawie niewidoczne.

- Z pewnością tęsknisz do wielkomiejskiego gwaru, Nate - ciągnął dalej Henley, jakby nie usłyszał uwagi Hillarda. - Te rozrywki, te bale, ten wielki świat...

- Zapomniałam, że jest pan stałym mieszkańcem Londynu, panie Hillard - wtrąciła Mercy. - Większość osób, z którymi się zetknęłam, ma dwa adresy, miejski i wiejski... i muszę przyznać, że jest to dla mnie dość mylące...

- Większość pani znajomych po prostu stać na dwie rezydencje - wyjaśnił Hillard z przeproszającym uśmiechem.

Mercy natychmiast zdała sobie sprawę ze straszliwego nietaktu, jaki popełniła. Spłonęła rumieńcem.

- Strasznie pana przepraszam, panie Hillard! - bąknęła upokorzona.

- Nie ma za co, panno Coltrane. Mój adres... a raczej brak dwóch adresów to tylko sprawa przejściowa. Kto wie, może za rok będę miał nie jedną, ale cztery wiejskie posiadłości?...

- Ale na co ci to? - spytał Henley bez zwykłego uśmiechu. - To w sumie wielka niedogodność, możesz mi wierzyć!

Gorycz w jego głosie była wyraźna. Mercy przypomniała sobie, że Wrexhallowie mieszkali w rodowej posiadłości Harta, którą Henley zarządzał z powodu częstych i długotrwałych wyjazdów szwagra.

- Święte słowa, Henley! Ale ja nie mam zamiaru zajmować się majątkiem, tylko korzystać z niego w wolnych chwilach.

- Zna pan dobrze Londyn, panie Hillard? - spytała Mercy. Coś jej nagle przyszło do głowy. Może zbyt pochopnie wciągnęła Harta w swoje plany? Hillard był nią wyraźnie zainteresowany. Kto wie? Może zechce jej pomóc?

- O, Nate to prawdziwy włóczykij - powiedział Henley. - Zna wszystko i wszystkich. Trafi do każdego miejsca w Londynie.

- Bez przesady! - zaprzeczył skromnie Hillard. - Lubię po prostu obracać się wśród ludzi. Ostatecznie człowiek jest zwierzęciem towarzyskim, nieprawdaż?

- Może zatem spotkał pan w Londynie mego brata?

- Pani brata? - Gładkie czoło Hillarda przecięła zmarszczka. - A, prawda! Tajemniczego Willa. Pamiętam, że wspomniała pani o nim, gdy poznaliśmy się w Londynie. Bardzo pani na odnalezieniu go zależało. I cóż, odzyskała pani swą zgubę? - spytał lekko.

- Nie. Jeszcze nie.

- O! Proszę wybaczyć mój niefrasobliwy ton, panno Coltrane. Byłem pewien, że... - Hillard przystanął i uniósł dłonie w przeproszającym geście. - Ogromnie mi przykro, ale nie miałem przyjemności spotkać pani brata. Od jak dawna przebywa w Londynie?

- Jest w Anglii już prawie rok. Podejrzewam, że większość tego czasu spędził w Londynie.

- Podejrzewa pani? - zdziwił się Henley. - A więc nie wie pani nic pewnego?

Mercy uśmiechnęła się, choć czuła, że niezbyt jej się to udało.

- Rzeczywiście, nie wiem. Wszystko wskazuje na to, że Will postanowił się wyszumieć... jak większość młodych ludzi. Tak mi przynaj-

mniej mówiono - dodała posepniejąc, gdyż przypomniał jej się Hart. - Chcę mu przypomnieć, że ma rodzinę, która bardzo go kocha.

Nathan wpatrywał się w nią z podziwem i czułością.

- Mógłbym pani pomóc? Popytać o niego w mieście?

- Zrobiłby pan to, naprawdę? - spytała żywo, pochylając się ku niemu. - Będę taka wdzięczna! - Już miała wymienić nazwy kilku lokali, o których William wspomniał, ale przypomniała sobie, że Pawi Ogon nie okazał się wcale przyzwoitym klubem... nie wspominając już o tamtejszym barmanie. Odstąpiła więc od swego zamiaru. Jeśli Hillard powieźmie o Willu złe mniemanie, może wycofać się ze swej obietnicy.

Niech więc popyta wśród znajomych. Kto wie, może to wystarczy? Hillard zagadnie jednego, tamten kogoś innego... W końcu większość bywalców Pawiego Ogona była równie elegancko ubrana, jak goście Actonów!

- Zrobię to z przyjemnością - powiedział Hillard. - Muszę jednak panią uprzedzić, że jeśli komuś zależy na tym, by pozostać w ukryciu... a młody człowiek, taki jak pani brat, nieraz chce udowodnić swą niezależność - dodał z pobłażliwym uśmiechem - ...na odnalezienie go mamy bardzo niewielką szansę. Londyn to duże miasto!

- Odnajdę go z pewnością! - oświadczyła stanowczo Mercy. - Choćby to trwało nie wiem jak długo, dotrę do Willa! To mój jedyny brat, rozumie pan? Muszę go znaleźć!

- Z taką determinacją na pewno go pani znajdzie. Założę się, że tak będzie - powiedział Nathan miękko, pełnym zadumy głosem.

- O co się znów zakładasz, Hillard? - rozległ się głos Actona.

Mercy odwróciła się i ujrzała, że gospodarz zmierza ku nim, a jego szeroka, rumiana twarz promienieje uśmiechem. Obok księcia sunęła zwiernie Annabelle Moreland - urocza wizja w liliowych muślinach przybranych atlasowymi kokardkami fioletowej barwy.

- Chyba nie rzucasz wyzwania pannie Coltrane, naszej mistrzyni strzeleckiej? - dopytywał się rubasznie Acton.

- Skądże znowu! - odparł Hillard. - Nie miałbym żadnych szans.

- Doskonale, bo chciałem jej przedstawić własną propozycję. Rozmawiałem wczoraj z moim gajowym i poleciłem mu zagonić jakieś trzy setki bażantów na łąkę. Mamą dziś znakomitą pogodę - zatarł ręce - i urządzimy sobie po południu polowanko!

- Ja niestety nie poluję - wymówił się Henley.

Acton spojrział na niego takim wzrokiem, jakby dopiero teraz uświadomił sobie jego obecność.

- No cóż, Wrexhall... oczywiście nie ma przymusu. Ale dla pozostałych gości będzie to wspianiała rozrywka! - Zwrócił się do Mercy. - Mam

nadzieję, że zaszczyci nas pani pokazem swoich talentów, panno Coltrane, i swoim uroczym towarzystwem.

Mercy zastanawiała się, jak by tu grzecznie odmówić księciu. Odkąd sprowokowała Harta do zawodów strzeleckich, Acton stał się jej najzagorzalszym wielbicielem. Było to już męczące.

- Czy inne panie też wezmą udział w polowaniu?

Księżę uśmiechnął się.

- O, żadna z nich nie mogłaby się z panią równać, panno Coltrane! Jestem pewien, że zadowolą się obserwowaniem nas z powozów.

Mina Annabelle wcale nie świadczyła o tym, że podobny układ ją zadowalał. Młoda panna mierzyła Mercy lodowatym wzrokiem. Pod powłoką niezgłębionego spokoju i pogody wyraźnie kłębiły się jakieś nie-miłe emocje.

- Czy pani umie strzelać, panno Moreland? - spytała Mercy.

- Nie, panno Coltrane. Nie zaliczam się do amazonek.

- Rozumie się, panno Moreland! - wtrącił Acton. - Wobec tego może pani z kilkoma innymi damami by zaaranżowała piknik na łonie natury?

- Oczywiście. Czy księżę chciałby zacząć od sera i owoców? - odparła kąśliwie. - A co do picia? Lemoniada czy gorąca czekolada? I może księżę życzyłby sobie, żebym sprawdziła, czy należycie wyprasowano obrusy?

Mercy spojrzała na nią ze zdumieniem.

- O, to zupełnie niepotrzebne - odparł Acton z niemądrą miną.

- A co z głównym daniem? - nie ustępowała Annabelle. - Paszteciki czy zapiekane kielbaski?

Mercy mogłaby przysiąc, że drobna nóżka pod czterema warstwami koronek i falban tupie z wściekłości.

- O, cokolwiek - zaskrzeczał Acton nieswoim głosem i musiał odchrząknąć. - Już tam kucharki coś przygotowują.

Wrexhall uśmiechnął się szeroko.

- Ja osobiście preferowałbym kielbaski, Belle - oznajmił.

- Zajmę się tym niezwłocznie. - Annabelle odwróciła się na pięcie i falując powiewnymi liliowymi spódnicami, oddaliła się. Być może w poszukiwaniu brata, by donieść mu, jak ją tu obrażono.

- Panowie wybaczą... - rzuciła Mercy, nie spuszczając z oczu Annabelle wymijającej coraz to nowe grupki osób.

- Ależ oczywiście, droga panno Coltrane - powiedział Acton z niskim ukłonem. - Spotkamy się później.

- Tak, tak - mruknęła, starając się dostrzec, którymi drzwiami wychodzi Annabelle.

- Weźmie pani udział w strzelaniu? - spytał Hillard, gdy Mercy już odchodziła.

- Chyba tak... - Jeśli ją zatrzymają, straci z oczu Annabelle! - Do widzenia panom. - Szybkim krokiem przeszła przez pokój i znalazłszy się w przestronnym, lśniącym holu, dostrzegła, jak Annabelle skręca w boczny korytarz.

- Panno Moreland! - zawołała za nią.

Dziewczyna najwyraźniej miała ochotę ją zignorować. Trudno jednak byłoby udać, że nie słyszy wołania. Oprócz nich w holu nikogo nie było. Annabelle zatrzymała się, ale nie odwróciła. Widać było, jak bardzo jest spięta.

Ostatecznie dobre maniery zwyciężyły. Odwróciła się, unosząc dyskretnie złotawe brwi. Czekala, aż Mercy podejdzie bliżej; nie zamierzała podnosić głosu. Punkt dla niej! - pomyślała cierpko Mercy.

- Słucham, panno Coltrane? - spytała uprzejmie Annabelle. - Czego pani sobie życzy? Może chodzi o jakieś ulubione danie?

Mercy wybuchnęła śmiechem. Śliczne oczy Annabelle rozszerzyły się.

- Nie, panno Moreland! Szukam pani brata. Mam... mam dla niego książkę, którą chciał przeczytać.

Było to marnie kłamstwo, ale doskonałe wychowanie Annabelle znów dało o sobie znać. Widać było jednak, że dziewczyna jest o krok od wybuchu.

- Doprawdy? - powiedziała. - No cóż... obawiam się, że będzie pani musiała z tym nieco poczekać. Mój brat wyjechał.

- Wyjechał? - Mercy wiedziała, że wypytywanie Annabelle o brata to szczyt złego wychowania. Czula też, że gdyby panna Moreland była choćby o rok od niej starsza, dałaby swej rozmówczyni lekcję dobrych manier. Dzięki Bogu za niezłomne zasady angielskich guwernantek!

- Tak, panno Coltrane - wyjaśniła Annabelle. - Dziś przy śniadaniu wspomniał, że wyjeżdża na cały dzień do Londynu. W interesach. Czy jeszcze czegoś chciałaby się pani dowiedzieć?

Do Londynu! - myślała Mercy. Wybrał się sam na poszukiwanie Willa! Niech to wszyscy diabli, zostawił mnie jak kulawego psa!

Zabolało ją odrzucenie. Po tym, jak dała mu jasno do zrozumienia, że bardzo jej zależy na osobistym kontakcie z Willem! Po tym, jak ją pocieszał i obejmował! Po tym, jak wyobraziła sobie, że może jednak coś do niej czuje...

Lepiej nie myśleć więcej na ten temat.

- Dziękuję, panno Moreland - powiedziała słabym głosem.

- Bardzo proszę - odparła Annabelle i rzuciwszy jej pogardliwe spojrzenie, oddaliła się.

- Fantastycznie! - wykrzyknął major Sotbey, gdy bażant runął z wyczyn, rozsiewając wokół deszcz piór. - Wspaniałe polowanie, co? - zwrócił się z promiennym uśmiechem do Mercy.

- Cudowne - odparła automatycznie.

- Ma pani piękną broń, panno Coltrane - zauważył.

- Dziękuję, panie majorze. Ładna sztuka, nieprawdaż? To winchester.

- Przywiozła go pani z Ameryki? - spytał Sotbey.

- Nie, proszę pana. To broń z kolekcji jego książęcej mości. Podarował mi japo... po naszych zawodach z lordem Perth. - Stała jej przed oczami twarz Harta. Odpędziła widziadło przemocą. Hart zawiódł ją. Włóczy się teraz po Londynie i szuka Willa, a ona musi tu sterzeć nikomu niepotrzebna i opuszczona.

- Doprawdy? - W głosie starszego pana brzmiało wyraźne zainteresowanie.

Mercy spojrzała na niego z powagą.

- Tak, panie majorze. Jako nagrodę pocieszenia dla pokonanego zawodnika.

- Przecież pani wcale nie została pokonana! Z własnej woli ustąpiła pani pola Perthowi.

-Nie, panie majorze. Zrezygnowałam z dalszej walki, bo nie mogłam powtórzyć wyczynu hrabiego Perth.

- No, no, młoda damo! Acton nigdy w to nie uwierzy!

- W co nie uwierzę, majorze? - spytał książę, który stanął nagle obok nich.

-W to, że panna Coltrane nie jest najlepszym strzelcem w całym hrabstwie.

- Święta prawda! - oświadczył Acton i uśmiechnął się do Mercy. - Nie oddała pani dotąd ani jednego strzału, panno Coltrane. Co się stało? Może broń pani nie odpowiada? - zatroskał się.

-Ależ skąd, wasza książęca mość! To doskonała broń. I wszystko jest tak... tak dokładnie zaplanowane - odparła Mercy.

- Już pojmuję, na czym polega problem! - zawołał Acton, strzelając palcami. - Wszyscy tak chcą się przed panią popisać, że nie ma pani okazji sama zabłysnąć!

- Doprawdy, wcale nie o to...

- Hej tam, panowie! - huknął książę. Wszyscy uczestnicy polowania przedzierający się z poświęceniem przez wysoką po pas, ciągle jeszcze zieloną trawę, nagle znieruchomieli.

- Damy szansę pannie Coltrane, prawda?

- To naprawdę niekonieczne... - protestowała Mercy, ale Acton nie ustępował. Uparł się, że jego heroina pokaże, co potrafi.

-Oczywiście, że konieczne! - oświadczył. - Wstrzymajcie się, chłopcy!

Wszyscy usłuchali, oparli broń o ramię i czekali, aż Mercy coś upoluje. Westchnęła z rezygnacją, odbezpieczyła broń i weszła w gęstą trawę. Acton nie da jej spokoju, póki nie ustrzeli choćby jednego bażanta.

Obejrzała się przez ramię na niewielkie wzgórze, na którym rosło kilka dębów. Stały tam przybrane kolorowymi wstążkami otwarte powozy. Jeszcze barwniejsze były stroje dam, które w nich siedziały. Tylko Annabelle stała nieco na uboczu, mierząc Mercy niewzruszonym, lodowatym spojrzeniem. Zupełnie jak jej brat!

Mercy z wyraźnym żalem spoglądała na grupę wesołych, wyraźnie zżytych ze sobą kobiet. Popijały poncz, pogryzały ciastka i szczebiotały jak urzeczony jesiennym słońcem ptaszki... gdy tymczasem ona brnęła przez bruzdy i kretowiska, a trzydzieści metrów przed nią naganiacze przeczesywali teren.

Zmrużyła oczy od słonecznego blasku. Jutro z pewnością będzie miała piegi! Chyba że Brenna zna jakiś cudowny wywar, który temu zaradzi.

Nagle z prawej strony, z kępy janowca poderwał się bażant i wzleciał w niebo, łopocząc skrzydłami. Z odrobiną żalu Mercy uniosła broń do ramienia. Przynajmniej będzie miał szybką śmierć. W jednej chwili wzbija się pod niebo, w następnej padnie bez życia na ziemię...

Pociągnęła za spust.

Bębenki omal jej nie pękły od ogłuszającego huk. Nagły ból przeszył ręce i ramiona. Ziemia usunęła jej się spod nóg.

A potem nie bażant padł na murawę, lecz Mercy.

18

Hart okrążył stajnię i skierował się do drzwi frontowych. Był tak zmęczony, że ledwie szedł. Spędził cały dzień w Londynie, obchodząc niezliczone szynki cuchnące podłym ginem, „prywatne kluby” i najgorsze spe-

lunki - i nie był wcale bliższy odnalezienia Williama Coltrane'a niż rano, gdy wyruszał z rezydencji Actonów. Nie wypełnił zadania powierzonego mu przez Mercy.

Na wspomnienie jej gibkiego, młodego ciała, tak smukłego i bezbronnego w jego uścisku, ocknęły się głęboko ukryte pragnienia. Zdusił je w sobie. Teraz Mercy z pewnością nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego, chyba że zażąda jego głowy na półmisku!

Na tę myśl uśmiechnął się żałośnie. Skoczy mu do oczu jak rozwścieczona kotka, bo nie zabrał jej ze sobą! Ale nie miał przecież innego wyjścia. Kiedy przekonał się, że nie zmusi jej strachem do pozostania w domu, po prostu wymknął się ukradkiem. A teraz, skoro Mercy się dowie, że już wrócił, odegra się na nim w amerykańskim stylu! Przyspieszył kroku. Jeśli Mercy chce się pieklić, proszę bardzo! Nawet cieszył się na to. Jej energia, jej pasja działały na niego jak magnes.

Pociągnął nosem. Nawet trzy kwadransy na świeżym powietrzu niewiele dały; nie pozbył się zapachu opium. Chciał zrzucić płaszcz i skrzywił się. Zebra, po których ktoś przejechał nożem, zaprotestowały przeciwko takiemu traktowaniu. Przyjrzał się uważniej. Płaszcz nie ucierpiał, ale koszula była przesiąknięta krwią, do wyrzucenia. Jak przez mgłę przypominał sobie dwóch napastników, którzy leżeli teraz bez przytomności w brudnym zaułku Soho.

Od sześciu lat nie ruszył nikogo nawet palcem. I oto nagle zjawiała się Mercy Coltrane i obudziła w nim krwiożercze instynkty... A był pewien, że zdławił je raz na zawsze! Złamał jednemu z tych ludzi nadgarstek z taką obojętnością, jakby odkroił kromkę chleba. I Bóg świadkiem, że w razie potrzeby nie poprzestałby na tym. Dla dobra Mercy gotów był na wszystko.

Pod pozornym spokojem nadal czaiło się w nim drapieżne zwierzę. Miotало się w klatce samokontroli, usiłowało podkopać się pod mur, czyhało na sposobność, by wyrwać się na swobodę. Hart przymknął oczy. To Mercy popychała go ku krawędzi, za którą przeszłość i terażniejszość mogą zespolić się w akcie niekontrolowanej przemocy.

Wślizgnął się do domu ukradkiem, by nie zwracać niczyjej uwagi. W holu było pełno ludzi. Coś widocznie zakłóciło zebranie towarzyskie u Actonów! Damy o zbielełych twarzach spoglądały z niepokojem w stronę górnego piętra; panowie zaciskali ręce i mamrotali coś niespokojnie.

- .. .potworne! - doleciał go głos Coffeya.
- .. .nigdy nie słyszałem o czymś takim!
- .. .jak to mogło wybuchnąć?!

Co tu mogło wybuchnąć? - pomyślał Hart z gorzką ironią. Su-flet?! Spędził cały dzień na dnie londyńskiej nędzy i występku. Nie

zamierzał przejmować się „katastrofą”, która przeszkodziła w zabawie książęcym gościom.

- Biedna panna Coltrane... - mówiła właśnie lady Carr.

Hart zatrzymał się raptownie, odwrócił na pięcie i spojrzał na nią takim wzrokiem, że aż się cofnęła.

- Co z panną Coltrane? - spytał z bijącym sercem.

- Nie słyszał pan, hrabio? - zdziwiła się.

- Jakbym słyszał, tobym nie pytał! - rzucił brutalnie. - Co z panną Coltrane?!

- Jej strzelba... to znaczy lufa eksplodowała podczas strzału...

-Gdzie ona jest?!

- Zanieśli ją do pokoju. Ale... pan nie może...

Hart przepchnął się obok niej, nie słysząc nawet jęku oburzenia. Przeskakiwał po dwa stopnie, serce waliło mu w piersi, wszystkie mięśnie miał naprężone. Gnał go szaleńczy niepokój.

Na korytarzu górnego piętra Beryl odłączyła od grupki dam i pośpieszyła w kierunku brata. Wyciągnęła rękę, chcąc go zatrzymać. Jej szczypta twarzy była pełna współczucia.

- Wiem, że nie jest ci obojętna...

-Zejdź mi z drogi!

- Mój Boże, Perth! Nie możesz tak...

Strząsnął dłoń siostry, podbiegł do drzwi Mercy i chwycił za klamkę. Ręka drżała mu ze strachu.

O Boże, spraw, żeby nie była ranna! Spraw, żeby żyła!

Otworzył drzwi jednym szarpnięciem.

- .. więc proszę nie zwalniać gajowego, wasza książęca mość! - To był głos Mercy.

Żyła!

Hart zamknął oczy i o mały włos nie runął na kolana. Ze wszystkich sił starał się odzyskać spokój. Nie chciał tych wszystkich kłębiących się w nim emocji! Wstydział się ogarniającej go ulgi. Nie mógł wybuchnąć płaczem! Zmusił się do otwarcia oczu i rozejrzał się po pokoju.

Hillard i Acton przycupnęli na niskich taboretach obok bogato rzeźbionego łoża z baldachimem, w którym spoczywała Mercy podparta mnóstwem poduszek. W nogach łóżka siedziała w głębokim fotelu księżna wdowa. Actonowie i Hillard spojrzeli na Harta ze zdumieniem, ale Mercy wyciągnęła do niego ręce. Był to drobny, prawie niedostrzegalny gest, lecz jakże wymowny!

Omal nie podbiegł wtedy ku niej. Omal nie poddał się przemożnemu pragnieniu, reagując na tę bezgłosną zachętę. Omal.

- Hart... - szepnęła Mercy.
Udał, że nie słyszy, i zwrócił się ostro do Actona.
- Co tu się stało, u diabła?! Ludzie gadają o jakiejś eksplozji!
- Istotnie... - książkę zerwał się na nogi, zafrasowany, czerwony ze wstydu. - Lufa strzelby rozerwała się w momencie strzału. Na szczęście panna Coltrane upadła tylko na skutek wstrząsu. Doktor zapewnił mnie, że nie doznała żadnej...
- „Tylko” upadła na skutek wstrząsu?! - zachnął się Hart. - Taki szok może zabić silnego mężczyznę! - Wpił się wściekłym wzrokiem w twarz księcia.
- Opanuj się, Perth - odezwał się Nathan Hillard.
A ten co tu robi?! Hart zignorował go z premedytacją.
- Czyja to była strzelba?
- Jej... - Acton zaczerwienił się jeszcze mocniej. - To znaczy... to ja dałem ją w prezencie panie Coltrane.
- Wielki Boże, człowieku! Nie mogłeś przedtem sprawdzić, czy broń jest w porządku?! Albo zlecić to gajowemu?
- Daj spokój, Perth! To nie jego wina! - wtrąciła się Mercy.
- O, nie! To nasza wina, panno Coltrane - odezwała się księżna. - Jest pani naszym gościem i ponosimy za panią pełną odpowiedzialność. Zaniedbałam swe obowiązki... Dopiero teraz widzę, jak dalece. - Władcze spojrzenie spoczęło na Harcie. -Nie potrafię wyrazić, jak bardzo żałuję swej opieszałości.
Mercy poruszyła się niespokojnie na ozdobionej falbankami i koronkami pościeli.
- Winchester był w porządku - zapewniła. - Sama go sprawdziłam, nim wybrałam się na polowanie. Wszystko było jak należy.
- Ależ droga pani - wtrącił słodkim tonem Hillard. - Z pewnością nawet tak utalentowana amatorka mogła nie dostrzec jakiegos szczegółu, który zauważyłby od razu na przykład gajowy.
- Nie! - stwierdziła z uporem Mercy, zaciskając usta. - Nie jestem amatorką, panie Hillard. Doskonale znam się na broni palnej. W Teksasie to konieczność. Ze strzelbą wszystko było w porządku, kiedy dałam ją do nabicia.
- A więc jakaś niedostrzegalna skaza w metalu? - podsunął Hillard. - Albo nadmiar prochu w łusce?
- Pewnie coś w tym rodzaju - odparła Mercy z uśmiechem pełnym wdzięczności. - A ponieważ nikt nie mógłby czegoś takiego przewidzieć, nikogo nie należy winić! Więc, jak już mówiłam, proszę nie odprawiać gajowego!

- Będzie tak, jak sobie życzy nasza bohaterka - odparł Acton. Hart znów zacisnął wargi.

-Dziękuję, wasza książęca mość! -Mercy zwróciła się teraz do Harta. - Bardzo mi przykro, że zaraz po powrocie trafił pan na takie zamieszanie, panie Perth. Słyszałam, że był pan w Londynie. W interesach? - Jej świetliste oczy nabrały twardszego wyrazu.

Doskonale wie, czym się zajmowałem przez cały dzień, pomyślał. I chciałaby jak najprędzej usłyszeć, co odkryłem. Uznała swój wypadek za incydent bez znaczenia i znów zależy jej tylko na odnalezieniu brata.

Ale choć hipoteza Hillarda o niewidocznej skazie zadowoliła Mercy, Harta nie przekonała. Acton posługiwał się wyłącznie bronią pierwszej jakości.

- Mam nadzieję, że pańska podróż okazała się owocna - zagadnęła znów Mercy. Uniosła się na poduszkach i mierzyła Harta przenikliwym wzrokiem.

-Niespecjalnie.

- Co za pech! Interesy nie idą najlepiej?

Actonowie i Hillard spoglądali ze zdumieniem to na jedno, to na drugie.

- Osoba, z którą chciałem się spotkać, nie zjawiała się.

- O! Musi mi pan o tym opowiedzieć w wolnej chwili. Koniecznie! - oświadczyła Mercy. - Bardzo mnie interesuje, jak się w Anglii prowadzi interesy.

Nie miał najmniejszego zamiaru opowiadać jej o swoich przeżyciach. Nie zamierzał spędzić ani chwili sam na sam z Mercy Coltrane. Szantażowała go przecież... choć potrafił zrozumieć, czemu to robiła. A poza tym była przeszkodą na drodze do małżeństwa jego najmłodszej siostry... nawet jeśli nie miała o tym pojęcia.

Przede wszystkim zaś była zagrożeniem dla niego. Mogła sforsować wzniesione z takim staraniem bariery ochronne wokół jego serca i wypuścić na wolność niskie instynkty, które od lat usiłował w sobie zdusić.

Sam na sam z Mercy było zbyt wielkim ryzykiem.

Gdy wyszedł na korytarz, od razu dołączyła do niego Beryl.

-Wielki Boże, Hart! Powiedziałabym ci sama, że z dziewczyną wszystko w porządku, gdybyś tylko zechciał słuchać! Co ty wyprawiasz?! Co też sobie pomyślała księżna wdowa i książę Acton, kiedy wtargnąłeś do jej pokoju?

-Niech sobie myślą co chcą, psiakrew! Co mnie to obchodzi?! - warknął.

Beryl uczepliła się jego rękawa. Musiał się zatrzymać. Rozejrzała się dokoła. Nie ścigały ich tu ciekawskie spojrzenia. Reszta gości tłoczyła się u drzwi Mercy.

- Lepiej, żeby cię to obeszło! - powiedziała cicho i z naciskiem. - Twoje zachowanie może zniszczyć przyszłość Annabelle.

Hart zgrzytnął zębami. Beryl miała słuszność. Zachował się jak niedowarzony młokos, groteskowy błędny rycerz! Księżna z pewnością głowi się teraz, co dało mu prawo do wdzierania się do pokoju Mercy i przybierania póż pana i władcy... Nie tylko Annabelle, ale i Mercy może uciepieć skutkiem jego nierozwagi.

- Jak mogłeś, Hart? - mówiła dalej Beryl. - Acton i tak staje się coraz obojętniejszy, a nasze małe jagniątko, Annabelle, znosi katusze!

Hart popatrzył na nią zmrużonymi oczyma. Gotów był przyznać się do winy, ale chciał postawić sprawę jasno.

-Annabelle znosi katusze, powiadasz? Trudno to poznać po jej minie. Jest równie kamienna jak wtedy, gdy podobno „szalała ze szczęścia”.

- Hart! -jęknęła Beryl.

-Żadne „Hart”! Mówimy o Annabelle. Wielkie nieba, Beryl! Jeśli mała naprawdę czuje słabość do tego pompatycznego durnia, to bardzo dziwnie ją objawia! Snuje się niema i bezbarwna jak duch!

- Co się z tobą dzieje, Hart?! - spytała zmartwiona i zaniepokojona Beryl. - To takie do ciebie niepodobne! Przecież Annabelle to kochane, słodkie dziecko!

- Może Acton doszedł do wniosku, że woli prawdziwą kobietę! - odparł Hart i oczywiście ujrzał przed sobą Mercy.

Skonsternowana Beryl zamrugwała.

- Proszę cię, Hart, nie bądź taki! Nie zapominaj, że jesteś głową naszej rodziny!

- O nie, Beryl - odparł z naciskiem. - Głową twojej rodziny jest Henley.

-No tak, oczywiście... -odparła i zarumieniła się. -Tylko że zawsze. .. zawsze mogłyśmy liczyć na ciebie. A teraz Annabelle potrzebuje twojej pomocy!

Annabelle... Tak, powinien pomyśleć o Annabelle.

Był zupełnie wykończony, bok pulsował bólem. Nie mógł się pozbyć zapachu opium. A w głowie miał tylko Mercy. Tulącą się do niego, roześmianą, przekorną i zapalczywą Mercy... I taką bładą i tonącą w koronkowej pościeli... Zmarszczył brwi. W tym wypadku ze strzelbą było coś

niepokojącego. Dziwne: najpierw strzał z lasu, a potem to... No cóż, wypadki się zdarzają. Nawet dwa razy z rzędu. Nawet pannie Coltrane. Musi wyrzucić Mercy z myśli! Cokolwiek do niej czuje, nie zwalnia go to z obowiązków wobec sióstr.

- W porządku, Beryl. Poprawię się. Jakoś to załagodzę.

Skinęła głową. Czowała satysfakcję i wyraźną ulgę.

- Słuchaj, Hart... Jest jeszcze coś... - Bała się spojrzeć mu w oczy.

-Tak?

- Chodzi o Henleya. Ma... pewne problemy.

- Jakie znów problemy? I nawiasem mówiąc, gdzie się teraz podziewa?

- Polityczne - wyjaśniła. - Właśnie dlatego musiał wyjechać do Londynu wczoraj i dziś. Miał ważne spotkania z liderami różnych stronnictw w parlamencie i ze swoimi wyborcami. - Usta Beryl wygięły się w podkówkę. - Och, Hart! Tak go wykorzystują! Czasem te spotkania trwają do późna... A nieraz musi zostawać na noc w mieście...

Polityczne zebrania w Londynie? Podczas przerwy w obradach parlamentu? Zgoła nieprawdopodobne! Wystarczyło jednak spojrzeć na pełną przejęcia twarz Beryl, by zrozumieć, że święcie w to wierzyła.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał Hart.

- Chciałabym, żebyś użył swoich wpływów i ułatwił trochę życie Henleyowi. Nie musi przecież tak się zapracowywać! Pomóż mu nawiązać kontakty z właściwymi ludźmi.

Hart potrząsnął głową.

- Już ci mówiłem, Beryl, że nie mam żadnych wpływów, nie znam żadnych ważnych osobistości. Wiesz, że rzadko bywam w kraju.

- Jesteś przecież hrabią Perth! - upierała się. - Wszyscy się z tobą liczą! Henley jest tego samego zdania.

Znów popatrzył na siostrę spod przymrużonych powiek.

- Czy to Henley cię prosił, żebyś zwróciła się do mnie?

-Nie! - zaprzeczyła, unikając jego wzroku. - Rozzłościłby się na mnie, gdyby się o tym dowiedział. To wyłącznie mój pomysł! Sam fakt, że jest szwagrem hrabiego Perth, dodaje Henleyowi znaczenia. Myślałam... .. miałam nadzieję, że zechcesz się za nim wstawić.

- Beryl - powiedział ze znużeniem - moja interwencja nic by nie dała. Henley jest wyjątkowo inteligentny. Tylko od niego zależy, czy odniesie sukces, czy spotka go porażka.

Delikatnie rzeźbiona, nieco lisia twarz siostry przybrała wyraz rezygnacji.

- Może masz słuszość, Hart... - wymamrotała Beryl. Przez sekundę była uosobieniem rozpacz. Potem odeszła, garbiąc się lekko.

Czekaj no, panie Wrexhall! - pomyślał Hart. Będziesz mi musiał parę spraw wyjaśnić!

19

więc - odezwała się księżna, gdy tylko wypłoszyła z pokoju Mercy resztę gości - co to wszystko ma znaczyć?

- Co takiego? - spytała Mercy.

Księżna zacisnęła usta tak mocno, że wargi stały się prawie niewidoczne.

- Nie udawaj niewiniątka, moja panno! Nic nie idzie tak, jak zaplanowałam. Hrabia Perth wpada tu jak burza i niezwykle władczym tonem domaga się wyjaśnień. Nathan Hillard wygląda jak chłopczyk, któremu ktoś odebrał cukierka. A mój własny syn, chociaż tak mu zależało na sproszczeniu gości do naszej wiejskiej rezydencji, nie robi nic, ale to dosłownie nic, by zaręczyć się wreszcie z tą pannicą! Dodajmy do tego jeszcze Whitcombe'ów zamykających się wieczmie w swoim pokoju... Nie będę ci tłumaczyć, jakie nieprzystojne uwagi to wywołuje! A młodzieńca Annabelle Moreland nagle ujawnia swój charakter, i to żelazny! No i Beryl Wrexhall pojawia się ciągle sama, bez męża. A w centrum tego wszystkiego stoi oczywiście panna Coltrane. Nie życzę sobie tego!

- Doprawdy nie wiem, co wasza książęca mość ma na myśli - wymamrotała Mercy, bawiąc się koronkowym obszyciem swej lizeski. Cała jej uwaga skupiona była na pierwszym zarzucie księżnej. Bez wątpienia, zuchwałe zachowanie Harta postawiło ją w niezręcznej sytuacji. A jednak na myśl o tym ogarniała ją niemądra radość. Hart może tego nie chciał, ale jednak coś do niej czuł!...

- Czyżbyś miała coś na sumieniu? Przyznaj się!

Pytanie księżnej zaskoczyło ją kompletnie. Wypuściła z rąk brzeg lizeski.

-Ależ nie!

Księżna wdowa zmierzyła ją twardym wzrokiem, po czym mruknęła:

- Lepiej się pilnuj! Obiecałam lady Timmons, że się tobą zaopiekuję. I zamierzam dotrzymać słowa... za wszelką cenę! -Uniosła podbródek i obrzuciła Mercy dziwnym, wyzywającym spojrzeniem. - Miałam nadzieję, że uda się tego uniknąć, ale widzę, że musimy odbyć poważną rozmowę. Najwyraźniej potrzebujesz twardej, pomocnej ręki, moja panno!

Nawet sobie nie wyobrazasz, księżno, jak bardzo jej potrzebuję! - pomyślała Mercy, zanim odpowiedziała potulnie:

- Tak, wasza książęca mość. Będę ogromnie wdzięczna za wszelkie rady, jakich księżna pani zechce mi udzielić.

Starsza dama prychnęła pogardliwie.

- Bardzo przykładowa odpowiedź! Mam nadzieję, że w stosunku do młodych dżentelmenów zachowujesz się równie przykładowie, moja mała!

- Rzuciła Mercy spojrzenie, które mówiło wyraźnie, że ma co do tego poważne wątpliwości.

Na wspomnienie chwili, gdy zakradła się do sypialni Harta, Mercy oblała się rumieńcem. Księżna uniosła brwi.

- O, Boże! - westchnęła. - Gorzej niż myślałam! Cóż, musimy ratować, co się da.

- Doprawdy, wasza książęca mość źle zrozumiała...

- Jestem już stara, Mercy. W moim długim życiu widywałam wiele panien, które spotkał marny koniec, bo kierowały się sercem, a nie rozumem.

- Co księżna pani ma na myśli? - spytała Mercy.

Starsza dama pokiwała głową.

- My, kobiety, jesteśmy z natury słabe i uległe, moje dziecko. Zbyt podatne na wpływy, zbyt ufne i zbyt łatwo folgujemy uczuciom. Słodkie i dziecinne, nie nadajemy się do tego, by decydować o swoim losie.

- Ach tak? - mruknęła Mercy. Przysłuchając się wywodom księżnej, miała wrażenie, że słyszy głos własnej matki. „Słodycz i uległość, Mercy - oto wkład kobiety w dzieje świata. Powinniśmy wrodzoną łagodnością powściągać twardego realizm mężczyzny!" Ale jakże często zwykła bezsilność przybierała szczytne miano łagodności! Czy dzięki potulnej uległości zdołałaby odnaleźć Willa i sprowadzić go na powrót do domu? A jednak podobne myśli wydawały jej się zdradą wobec matki.

- Mercy, zechciej uważać, kiedy do ciebie mówię! Robię to tylko dla twojego dobra. To, że jesteś Amerykanką, nie ułatwia sprawy. Łączysz właściwy wszystkim kobietom sentymentalizm z typowo amerykańską lekkomyślnością!

-Słucham?!

Księżna zmarszczyła brwi. Mówienie bez ogródek wywoływało w niej niesmak, ale w tej sytuacji było konieczne.

- Wy, Amerykanki, jesteście takie zuchwałe, takie samowolne... i takie naiwne! - W głosie księżnej brzmiało zdziwienie. - Zwłaszcza w porównaniu ze spokojnymi, skromnymi Angielkami. Pozwalamo wam, niestety, ulegać wybujałym, zmiennym nastrojom... w zatrzważającym

stopniu. Nie przeczę, że urocze z was istotki, i przykro by mi było cię zranić, moje dziecko - dodała - ale chciałabyś być damą, prawda?

I znów słowa księżnej zabrzmiały dziwnie znajomo w uszach Mercy. Mimo to miała wrażenie, że po raz pierwszy rozumie je w pełni. Może dlatego, że wypowiadała je ta obca kobieta, a nie jej zmarła matka? A może dlatego, że po raz pierwszy nie wywoływały w Mercy skruchy, poczucia, że sprawia rozczarowanie komuś bliskiemu?

Matka Mercy przez całe życie pragnęła, by jej córka urzeczywistniła marzenia, których sama musiała się wyrzec. Teraz, słuchając księżnej, Mercy nagle uświadomiła sobie, że starsza dama bardzo przypomina jej matkę. Żadna z nich nie wyrzekła się swoich marzeń, tylko przeczuciła je na barki własnego dziecka.

To spostrzeżenie sprawiło Mercy ból. Niewątpliwie obarczono ją brzemieniem cudzych marzeń i od początku czuła, że go nie udźwignie. Dotąd zawsze szukała winy w sobie - czuła się niegodna, za mało kobieca. Ale kto wie, czy tak rzeczywiście było? Może mama nie powinna od niej wymagać, by zamiast snucia własnych marzeń spełniała cudze?

Ta hipoteza wymagała przemyślenia. Ku swemu zaskoczeniu Mercy nie odczuwała skruchy, lecz ulgę; poczuła się wolna.

- ..przez swój brak powściągliwości możesz narazić się na nieprzychylne komentarze - mówiła księżna. - A nasi dżentelmeni całkiem opacznie rozumieją twoje intencje. Obawiam się, że hrabia Perth... a być może i mój syn... już popełnili tę omyłkę. I cóż wtedy poczniesz, moja droga?

- Nie zrobiłam nic niewłaściwego - powiedziała Mercy z pewnym roztargnieniem, ciągle jeszcze pochłonięta swoim odkryciem.

- Czy jesteś w stanie o tym wyrokować, moje dziecko? - nie dawała za wygraną księżna. - Nasze towarzystwo rządzi się bardzo subtelnymi zasadami. Nie każdy wyczuwa takie niuanse. Może nieświadomie zachęciłaś ich, wzbudziłaś w nich fałszywe nadzieje? - Mercy spojrzała jej prosto w oczy. Księżna nie spuściła wzroku. - Przykro mi to mówić, ale ich nadzieje mogą mieć taki charakter, jakiego byś sobie z pewnością nie życzyła.

- Nie rozumiem, o co chodzi.

- Tak właśnie myślałam! - W głosie księżnej była nutka gorzkiego triumfu. - Nie wyobrażaj sobie, że twój urok i twoje bogactwo okażą się silniejsze od wielowiekowej tradycji... i szlachetnej krwi.

- Słucham?

- Muszę niestety być grubiańsko szczera - powiedziała księżna z grymasem niesmaku. - Acton uważa, że jesteś pełna życia i oryginalna.

Trudno mu się dziwić! Nie zetknął się dotąd z dziewczętami podobnymi do ciebie. Zdradza więc wszelkie objawy zauroczenia nowością. Ale zrozum mnie dobrze, moja droga, zauroczony czy nie, jest przede wszystkim księciem Acton!

Boże wielki! - pomyślała Mercy. Ona mnie ostrzega, bym nie ważyła się podnieść oczu na Actona! Tego rubasznego, prowincjonalnego, słodkiego głuptasa!

-Ależ wasza książęca mość! - wykrztusiła z najwyższym zażenowaniem.

Księżna uciszyła ją gestem ręki.

- Nic mnie nie obchodzi, że syn Manchestera ożenił się z amerykańską milionerką! Żadna przyzwoita Angielka nie poślubiłaby tego rozpustnika. Nie mówiąc już o tym, że jego matka oczarowała księcia, tańcząc kankana! - Księżna prychnęła z pogardą, odpędzając od siebie niestosowną wizję. - Czegóż można się było spodziewać po synu takiej kobiety?! Ale u Actonów nie zdarzyło się nigdy nic podobnego. Mój syn musi być godny swoich przodków i tradycji rodu!

Poczucie humoru pomogło Mercy jakoś znieść tę scenę. Księżna opadła na oparcie fotela i wpatrywała się w nią bacznie, z pewnym współczuciem. Spodziewała się widocznie, że dziewczyna wybuchnie rozpaczliwym płaczem na wieść, że nie uda jej się poślubić Actona. Mercy doszła do wniosku, że nie może urazić macierzyńskiej dumy.

-Och!

W ostatniej chwili udało jej się zamienić wzbierający w sobie śmiech na bolesne westchnienie. Zwiesiła głowę, wargi jej drżały.

- Przykro mi, moja droga - powiedziała księżna - lecz musiałam ci wyjaśnić sprawę. Mam nadzieję, że nie włożyłaś w to zbyt wiele serca... Acton potrafi być czarujący.

Mercy pociągnęła nosem. Doszła do wniosku, że trzy chlipnięcia wystarczą.

- Jestem wstrząśnięta, wasza książęca mość... Ale postaram się przeżyć to... rozczerowanie.

Księżna poruszyła się niespokojnie. Było to całkiem niezgodne z jej charakterem. Mercy natychmiast zapomniała o chlipaniu.

- Czy księżna pani ma coś więcej do powiedzenia?

- Tak. - Starsza dama usztywniła plecy i odwróciła nieco głowę. Siedziała niczym królowa, opanowana i władczą, patrząc Mercy prosto w oczy. - Jako twoja opiekunka i pani domu, w którym gościsz, uważam za swój obowiązek uprzedzić cię, że w przypadku lorda Perth sprawy przedstawiają się tak samo jak z Actonem. Nie rób więc sobie złudnych

nadziei... bez względu na to, jak osobliwie zachował się kilka minut temu.

Mercy była jak ogłuszona słowami księżnej. Nie spodziewała się, że jej nie w pełni skryształizowane marzenia - tak delikatne i kruche, iż nie przyznawała się do nich nawet przed sobą- zostaną tak brutalnie obnażone i zniszczone. Nie miała żadnej obrony przed tym atakiem. Wpatrywała się tylko w surową twarz księżnej, czując się naga i bezbronna jak nigdy dotąd.

Krew dudniła jej głucho w skroniach. Pokój stał się nagle zbyt wielki, zbyt zimny. Powinna była przewidzieć ten cios... Wolą jednak przyomykać oczy na rzeczywistość i cieszyć się każdą chwilą spędzoną w towarzystwie Harta jak nowym darem losu. Nie myślała o przeszłości ani o przyszłości. Nie odważyła się nazwać rosnącego w niej uczucia.

Miłości.

Boże, zlituj się! Pokochała Harta Morelanda, dla którego arystokratyczne tytuły i pozycja w wielkim świecie znaczyły tyle, że poświęciła dziesięć lat własnego życia, by zapewnić je swoim siostrom.

Ach, ty idiotko! -mówiła sobie w duchu. Łudziłaś się, że Hartowi zależy na tobie! Drżałaś ze szczęścia, kiedy wpadł do twego pokoju! Przechowywałaś niczym skarb wspomnienie serca trzepoczącego pod twoim policzkiem... ramion unoszących cię tak lekko do góry... zapachu tytoniu i wełny... warg całujących cię tak... tak namiętnie, jak lubiłaś sobie wmawiać!

- Być może, pan Hillard nie będzie miał nic przeciwko małżeństwu z Amerykanką- odezwała się po chwili księżna. Mercy omal nie wybuchnęła płaczem. - Jest w zażyłych stosunkach z księciem Walii, a on przepada za twoimi rodaczkami. Poza tym Hillard nie ma tytułu, więc nie musi tak zważać na czystość krwi.

Łzy polały się wreszcie, gorące, gorzkie i niepowstrzymane. Mercy otarła je ręką, odwracając twarz do okna.

- No cóż, moja droga... - mówiła księżna sztywno i z przymusem. - Może jakiś węgierski hrabia albo francuski diuk? To w końcu tylko cześć tytuły...

- Proszę mnie zostawić samą! - wykrztusiła Mercy.

- Doprawdy... Wielkie nieba! - W głosie księżnej brzmiało oburzenie. Ta mała wyprasza ją bez ceremonii?! Mercy usłyszała szelest spódnicy i stukot obcasów. - Postaraj się opanować. - Była to wyraźna nagana.

Mercy omal się nie roześmiała przez łzy. O, nie! Rzeczywiście nie zachowywała się jak dama! Ale prawdziwa dama trzyma swoje serce na uwięzi, by nie mogło roztrzaskać się o lodowaty mur ozdobiony tarczą herbową.

- Zrobię dla ciebie, co się tylko da. Może po powrocie do Londynu zapoznam cię z którymś z rosyjskich książąt. Albo znajdę jakiegoś włoskiego hrabiego - obiecała księżna.

Drzwi otwarły się z lekkim skrzyknięciem i natychmiast zamknęły.

Mercy ukryła twarz w dłoniach. Księżna wdowa mogła ją kusić tytułami, herbami, odznaczeniami i dobrami ziemskimi całego świata! Co jej po tym?!

Ona chciała rewolwerowca!

Świt znaczył już horyzont cieniutką srebrną koronką. Hart wyglądał przez okno sypialni. Niewiele dziś spał. Zresztą przeważnie tak bywało. Wczoraj nie zszedł na obiad, tylko znowu pojechał do Londynu. Przeczesał całe Soho, szukając śladów Willa Coltrane'a.

Nie odnalazł go, ale spotkał wielu podobnych do niego. Ludzi o pustych oczach i zrujnowanych marzeniach. Mężczyzn szukających zapomnienia i kobiet pragnących przetrwać za wszelką cenę. Rozpacz, wyrzuty sumienia, rezygnacja. Widywał wielu takich nieszczęśników pod wojskowym namiotem w Afryce Północnej, w zatłoczonych portach Dalekiego Wschodu, na bydłowych targach w Ameryce i w eleganckich stolicach Europy. Zresztą wystarczyło spojrzeć w lustro!

Wreszcie, kilka godzin po północy, jakiś elegant o szklanych oczach powiedział mu, że niedawno spotkali się przy fajeczce z Willem Coltrane'em. Hart starał się wycisnąć z niego coś więcej. Wiedział, że pojęcie czasu właściwie nie istnieje dla narkomana. Ten jednak upierał się, że naprawdę zna Coltrane'a.

- Uroczy chłopak, mimo amerykańskiego akcentu - mówił. - Wielka szkoda, że został bez grosza. Od razu zmienił się na gorsze. Zrobił się jakiś... natarczywy... - Przygodny znajomy zmrużył oczy i popatrzył na Harta z zakłopotaniem. - Właściwie dlaczego... - zastanawiał się głośno - mentor Willa nie wyratował go z kłopotów finansowych?

Mentor? To słowo przyciągnęło uwagę Harta. Jaki mentor? Kto nim był? Dowiedział się, że był to dyskretnie ubrany, kulturalny Anglik. Chyba wysoki, dość barczysty. Włosy ciemne... jasne? Nie wiadomo. Zawsze miał na głowie duży kapelusz. Elegant nie umiał powiedzieć nic więcej. Niewiele go to obchodziło.

Hart wrócił do rezydencji Actonów z zamętem w głowie. Kim był przewodnik Willa po londyńskim piekle? I co ważniejsze, kto ponosił odpowiedzialność za wypadki Mercy? Im dłużej Hart nad tym się zasta-

nawiał, tym bardziej wątpił, że był to zbieg okoliczności. Choć starał się odpędzić tę myśl, najbardziej podejrzany wydawał mu się jej brat. Tylko Will odniósłby materialne korzyści ze śmierci Mercy. A zdesperowany narkoman zdolny jest do wszystkiego. Hart dobrze o tym wiedział.

Ale jak Will Coltrane mógłby zaaranżować te dwa „wypadki”? Czyżby ukrywał się na terenie posiadłości Actonów? Mało prawdopodobne, by jego obecność nie została zauważona!

Hart pewien był tylko jednego: nie może wspomnieć Mercy o swoich podejrzaniach. Nie tylko by mu nie uwierzyła, ale - o ile ją znał - rzuciłaby się wprost w niebezpieczeństwo!

Kiedy dotarł w końcu do swego pokoju i osunął się na posłanie, nawiedziły go bezlitosne, dobrze mu znane koszmary. Tym razem jednak wizja zmasakrowanego ciała Mercy przesłaniała wszystkie inne straszliwe obrazy. Ocknął się zlany potem i drżący w lodowatej ciemności. Resztę nocy przestał na warcie przy oknie, wypatrując świtu.

To szaleństwo! -pomyślał, odwracając wreszcie oczy od szarzącego nieba. Jak mógł pozwolić, by Mercy Coltrane wtargnęła tak głęboko w jego serce? Czemu nie stawiał oporu, gdy forsowała bariery ochronne, które wznosił z takim staraniem?

Nie pozwolić? Stawić opór? Jego serce nie pytało o pozwolenie. A dla niego nie było ratunku. Nie mógł wyrzec się tej miłości, bez względu na to, co ze sobą niosła - tak samo jak niewidomy nie wyrzekłby się za nic okrutnego cudu: odzyskania wzroku na jedną krótką godzinę.

Ale podobnie jak ów ślepiec, będzie musiał drogo zapłacić za to krótkie, dręczące, niesłychanie bolesne przebudzenie serca.

Nie było przecież najmniejszej szansy, by ta miłość mogła rozkwitnąć. Siłą woli utrzymywał się na skraju przepaści, na granicy szaleństwa. Co noc ścigany przez koszmary był jak potępieniec, a przesładujące go nawet w dzień bezkształtne widziadła sprawiały, że żył w nieustannym strachu.

Cóż mógł zaoferować Mercy ktoś taki jak on? Ręce czasem drżały mu tak, że nie mógł utrzymać szklanki z wodą... Miałaby zostać pielęgniarką szaleńca? Nieraz tylko gniew na samego siebie i wstręt do własnej słabości powstrzymywały go od wybuchnięcia rozpaczliwym płaczem. Mój Boże... nie mógłby ofiarować jej nawet nazwiska...

A poza tym musiał myśleć o innych. Podniósł koc z podłogi i rzucił na łóżko. Mógł zrobić dla Mercy tylko jedno - znaleźć tego jej przekłętogo brata!

Choć wątpliwe, by miała z tego wiele radości.

20

T

Jak to cudownie widzieć panią znowu w tak doskonałej kondycji, pan-
no Coltrane - powitał Mercy następnego dnia Nathan Hillard, stając obok
niej koło wrót obory. Zbliżało się już południe. Księżę Acton zabrał swo-
ich gości na zwiedzanie farmy mlecznej.

-Dziękuję, panie Hillard. I dziękuję za wczorajszą troskę. -Wie-
działa już, że pierwszy znalazł się przy niej, gdy upadła. Sam jąpodobno
zaniósł do domu i polecił natychmiast się nią zaopiekować. Teraz także
jego niezwykle oczy jaśniały czułą troską.

- Mam nadzieję, że wczorajszy niefortunny incydent nie pozostawił
żadnych złych następstw?

- Absolutnie żadnych. - Musiała odpowiadać na podobne pytania od
chwili, gdy zeszła na śniadanie. Wszyscy okazali jej współczucie. Z
jednym wyjątkiem. Na twarzy Annabelle Moreland dostrzegła wyraźny
błysk satysfakcji. Zupełnie jakby ta młoda dama przewidywała, że coś
niemiłego przydarzy się kobiecie, która wtargnęła na teren zastrzeżony
wyłącznie dla mężczyzn. Panna Moreland była najwidoczniej rada, że jej
przypuszczenia się sprawdziły.

Mercy pozostała w tyle za resztą gości, którzy zaglądali ciekawie do
obory. Hart stał w pobliżu, trzymając pod rękę Annabelle. Na jego suro-
wej twarzy malowało się pewne zainteresowanie. Obok znajdowali się
Whitcombe'owie: Richard podtrzymywał czule nieco zapuchniętą Fan-
ny. Do pełnego obrazu rodzinnego szczęścia brakuje tylko Henleya i Be-
ryl, pomyślała Mercy i zapragnęła nagle, by brat znalazł się obok niej.

Przyłapała się na tym, że wpatruje się w ściągniętą twarz Harta. Mo-
głaby przysiąc, że dowiedział się czegoś o Willu i chce to przed nią ukryć.
Unikał jej przez cały ranek. Prowadził zdawkowe rozmowy z innymi go-
śćmi, okazywał czułą troskę siostrze i w ogóle zachowywał się niezgod-
nie ze swoim charakterem. Być może, księżna wdowa odbyła poważną
rozmowę także z nim! Ta myśl zabolęła Mercy - tym bardziej że Hart
wyraźnie wziął sobie przestrogi księżnej do serca.

No cóż... Perth może się nie obawiać, że Mercy będzie się doszuki-
wała ukrytych znaczeń w jego nagłym wtargnięciu do jej sypialni! Wi-
działa teraz sprawę jasno. Czy chciał tego, czy nie, znalazła się pod jego
opieką. A dla człowieka tego pokroju odpowiedzialność i obowiązek to
święta rzecz.

Nie potrzebuję jego opieki! - myślała. - Chcę tylko, żeby odnalazł
Willę! Zależy mi na bracie, na nikim innym!

Przestań się okłamywać!

- Tak bardzo się o panią niepokoiłem - odezwał się Nathan ciepłym, zniżonym głosem, przerywając jej zadumę. - Pani dobro leży mi ogromnie na sercu.

Mercy zarumieniła się pod jego wzrokiem.

- Panno Coltrane, nie mogę dłużej milczeć! Z pewnością zauważyła pani, jak dalece...

- Pan wybaczy - przerwała mu, dostrzegając z niepokojem miłosny zapał w jego głosie - ale nie potrafię teraz myśleć o niczym prócz Willa. Na wszystko inne przyjdzie czas, kiedy odzyskam brata.

- Oczywiście. - Nathan schylił głowę, chcąc zapewne ukryć zawód i ból, jaki sprawiły mu jej słowa. Był dżentelmenem pod każdym względem, mimo że nie posiadał majątku ani tytułu. Mama życzyłaby sobie dla niej takiego właśnie męża: grzecznego, delikatnego, wytwornego... - Ale pani brat niebawem się odnajdzie, a wtedy...

- Niebawem? - spytała z radosnym ożywieniem.

- Otrzymałem już kilka odpowiedzi na moje pytania w sprawie pani brata - odparł spokojnie.

- Naprawdę? - Widać dostał dziś rano jakieś listy!

- Niegrzeczna z pani dziewczynka! - Spojrzał na nią z czułym wyrzutem. - Nie trzeba było przede mną taić, że pani brat wplątał się... w paskudne sprawy...

Nutka wyższości w jego głosie sprawiła, że Mercy poczuła chłód.

- Doprawdy? - spytała.

- Tak twierdzą moi przyjaciele. Ale... - uśmiechnął się rozbrajająco - ludzie zawsze lubią przesadzać!

- Czy pan wie, gdzie on teraz jest?

- Niestety, nie. Wygląda na to, że zniknął. Może udał się na kontynent.

Mercy zmarszczyła brwi, nagle zaniepokojona. Jeśli miała takie trudności z odszukaniem Willa w Londynie, to jak zdoła go odnaleźć we Francji, w Austrii czy we Włoszech? Ale nie! To przecież niemożliwe. Napisał, że odezwie się pod koniec tygodnia. Pozostały jeszcze trzy dni.

- Nie sądzę, żeby wyjechał, panie Hillard.

-No cóż... Może być pani pewna, że zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby go odnaleźć.

- Ja również! - odparła z uśmiechem. Zawstydzila się swej opryskliwości wobec człowieka, który wyraźnie chciał jej dopomóc. Pozwoliła, by wziął ją za rękę i uściśnął, dodając otuchy.

- Muszę jednak panią ostrzec... Być może to, co pani odkryje, nie sprawi pani radości.

- Zaryzykuję- odpowiedziała Mercy. - Will to dobry chłopiec. Mógł ulec złym wpływom, ale to wina kogoś, kto go w to wciągnął. Chciałabym wiedzieć, kto to taki! - dodała ze ściśniętym gardłem.

- Może... Ale mógł też zawędrować na manowce z własnej woli.

- Nigdy w to nie uwierzę - odparła.

- Nie będę się z panią sprzeczał, moja droga.

- Panno Coltrane! - zawołał nagle księżę Acton stojący na czele wyprawy. - Czy zechciałaby pani wyrazić swoją opinię na temat moich krów?

Mercy uśmiechnęła się na widok zdumienia, jakie odmalowało się na twarzy Hillarda.

- Ponieważ wychowałam się na ranczo, księżę uważa mnie za eksperta od krów! Proszę wybaczyć, panie Hillard.

Wszyscy rozstępowali się przed nią, gdy kroczyła w stronę Actona. Stał obok brązowej krowy rasy szwajcarskiej i poklepywał ją niezręcznie z dumą. Krowa wywracała oczami.

- I co pani o niej myśli? - spytał, gdy Mercy znalazła się u jego boku. Księżna, stojąca sztywno po drugiej stronie syna, nie kryła swej dezaprobaty i rzuciła Mercy lodowate, ostrzegawcze spojrzenie.

Do diabła z księżną! - pomyślała Mercy zdjęta nagłym gniewem. Do diabła z jej arogancją, niedelikatnością i ostrzeżeniami! Miała już dość protekcjonalnego traktowania przez księżną Acton i jej gości. Nie była rzadką osobliwością sprowadzoną do księżęcej kolekcji z dalekiej Ameryki! Nie miała zamiaru dłużej wysłuchiwać kłopotliwych zwierzeń starej damy - tym bardziej że wybrała ją sobie na powiernicę nie dlatego, że darzyła ją zaufaniem, lecz wyłącznie dlatego, iż nie uwierzono by jej, gdyby zaczęła o tym rozpowiadać! Jej pochodzenie i całkowity brak dobrych manier sprawiały, że była dla tych ludzi zerem. A przede wszystkim księżna naraziła się jej dlatego, że „czuła się w obowiązku” ostrzec ją, by nie ważyła się podnieść oczu na jej syna. Ani na Harta.

Mercy odwróciła się, przycisnęła złożone ręce do serca i uśmiechnęła się do Actona.

- Co ja o niej myślę? Ależ wasza księżęca mość, to najpiękniejsza krowka, jaką kiedykolwiek widziałam! Prawdziwa krowia Wenus! Proszę spojrzeć na te czyste oczy, na tę lśniąca sierść, na te wspaniałe racice!

Acton omal nie pękł z dumy. Mercy usłyszała czyjś śmiech i odwróciła się w tamtą stronę. Zobaczyła, jak Hart usiłuje zakamufłować uśmiech. Popatrzyła na niego podejrzliwie. Ależ piękny miał uśmiech! I białe, równe zęby. Na szczupłym policzku pojawił się dółek, na czole opadł kosmyk gęstych brunatnych włosów.

- Dziękuję bardzo, panno Coltrane! - powiedział Acton. - Czy zwróciła pani uwagę na wymię? Nie znam się co prawda na wymionach, ale mówiono mi...

-Acton! -przerwała mu ostro księżna. -Chyba już dość tej obo-ry! - Spod ciężkich powiek przeszła Mercy wzrokiem pełnym niechęci, może nawet nienawiści. Dziewczyna wyczuła, że pod władczym tonem starszej damy kryje się bezradność i strach.

Odwróciła wzrok. Jakież miała prawo osądzać zasady, które kierowały księżną? Jeśli nade wszystko ceniła sobie czystość krwi, to wyłącznie jej sprawa!

Najwyraźniej księżna wdowa widziała w niej zagrożenie. Sądziła, że z jej winy dobre stare nazwisko stanie się przedmiotem drwin albo -co gorsza - pogardliwej litości.

Gniew nagle opuścił Mercy. Nigdy nie czuła się swobodnie wśród tych ludzi. Jak mogła karać za to księżnę Acton?

- No tak... oczywiście... mam - wyjął książę i podał ramię Mercy.

- Wasza książęca mość wybaczy - powiedziała - ale nie całkiem jeszcze przyszedłem do siebie po wczorajszym wypadku. Nie chciałabym przeszkadzać państwu w dalszych oględzinach. To takie pasjonujące! Proszę kontynuować zwiedzanie, a ja pójdę powolutku... na ile mi siły pozwolą.

- Jest pani pewna, że tak będzie lepiej? - spytał Acton, spoglądając z niepokojem w stronę matki.

- Całkiem pewna.

- Kończmy już ten obchód, Actonie - odezwała się chłodno księżna. - Wkrótce pora zasiąść do stołu.

Acton rzucił Mercy przepaszający uśmiech i ruszył za matką. Reszta towarzystwa za ich przykładem skierowała się ku stajniom. Nie bardzo wiedząc, co robić, Mercy przez jakiś czas szła powoli za nimi i zatrzymała się przy wybiegu dla koni. O kilka kroków od rodziny Morelandów.

Annabelle rzuciła jej tylko jedno spojrzenie, zacisnęła pełne wargi i ostentacyjnie przeszła na drugą stronę.

Jeśli to próbka mojej popularności w Acton Hall, to na balu będę się czuła jak trędowata! - pomyślała Mercy.

- „Wspaniałe racice”, powiadasz? - szepnął do niej Hart.

Nie potrafiła opanować dreszczu, o który ją przyprawił ten cichy, melodyjny, niesłychanie pociągający głos. Ani uspokoić serca, które się nagle rozszalało.

- Jesteś niepoprawna! - mówił dalej. - Kto widział, żeby tak doku-
czać księżnej wdowie!

Policzki jej poróżnowiały, gdy usłyszała śmiech w głosie Harta. Wołała się na niego nie oglądać; był zbyt atrakcyjny, zwłaszcza w takim dobrym humorze.

- O, moje śliczności! - Fanny podbiegła do stogu siana tuż przy ogrodzeniu. Wyciągnęła z jakiejś szczeliny malutki, puszysty kłębek. Z oczami błyszczącymi od łez podniosła kociątko do twarzy i zaczęła ocierać się policzkiem o jego grzbiet.

- Kochaniatko moje! - rozczulała się. - Jakiś ty słodki! Malutkie, maluteńkie kocie dzidzi! Ci z ciebie nie ciudo? - zasepleniła i żądając potwierdzenia od Mercy, podetknęła jej pod nos kociaka, który wymachiwał łapką z ostrymi pazurkami.

- Uroczy - potwierdziła Mercy.

- Prawda?... - szeptała bez tchu Fanny. - Taki mali maciu-puciu-ciudo-kotek!

Pośpieszyła do męża, by pochwalić się swą zdobyczą. Mercy przysunęła się bliżej do Harta.

- Tylko mi nie mów - szepnęła - żeś zabraniał siostrom bawić się z kotami!

- Kotami?! - zdumiał się. - Zawsze miały mnóstwo kotów! W Anglii aż się od nich roi. Gdzie się obejrzysz, trafisz na kota!

Z jakiegoś powodu krytyczna uwaga Mercy go zirytowała. Dobrze mu tak! On też działał jej na nerwy. Sama jego obecność drażniła ją. Stawała się boleśnie świadoma swego ciała, tętna, oddechu, a przede wszystkim obolałych warg, które mogłyby uleczyć tylko jego pocałunki.

- Skąd ci przyszło do głowy, że zabraniałem im zabaw z kotami?! Słowo daję, Mercy, wyobrażasz sobie Bóg wie co na mój temat...

- Jeśli natychmiast czegoś nie zrobisz - powiedziała spokojnie - w kochanej starej Anglii będzie o jednego kota mniej.

- Co takiego? - obejrzał się na siostrę. Przyciskała do piersi kocie, które syczało, miauczało i wyrywało się rozpaczliwie. Fanny całkiem dosłownie dusiła je z miłości. - Na litość boską, Fanny, puść tego biedaka!

- Ależ, Hart! Ja tylko...

- Puść kotka, najmilsza - gruchał Richard. - On chce do mamusi.

- Och! - Fanny pośpiesznie ukryła znów kociaka w sianie.

Coś w jej przejętej twarzy i w czułym spojrzeniu Richarda sprawiło, że Mercy nagle pojęła. Fanny jest w ciąży! Że też się tego wcześniej nie domyśliła! Wszystko się zgadzało: napady płaczu, opuchnięta twarz, zmienne nastroje, unikanie posiłków...

- Chodź, najdroższa - kusił ją Richard. - Wrócimy do naszego pokoiku i uraczymy się kremem, zgoda? - Wetknął sobie rękę żony pod ramię i pociągnął ją w kierunku domu.

- Wiesz co, Hart? - powiedziała w zadumie Mercy. - Kobiety w jej stanie nie powinny jeść dużo słodczy.

- Słucham?

- Kobiety w ciąży nie powinny zanadto tyć! I poradź Fanny, żeby nie ścisnęła się gorsetem. Jestem pewna, że to powoduje mnóstwo komplikacji... Czemu się tak na mnie gapisz?

- Bez powodu. Po prostu nie przywykłem o krok od stajni dyskutować z panienkami na temat ciąży mojej siostry. Żadna szanująca się dama nie poruszyłaby takiego tematu, ale...

- Tym razem nie masz do czynienia z damą? - dokończyła za niego Mercy.

Ciągle jeszcze bolały ją uszczypliwe uwagi księżnej.

W odpowiedzi na jej gniewne spojrzenie w zielononiebieskich oczach Harta pojawił się wojowniczy błysk. Uniósł dłoń. Sekunda bezruchu. Opuścił rękę.

- Jeśli tak twierdzisz...

- Kpisz sobie ze mnie?! - spytała, odchylając głowę do tyłu.

- Usiłuję ci pomóc - odparł. - Księżna Acton zamierzała odesłać cię bezzwłocznie do Londynu.

Zaskoczył ją kompletnie. Oczy jej rozszerzyły się ze strachu, była jak ogłuszona. Jeśli straci protekcję księżnej, jak sobie poradzi?

-Ależ... dlaczego?!

Hart wzruszył ramionami.

- Może dlatego, że jej ukochany synalek zainteresował się tobą. Albo dlatego, że Hillard afizjuje się ze swym oddaniem. Albo dlatego, że jej przyszła synowa całkiem zbladła w porównaniu z tobą. A może dlatego, że nie jesteś dostatecznie uległa i pokorna - mówił coraz zimniejszym tonem. -Albo przeze mnie, bo wdarłem się do twojej sypialni jak szaleńiec...

Zamilkł na chwilę, jakby zbierał siły przed zadaniem ostatecznego ciosu.

-A może dlatego, że niepokoisz jej gości, wypyując o swego marnotrawnego brata. Daj temu spokój, Mercy! To narkoman. Mam niezbite dowody.

Słowa Harta zabolowały ją, pogarda w jego głosie zapiekła.

-Will nie jest narkomanem! Skąd mógłbyś o tym wiedzieć?! Widziałeś go? Rozmawiałeś z nim? Nie! Widzę, że nie! Więc to tylko domysły! Podejrzenia! Nie zostawię Willa! Obiecałam mamie. Zrobię wszystko żeby go odnaleźć. Słyszysz? Wszystko zrobię! Posłużę się każdym: księżną, jej synem, Hillardem... albo tobą!

Przeszył ją twardym, zagadkowym spojrzeniem.

- Wyraziłaś się dostatecznie jasno. Ale jeśli chcesz tu zostać i posłużyć się mną przy szukaniu swojego przeklętego brata, zachowuj się jak dama! - Pochylił się ku niej. Jego szczupła, drapieżna twarz była pełna napięcia. -1 oszczędź mi tych bzdur, że nie potrafisz! Masz po temu wszelkie dane, tylko zechciej je wykorzystać! Ale ty z góry zakładasz, że angielska arystokracja to sami głupcy... i chcesz im zagrać na nosie!

Mercy miała już odejść, ale chwycił ją za rękę, obrócił twarzą ku sobie i ujął mocno za oba nadgarstki, tak że nikt tego nie dostrzegł. Nie mogła się wyrwać; nie chciała robić scen.

- Uważaj, Mercy! - mówił dalej Hart cichym, pełnym napięcia głosem. - Księżna nie pozwoli, by jej syn związał się z tobą. Jest znacznie groźniejszą przeciwniczką, niż sądzisz. Jeśli uzna, że to konieczne dla dobra jej syna, zniszczy cię! Jest do tego zdolna, możesz mi wierzyć.

Mercy odwróciła głowę. Wiedział o niej zbyt wiele. Widział wszystko zbyt wyraźnie. Nie może pozwolić, by przejrzał ją na wylot!

Nieoczekiwanie puścił jej rękę. Usłyszała oddalające się kroki. Poczula zapach miażdżonego butami świeżego siana. Ręce jej opadły. Okłamała go!

Nie myślała o tym, jak posłużyć się Hillardem, Actonem ani Hartem. ... Kiedy była z nim, mogła myśleć tylko o lśnieniu jego brunatnych włosów, o śladach zmęczenia na jego twarzy, o smukłości i sile jego męskiego ciała... Mimo wszelkich przyrzeczeń, zapomniała znów o Willu.

Ale - co gorsza - Hart o nim nie zapomniał.

21

W ieczorny spektakl, występ trupy londyńskich aktorów, dobiegł końca. Wykonawcy opuścili scenę wzniesioną na tę okazję w sali balowej, a goście czekali cierpliwie na zimną kolację, która miała być podana w sąsiednim pokoju.

Hart nie miał pojęcia, czy przedstawienie było dobre. Prawdę mówiąc, nie potrafiłby nawet powiedzieć, jaką sztukę grano. Przez cały czas - mimo nie najlepszego oświetlenia - obserwował Mercy.

Choć znajdowała się daleko od niego, urok jej działał tak mocno, jakby miał ją pod bokiem. Smukła postać Mercy spowita była w miękkie draperie o barwie starego złota. Koniec naszyjnika z dżetów ginał w rozkosznej, cienistej kotłince między jej piersiami.

Musiał przyznać, że starała się zachowywać przyzwoicie. Widocznie wzięła sobie jego rady do serca. Obdarzała równo i sprawiedliwie miłym słówkiem, uwagą i powściągliwym śmiechem wszystkich tłoczących się wokół niej adoratorów. Żadnemu nie okazywała specjalnych względów. Skromny uśmiech, spuszczone oczy - istny wzór dziewiczej cnoty!

Tylko Nathan Hillard został wyróżniony nieco dłuższą rozmową. Ich głowy niemal stykały się ze sobą, gdy konferowali prawie szeptem. Wyraz ich twarzy świadczył o tym, że rozmawiali na jakieś poważne tematy.

A Harta diabli brali.

I tak nic jej to nie pomoże! - mówił sobie. Zbyt się naraziła księżnej. Nie dostosowała się do reguł gry. Udowodniła starej damie, że błękitna krew Actonów też potrafi się burzyć, a młodemu księciu, że Amerykanka może być przedmiotem pożądania, kto wie, może nawet kandydatką na oblubienicę? O, tego z pewnością księżna Acton jej nie daruje!

Mercy podniosła wzrok. Popatrzyli na siebie przez całą długość sali. Nic z tego, moja droga! - pomyślał w odpowiedzi na bezgłośną, natarczywą prośbę dziewczyny. Nie powie jej, czego się dowiedział na temat Willa. Nie wspomni, że podejrzewa go o zaaranżowanie wypadków siostry. Nie zdradzi nic, póki nie będzie miał niezbitych dowodów na to, kim był - a może kim stał się - jej przekłęty brat. Będzie ich szukał jeszcze tej i każdej następnej nocy, dopóki nie znajdzie!

Przez całe popołudnie Mercy starała się porozmawiać z nim na osobności, ale Hart zadbał o to, żeby nie miała okazji. Dobrze wiedział, że uznała ich pogawędkę koło stajni za niewystarczającą. Chciała usłyszeć o wszystkim, czego się dowiedział, poznać wszystkie dowody, na podstawie których uznał jej brata za narkomana. Jednak nie lekceważyła jego ostrzeżeń na temat księżnej i konieczności zachowania pozorów. Jemu również na tym zależało. Nie mogli pozwolić, by przyłapano ich sam na sam! Do wszystkich diabłów, musi ocalić tę dziewczynę przed jej własnym nieobliczalnym temperamentem!

- Hart! - Trzask otwieranego porywczo wachlarza wyrwał go z zadumy. Stała przed nim Annabelle. Bujne jasne loki poruszały się w lekkim powiewie.

Zdziwiło go, że na jej widok nie poczuł braterskiej dumy, która go dawniej rozpierała. Za dużo tych białości! Białe koronki, białe kwiatki, białe falbaneczki, białe piórka!

-Annabelle, może byś sprawiła sobie suknię w kolorze indygo, co?...

Zamrugła zdziwiona.

- Nie znam się specjalnie na damskiej modzie - mówił dalej Hart - ale myślę, że byłoby ci do twarzy w czymś takim. Ciemnoniebieski aksamit?

Odetchnęła głęboko.

- Doprawdy, nie rozumiem cię, Hart! Chcesz dyskutować ze mną o sukniach?! Na litość boską! Moja londyńska krawcowa zapewnia, że wszystkie moje toalety to ostatni krzyk mody.

- To ty masz londyńską krawcową? - Nie zapłaci tej babie następnego rachunku! Zrobiła z jego siostry monstrualnego baranka z cukru! Nic, tylko drobno fryzowane loczki i...

- Nie zamierzam dyskutować z tobą o modzie - oświadczyła Annabelle. - Musimy porozmawiać sam na sam! - W słodkim zazwyczaj głosiku odezwały się stalowe tony. Rozejrzała się dokoła. - Na przykład w oranżerii.

Hart skinął głową i podążył za siostrą do sąsiedniej cieplarni. Gdy znaleźli się tam, Annabelle odwróciła się do brata.

- Podczas balu nie zostaną ogłoszone nasze zaręczyny z Actonem - powiedziała. - Proszę, pozwól mi skończyć! Wiem, że jest to dla ciebie wielki zawód, i bardzo mi przykro, że wróciłeś na darmo do Anglii. Ale nie wzywałam cię tu bez powodu! Ja... - głos jej się załamał -ja naprawdę byłam pewna, że Acton się oświadczy.

- Nie sprawiłaś mi zawodu, Belle - powiedział, przyglądając się jej uważnie. - Nie przejmuj się mną.

Małe usteczka zacisnęły się, jakby chciała powstrzymać gniewne słowa.

- Siostrzyczko, zależy mi wyłącznie na twoim szczęściu - zapewnił ją.

- Ładnie to okazujesz! - sarknęła nieoczekiwanie. - Nie widziałam cię od roku, a kiedy się wreszcie spotkaliśmy, traktujesz mnie jak kogoś obcego!

Zaskoczyła go gwałtowna reakcja siostry. Annabelle drżała... ale nie z bólu, jak to sobie nagle uświadomił. Z irytacji!

- Zamiast spędzać czas z rodziną - mówiła dalej cichym, lecz pełnym wściekłości głosem - ostentacyjnie uganiaasz się za przybłądą z Ameryki!

Poczuł się tak, jakby dała mu w twarz.

Annabelle kontynuowała, nie zważając na reakcję brata.

- Na twoje wyraźne życzenie zostałam wychowana odpowiednio do urodzenia i pozycji społecznej - mówiła. -A teraz, kiedy waży się mój los, chcesz mnie unieszczęśliwić, łamiąc zasady, które mi wpajałeś, dla zaspokojenia jakiejś wulgarnej zachcianki?!

- Wulgarnej zachcianki? - Powiedział to spokojnym, wyważonym tonem.

-A cóż by to mogło być innego?! Jesteś przecież hrabiąPerth! Nie możesz myśleć o podobnym mezaliansie!

- Tak sądzisz? - Jakże mało go znała!

- Z pewnością nie! - stwierdziła stanowczo. - Jestem młoda, ale nie naiwna! Beryl wspomniała mi o... impulsach, które skłaniają mężczyzn do ugania się za takimi kobietami. Nie chcę nic wiedzieć o twoich niskich skłonnościach. Nie życzę sobie tylko, by zaważyły na moim losie!

-Rozumiem. -Nie dodał nic więcej. Ogarnął go wstręt i rozpacz. Przede wszystkim dlatego, że w gruncie rzeczy Annabelle miała słuszość.

To on zadbał, by tak ją wychowano i wykształcono; by zrobiono z niej wzór angielskiej damy. To on opłacał najlepsze guwernantki i nauczycieli. Posłużył się nawet tytułem, do którego nie miał prawa, by wprowadzić ją do elity towarzyskiej, zapewnić jej - zapewnić wszystkim trzem siostrom - wszelkie przywileje, z których ojciec je ograbił.

Przyglądał się młodszej siostrze. Była niemal królewska w swym oburzeniu. Miała wszystkie zalety, na których tak mu zależało. Była jego tworem!

Poczuł gwałtowny skurcz w żołądku. Ta doskonała dama okazała się nieznośna, arogancka, pełna pogardy i lekceważenia dla innych. Ukrywała te cechy pod maską wdzięcznej powściągliwości.

Uśmiechnął się gorzko. Tak jąkształtował... a raczej inni tak jąkształtowali za jego pieniądze. Nie może teraz odwrócić się od swego dzieła.

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytał z przymusem.

- Myślałam, że... - Cienkie brewki zbiegły się w grymasie zdziwienia. Hart uświadomił sobie, że Annabelle ani przez minutę nie wątpiła, że brat zrobi to, o co go poprosi. A więc do jej umiejętności należało również manipulowanie ludźmi! Wstępny manewr z wyrażeniem żalu, że „zawiodła go”, miał na celu wywołanie w nim poczucia winy.

Urocze! - pomyślał. I jakie skuteczne! Mimo woli porównywał subtelne machinacje młodszej siostry z jawnym szantażem Mercy.

- Wydaje mi się - ciągnęła Annabelle - że gdyby panna Coltrane zajęła się poważniej jednym dżentelmenem, reszta przestałaby się nią interesować. I Acton skupiłby się znów na swoich planach matrymonialnych, zapominając o umizgach do nowej kochanki.

Hart uniósł raptownie głowę.

- Uważasz, że Acton tak traktuje swoją znajomość z panną Coltrane?

-Ależ Hart! - odparła ze zniecierpliwieniem. - Nigdy dotąd nie sądziłam, że jesteś naiwny! Oczywiście, że Acton tak ją traktuje. Podobnie

jak wszyscy inni dżentelmeni. Ta dziewczyna ma pieniądze, owszem. I trochę urody. Ale na litość boską, przecież to zwykła chłopka, i to z Ameryki!

Hart spoglądał na nią w osłupieniu. Nawet mu nie przyszło do głowy, że inni... dżentelmeni ubiegają się nie o rękę Mercy, ale o całkiem co innego! Rzeczywiście, był naiwnym głupcem.

- Ale ona wyraźnie ciebie wyróżnia. Więc proszę tylko o jedno: postaraj się ją zmonopolizować na kilka dni. Z balu zaręczynowego nic już nie będzie, ale może nasza wspólna przyszłość z Actonem jest jeszcze do uratowania...

- Tak go kochasz? - spytał bez zastanowienia.

- Nadaję się idealnie do roli księżnej. I wiesz co, Hart? Jeśli istotnie masz słabość do panny Coltrane, to pomyśl, że nawet wyrządzisz tej biedaczce przysługę!

- Jakim sposobem?

- No cóż... jeśli sam nie dybiesz na jej cnotę, obroń ją przed tymi, którzy tylko o tym marzą.

Uśmiechnęła się do niego. Potulna, słodka Annabelle.

-Proszę, Hart...

Wszystko przemawiało za tym, by spełnić jej prośbę. Nie mógł już odmienić Annabelle i nie mógł odmówić jej pomocy przy realizacji ambicji, które sam w niej rozwinął. Tak, ambicji. Bo przecież nie marzeń. Zresztą bardzo wątpliwe, czy Annabelle w ogóle użyłaby tego sentymentalnego słowa.

Poza tym -jeśli siostra się nie myliła - rzeczywiście mógł ochronić Mercy od zniewag. Zacisnął szczękę. Już on tym mydłkom wyjaśni bez ogródek, co ich czeka, gdyby się zapomnieli wobec Mercy!

... A poza tym spędzą kilka dni razem...

- Zgoda, Annabelle.

-Dziękuję, Hart! -westchnęła z zadowoleniem. -Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć... mimo że ostatnio dziwnie się zachowywałeś. Zawsze wszyscy na tobie polegaliśmy, drogi bracie! - I, osiągnąwszy swój cel, odeszła.

Hart stał bez ruchu przez dłuższy czas, oswajając się z prawdą, którą właśnie odkrył. Jego słodka najmłodsza siostrzyczka była intrygantką bez serca i bez sumienia. Myślał o tym wszystkim, czego pozbawił ich ojciec, a on sam tak rozpaczliwie pragnął zapewnić swoim siostrom. O pieniądzech, pozycji towarzyskiej, poczuciu bezpieczeństwa...

Postanowił wszystko to dla nich odzyskać. I co to dało? Beryl była nieszczęśliwa i za wszelką cenę usiłowała zachować pozory... a jej mąż

włoczył się diabli wiedzą gdzie. Annabelle stała się przerażająco chytrą i zawistną bezduszną lalką. A Fanny tonęła w powodzi macierzyńskich łez. Boże, ale porażka!

-Hrabia Perth?... -głos lady Jane Carr wyrwał Harta z zadumy. Spojrzał na uniesioną ku niemu drobną twarzyczkę. - Tak, to naprawdę pan! - wykrzyknęła.

- A, lady Jane? Witam panią.

Różane usta wygięły się w uśmiechu, gdy młoda dama omiotła wzrokiem krzewy i kwiaty osrebrzone księżycową poświatą przesączającą się przez szklany dach oranżerii.

- Szukał pan chwili wytchnienia? Doskonale pana rozumiem, hrabio! To takie męczące życie nieustannie wśród tłumu! - powiedziała.

Co ona tu robi? - zastanawiał się Hart. Kiedy odkryła, z kim ma do czynienia, i zorientowała się, że znaleźli się sam na sam - mężatka i wolny mężczyzna -powinna oddalić się czym prędzej. A tymczasem ona ogląda kwiatki i wcale jej się nie śpieszy!

- Tamtego wieczoru opowiadał mi pan o swoich podróżach i wszystkich tych cudach, które pan oglądał, hrabio... - mówiła, przysuwając się bliżej. -A ja spędziłam całe życie w Anglii! Chyba nigdy nie zaspokoje swojej tęsknoty za nieznanym... - Położyła mu na ramieniu pulchną rączkę. - Jakżebym chciała przeżyć... wielką przygodę! - wymruczała.

Spojrzał ze znużeniem na pełną zachwyty kocią twarzyczkę. Tego też nie przewidział! Miał przed oczami tylko Mercy Coltrane. Nawet w tej chwili. Nie poczuł ani odrobiny pożądania, kiedy Jane Carr, uwieszona na jego ramieniu, przycisnęła się do niego biustem.

- Może zdoła pani przekonać męża, by zabrał ją w podróż dookoła świata.

Zrobiła wielkie oczy. Było w nich więcej zdumienia niż urazy. Omal się nie roześmiała... choć nie byłby to wesoły śmiech. Czyżby uważała go za tak łatwą zdobycz?

Uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

- O, nie ma mowy! Donald nigdy nie opuści Anglii! Zbyt go interesują sprawy państwa. Zdaje się, że pański szwagier, hrabio, jest jednym ze współpracowników mojego męża, nieprawdaż? - spytała. - Muszę pomówić z Carrem o jego widokach na przyszłość!

Hart spojrzał na nią chłodno i nic nie odpowiedział. Zorientowała się widać, że strzała chybiła celu. Zarumieniła się.

- Tylko że tak rzadko widuję Donalda - powiedziała już innym tonem. - Przeważnie zdana jestem tylko na siebie. Samiuteńka.

- Bardzo współczuję, lady Carr. Zapewne chciałyby pani dołączyć do towarzystwa? - Odsunął się, by ją przepuścić. Nie poruszyła się. Za-

miast tego położyła mu jedną rękę na piersi, a drugą objęła go za szyję. Przytuliła się i spojrzała mu w oczy.

- Pan także często bywa samotny... prawda, hrabio?

- Lubię samotność - odparł, rozmyślając, jak pozbyć się tej nachalnej damy. Rozbawienie, które w pierwszej chwili wywołały jej sztuczki, całkiem go już opuściło. Czuł tylko lekki niesmak i coraz większą nudę.

-A może... -uczepiwszy się szyi Harta, uniosła ku niemu usta - moglibyśmy razem cieszyć się tą samotnością?

- Nie sędzę.

Zdecydowanym ruchem zdjął oplatające go ramiona i odsunął ją od siebie. Patrzyła na niego zmieszana, prawie brzydka.

- Nazywają cię lodowcem, niezdolnym do żadnych uczuć, Perth - powiedziała. - Widzę, że to prawda. No cóż... życzę miłej samotności!

Cofnął się o krok i skłonił uprzejmie.

- Dobrej nocy, lady Carr.

Prychnęła pogardliwie i odeszła. Pozostał sam -jak zawsze.

Wcale na niego nie czatuję! - mówiła sobie Mercy. Wcale!

Cóż mogła na to poradzić, że od czasu do czasu zerkała przypadkiem w stronę oranżerii, dokąd Hart udał się wraz z Annabelle? Potem, gdy Annabelle odeszła, a on tam pozostał, znowu raz czy drugi rzuciła okiem... ot tak, bez powodu. To, że dostrzegła, jak lady Jane Carr wślizguje się do nieoświetlonej oranżerii, było czystym zbiegiem okoliczności. Ale kiedy ta... ta kobieta stamtąd wyszła, była czerwona, oczy jej się świeciły... Poprawiała sobie fryzurę i oblizywała wargi! Niech go diabli! Niech go wszyscy, wszyscy diabli!

Wyszedł stamtąd kilka minut później. Mercy nie mogła złapać tchu. Była obolała z zazdrości i z pożądania. Jakież on atrakcyjny... zbyt atrakcyjny! Czarny frak, podkreślający jego szerokie ramiona, kontrastował z bielą usztywnionego gorsu. Hart wydawał się absolutnie swobodny, mimo że wracał ze schadzki; całkowicie opanowany i wytworny. Krótko mówiąc, arystokrata. Jeden z tych błękitnokrwistych, nieosiągalnych dla takiej jak ona.

Zauważył, że Mercy mu się przygląda. Potrząsnęła wyzywająco głową i zwróciła się do Nathana Hillarda, który wrócił właśnie z bufetu z talerzem smakołyków.

- Polecam ten pasztet... A to są, zdaje się, gęsie serduszka... A może woli pani grzanek z łososiem?

- Bardzo panu dziękuję. - Kiedy odbierała od niego talerz, musnęła palcami jej rękę.

- Może coś jeszcze, panno Coltrane?

- Jaki pan rycerski! - wymamrotała. Wyraźnie czuła na sobie wzrok Harta. Nie chciała, by Hillard zauważył jej niepokój. - Mógłby mi pan przynieść szklaneczkę ponczu?

- Oczywiście. - Znów pośpieszył do przyległego pokoju.

Jakim prawem Hart gapi się na mnie w ten sposób?! - myślała ze złością Mercy, dostrzegając rosnące zaciekawienie pozostałych gości. Chyba narobił już dość złego! Księżna nie odezwała się do niej ani razu, Annabelle Moreland zionęła nienawiścią, a Acton dąsał się jak dzieciak, odkąd nie zgodziła się usiąść obok niego podczas przedstawienia.

Hart przez cały dzień unikał rozmowy z nią. Udaremniał wszelkie jej zabiegi. Pewnie przeczuwał, że chce wydobyć od niego wszystko na temat Willa. A teraz opiera się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersi i śledzi każdy jej ruch!

Podniosła do ust ociekającą masłem grzanekę. Hart przymrużył nieco oczy i gorącym, drapieżnym wzrokiem wpił się w jej wargi. Mercy upuściła niewinną grzanekę, jakby to był rozżarzony węgiel. Kąciki szero-kich, zmysłowych ust Harta uniosły się w leniwym uśmiechu.

Poczuła na twarzy gorący rumieniec, skutek tych niespiesznych oględzin. Dość tego! Co on wyprawia?! Najpierw ją ignoruje, a potem publicznie pożera wzrokiem! Niemal już słyszała szmer rodzących się plotek.

Wezbrało w niej mroczne podejrzenie. Może robi to z premedytacją? Chce doprowadzić do tego, by księżna Acton wymówiła jej dom! Pozbyłby się jej wtedy raz na zawsze. Nikt by go już nie zmuszał do pomocy w poszukiwaniach Willa. Nikt by nie stał jego siostrze na drodze do szczęścia... Kto wie, może on w ogóle nie jeździł do Londynu szukać Willa?... Może spotykał się tam z lady Carr czy z jakąś inną biedaczką, którą otumaniał?

Gorący dreszcz zmysłowego podniecenia przekształcił się w płomień gniewu. Już ona się z nim rozmówi! Wyciągnie z niego wszystko, czego się dowiedział, i sama znajdzie Willa! A potem opuści raz na zawsze to miejsce, tych ludzi... i jego. Na razie jednak musi tu tkwić i być wzorem dobrego wychowania.

Zaraz po kolacji Hart zniknął. Mercy odczekała jakiś czas dla przyzwoitości i oznajmiła, że wraca do swojego pokoju. Miała najszczerzy zamiar dogonić Harta. Wiedziała, dokąd pojechał. Znowu do Londynu!

Popędziła do swej sypialni; potem w chłopięcym przebraniu wymknęła się kuchennymi drzwiami i pobiegła do stajni.

Za późno. Chłopak stajenny uśmiechnął się kpiąco i oznajmił bezczelnie, że lord Perth odjechał dobrą godzinę temu.

Zła i zawiedziona wróciła chyłkiem do domu. Przyciągnęła fotel do okna swej sypialni, które wychodziło na frontową bramę. Usiadła i postanowiła czekać. Kiedy tylko Hart wróci, stawi mu czoło! Ale godzina mijała za godziną, ogień na kominku przygasł, a jej oczy kleiły się coraz bardziej.

Kiedy obudziła się, w pokoju było zimno i ciemno. Na kominku żarzyły się tylko dwa czy trzy węgielki. Na oknie osiadł szron. Mercy zerwała się na równe nogi.

Hart musiał wrócić do tej pory! Z posępną miną otuliła się kocem i na paluszkach pośpieszyła pustym korytarzem do narożnego pokoju. Przystanąła pod drzwiami i wstrzymując dech, nadśluchiwała.

Nie spał. Słyszała, jak krąży po pokoju. Nacisnęła klamkę i weszła do środka. W sypialni było ciemno, ogień ledwie tlił się w kominku.

Coś się poruszyło poza zasięgiem ognia. Jakaś niewidoczna postać krążyła w mroku. I wtedy go zobaczyła.

Znajdował się z dala od światła, w najodleglejszym kącie pokoju. Poruszał się szybko i bezsensownie, jak pantera uwięziona w klatce. Nie, raczej jak bezduszny automat: wzdłuż ściany do rogu. Obrót. W przeciwną stronę.

Nie miał na sobie koszuli. Mimo nagiej piersi chyba nie odczuwał przenikliwego zimna. Mercy raptownie zacerpnęła tchu. Usłyszał. Przykucnął nagle, odwrócił się błyskawicznie, prawa ręka powędrowała do biodra. Mercy spoglądała na niego z przerażeniem. Oczy błyszczały mu w ciemności, były dzikie i drapieżne. Upuściła koc, tak ją przeraziło to nieprzytomne spojrzenie.

Hart wyprostował się powoli. Jego płonący wzrok przesunął się po twarzy Mercy. Ileż w nim było cierpienia! W tym momencie wydawał się całkowicie bezbronny. Jakiż był wymizerowany, umęczony, zaszczuty... Chude policzki poznaczone cieniem... Oczy pełne mroku... Musi do niego podejść!

Zrobiła krok w jego stronę. Cofnął się, odwrócił plecami. Cały drżał. Podeszła bliżej, nie wiedząc co robić, co mówić... Nigdy jeszcze nie była świadkiem takiego bólu. Rozglądała się bezradnie, usiłując zgłębić jego przyczynę.

Kilka kuferków nadal stało koło łóżka. Otwarto je, ale nikt ich nie rozpakował. Koszula leżała na gładziutkiej narzucie, buty w nogach łóżka. A na deskach podłogi pod przeciwległą ścianą... Mercy wyteżyła wzrok. Tak, leżały tam zmięte koce. I poduszka, a na niej odcisk głowy.

I nagle zrozumiała: hrabia Perth sypiał na podłodze.

r

V_> o z tobą?... - szepnęła bez tchu.

Odwrócił się raptownie. Mercy aż się cofnęła na widok jego udreżonych oczu. Zatrzymał się zbity z tropu i patrzył na nią tak, jakby nie bardzo wiedział, kim ona jest.

- Mercy?

-Tak, to ja, Hart.

- O Boże! - Roześmiał się tak gorzko, że serce jej się ścisnęło. Wyciągnął rękę, namacał gzyms kominka i pochylił się nad paleniskiem. Mercy widziała tylko nagie plecy oświetlone blaskiem ognia. Były szerokie, męskie... i dziwnie bezbronne.

- Odejdź stąd! - Powiedział to zdławionym, pełnym napięcia głosem. Nie odwrócił się, by spojrzeć jej w twarz.

Nie może odejść! Żeby nie wiem co, nie zostawi go w takiej udreće.

- Hart, dlaczego te koce leżą na ziemi? - Było coś koszmarnego w tych skotłowanych zwojach grubej wełny ukrytych w cieniu.

- Odejdź stąd!

- Nie odejdę! - odpowiedziała. Głos drżał jej ze strachu. W tej chwili drapieżna siła Harta, jakże znana i ceniona przez jej ojca i przez wszystkich, którzy korzystali z jego usług, była jeszcze bardziej widoczna niż zwykle. Z nienaturalnie sztywnej postaci emanowało straszliwe wewnętrzne napięcie. Zlany potem tors lśnił, wilgotne kosmyki włosów lepiły się do karku. - Nie! - powtórzyła Mercy silniejszym głosem. - Muszę najpierw z tobą pomówić. - Podeszła bliżej i dotknęła jego ramienia. Było rozpalone.

Wzdrygnął się - ze wstrętu? Nie, zadrzał tak, jakby jej dotknięcie sprawiło mu niezmierny ból. Ale i teraz nie spojrzął na nią. Odrzucił głowę do tyłu i zapatrzył się w mroczne sklepienie. Widocznie nie mógł znieść jej widoku.

- Hart... - powiedziała błagalnie. - Proszę cię, Hart!

Pociągnęła go za ramię, starając się odwrócić go ku sobie, zmusić, by na nią spojrzął, przemówił do niej.

- Mój Boże, Hart! Odezwij się! Czemu śpisz na podłodze?

Odwrócił się do niej tak gwałtownie, że aż się zatoczyła do tyłu.

Podtrzymał ją, ale patrzył na nią ze złością, wściekły, że go nagabuje. Zepchnął ją pod samą ścianę. Kiedy Mercy potknęła się, wybuchnął dzikim, gorzkim śmiechem.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

O Boże! Jak mogła sądzić, że ten człowiek jest pozbawiony uczuć?! Jego skóra nabiegła krwią i w blasku ognia przypominała roztopiony brąz. Żółtawa szczecina zarostu podkreślała ostry zarys brody. Oczy mu płonęły.

- Musisz wiedzieć? - W jego natarczywym pytaniu była nuta jakiegoś koszmarnego triumfu.

-Tak.

- Sypiam na podłodze albo na ziemi od ośmiu lat. - Słowa zdołały wreszcie przedrzeć się przez gardło. Wyrzucił je z siebie zdławionym szeptem. - Boję się spać w łóżku. - Zaczepnął głęboko powietrza i pozwolił wypuścić je z płuc. Jego spojrzenie pobiegło ku dziewczynie. Przyłgnęło do jej szyi, włosów, ust... omijało tylko oczy. -Zabawne, co? Słynny rewolwerowiec, najemny morderca twojego taty, hrabia Perth... każdej nocy kryje się w cieniu jak ostatni tchórz!

-O mój Boże!

-Właśnie: o mój Boże! -Znów się roześmiał krótkim, niemiłym śmiechem. - Za wszystko trzeba płacić, Mercy. Pomsta miewa setki twarzy. A czasem w ogóle nie ma twarzy... i to jest najstraszniejsze.

-Ale dlaczego mówisz, że kryjesz się jak tchórz?

- Jeszcze ci mało? Musisz dowiedzieć się wszystkiego? Niech będzie! Mogę zasnąć tylko oparty plecami o ścianę. Zaczęło się to - uniosł ręce obronnym gestem -jeszcze w Afryce.

-W Afryce?...

- Tak, w Afryce! Wiesz, na pustyni można wykopać w piachu dół. To jedyne bezpieczne miejsce - wyjaśnił niecierpliwie, jakby Mercy umyślnie udawała głupią.

- Ależ my jesteśmy w Anglii... - wyszeptała w osłupieniu.

- Wiem! Myślisz, że nie próbowałem zasnąć w tym przeklętym łóżku? - wskazał łożę z baldachimem wznoszące się jak ołtarz wśród fałdzystych draperii. - Albo w każdym innym?

Głos mu się załamał. Nie widział już wnętrza sypialni, lecz własne dziecinne łóżeczko. A potem nagle ujrzał zawszony, spalony afrykańskim słońcem wojskowy koc. Przeszłość splatała się z terażniejszością w oszałamiającym chaosie. Jęknął.

Uchwycił się kurczowo ramion Mercy. Wyczuwał dotykiem, jaka jest mocna, realna i sprężysta. Jej kruchość była tylko złudzeniem. Nie spotkał jeszcze nikogo tak pełnego życia, energii i siły. Wiązała go z terażniejszością niczym lina ratunkowa. Była mu niezbędna!

O Boże, nie pozwól jej odejść! Nie pozwól jej...

- Nie mógłbym... Nie mogę - wykrztusił, czując do siebie wstręt za to wyznanie. Pojął jednak, że zrobi wszystko, byle Mercy została przy

nim. - Kiedy leżę w łóżku, czuję, jak kule przeszywają mi plecy, rozsadzają czaszkę... Jeśli schowasz się w dole albo przyłgniesz do ziemi, nie zastrzelą cię! Nawet w koszmarnym śnie!

Mercy drżała. Jej twarz pełna była współczucia i zrozumienia. Niemożliwe! Jak mogła go rozumieć? Gdyby zrozumiała, nie patrzyłaby na niego w ten sposób.

- Czy ty nic nie pojmujesz?! Jestem tchórzem!

- Dlaczego tak się zadręczasz?

- To nie ja! To Bóg kazał mi żyć z tą przeklętą słabością. Czasami mija miesiąc... i wyobrażam sobie, że ją przemogłem. Wmawiam sobie, że miałem dość siły, by przewyciężyć moje żalosne tchórzostwo! Ale znowu powraca... Tak się starałem, Mercy! - Dyszał ciężko. - O Boże, ileż razy tłumaczyłem sobie, że to tylko nocne koszmary, dziecinny lęk przed ciemnością! Nic nie pomaga. Nie potrafię zdławić tego strachu, choćbym nie wiem co sobie wmawiał! Jestem za słaby, by panować nad swymi myślami.

- Za słaby? - powtórzyła z najwyższym zdumieniem. - Jesteś najsilniejszym człowiekiem, jakiego znam! Dobrze pamiętam, jak stawiałeś czoło temu zbirowi na stacji kolejowej! Ani drgnąłeś! Byłeś taki dzielny. Niewiarygodnie dzielny!

-Nietrudno zabijać, Mercy. Umrzeć jeszcze łatwiej. Najtrudniejszą próbą jest życie! - Chrapliwe brzmienie jego głosu przeczyło sztucznej brawurze.

- Dlaczego, Hart? - spytała cicho, natarczywie. - Dlaczego życie jest dla ciebie takie trudne?

- Czasami budzę się i nie wiem, gdzie jestem. - Nie zwracał się teraz do niej. Powstrzymywane od niemal dziesięciu lat słowa wyrwały się gardłowe, szorstkie, zagmatwane. - Serce tak mi wali, że omal nie rozsadzi piersi... Duszę się... Próbuję uciec, ale sam nie wiem przed czym. To coś nie ma kształtu. Nie jest to żadna twarz, żadne wspomnienie... Czasem myślę, że to moja dusza, przerażona własnym mrokiem...

- Nie! - Spod rzęs Mercy wymknęła się łza. Hart przyglądał się, jak ścieka po jej policzku. Skoncentrował się na tym drobnym szczególe, uczepił się go jak deski ratunku, by panika nie zawładnęła nim bez reszty.

- Tak - odparł bezbarwnym głosem, nie odrywając wzroku od łzy. - To jedyne wytłumaczenie... oprócz szaleństwa.

-Nie jesteś szalony, Hart! Masz po prostu straszną ranę... o, tu! - Chłodnymi koniuszkami palców dotknęła jego serca. - Któż by nie miał po takich przejściach? Któż mógłby pozostać nietknięty? - W jej głosie brzmiał przytłaczający smutek.

Hart pragnął w to uwierzyć tak jak ona. Widział w oczach Mercy szczerłość. Ta wiara w niego omal nie doprowadziła go do łez. Był całym roztrzęsiony.

Mercy uniosła rękę i opuszkami palców musnęła jego policzek. Wpatrywał się w nią bez słowa, rozpaczliwie usiłując odgadnąć jej myśli.

Palce Mercy przemknęły po jego skroni, zawahały się i raz jeszcze przesunęły się po policzku, obwiodły z niezwykłą delikatnością zarys jego szczęki. Hart wpatrywał się w nią z napięciem. Dostrzegł w oczach dziewczyny błysk zdumienia, cień niepokoju, ale nie strach. Nie bała się go... jeszcze.

Przesunęła się i to sprawiło, że zdał sobie sprawę z jej bliskości. I z tego, że swoim ciałem odgradzał ją od drzwi. Cała była łagodnymi zagłębieniami, zapachem perfum na skórze i lśniącymi lokami - tak bardzo kobieca, tak bardzo tajemnicza, że nagle poczuł się niezdarnie, jakby był zbyt duży, zbyt ciężki.

Mercy poruszyła się. Poczuł muśnięcie jej biodra tam, gdzie stykały się jego uda. Ten przypadkowy kontakt sprawił, że Hart jęknął, czując nagłe podniecenie. Dziewczyna spojrzała na niego, zaskoczona tym mimowolnym, zmysłowym pomrukiem. Jej ręce przemknęły obok jego ust. Odwrócił raptownie głowę i chwyciwszy zębami spóźniony palec, zaczął ssać słony koniuszek. Usłyszał, jak Mercy raptownie wciąga powietrze. Poczuł, jak wstrząsnął nią dreszcz i przeniknął do dłoni. Cofnęła rękę, porażona tą intymną pieśczęcią, on zaś puścił jej palec. Spojrzała w oczy Harta i zamarła pod wpływem tego, co w nich wyczytała.

Wykorzystał to.

Powoli ujął w dłonie twarz Mercy. Jego kciuki znalazły się koło jej rozchylonych warg, a palce wskazujące gładziły puszyste włosy na skroniach.

Prześzań! Opanuj się, zanim ją przerazisz! Ale nie mógł się opanować.

Oczy Mercy rozszerzyły się. Bursztynowe tęczęwki zalśniły w blasku ognia. Rzęsy roztrzepotały się; poczuł ich jedwabiste muśnięcia na palcach. Przysunął się bliżej, ostrożnie pochylał się nad nią. Oddech miał płytki. Byle tylko jej nie spłoszyć! Czuł się jak złodziej.

To było takie proste.

Mercy odrzuciła głowę do tyłu. Pochylił się ku niej. Pocałował ją. Pocałunek był równie upajający jak tamten, który tak dobrze pamiętał. Wargi Harta dotykały jedwabistych brwi, jednej i drugiej powieki, kąćków miękkich, drżących ust. Mercy westchnęła - cóż za słodki dźwięk, rozkoszny i zmysłowy! Hart sprężył się cały z pożądania, jakiego nigdy

dotąd nie doznał. Odnalazł jej usta i choć resztką świadomości wzywała do opamiętania, nie zdołał powściągnąć żądz, która całkiem nim owładnęła.

Mercy była przy nim. Mógł ogarniać ją rękami, ustami, oblewać oddechem - a ona powstrzymywała czyhający mrok, ofiarowywała mu bezpieczne schronienie we wnętrzu swego cudowego ciała. Serce Harta waliło jak szalone, myśli wirowały. Czająca się w zakątkach jego umysłu trwoga daremnie wysyłała jakieś ostrzeżenia. Hart czuł pod palcami gibkie kształty, zbierał wargami słone lzy, wdychał zapach rozgrzanego, podnieconego ciała. Wobec tego wszystkiego drzemiący w nim strach nie miał szans. Żadnych szans, do wszystkich diabłów!

Mercy chciała coś powiedzieć, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Nie mógł pozwolić, by się odezwała, by zaczerpnęła tchu, by zaprotestowała! Nie odrywał się od jej ust, kształtował je swymi wargami, poznawał ich smak, wpijał się w ich aksamitną miękkość, w ich uległe ciepło, aż do kompletnego zawrotu głowy.

Pochylił się i wziął ją na ręce. Jaka lekka i giętka! Jej piersi nie były skrepowane gorsetem pod tą śmieszoną chłopięcą koszulą. Wyraźnie czuł ich zmysłową wypukłość przyciśniętą do swojej piersi. Mercy jęknęła, a po nim przebiegł dreszcz. Przywarła do niego, oszołomiona jego namiętnością, własnym pragnieniem, jego pasją!

Zaniósł ją do wielkiego łóża osłoniętego ciemnymi draperiami, złożył na ciemnej, połyskliwej kapie i osunął się na nią. Przez sekundę górował nad dziewczyną, wsparty na rękach, przyciskając swe nabrzmiałe pożądaniami lędźwia do jej brzucha. Ostatnie ślady jego opanowania rozsypały się pod naporem rosnącej wciąż żądz.

Pochylił głowę ku Mercy, ocierał się twarzą o jej szyję, której nie osłaniał rozpięty kołnierz. Jego usta powędrowały niżej, w zakazane regiony. Ręce wtargnęły pod koszulę, odnalazły pierś. Była miękka i jędrna. Objął ją, uniół nieco, drażnił i pieścił... A wówczas - o Boże! - sutek rozkwitł pod jego dłonią...

Szarpnął koszulę Mercy, odsłaniając jej młode, smukłe ciało. Krągła, biała pierś zadrżała. Hart jęknął, schylił głowę i wziął pociemniały sutek do ust, zwilżając go językiem. Dziewczyna jęknęła, wygięła się w łuk. Ręce Mercy błędziły po jego torsie, szyi i twarzy, szukając jakiejś podpory.

Zaczął ssać jeszcze łapczywiej. Unieruchomił ramiona Mercy, przigniósł ją swoim ciężarem. Oddychała z trudem. Z każdym jej wysiłonym oddechem budziła się jej zdumiona namiętność. Czuł na jej ciele smak rozkoszy, woń podniecenia. Kiedy jej biodra uniosły się na chwilę

w instynktownym, namiętym odzewie, ciałem Harta wstrząsnęło równocześnie poczucie winy i triumfu.

Z chrapliwym, zwycięskim pomrukiem odchylił się w tył i na kolanach wtargnął pomiędzy nogi Mercy. Jednym szarpnięciem rozpiął jej bryczesy. Jęknęła zaskoczona. Zignorował ten protest. Krew płynęła w nim rwącym strumieniem. Nie było w tej chwili nikogo oprócz ich dwojga. Nocny koszmar usunął się w cień, ustępując pola drzemającemu w Hartcie drapieżnikowi.

Zsunął z niej spodnie. Wpatrywała się w niego srebrnymi oczami Oroszszonych źrenicach. Jej piersi wydawały się jeszcze bielsze wśród mrocznych draperii łoża. Usta miała rozchylone, zaciśnięte dłonie znalazły się po obu stronach głowy.

Hart wyswobodził się z własnych spodni. Z cichym pomrukiem opadł na Mercy i aż jęknął, gdy poczuł jej jedwabiste włoski. Wsparł się czołem o dziewczęcą szyję. Ogarnął go rozkoszny zawrót głowy. Jaka ona maleńka! Jeszcze nigdy nie był tak świadom swego ciężaru i ogromu. Jakże łatwo mógł ją zmiażdżyć... A jednak - Boże, zmiłuj się! -musiał zanurzyć się w niej, zatonać... Wchłonać ją w siebie. Zawładnąć nią. Związać ją ze sobą na zawsze.

Mercy poruszyła się i ostatnia świadoma myśl znikła - pozostał tylko instynkt. Był już niemal u celu! Dotarł do zbiegu jej ud, zakradł się do wnętrza - co za rozkoszne uczucie! Tak blisko...

Nogi Mercy rozchyliły się szerzej, objęły go. Otworzyła się przed nim. Zanurzył ręce w jej włosach, odnalazł znowu jej usta, wtargnął w nie językiem. Roznamiętniony pragnął, żeby i ona zapłonęła, żeby go pragnęła. Był już w niej, uwięziony jak w aksamitnej rękawiczce. Napierał na jakąś gładką, gorącą barierę...

Mercy wygięła się w łuk, pojękując. Wsunął ręce pod jej pośladki. Ogarnęła go niezwykła rozkosz, gdy poczuł w dłoniach ich miękki ciężar. I w tym samym momencie zrozumiał. Ogarnęły go równocześnie rozpacz i furia. Znieruchomiał z Mercy w objęciach, gdy pojął, jaką barierę usiłuje sforsować. Jej dziewictwo.

Mercy poruszyła się, chwyciła go za ramiona, sprężyła się pod nim. Hart zaklął.

Próbował się wycofać. Bóg świadkiem, że próbował! Ona jednak zacisnęła się wokół niego. Była rozpalona i każde, nawet najlżejsze poruszenie Harta przenikało ją dreszczem i sprawiało, że otaczała go jeszcze ciaśniej, aż do bólu. Prężył się ponad nią, zwierając zęby i zaciskając szczęki. Żądza górowała nad nim, tak jak on nad Mercy i kłuła go swymi

morderczymi ostrogami. Nigdy jeszcze pokusa nie była tak nieodparta. Nigdy jeszcze nie doznał czegoś podobnego. Musiał ją mieć!

Z gardłowym jękiem wbił się w nią, przedarł się przez ciekłą barierę, spił z ust Mercy jęk zdumienia i odpowiedział nań chrapliwym krzykiem. Nacierał z zamkniętymi oczami. Przy każdym pchnięciu jego biodra poruszały się konwulsyjnie w nieopisanej rozkoszy.

Krew tętniła mu w skroniach, pulsowała w lędźwiach, pędziła jak szalona w całym ciele. Czuł gwałtowny rytm krwi Mercy i coraz silniejszy odzew jej ciała. Jego zmysły rozszalały się, ogarnęła go burza, z niezwykłą zaciekłością wstrząsał nim huragan, zalała go powódź - aż opadł całkiem z sił.

Potem leżał przytulony czołem do czoła Mercy, wyczerpany do cna. Z wolna dotarli do jego świadomości uderzenia jej serca, które nadal biło gwałtownie. Oddech miała nierówny, skórę wilgotną i rozpaloną. Przytłoczone jego ciężarem ciało Mercy wydało mu się zatrzważająco bezbronne i kruche. Zsunął się z niej. Świadomość tego, co się stało, wyrwała go z odrętwienia. Ogarnęły go wyrzuty sumienia równie gwałtowne, jak namiętność, która zawładnęła nim przed chwilą.

- Bardzo cię zraniłem?...

- Sama nie wiem... - Głos Mercy był niepewny i słaby.

- O Jezu! - Wpatrywał się w jej śliczne piersi, o które ocierał się drapiącą brodą. Były zaczerwienione - nie nieskalanie białe... Spojrzanie Harta padło niżej, na chłopiące bryczesy oplatanе wokół kostek. Potem cofnęło się z przerażeniem na uda Mercy.

Delikatną skórę znaczyły ciemne plamy. Hart zsunął się na skraj łóżka i wstał, odwrócony do niej plecami. Włożył spodnie. Usłyszał za sobą szelest kapy i zamknął oczy.

- Jak mogę to naprawić? - szepnął, wiedząc, że co się stało, to się nie odstanie. - Powiedz mi, Mercy! Zrobię wszystko! - Nie wiedział, jakiej reakcji może się po niej spodziewać. I to właśnie - o dziwo - najbardziej go bolało. Nie znali się dość blisko, by mógł odgadnąć myśli Mercy i jej uczucia.

Ośmielił się spojrzeć na nią przez ramię. Leżała na boku, skulona pod brokatową kapą. Podciągnęła lśniąca tkaninę do pasa, jakby chciała osłonić się przed kolejnym atakiem.

Śmiesznie słaba, zbyt późna obrona...

- Strasznie mi przykro... O Boże, tak mi... - Cóż jej pomogą te samooskarżenia słabeusza? Zaslugiwała na znacznie więcej niż powtarzane w kółko przeprosiny, bezsensowne i obłudne!

- Mercy... ja... O Boże, mam nadzieję, że nie sprawiłem ci wielkiego bólu... Może wezwać pokojówkę?

-Nie!

Pewnie że nie, ty durniu! - pomyślał z furią. Odwrócił się do Mercy, dostrzegł jej przerażoną twarz, błagalny wzrok. Nie chciała przecież, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli!

- Co mogę zrobić? - dopraszał się.

Przełknęła ślinę. Miał wrażenie, że to ją strasznie boli. Jej spojrzenie uciekło w bok.

- Ja... nie chcę być sama. Proszę... nie zostawiaj mnie teraz samej. - W jej głosie nie było wstydu, ale wydawała się bezbronna i zagubiona.

Przegarnął włosy ręką. Mercy powinna w tej chwili znajdować się w czułych objęciach męża. To powinna być jej noc poślubna. Wszędzie powinny być koronki, kwiaty w wazonach i wiele, wiele światła... Tak, powinna uczyć się miłości w pełnym słońcu, na pościeli z białego irlandzkiego lnu. Przy otwartych oknach, przez które od wrzosowisk wpałaby pachnący wiatr i pieścił jej ciało.

Z pewnością nie powinna kulić się pod ciemną kapą w zimnym pokoju, w męskiej koszuli nieosłaniającej jej cudownych, delikatnych piersi, z włosami potarganymi przez niego, ze łzami spływającymi po zaczerwienionej twarzy.

- Zostanę z tobą. Będę przy tobie czuwał. - Chciał się odwrócić, ale Mercy wyciągnęła rękę i chwyciła go za nadgarstek.

-Proszę... czy mógłbyś... Czy mógłbyś mnie przytulić? Tak jak wtedy w powozie?

Jak ona może tego chcieć? Po tym wszystkim, co jej zrobiłem? - myślał w osłupieniu. Potem jednak zaświtała mu równie gorzka, jak logiczna myśl: do kogóż Mercy mogłaby się teraz zwrócić? Co jej pozostało?

Wykorzystał ją w najohydniejszy sposób. Była samotna, bez rodziny i przyjaciół, w obcym kraju... a on ją zgwałcił! Zmusił się do zaakceptowania tego słowa - to był gwałt. Czy dał jej możliwość odmowy? Czy to, co uczynił, nie było narzucaniem się, zmuszaniem, zniewalaniem?

Ze znużeniem opadł na łóżko i przyciągnął do siebie Mercy owiniętą w tę przeklętą kapę. Przyłgnęła do niego, spragniona jakiegokolwiek pociechy. Choćby od niego. I choć zakrawało to na ironię, wiedział, że znajdzie w sobie dość ciepła, by ją ukoić.

Opadł na wezglowie, pociągając Mercy za sobą. Jej włosy rozsypały się po jego nagiej piersi, oploty ją chłodnymi, jedwabistymi pasmami.

Czuł na szyi jej drżący oddech. Leżała teraz bez ruchu. Jej piąstka ciążyła mu na piersi jak kamień.

Zmęczenie i dziwna, gorzka radość sprawiły, że poczuł się niezwykle ociężały. Wdychał zapach lawendowego mydła Mercy i subtelną, podniecającą woń ciał splecionych w uścisku. Przymknął oczy, kompletnie wyczerpany.

Mercy przytuliła się mocniej. Jej oddech stał się powolniejszy, cieplejszy, rytmiczny. Jej rozluźniona dłoń leżała teraz płasko na jego sercu. Hart zdrzemnął się na krótką chwilę, potem na dłużej. Zaznał ukojenia, choć pragnął tylko ofiarować je Mercy. Słodki ciężar jej ciała, dziewczęca twarz przytulona do jego nagiej piersi, łatwość, z jaką Mercy zasnęła w jego ramionach - wszystko to sprawiło, że poddał się zmęczeniu i zapadł w sen.

I po raz pierwszy od ośmiu lat hrabia Perth znalazł w nim prawdziwy odpoczynek.

23

C

V_7 dzie ty się podziewasz, Hart?! Pokojówka pukała, aleś nie odpowiedział. Richard chce już wracać, a Fanny uparła się, że bez pożegnania z tobą... O Boże!...

Hart z trudem przedzierał się przez gęste opary snu. Z wielkim wysiłkiem zaczął się rozglądać, skąd dochodzą te słowa.

Ujrzał w drzwiach dwie kobiece sylwetki otoczone nimbem porannego światła. Zmrużył oczy i potrząsnął głową. Annabelle i jakaś służąca. Nim zdążył wypowiedzieć choć słowo, jego siostra wciągnęła raptownie powietrze i zniknęła z szelestem spódnic.

-Bardzo ppprzepaszam, mmmilordzie! -wyjąkała pokojówka. Trzasnęły drzwi, a przytulona do niego Mercy poruszyła się we śnie.

Hart wpatrywał się w nią i ogarniała go coraz większa rozpacz. Okrywająca Mercy kapa ześlizgnęła się widać w nocy. Stojące nisko nad jeziennym horyzontem słońce zalewało pokój i wielkie łóże; obnażone piersi dziewczyny kapały się w złotawym blasku. Ciemnorude włosy spływały splątana gęstwą na jego nagi tors. Spoczywała też na nim rozpostarta ręka Mercy.

Na sekundę przymknął oczy i objął ukochaną jeszcze mocniej, napawając się jej bliskością- choć wiedział, jak złudna ta radość. Mercy za-

protestowała cichym pomrukiem. Uśmiech pojawił się na ustach Harta, by zaraz zniknąć. Sprzedałby duszę diabłu, byle co rano do końca życia słuchać jej gniewnych pomruków!

- Obudź się, Mercy!

- O co chodzi?

Głos miała bardzo zaspany. Podniosła głowę. Była mocno zaróżowiona. Wyglądała tak młodo, świeżo i niewinnie... Psiakrew! Miał ochotę wyć!

- Hart?

- Tak. - Nie było czasu na rozmowy. Liczyła się każda minuta, jeśli chciał naprawić tę niemożliwą do naprawienia sytuację. - Mercy, musisz wrócić do swego pokoju. Dom zaraz się obudzi. Lada chwila na korytarzu będzie tłok.

Uniosła się na łokciach. Wróciła jej świadomość, rysy się wyostriły. Spojrzała na otwartą z przodu koszulę. Włosy opadły na twarz, nie mógł dostrzec jej wyrazu. Odsunęła się od niego, przysiadła na piętach. Jakże pragnął przygarnąć ją znów do siebie! Drżącymi palcami zaczęła zapinać zmiętą koszulę.

- Skontaktuję się z tobą - powiedział - w ciągu godziny. Musimy porozmawiać, ale nie w tym momencie. Przed chwilą była tu Annabelle. Widziała cię.

- Ależ ma wycucie czasu! - zauważyła drżącym głosem. - Aż dziw, że nie występuje na scenie!

-Niech to wszyscy diabli! -mruknął i dostrzegł, że zbladła. Nie wolno tracić czasu! - Musisz natychmiast stąd wyjść, Mercy.

Wstał z łóżka, potem ściągnął także ją. Odsunęła się od niego i wówczas po raz pierwszy zauważył, że Mercy nadal ma na nogach buty z miękkiej skóry. Ze wszystkich niegodziwości, jakich się wobec niej dopuścił, właśnie to wydało mu się najhaniebniejsze: pozbawił Mercy dzieciństwa, nie pozwalając jej nawet zdjąć butów... Poruszała się z pewnym trudem. Zauważył to i zaklął w duchu, pojawiwszy, czemu krzywi się przy każdym kroku.

- O Boże, Mercy! Tak mi...

- Tylko nie mów, że ci przykro! - Odwróciła się raptownie do niego z ręką na klawce. - Nie wytrzymam, jeśli jeszcze raz powtórzysz, że ci przykro!

-Ale...

-Nie jesteś zwierzęciem, które kieruje się tylko popędem, Hart! - rzuciła ostrym, pełnym napięcia głosem. - Dobrze wiedziałeś, co robisz. Mogłeś się powstrzymać. Mogłeś!

Znieruchomiał, smagnięty bezlitosnym biczem.

Zdawało mu się, że zaznał już w życiu wszelkich mąk. Że wyczerpał do dna czarę goryczy, gdy zwątpił w swoje zdrowe zmysły. Niemal się uśmiechnął. To była tylko przygrywka. Teraz, dopiero teraz wie, czym jest prawdziwa rozpacz.

Mercy nienawidziła go. Nie bez powodu.

Zdołał jakoś przytaknąć skinieniem głowy. Mercy miała słuszność, mógł się powstrzymać. Ale nie zrobił tego.

-1 do wszystkich diabłów! - ciągnęła dalej cichym, gniewnym głosem. - Ja też nie jestem bezwolnym zwierzęciem! Mogłam się sprzeciwić. Mogłam cię powstrzymać! Więc przestań powtarzać, że tak ci przykro!

Wpatrywał się w nią z najwyższym zdumieniem.

- Nie chcę tego słyszeć ani teraz, ani nigdy więcej! - perorowała. - Za późno na wyrzuty sumienia, żeś sobie pofolgował. A tym bardziej na żale, że ci w tym nie przeszkodziłam!

Otworzyła drzwi z impetem i nawet się nie rozejrzawszy po korytarzu, wymaszerowała z sypialni, zostawiając Harta w stanie kompletnego osłupienia.

Zegar na marmurowym gzymsie kominka wybił ósmą. Mercy, która czekała, aż przebrzmi ostatnie uderzenie, podniosła się z ławeczki w wykuszu okiennym. Księżna Acton oczekiwała jej przybycia. Ton listu, który doręczono Mercy w godzinę po jej powrocie do sypialni, nie pozwalał wątpić o przyczynie tego wezwania.

Mercy odczuła niemal ulgę. Nie mogło być gorszej tortury niż godziny - a może dni? - oczekiwania na konsekwencje tego, co się stało. I jak, na miłość boską, można określić to, co wydarzyło się ostatniej nocy? Huragan? Trąba powietrzna? Cyklon?

Z pewnością nie było to spełnienie jej sekretnych, dziewczęcych marzeń. Widziała w nich sceny pełne delikatności, tkliwości... A przeżyła poryw namiętności, o jakiej nawet nie śniła. Tak, oboje dali się ponieść namiętności.

Drżącymi palcami odgarnęła włosy do tyłu i zaczęła szczytać zbyt blade policzki, by się nieco zaróżowiły. Potem wyszła na korytarz, świadoma tępego bólu, który był nie tyle dolegliwością fizyczną, ile niezatarłym wspomnieniem nocnych przeżyć.

Zeszłej nocy Hart był w niej... Czowała na sobie jego twarde, pełne napięcia ciało. Przygniótł ją swoim ciężarem, przeniknął do jej wnętrza.

Był to bezpardonowy, natarczywy atak, krępująca, a jednak nieodparta więź, wstrząsająco intymny akt. Nigdy już nie będzie taka jak dawniej.

Niemal roześmiała się na to melodramatyczne podsumowanie, schodząc po schodach, które zdawały się nie mieć końca. A jednak była to prawda. Nikt by nie mógł zaprzeczyć, że ubiegła noc odmieniła jej życie, ciało i serce.

A najgorsze... Przygryzła mocno wargę, usiłując powstrzymać łzy. Najgorsze było to, że nie miała pojęcia, czy to w ogóle miało dla Harta jakieś znaczenie. Nie powiedział ani słowa, nie licząc tych głupich przeprosin! Jak on mógł? Nie chciał się nawet dowiedzieć, co ona czuje?!

Zatrzymała się przed wejściem do małego salonu. Uniosła dumnie głowę, otworzyła ciężkie mahoniowe drzwi i weszła do wnętrza.

Nie była przygotowana na to, że zastanie w nim tyle osób. Dobry Boże! - pomyślała, czując, jak klepki parkietu uginają się pod jej stopami. Wezwano mnie przed trybunał! Czy doprawdy księżna Acton musiała ją zdemaskować publicznie?

Księżna wdowa siedziała w wielkim fotelu obok kominka. Była sztywno wyprostowana, nie dotykała plecami oparcia. Na widok wchodzącej oczy starszej damy się zwięzły. Mercy zrozumiała ich wymowę. Zuchwała pretendentka do księżęcej korony Actonów została raz na zawsze unieszkodliwiona. Wyszło na jaw, co to za bezczelna prostaczka! Miała to być nauczka dla księcia.

U stóp księżnej siedziała Annabelle Moreland. Głowę miała pochyloną, twarzy nie było widać. Z tyłu za obiema damami, opierając się o gzyms kominka, stał książę Acton. Spojrzał na wchodzącą Mercy. Na jego grubo ciosanej twarzy malował się zawód i zażenowanie.

Naprzeciw tej trójki, tuż przed sobą, ujrzała Mercy sztywno wyprostowanego Harta. Ni stąd, ni zowąd doszła do wniosku, że jego włosy domagają się przy strzyżeniu. Wijące się kosmyki odcinały się wyraźnie od ostrej bieli kołnierzyka. Miał gęste włosy. Dobrze wiedziała, jak gęste. Poczula nagłą falę gorąca.

Hart, idąc za wzrokiem Actona, obejrzał się. Kiedy ją ujrzał, jego wargi - czy naprawdę dotykały jej tak zuchwale, tak intymnie? - rozwarły się i natychmiast zamknęły. Twarz, która prawie nigdy nie zdradzała uczuć, wydawała się jeszcze bardziej nieodgadniona. Nawet jego piękne oczy straciły barwę i blask.

- Panno Coltrane! - przywołała ją księżna.

Mercy wzdygnęła się. W głosie księżnej była nie tylko głęboka odraza, ale i wgardliwa litość. Po raz pierwszy dziewczyna uświadomiła sobie, jak się teraz przedstawia w oczach londyńskiego towarzystwa.

Była skompromitowana.

To było nieuchronne. Nieukrywana wzdarda w spojrzeniu księżnej, rozczarowanie w oczach Actona, nawet wstydliva ciekawość, z jaką zerkała na nią Annabelle - wszystko to ujrzy wkrótce na innych niezliczonych twarzach. Musi się z tym oswoić.

- Proszę bliżej, panno Coltrane. Zdaje się, że mamy wiele do omówienia. - Pierścionki na rękach starszej damy zaślniły w słońcu, gdy wskazała Mercy sofę stojącą naprzeciw niej.

Mercy posłusznie siadła na brzegu poduszki, kryjąc w fałdach spódnicy kurczowo zaciśnięte dłonie. Czuła ściskanie w żołądku. Serce jej waliło jak młotem. Była przerażona.

- Sądzę, że w tej... sytuacji niezbędna jest całkowita szczerowość.

Mercy spojrzała na Harta. W milczeniu wpatrywał się w księżną. Cała jego postawa wyrażała niepojęte, z trudem hamowane ożywienie.

- Za późno już na wyrażanie zdumienia i oburzenia - mówiła dalej księżna. - Jak widać, żadne względy dla domu, w którym pani przebywa, dla moich własnych uczuć ani dla uczuć moich gości nie miały dla pani znaczenia.

Mercy przymknęła na sekundę oczy, starając się opanować. Hart zrobił krok do przodu. Księżna dostrzegła to i przeszyla go miazdzącym spojrzeniem.

- Ani dla ciebie, hrabio...

- Nic mnie nie obchodzi...

- Widzę! - odparowała starsza dama.

- Opanuj się, Perth - wtrącił książe, podchodząc do matki. - Gdzie twoje dobre maniery?

- Gdyby wiedział, co to są dobre maniery, obeszłoby się bez tej dyskusji! - sarknęła księżna Acton. - Dać się przyłapać na gorącym uczynku. .. rodzonej siostrze! I to w Acton Hall!

Maniery? - pomyślała zdumiona Mercy. Czy to wszystko, co wydarzyło się zeszłej nocy, było tylko naruszeniem etykiety? Czyżby była skompromitowana nie z powodu utraty dziewictwa, ale dlatego, że tak głupio dała się przyłapać?

- Wielki Boże! - powiedziała ze śmiechem, w którym brzmiała nutka hysterii. - Muszę natychmiast skontaktować się z dyrekcją szkoły Woolseya dla dobrze wychowanych panien!

- Cóż to ma znaczyć, panno Coltrane? - zdumiała się księżna.

- Zwrócę im uwagę, by położyli większy nacisk na wykwinne maniery! Któż by przypuszczał, że to słowo padnie w dzisiejszej dyskusji!

Pomyśleć, że mój... upadek okazał się zwykłym brakiem manier! Zupełnie jakbym użyła noża do ryby.

Po tej szyderczaj uwadze zapadło milczenie. Przerwał je - o dziwo! - śmiech Harta. Gardłowy, pełen uznania, rozległ się echem w ciszy salonu.

- Ze względu na moją przyjaźń dla lady Timmons uznam tę niestosowną uwagę za objaw rozdrażnionych nerwów - oświadczyła księżna. Nozdrza jej zbieleły.

- Jak to ładnie ze strony waszej książęcej mości - odparła Mercy. Po raz pierwszy od przebudzenia poczuła się pewnie. Księżna nie zdoła jej złamać! Gdyby oskarżyła ją o to, że przyniosła wstyd rodzinie, matce, swemu krajowi, Mercy z pewnością przyjęłaby te zarzuty z taką pokorą, jakiej księżna oczekiwała.

Tymczasem to, co zaszło między nią a Hartem, potraktowano jako nietakt towarzyski, który mógł ująć nieco splendoru pani domu! Zresztą cóż w tym dziwnego? Dla ludzi z tej sfery jedynym śmiertelnym grzechem było naruszenie dobrych manier!

Mercy wiedziała już, co robi.

- Jak więc mówiłam - kontynuowała księżna - nie zamierzam kierować się emocjami. Znam swoje obowiązki. I wypełnię je. Znajduje się pani pod moją opieką, panno Coltrane. Jestem odpowiedzialna nie tylko za pani bezpieczeństwo, ale i za pozycję towarzyską.

Hart spojrział na księżnę zmrużonymi oczami. Książę Acton odchrząknął i zabrał głos.

- Doskonale to wyraziłaś, mamó. Poza tym... zdaję sobie sprawę, że przyczyniłem się do tego... nieszczęsnego wydarzenia.

O Boże! -pomyślała Mercy, usiłując znów zdławić histeryczny śmiech. Jakim sposobem Acton mógłby przyczynić się do wydarzeń ostatniej nocy?! Co za nonsens!

Chyba że jest przekonany, że zdruzgotało mnie odkrycie, iż nie mam szans na zostanie księżną! I wobec tego rzuciłam się na szyję - a raczej wskoczyłam do łóżka - pierwszego arystokraty, który mi się trafił!

- A to w jaki sposób? - zainteresował się ów arystokrata. Mercy mogłaby przysiąc, że dostrzegła w jego oku błysk ironii.

Acton odchrząknął raz jeszcze.

- Mama... i panna Moreland uświadomiły mi, że moje starania o to, by panna Coltrane czuła się jak najlepiej pod naszym dachem... - Hart prychnął pogardliwie. Książę gwałtownie poczerwieniał. - .. Mogły zostać niewłaściwie zrozumiane. Panna Coltrane nabrała zbyt wiele pewności siebie i oczekiwała widocznie...

- Czegóż to? - spytała Mercy.

Acton poluzował duszący go kołnierzyk. Nie patrzył jej w oczy.

- Być może... niechcący wprowadziłem panią w błąd... Bardzo mi przykro, panno Coltrane... Mimo wszystko istnieją pewne niezłomne zasady...

Ostatnie słowa wypowiedział z takim żalem, że Mercy poczuła dla niego litość. Hart najwidoczniej nie podzielał jej uczuć. Na jego pociągłej twarzy nie było już ani śladu uśmiechu. Zrobił gwałtowny krok do przodu, ale natychmiast stanął, jakby powstrzymał go jakiś niewidzialny sznur.

Annabelle zerknęła w stronę Mercy z błyskiem triumfu w bladych oczach.

- To już nie ma znaczenia - stwierdziła księżna Acton. - W tej chwili musimy myśleć tylko o tym, jak uniknąć skandalu. I unikniemy go, bez względu na cenę, jaką trzeba będzie zapłacić. Istnieje tylko jedno możliwe wyjście. - Zwróciła się do Mercy z jawną wrogością. - Perth gotów jest ponieść konsekwencje swego czynu, moja panno.

- Jak to uprzejmię z jego strony - odparła Mercy, nie patrząc na Harta.

- To nie ma nic wspólnego z uprzejmością. Ma pani wyjątkowe szczęście, że zdarzyło się to pod dachem Actonów, panno Coltrane. Może to zresztą nie szczęście, tylko perfidne wyrachowanie.

Hart drgnął, ale zachował milczenie. Mercy poczuła, że ogarnia ją lodowaty gniew.

- Jak mam to rozumieć, księżno? - spytała, unosząc głowę jeszcze wyżej.

- Nigdy bym nie pozwoliła, by choć cień skandalu przylgnął do nazwiska i domu Actonów oraz do gości przebywających pod tym dachem. Dobrze o tym wiedziałaś, moja panno! Nie dopuścimy, by nasza rodowa siedziba była traktowana jak dom schadzek przez panienki lekkich obyczajów i rozpustników.

Mercy przysięgła sobie, że nie spuści oczu. Nie da tej jędzy takiej satysfakcji! Ukryte w fałdach sukni ręce drżały, ale odpowiedziała na wyniosłe spojrzenie starszej damy z równie nieugiętą dumą.

- Proszę liczyć się ze słowami, księżno. - Głos Harta był cichy, zimny i groźny. - Zwraca się pani do przyszłej hrabiny Perth.

Annabelle uniosła raptownie głowę. Zaparło jej dech.

Ty głupia dziewczyno! - pomyślała Mercy. Nie przyszło ci do głowy, że tak się to skończy? Przecież od samego początku było wiadomo, do czego zmierza ta konwersacja!

-Hart! Jak możesz?! Nasza rodzina... twój tytuł... Jesteś przecież hrabią Perth!

- Bądź cicho, Annabelle - powiedział zimno Hart. - Powinnaś była przewidzieć skutki swojej intrygi. Sądziłaś, że księżna zadowolona będzie z mniejszą ofiarą? - podkreślił to słowo z sarkazmem. - O Boże, ależ z ciebie idiotka!

-Ależ Perth...

Hart zignorował Actona.

- Lady Acton jest przecież opiekunką Mercy, a przynajmniej zastępuje jej opiekunkę, na litość boską! - Jego wargi wygięły się w zjadliwym, gorzkim uśmiechu. - Choć bez wątpienia ucieszy cię wieść, że księżna jeszcze bardziej niż ty boleje nad złym losem, który zmusza hrabiego do poślubienia Amerykanki!

Hart ma całkowitą rację! - pomyślała Mercy. Niech go diabli! Ależ łatwo wyczytał prawdę z tej surowej, wyniosłej miny księżnej!

- Może pannie Coltrane nie zależy na ślubie? - wyrwało się nagle Annabelle. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Mercy, czekając na jej odpowiedź.

-Ależ zależy, zależy! Przynajmniej na razie -powiedziała Mercy. Postanowiła kierować się zdrowym rozsądkiem, bez względu na to, co jej podszeptowała duma. Nie zamierza urodzić bękarta! Będzie odgrywać tę farsę tak długo, jak długo okaże się to konieczne.

- A zatem - zabrała głos księżna - sądzę, że należy podczas balu ogłosić wasze zaręczyny. Choć z pewnością taki niezwykle pośpiech wywoła różne komentarze.

- Nie - zaproponowała Mercy.

- Słucham, panno Coltrane? - spytała starsza dama, mrużąc oczy.

-Powiedziałam: nie. Ma pani całkowitą rację, księżno. Ogłoszenie naszych zaręczyn podczas balu wywoła tylko niepotrzebne plotki. Wstrzymamy się z tym do przyszłego miesiąca.

Księżna i Annabelle wymieniły zaskoczone spojrzenia. Hart przez sekundę wpatrywał się w Mercy. Potem w jego bystrych oczach błysnęło zrozumienie.

- Sprytnie, Mercy, sprytnie! - mruknął.

-I ja tak sądzę, panie hrabio - odparła.

-Nic nie rozumiem! -biadała Annabelle, rozglądając się dokoła, jakby w obawie, że zaraz zrodzą się jakieś nowe, straszne komplikacje. Była bardzo błada. Zdumiona Mercy uświadomiła sobie nagle, jakim ciosem jest dla tej dziewczyny wieść o bratowej Amerykance. O, z pewnością nie mogła liczyć na serdeczne przyjęcie w rodzinie Morelandów!

- No cóż, Annabelle... Panna Coltrane po prostu zabezpiecza sobie tyły.

-Zabezpiecza tyły? Co ty wygadujesz, Perth? - zdumiał się

Acton.

- Jest to, o ile wiem, manewr strategiczny, uwzględniający wszelkie ewentualności.

- W dalszym ciągu nie mam pojęcia, o czym ty mówisz, psiakrew! O, bardzo przepraszam, mam... panno Moreland...

Mercy zauważyła, że księżę nie uznał za stosowne usprawiedliwić się przed nią. Była to niewielka zniewaga, całkiem bez znaczenia, ale okazała się kroplą przepelniającą czarę. Choć Mercy zebrała wszystkie siły, nie była w stanie opanować drżenia warg. Hart postąpił trzy długie kroki naprzód i znalazł się przed księciem.

-Acton! Jeżeli jeszcze raz okażesz pannie Coltrane brak szacunku, osobiście postaram się, żeby twoim udziałem stał się taki skandal, o którym będą szeptać w towarzystwie przez całe lata.

Księżę słuchał wygłoszonej beznamiętnym tonem groźby z wyraźnym przestraszaniem. Cofnął się i wymamrotał:

- Doprawdy, nie chciałem pani urazić, panno Coltrane. Proszę o wybaczenie!

- Ale o co chodziło z tym zabezpieczaniem tyłów? - nie ustępowała Annabelle.

Mercy przyglądała się jej przez chwilę.

- Pani brat uważa, że nie jestem pewna, czy nie trafi mi się lepsza partia. Ma całkowitą rację.

Annabelle jęknęła z oburzenia.

- Ale - ciągnęła dalej Mercy, powodowana gniewem - ponieważ muszę się liczyć z możliwością, że... jak by to określić... złożami wizytę bociany...

Ręka Annabelle poszybowała do ust. Księżna dotknęła dłonią serca. Uważały ją za wulgarną prostytutkę, co? No to im pokaże, jaka potrafi być wulgarna!

- ...muszę na razie wziąć na wstrzymanie. Gdyby się okazało, że wkrótce znajdę coś w kapuście... będę się musiała zadowolić jego lordowskąnością. Ale jeśli miałam więcej szczęścia niż rozumu, no to przyszło przede mną. I z pewnością będę mierzyć wyżej niż byle jakiś hrabia! Wystarczy jeden miesiąc, żeby mieć pewność, czy przyjdzie mi poszerzać sukienki. Wasza królewska rodzina jest bardzo rozgałęziona, nieprawdaż? No to możliwości nie zabraknie! A teraz państwo wybaczą, ale muszę się spakować. Nie mam zamiaru dłużej plamić swą obecnością rodowej siedziby Actonów! Wyjeżdżam po południu.

- Nie może pani wyjechać, panno Coltrane! Proszę pomyśleć, jak by to wyglądało?
- Guzik mnie to obchodzi, wasza książęca mość. Mam zamiar wyjechać i wyjadę! -I nie czekając na odpowiedź księżnej, wstała i wyszła.

24

Hart zdusił w sobie uwagi pod adresem siostry i Actona, i wybiegł na korytarz, chcąc dogonić Mercy. Rozejrzał się dokoła. Nigdzie jej nie było. To, że zdołała już przebyć trzydziestometrowy korytarz, potwierdzało jego podejrzenia: jej wyzywające zachowanie było zwykłą brawurą. Natychmiast po opuszczeniu salonu popędziła do bezpiecznej kryjówki.

Ale przed nim się nie ukryje! Nie w tej chwili. Musieli ze sobą pomówić! Kiedy wcześniej tego ranka zastał Annabelle konferującą sam na sam z księżną Acton, zażądał sprowadzenia Mercy. Księżna domyśliła się jego intencji. Mimo że budziły w niej instynktowny sprzeciw, honor nakazywał jej poprzeć jego propozycję. Za to Annabelle była jak rażona piorunem.

Przebiegł korytarz i pokłusował po schodach, nie zważając na zaciekawione spojrzenia innych gości. Gdybyż tylko mógł nadal tkwić w błędnym mniemaniu, że to, co czuł do Mercy, było zwykłą żądzą! Ale wydarzenia ostatniej nocy całkowicie go pozbawiły wygodnych złudzeń. Mercy udało się dotrzeć do żalonych resztek jego duszy. Sprawiała, że znów był zdolny do uczuć.

Zapewniała go, że nie jest szaleńcem. Dotykała jego rozdygotanego ciała, jego twarzy. Widziała go bez osłonek. Przejrzała go na wskroś. I nie odwróciła się ze wstrętem!

Palce Harta zacisnęły się konwulsyjnie. Poprzednio łąknął jej ciała. Głód ten towarzyszył mu nieustannie przez ostatni tydzień. Teraz jednak zapragnął niemożliwości - chciał zdobyć jej serce.

Skrzywił usta w ironicznym grymasie. Jak delikatnie wyjawiał jej swe uczucia! Rzucił się na nią niczym umierający z głodu najadło, z brutalną zachłannością. Wziął ją tak, jakby wtargnąwszy do jej ciała, mógł zawładnąć jej duszą. A potem, nie zadowolony się aktem przemocy, przywarł do niej na całą noc, więził ją w swych ramionach, zatrzymał przy sobie... póki ich nie odkryto.

Mógł oczywiście usprawiedliwiać się, że po prostu zmorzył go sen. Wiedział jednak, że to tylko wygodne kłamstwo. Od ośmiu lat nie zdarzyło się, by „po prostu zmorzył go sen”. O, nie! Podświadomie pragnął, by tak się stało. Widać w głębi duszy poprzysiągł sobie za wszelką cenę związać Mercy ze sobą. Raz na zawsze.

Musiał ją mieć! Pragnął tego od chwili, gdy ujrzał ją w przeciwległym kącie salonu. Nauczyła go na nowo się śmiać. Rozpaliła namiętność w jego lodowatym sercu. Uwierzyła w niego... I ładnie jej się za to odwdzięczyłem! - myślał, zbliżając się do pokoju Mercy.

Nie zatrzymał się przed wejściem. Zbyt wielu było wścibskich, gotowych podglądać przez szparkę, czy panna go wpuści; a gdyby nie wpuściła, znalazłoby się jeszcze więcej chętnych do rozgłaszania po całym domu Actonów, że hrabiego wyrzucono za drzwi!

Ze zdumieniem stwierdził, że Mercy nie zaryglowała drzwi ani nie zamknęła ich na klucz. Wszedł po cichu i zatrzymał się tuż za progiem. Jego oczy musiały przyzwyczaić się do blasku słońca, które zalewało cały pokój. Dostrzegł Mercy przy wielkiej, ozdobnej toaletce. Zamarł w bezruchu.

Rozwiązała ciężki kok i rozczesywała teraz ciemnorude włosy, spoglądając bez większego zainteresowania na swoje odbicie w lustrze. Jak mogła traktować tak obojętnie swoją niezwykłą urodę?

Nie był w stanie się poruszyć. Wtargnął niespodzianie w nieznany świat kobiecości i całkiem go to oszołomiło. Stał w cieniu koło drzwi przytłoczony i wstrząśnięty tą intymną sceną, nieprzeznaczoną dla jego oczu. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie czesała się przy nim.

Palce Mercy manewrowały grzebieniem z taką precyzją, z jaką skrzypki włada smyczkiem. Każdy wdzięczny ruch, każde przesunięcie ząbkami z kości słoniowej po gładkich włosach, każde niedbałe zerknięcie do lustra urzekło Harta.

Zachowywała się tak naturalnie, zwyczajnie, po kobiecemu! Mógł tylko wpatrywać się w nią bez słowa, w niemym zachwycie. Dzieliło ich wszystko - nawet jego namiętność.

- O co chodzi?

Pytanie Mercy zupełnie go zaskoczyło. Odbite w lustrze oczy dostrzegły jego ukrytą w cieniu twarz. Wynurzył się z mroku i stanął za jej plecami. Ich spojrzenia spotkały się w srebrnej tafli.

- Jeśli chcesz znów się usprawiedliwiać, zabiję cię! - powiedziała. - Może nie dziś ani nie jutro, ale wcześniej czy później dopadnę cię i zastrzelę!

O dziwo, ta gniewna zawziętość Mercy podniosła go nieco na duchu.

- Wobec tego nie będę się usprawiedliwiał - oświadczył. - Nie mam jakoś ochoty sprawdzać, czy nie schowałaś pod ślubną suknią rewolweru.

- Wątpię, czy to będzie konieczne.

Jak mogła zachowywać się tak spokojnie? Krew tętniła mu w uszach. Pragnął rzucić się na kolana, zanurzyć ręce w jej włosach, wdychać ciepły, słodki, kobiecy zapach jej ciała. Czy ona nie widzi, co się z nim dzieje?

Na pewno nie. Gdyby wiedziała, nie spoglądałaby na niego z takim spokojem. Niemądra dziewczyna! Czyż nie przekonała się już, do czego jest zdolny?

- A to dlaczego? - spytał zduszonym głosem.

- Bo to nie była niebezpieczna pora.

- Pora?

- No tak, pora. Okres. Czas zagrożenia. Nie patrz na mnie tak, jakbyś nie wiedział, o czym mówię!

-Naprawdę nie wiem - odparł szczerze. Ujrzał, jak jej zdumiona twarz oblewa się ciemnym rumieńcem.

- Niezmiernie mi przykro, że obrażam twe delikatne uczucia - odparła, zgrzytając zębami. - Jestem pewna, że zaczniesz jeszcze bardziej zadzierać swego arystokratycznego nosa... ale nie mam pojęcia, jak prawdziwa dama określa tę porę miesiąca. W każdym razie mogę cię zapewnić, że dla mnie ubiegła noc nie była pechowa!

- Arystokratyczny nos? - powtórzył.

Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Czemu mężczyźni nie potrafią trzymać się głównego tematu rozmowy?!

- Sama przecież wspomniałaś o moim nosie.

- Dobrze już, dobrze! - powiedziała jak do uprzykrzonego dziecka. - Mówmy o twoim nosie. O tym wielkim, bezczelnym nosisku! To zdecydowanie arystokratyczny nos i z całą pewnością zadzierałeś go bardzo wysoko kilka minut temu. Ale, jak ci usiłowałam wytłumaczyć, możesz się nie obawiać: nie przekażesz tego wpaniałego organu żadnemu potomkowi z mojej niegodnej krwi. Nie sądzę, żebym zaszła z tobą w ciążę, rozumiesz?!

-A!

Mercy nie podobał się jego nos... Miał ochotę zerknąć jej przez ramię i obejrzyć go dokładnie w lustrze. Rzeczywiście, był duży, ale nie zakrzywiony, ani... Niech to wszyscy diabli! Jakim cudem przenosił się tak błyskawicznie od najgłębszej skruchy do zapierającej dech żądy... a w końcu do rozważań nad własnym nosem?!

To z powodu Mercy! Zawsze działała na niego ogłupiająco. Od pierwszej chwili wywlokła go z lodowatej, mrocznej kryjówki, z twierdzy, wewnątrz której bronił się przed szaleństwem. Ale przekonał się, że łatwiej je pokonać ogniem, śmiechem i namiętnością.

Mercy przyglądała się jego odbiciu w lustrze z uśmiechem politowania na aksamitnych wargach. Tylko rumieniec na jej policzkach zdradzał, że nie jest tak opanowana, jak usiłowała mu wmówić.

-A! - przedrzeźniała go. - Tylko tyle? Myślałam, że okażesz nieco więcej entuzjazmu, dowiedziawszy się, że egzekucja odroczone! I może wreszcie przestaniesz podziwiać się w lustrze i poświęciszesz trochę czasu mnie? Po co właściwie się tu wdarłeś?

To oskarżenie było dalekie od prawdy, pomyślała. Wślizgnął się do jej pokoju jak cień... Przeniknął do jej snów, do jej myśli...

- Z największą ochotą poświęcę ci tyle czasu, ile tylko zechcesz. - Uśmiechnął się drapieżnie.

- Po coś tu przyszedł?

- Dobrze wiem, że według ciebie głównym powodem małżeństwa jest zapewnienie nazwiska dziecku, które mogło zostać poczęte ubiegłej nocy...

- Wysoce nieprawdopodobne. Już ci to mówiłam. - Mercy spuściła oczy i zaczęła się bawić oprawną w srebro szczotką do włosów. Hart sięgnął jej przez ramię, muskając przy tym obojczyk. Poczula to tak wyraźnie, jakby była całkiem naga. Pod jego dotknięciem przeszył ją elektryczny prąd. Mimo warstw wełny, bawełny i batystu jego fizyczna bliskość ją poraziła. A Hart nawet tego nie zauważył!...

Wyjął szczotkę z jej zdrętwiałych palców. Wydawał się dziwnie oniesmielony. Mogłaby przysiąc, że wstrzymał oddech! A potem zaczął rozczesywać jej włosy. Wpatrywała się w swoje ręce, oddychała nierówno. Bała się, że Hart zaraz przestanie.

Czego on właściwie chciał? Była taka pewna, że przyszedł poinformować ją, że niestety musi wycofać swą propozycję, że nie pozwoli manipulować sobą księżnej Acton!

- ...ale mamy również inne sprawy do omówienia -dokończył wreszcie.

Jego ręce przesuwały się kojąco po jej włosach. Czula delikatne łaskotanie szczotki, nim zabierał się energiczniej do rozczesania kolejnego pasma.

Jego czułe starania fascynowały Mercy. Nie powiedział jednak, że chce się z nią ożenić.

- Cała reszta jest bez znaczenia - odparła.

- Wiem, Mercy, że tak ci się teraz zdaje. - Miał taki miękki, przekonujący głos. - Ale jesteś po prostu zła na mnie. I masz do tego pełne prawo. Byłaś samotna i bezbronna... a mimo to uwiodłem cię i wystawiłem na kompromitację. A teraz chcę cię zmusić do małżeństwa, na które wcale nie masz ochoty. Dziwię się, że nie chwyciłaś dotąd za rewolwer! - Uśmiechnął się krzywo. Choć wszystko, co mówił, było prawdziwe i nie stawiało go w najlepszym świetle, serce jej się ścisnęło, gdy ujrzała beznadziejną rozpacz kryjącą się pod maską chłodnej obojętności.

- Nie myśl, że mi to nie przyszło do głowy! - burknęła, chcąc ukryć wzruszenie.

- Proszę cię, Mercy, wysłuchaj mnie! Przysięgam, że przede wszystkim idzie mi o twoje dobro. Staram się patrzeć obiektywnie na całą sprawę. Widzisz, chodzi o twój honor. Będę całkowicie szczerzy: nie tylko o twój honor, ale i mój. Trzeba mieć także na względzie reputację... znowu zarówno twoją, jak moją. Wiem, że moja reputacja jest niewiele warta, ale dla dobra innych osób... moich sióstr... nasze nazwisko powinno zostać nieskalane.

Spodziewała się czegoś podobnego. Dlaczego więc te słowa tak ją zabolowały? Poczula na ramieniu dotknięcie ręki Harta i cofnęła się gwałtownie. Tylko nie litość! Nie zniosłaby jej od niego. Niech zachowa opiekuńcze uczucia dla swoich przeklętych sióstr!

- Cóż za popis oratorski! Wielka szkoda, żeś sam nie wysłuchał takiego kazania wczoraj w nocy. Mam jednak nadzieję, że twoje siostry nie ucierpią zbyt wiele z powodu mego upadku. Pociesz je zapewnieniem, że nic nie skazi czystości błękitnej krwi Perthów.

- Obawiam się- odparł- że jeśli sienie pobierzemy, skandal będzie o wiele większy.

- Dajże spokój! - rzuciła ostro.

Hart przymknął oczy. Ile w tych słowach goryczy! Nigdy dotąd nie słyszał jej w głosie Mercy. Cóż za piękny podarek ślubny, pomyślał.

- Nie ulega wątpliwości - mówiła dalej - że księżna Acton, jej syn i twoje siostry odnoszą się do naszego małżeństwa z takim samym entuzjazmem, z jakim przyjęliby do swego grona jakiegoś dziwoląga! Więc czemu nie zapomnieć po prostu o tym epizodzie?

- A potrafisz?

Policzki Mercy zapłonęły. Przygryzła wargę. Jak mogłaby zapomnieć? Ciało Harta na jej ciele... Gładkość jego mięśni pod jej dłonią... Jego skóra rozpalona i śliska od potu... Zapamiętanie w namiętności... Burza uczuć ogarniająca ich, rosnąca, unosząca na zawrotne szczyty...

- Postaram się.

Zauważyła, że zbladł, ale nie zrezygnował.

-No cóż, moja droga... Niestety, londyńskie wyższe sfery nie odznaczają się aż taką siłą woli. A co się tyczy tego, że nasz... epizod przejdzie niezauważony, to mogę cię zapewnić, że do końca tygodnia połowa gości Actonów będzie wiedziała, gdzie spędziłaś ostatnią noc.

-Jakim cudem?!

- Zapomniałaś o pokojówce? Była razem z Annabelle. Plotki służby bardzo szybko docierają do państwa. Nie, Mercy. Jestem przekonany, że nie dojdzie do skandalu tylko wówczas, jeśli się pobierzemy.

- Gwizdź na wasze londyńskie towarzystwo! Możesz mi wierzyć. Brenna zaraz się tu zjawi i spakuje moje rzeczy. Już zamówiłam konie.

- Nie oszukuj się, Mercy! Anglia i Ameryka z każdym rokiem stają się coraz bliższe. W tę i w tamtą stronę przepływają pieniądze, towary... i najświeższe ploteczki. Wcześniej czy później odczujesz boleśnie skutki ostatniej nocy. A jeśli nie ty, to twoja rodzina.

- Moja rodzina?

Wszystko się na nią waliło. Nie wiedziała już, co o tym myśleć. Każdą rozsądną uwagę Hart popychał ją do małżeństwa. Jego argumenty były takie szlachetne, takie jasne, takie przemyślane!

- To zabawne... - mruknęła.

- Co takiego, Mercy?

-Proponują mi hrabiowski tytuł... a jedyna osoba, której na tym zależało, już nie żyje... Może wreszcie mama byłaby ze mnie dumna?...

Hart przestał nagle czesać jej włosy. Jego ręka zawisła na chwilę w powietrzu. Potem odłożył szczotkę na blat toaletki, układając ją starannie obok grzebienia.

- Przykro mi cię rozczarować, zwłaszcza że twoja matka tak sobie tego życzyła... ale mój hrabiowski tytuł stoi pod znakiem zapytania.

25

r

V_> o to ma znaczyć?

Odwrócił się do niej bokiem. W świetle okna widziała wyraźnie jego mocno zarysowany profil: wydatny nos, ostrą linię szczęki, zmysłową dolną wargę...

- Wróciłem z Afryki wkrótce po śmierci mojej matki - powiedział obojętnym tonem.

Co za opanowanie! Jakież gwałt musiał zadawać swoim uczuciom, by mówić tak chłodno o stracie matki...

- Kilka miesięcy wcześniej dotarła do mnie wieść o śmierci ojca. Był jednym z pasażerów na jachcie, który zatonął u wybrzeży Nowej Gwinei. Nie powiem, żebym przejął się specjalnie wiadomością o zgonie któregoś z rodziców. Ojciec był rozpustnikiem i marnotrawcą. A matce, odkąd ją opuścił, przestało zależeć na życiu. Nic jej już nie obchodziło.

-Hart...

- Nie zanudzałbym cię tymi sprawami, Mercy - usprawiedliwił się - ale ponieważ rozważasz małżeństwo ze mną, choćby pod przymusem, powinnaś orientować się w sytuacji. Po powrocie do domu czekała na mnie góra papierów. Postarali się o to prawnicy, dostawcy, wierzyciele naszej rodziny i... - Hart przerwał. - Wybacz te dramatyczne szczegóły. Wszystko to było raczej przygnębiające, zwłaszcza że nie czułem się wówczas najlepiej. - Rzucił jej ironiczny uśmiech. - Znasz już objawy mojej... niedyspozycji. Wystarczy więc powiedzieć, że były one wtedy znacznie ostrzejsze niż dziś.

Zauważyła, że wzdrygnął się prawie niedostrzegalnie i odwrócił od niej. Więc było z nim jeszcze gorzej? Na samą myśl, że musiał tyle wycierpieć, w tak młodym wieku, przeszył ją ostry ból. Czy po powrocie do domu miał przy sobie kogoś, kto objąłby go, kiedy drżał ze strachu? Czy jakiś przyjazny głos wzywał go po imieniu, by powrócił z koszmarnego świata majaków? Nie. Czekaly go tylko obowiązki i coraz większa odpowiedzialność.

- Ze wszystkiego, co odziedziczyłem, jedyną wartość miał tytuł hrabiowski po stryjecznym dziadku. Rodowa posiadłość Perthów była w ruinie, podobnie jak schronienie moich sióstr. Wychowano biedactwa na damy... a ja nie mogłem kupić im nawet butów! Nie miałem pojęcia, co robić...

Uniósł dłoń w nieświadomie błagalnym geście. Mercy wyciągnęła ku niemu rękę. Popatrzył na nią pustym wzrokiem. Zacisnął dłoń w pięść i opuścił...

- Podczas pobytu w wojsku odkryłem, że mam pewien talent i postarałem się go rozwinąć. Stałem się znakomitym strzelcem. Od kilku dawnych towarzyszy broni dowiedziałem się, że w twojej ojczyźnie, Mercy, na najbardziej zagrożonych terenach ktoś, kto celnie strzela, nie ma skrupułów i nie jest zbyt ciekawski, może znaleźć dobrze płatne zajęcie. Spełniałem wszystkie te warunki i nie miałem nic do stracenia. Nie, nie musisz o to pytać, sam ci powiem: myśl o zabijaniu wcale mnie nie przerażała. Dość ludzi zabiłem na wojnie... Nie tylko dorosłych mężczyzn. Jeśli mogłem zastrzelić małego chłopca... - wykrztusił z trudem przez zaciśnięte zęby - dlaczegoż nie miałbym zabić rabusia? Albo mordercy?

- Nie zamierzałam cię o nic pytać - powiedziała Mercy. - Ale mam wrażenie, że sam zadawałeś sobie to pytanie. Dziesiątki razy.

- Niech to diabli! Masz bystre oczy - odparł martwym głosem.

- Mów dalej!

- Ten rozdział mojego życia już z grubsza znasz. Byłem nie tylko dobry. Okazałem się najlepszy! Musieli mi słono płacić za usługi. Potem zdobyłem udziały w pewnej spółce hodowlanej. Stałem się bogaty. Więcej niż bogaty. Dorobiłem się trzy razy więcej niż twój ojciec, Mercy. Jeśli więc za mnie wyjdiesz, niczego ci nie zabraknie.

Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Pośpiesznie spytała o to, co ją naprawdę interesowało.

-A jak wyglądają kolejne rozdziały twojego życia?

Hart skinął głową, jakby potwierdzając, że opowie jej o wszystkim.

- Po powrocie do Anglii zadbałem, by moje siostry dostały się do najlepszego towarzystwa. Przysiągłem sobie, że zapewnię im to wszystko, czego pozbawił je ojciec swym marnotrawstwem i swoją nędną ucieczką. Wykupiłem wszystkie rodowe klejnoty, które zastawił. Wytropiłem każdą sztukę matczynej biżuterii, którą sprzedał za bezcen, i znów ją nabyłem. Na każdym koncie bankowym, które opróżnił, znajduje się teraz dziesięciokrotnie większa suma. Wszelkie skandale, wywołane rozpustą i innymi występkami mego ojca, zatuszowałem dzięki swemu tytułowi, bogactwu i nienagannej reputacji.

-I co było potem?

- Potem, mniej więcej w rok po moim powrocie do Anglii, dostałem od niego list.

-Od... twego ojca? - Jej słowa zawisły między nimi jak ciężka chmura.

Hart skinął głową.

- Chcesz usłyszeć coś zabawnego? Jego noga nawet nie postąpiła na pokładzie tamtego jachtu! Przez cały czas był w Afryce i dopiero niedawno dowiedział się, że wszystko odziedziczył. Ależ się ubawił, że przyznaje się do tytułu, który jemu się należy!

- Nic nie rozumiem!

- Nic dziwnego. Za to ja rozumiałem doskonale! Fatalnie się składa -pisał ojciec - że przywłaszczyłem sobie wszystkie przywileje i hrabiowski tytuł. Będzie mi z pewnością przykro wyrzec się tego wszystkiego. Ale tylko on ma do tego prawo. Zostanę hrabią Perth dopiero po jego śmierci.

A jeśli chodzi o moje siostry... to będzie dla nich prawdziwy szok! Na szczęście tatuś wkrótce wróci i zostanie ich przewodnikiem w wiel-

kim świecie. - Hart mówił tak szybko, że słowa zlewały się ze sobą. Wydawało się, że chce je z siebie wyrzucić jak najprędzej.

-O Boże...

- Napomknął jednak, że może byłoby lepiej, gdyby pozostał w Afryce... Nie czuł się dobrze, złapał jakąś tropikalną chorobę i prawdę mówiąc, nie miał sił na podróż. Gdyby dostał trochę pieniędzy, chętnie odłożyłby podróż do Londynu. - Głos Harta był znów beznamiętny. - Posłałem mu dziesięć tysięcy funtów. Po czterech miesiącach otrzymałem następny list w podobnym tonie. Znow wysłałem pieniądze. Odtąd ciągle nękał mnie listami, a ja mu płaciłem. Wreszcie miałem już dość jego szyderstw, biadolenia i gróźb. Założyłem mu konto bankowe i napisałem, że będę na nie wpłacał co roku tyle a tyle. Poza tym nie dam ani grosza. To było cztery lata temu.

- A co on na to?

Hart wzruszył ramionami.

- To był nasz ostatni kontakt. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje ani czy korzysta z pieniędzy, które wpłacam na jego konto. Nic mnie to nie obchodzi. Rozumiesz jednak, Mercy, że ojciec w każdej chwili może się zjawić i zażądać swego tytułu, swego majątku i swoich praw do córek. I wówczas mogłoby się okazać, że nie jesteś wcale hrabiną.

Nagle pewna uwaga Harta nabrała dla niej nowego, przeraźliwego sensu.

- To dlatego powiedziałaś, że dobrze znasz takie listy!

- Słucham?

- Pamiętasz ten list od Willa? Powiedziałaś wtedy, że już niejeden taki widziałeś! Miałaś na myśli listy od ojca, prawda? Myślałaś, że Will jest taki sam jak on. Że chce wyłudzić ode mnie pieniądze!

Hart zmarszczył brwi. Dostrzegła litość w jego spojrzeniu.

- Bo tak właśnie jest, Mercy.

- Nie! - Wyprostowała się, chcąc przekonać Harta, że się myli. Pociągnęła go za ramię. - Will nie jest taki!

- Zrozumże, Mercy, to narkoman - rzucił szorstko.

-Nie! -zaprotestowała gwałtownie, ale usłyszawszy rozpaczliwą nutę we własnym głosie, zmusiła się do opanowania. - On po prostu... szuka nowych wrażeń. Sam mówiłaś, że młodzi koniecznie chcą być...

Poczuła na ramionach jego wielkie ręce. Porząsnął nią, niezbyt mocno. Błękitne oczy patrzyły jej prosto w twarz.

- Mówiłem tak, zanim się zorientowałem, jakie nory odwiedza, co tam wyprawia. Jest nałogowcem, Mercy! Pawi Ogon to palarnia opium!

-Nie! -jęknęła. -Will nie jest taki! To jeszcze chłopiec... Wpadł widocznie w złe towarzystwo, ale jak tylko wyciągnę go...

- Nie rozumiesz? - przerwał jej. - Nic na to nie poradzisz. Nigdy by ci się to nie udało! Nie ponosisz żadnej winy za postęпки swojego brata. Nie masz z tym nic wspólnego, nigdy nie miałaś!

- Właśnie że tak! - potrząsała gwałtownie głową. - Byłam zadowolona, że tatuś i Will się sprzeczali! Nie chciałam, żeby byli w dobrych stosunkach! To wszystko moja wina i muszę ją naprawić!

- Mercy... - szepnął, muskając palcami jej policzek. - Byłaś po prostu małą dziewczynką spragnioną aprobaty. Nie przypisuj sobie zbyt wielkiego znaczenia. Nie możesz naprawić tego, czego sama nie zepsułaś!

- A to dobre! I kto to mówi?! Przez dziesięć lat starałaś się naprawić krzywdy wyrządzone przez twego ojca! Robiłaś co w ludzkiej mocy dla swoich sióstr!

Hart nie zaprzeczył.

-Wobec tego myliliśmy się oboje, Mercy. Zapomnij o Willu, nim stanie się coś złego!

- Nic mi nie będzie! - Próbowała się wyrwać, ale trzymał ją mocno.

-Will nie jest tym samym chłopcem, którego znałaś, Mercy. Nie masz pojęcia, do czego jest teraz zdolny.

- Głupstwa gadasz! - zawołała ostro, ale w jej głosie był strach.

- Uzależniony od narkotyku nie wie, co to sumienie. Tam, gdzie dawniej była jego dusza, czai się nienasycone zwierzę. Kiedy jest głodne, narkoman nie ma nad nim żadnej kontroli. Musi je nakarmić za wszelką cenę.

- Nie wiem, o czym ty mówisz! - Chciała zatkać uszy, zacisnąć powieki, ale Hart mówił dalej - okrutny, a zarazem pełen litości.

-Will potrzebuje pieniędzy, Mercy. Opium jest drogie. I musi go zażywać coraz więcej, żeby nasycić to zwierzę.

- O czym ty mówisz, u diabła?! - krzyknęła ostro.

- Gdybyś umarła, kto odziedziczy pieniądze ojca?

Spojrzała mu w oczy. Dostrzegła w jego czarnych źrenicach swoją twarz wykrzywioną niepokojem, zbielałe usta...

Zabrał jej wszystko: spokój ducha, niewinność... Nawet serce, niech go wszyscy diabli! I niczym nie próbował zapełnić tej pustki, prócz jakichś tam głupich przeprosin i tego cholernego hrabiowskiego tytułu!

A teraz chce jej jeszcze odebrać brata!

Trzasnęła go z całej siły w twarz. Nawet nie drgnął. Wpatrywał się w nią twardym, nieugiętym wzrokiem, a ona spoglądała z przerażeniem na czerwony odcisk własnej ręki na jego policzku...

-Możesz mnie bić, ile chcesz. To niczego nie zmieni. Wielka szkoda.

- Nie wiesz, co mówisz! Nie znasz Willa! - z trudem łapała oddech, bolały ją wyprężone plecy, oczami miotała iskry. -A w ogóle kłamiesz!

Potrząsnął głową.

- Nie kłamie. Strzelano do ciebie, pamiętasz? I cudem uszłaś cało, kiedy strzelba rozerwała ci się w rękę.

- To były zwykłe wypadki! - Zaprzeczyła zbyt gwałtownie. Zdradziła się z tym, że i ona żywiła pewne podejrzenia. W jakimś ciemnym zakątku jej umysłu zrodziła się myśl, że Will był z tym związany. Ból mącił jej jasność widzenia. Znienawidziła niemal Harta za to, że zmusił ją, by sobie to uświadomiła.

- Jesteś tu od dziesięciu dni, Mercy - mówił dalej. - Tylko dziesięć dni i aż dwa razy miałaś wypadek! A prócz twego brata nie ma nikogo, komu by zależało na twojej śmierci.

- A Annabelle? - szepnęła. - A księżna Acton? Każda z nich zrobiłaby wszystko, żeby uwolnić ukochanego księcia z moich szponów!

- Sama w to nie wierzysz, Mercy - odparł Hart.

- Doprawdy? Czemuż to moje podejrzenia są mniej prawdopodobne od twoich zapewnień, że mój brat stał się potworem bez serca?!

- Dlatego, że Will jest narkomanem.

Przegarnęła ręką włosy i odwróciła się od niego.

- Nie wierzę w to! Nie wierzę w ani jedno słowo! Sam się przekonasz! Kiedy odnajdę Willa...

- Nie! - krzyknął.

- Tak! - Łzy trysnęły jej z oczu i całkiem ją oślepiły.

- Mercy... - Ujął ją dwoma palcami pod mokrą brodę i zmusił do podniesienia głowy. - Nie próbuj go odnaleźć! - Chciała się wyrwać, ale jej nie puszczał. Mówił cicho, gwałtownie. - Sam go będę szukał. Nie, zaczekaj! Posłuchaj mnie. Przysięgam, że odnajdę Willa i przyprowadzę go do ciebie. Tylko nie ryzykuj sama! Obiecuj mi! Musisz mi to obiecać!

- nalegał.

-A cóż cię to obchodzi?! - obruszyła się.

- Gdyby ci się coś stało, Mercy, ja... - Zamknął usta i zacisnął powieki, by nie dostrzegła wyrazu jego oczu.

- Czyżbyś tylko ty miał prawo mnie krzywdzić?!

Oczy Harta otworzyły się nagle. Patrzył wprost na nią, przesywał ją wzrokiem. Potem powiedział martwym głosem:

- Tak. Tylko ja. - Odwrócił się i wybiegł z jej pokoju, jakby ścigały go demony.

26

B oże wielki, Hart! - wykrzyknęła Beryl, gdy brat wepchnął ją do swe-

go apartamentu i zamknął drzwi. -Co tu się dzieje?! Dopiero co wyszłam od Annabelle... lada chwila dostanie ataku histerii!

- Nie ma obawy. Ta dziewczyna nie jest zdolna do żadnych uczuć. Nie potrafiłaby nawet porządnie się rozzłościć, a co dopiero dostać ataku!

- To samo można by powiedzieć o tobie, Hart - odparła Beryl. - I podobnie jak ty, Annabelle jest zdolna do bardzo silnych uczuć. Od czasu do czasu daje im upust. Tak jak teraz. Narzeka, że chcesz zrujnować jej przyszłość, wiążąc się z Mercy Coltrane.

- Poprosiłem Mercy o rękę - odparł Hart. -Ale czy za mnie wyjdzie, to całkiem inna sprawa.

- Chcesz się z nią ożenić?

- Tak, Beryl. Chcę się z nią ożenić.

- O Boże! - Beryl opadła na fotel. - Z zachowania Annabelle wynioskowałam, że zamierzasz uczynić tę dziewczynę swoją kochanką i afiszować się tym związkiem! Ale żenić się z nią..

- Oszczędź mi łaskawie swoich protestów. Annabelle wystarczająco jasno dała mi do zrozumienia, jak straszliwą krzywdę wyrządzam wszystkim moim siostram.

- Posłuchaj, Hart...

-Nie! -przerwał jej, nie chcąc wysłuchiwać błagań, żeby się rozmyślił. - To ty posłuchaj! Potem możesz przekazać tę informację Annabelle. A na koniec oboje z Henleyem przeniesiecie się do tego hotelu, do którego w tej chwili zmierza Mercy. I masz nad nią czuwać. Czy chce tego, czy nie!

- Dobrze, Hart.

- Jeśli zdołam ją przekonać, żeby za mnie wyszła, to się pobierzemy.

- Kochasz ją, Hart? - spytała Beryl.

- Kocham? - Pytanie siostry zupełnie go zaskoczyło. Obracał słowo „kocham" w ustach, jakby chciał poznać jego smak.

- Czy jesteś z nią szczęśliwy? Czy wyobrażasz sobie życie bez niej?

Przez krótką chwilę milczał, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądałoby życie bez Mercy. Nie potrafił jednak ubrać tej wizji w słowa. Ponieważ zawsze był zamknięty w sobie, dołączył i ten bolesny niepokój do dźwiganego samotnie brzemienia.

- Pytasz, czy mógłbym żyć bez niej? Tak. Jakoś wyżyję.

Beryl zmarszczyła brwi.

-Więc czemu decydujesz się na taki krok? Wyższe sfery karzą bez litości wszystkich odszczepieńców! Och, z pewnością niektórzy będą was przyjmować, po prostu dlatego, że jesteś hrabią... ale wielu zamknie przed wami drzwi.

- Niech diabli wezmą wyższe sfery! - odparł. - Jeśli tobie, Fanny czy Annabelle sprawia przyjemność niewolnicze uleganie kaprysom i wymogom tego towarzystwa, to najlepszy dowód, jakie z was idiotki! A ja starałem się uszczęśliwić was za wszelką cenę... I właśnie dlatego ukryłem przed wami to, co najcenniejsze: prawdę.

Beryl wykręcała leżące na kolanach dłonie. Hart mówił dalej, zdecydowany opowiedzieć siostrze o wszystkim. Kiedy skończy, Beryl będzie знаła każdy fakt z jego życia, całą jego historię. Wiązały się przecież z jej życiem, bezpośrednio czy pośrednio. A gdy dowie się wszystkiego, dalsze decyzje będą zależały tylko od niej.

Mercy miała rację. Chciał decydować za siostry o ich życiu i wszystko tylko skomplikował. Trzeba z tym skończyć raz na zawsze.

- Po pierwsze, nasz ojciec wcale nie zatonął na tamtym jachcie...

A kiedy wreszcie zaczął, mówił ponad godzinę.

Mercy zeszła po wielkich schodach do frontowego holu hotelu Brownem i poczuła znowu, że ogarnia ją bezsilny gniew. Beryl Wrex-hall podniosła się ze swego stałego miejsca w pobliżu drzwi.

- Dzień dobry, panno Coltrane.

Nieśmiały uśmiech na śniadej twarzy tej nieco od niej starszej kobiety omal nie przełamał lodowatej rezerwy Mercy. Nie wiedziała, w jaki sposób Hart skłonił siostrę, by stała się jej niestrudzonym aniołem stróżem, ale trzeba przyznać, że działał bardzo skutecznie!

Ilekcroć wyrzała ze swojego pokoju, wpadała na panią Wrexhall. Jeśli wyszła na ulicę, podjeżdżał natychmiast lśniący powóz z herbem Perthów, a stangret w liberii zeskakiwał z kozła, by spytać uprzejmie, dokąd panna Coltrane chciałaby się udać. Nie mogła zrobić nawet paru kroków po trotuarze, by Hart we własnej osobie nie ruszył jej śladem. W dodatku nie sam, tylko w towarzystwie tej służącej, Brenny! Niesamowite!

Harta ignorowała bez najmniejszych oporów. Ale na widok przyjaznej, zaniepokojonej twarzy pani Wrexhall czuła ostatnio pewne wyrzuty sumienia. Cóż Beryl była winna, że brat zmuszał ją do pełnienia roli nieproszonej duenny?

Westchnęła z rezygnacją.

- Dzień dobry, pani Wrexhall.

Na tę zdawkową grzeczność twarz Beryl tak się rozjaśniła uśmiechem, że sumienie Mercy odezwało się jeszcze głośniejsze.

- Panno Coltrane... może zechciałaby pani napić się herbaty? - spytała z rozbrajającą skwapliwością siostra Harta.

Przeklinając w duchu jej brata, który spowodował, że znalazły się obie w tak niezręcznej sytuacji, Mercy skinęła głową. Pozwoliła się ująć za ramię i podprowadzić w stronę ustronnej alkowy, gdzie czekał już na nie srebrny imbryk z wygiętą jak u łabędzia szyjką i serwis z delikatnej porcelany.

Obie panie usiadły, Beryl zajęła się nalewaniem herbaty, a kelner postawił przed nimi ciastka i słodkie bułeczki, po czym zniknął. Przez dłuższą chwilę panowało niezręczne milczenie. Pogryzały, popijały, i zerkały na siebie ukradkiem znad filiżanek.

- To zupełnie niepotrzebne - odezwała się w końcu Mercy.

- Słucham, panno Coltrane?

- Nie mam pojęcia, jak Hart panią do tego skłonił, ale naprawdę nie musi się pani o mnie troszczyć.

Beryl uśmiechnęła się. Jej mina wyrażała łagodny sprzeciw.

- Ależ panno Coltrane! Jest pani samotna, bez opieki... i być może, zostanie pani moją bratową... Więc moim świętym obowiązkiem jest ustrzec panią przed plotkami, które towarzystwo tak uwielbia!

-Gwiżdżę na...

- Zupełnie jakbym słyszała Harta!... Ale chciałam jeszcze dodać, że to dla mnie bardzo miły obowiązek.

Mercy bębniła palcami po lnianym obrusie.

- Pomówmy otwarcie. Dobrze, pani Wrexhall? Pozostaję w Anglii z jednego tylko powodu. Chcę odnaleźć brata. Jak tylko tego dokonam, wrócę natychmiast do Ameryki i zapomnę raz na zawsze o Londynie, o tutejszym towarzystwie i o pani bracie.

- Doprawdy?

- Doprawdy.

Zbita z tropu Beryl zmarszczyła brwi.

- Nie wyjdzie pani za Harta?

- Nie, nie wyjdę. Już... nie ma potrzeby. - Poczowała, że się czerwieni.

- Ach tak... - Beryl usiadła głębiej w fotelu i przytknęła serwetkę do czyściutkich warg. - No cóż... potrafię chyba zrozumieć pani opory przed poślubieniem mego brata.

- Niezwykle pani domyślna.

- Przecież postrzelił panią i w ogóle...

Mercy wytrzeszczyła oczy, całkiem zbita z tropu.

- Mówił pani o tym?
- O tak! - Beryl kiwnęła głową i biorąc do ręki następną kromkę chleba, zaczęła ją smarować, nie żałując masła. - Hart opowiedział mi o wszystkim. O tym, jak ojciec go szantażował. I o hrabiowskim tytule. Tak... -mówiła dalej, widząc zaskoczoną minę Mercy -w pierwszej chwili to był prawdziwy szok. Ale teraz już rozumiem, co tak mnie zdumiewało przez te wszystkie lata: dlaczego Hart się nie ustatkował, czemu stroni od ludzi i trzyma się na uboczu... Musiał dźwigać nielekkie brzemie, prawda?
-Tak.
Mercy nie mogła powstrzymać się od odpowiedzi. Los źle się z nim obszedł, bez wątpienia.
- Pomyśleć tylko - dumiała głośno Beryl - że przez te wszystkie lata troszczył się wyłącznie o nas, a nigdy o siebie!
- Widać weszło mu to w nawyk.
- Nie bardzo rozumiem...
- Nadal się tak zachowuje. Tym razem w stosunku do mnie. Przecież właśnie dlatego sprowadził tu panią! Próbuje wszystko naprawić, nieprawdaz?
- Tak pani sądzi? - Beryl przechyliła głowę, rozważając jej słowa. - Chyba się z panią nie zgadzam. Myślę, że Hart wreszcie zabiega o coś dla siebie. Ale jeśli pani go znienawidziła za to, że ją zranił...
- Wcale go za to nie nienawidziłam! - zaprzeczyła gorąco Mercy. Pochyliła się do przodu i wsparła dłońmi o stół. - Przecież ocalił mi życie!
Beryl uniosła czarną brew i Mercy natychmiast zdała sobie sprawę ze swej wojowniczej pozy. Usiadła prosto w fotelu i podniosła filiżankę do ust. Widząc, jak płyn faluje w kruchym naczynku, odstawiła je energicznie na spodek. Była wściekła, że ktoś mógł tak fałszywie ocenić heroiczny postępek Harta.
- O! - zdziwiła się Beryl. - Wobec tego za co go tak nienawidzisz, kochanie?
Jakim sposobem z „panny Coltrane” stała się nagle dla swej rozmówczyni „kochaniem”? Mercy głowiła się nad tym przez chwilę, nim dotarło do niej, o co pyta Beryl.
-Ależ ja go wcale nie nienawidzę! - zaprotestowała. - Nic podobnego!
- O? - Beryl znów się zdziwiła. Po chwili jednak coś ją olśniło. - A, więc po prostu nie masz do niego serca. Rozumiem doskonale! Nie można się przymusić do miłości... Proszę, pozwól mi skończyć! Co prawda miałam nadzieję, że będzie inaczej... Widzisz, spytałam Harta, czy cię kocha.

I zerknęła na nią.

Mercy wstrzymała dech. Nie zdołałaby wykrztusić słowa, nawet za cenę życia! Czyżby Hart ją kochał?

- Pewnie cię wcale nie interesuje, co mi odpowiedział...

Mercy zamrugała oczami.

- ..ale ci powtórzę. Może to będzie dla ciebie pożyteczna wskazówka na przyszłość. - Beryl uśmiechnęła się. - Hart powiedział mi, że nie bardzo wie, co to słowo znaczy.

Wszystkie myśli Mercy przybrały znów czarną barwę. Chciała sięgnąć po filiżankę, ale ręce odmówiły jej posłuszeństwa. Spoczywały bezwładnie na kolanach. Mogła więc tylko wpatrywać się z niemą rozpaczą w Beryl.

- Czy to nie zabawne? - szczebiotała beztrzesko jej rozmówczyni. - Pomyśl tylko: człowiek, który znosił dla nas najstraszliwsze cierpienia, z których pewnie nigdy nikomu się nie zwierzy... który poświęcił ostatnie lata swego dzieciństwa i prawie całą młodość wyłącznie dla naszego dobra i szczęścia... ten człowiek mówi, że nie wie, co to znaczy kochać! -

Beryl pochyliła się ku niej konfidencjonalnie. - Wiesz, co o tym myślę?

Mercy zdołała jakoś potrząsnąć głową.

- Myślę, że Hart doskonale wie, co to znaczy kochać. Ale nie ma pojęcia, co to znaczy być kochanym!

Beryl usiadła prosto, wyraźnie zadowolona z siebie. Zupełnie jakby dokonała trafnej oceny osobliwego zjawiska albo rozwiązała interesujący problem naukowy. Jakby nie chodziło o coś, co mogło dla niej lub dla Mercy mieć jakieś głębsze znaczenie.

-Zastanawiam się właśnie... -mówiła dalej Beryl lekkim tonem, jakby rozmowa dotyczyła jakiejś sztuki czy powieści, a nie żywego człowieka - ..kiedy ostatnio Hart usłyszał od kogoś „kocham cię”? Jak myślisz? Bo ja wątpię, czy w ogóle kiedyś to usłyszał! - Zacisnęła usta. - Dla naszej mamy liczył się tylko ojciec. Kochała go i nienawidziła, przeklinała i rozpaczała po jego stracie. My, dziewczęta, trzymałyśmy się zawsze razem. Ale Hart... -Potrząsnęła głową. -Najstarszy z rodzeństwa, w dodatku chłopak... Wysłano go do szkoły z internatem, kiedy miał osiem lat. A potem poszedł na wojnę. Był niemal dzieckiem, kiedy zaciągnął się do wojska, ale wrócił jako dorosły mężczyzna.

O ile wiem, nie miał nigdy stałej kochanki, a chyba żadna z przygodnych znajomych nie powiedziała mu tych zaczarowanych słów. Jaka szkoda! Chociaż, o ile znam Harta, takie wyznania dla miłego grosza wzbudziłyby w nim tylko odrazę. I wiesz co? Nie sądzę, by potrafił prosić o miłość. Chybaby mu to w ogóle nie przyszło do głowy.

Proszę cię, Boże, niech to będzie prawda! Może Hart nigdy nie spytał, czy go kocham, tylko dlatego, że bał się mojej odpowiedzi? Dla kogoś takiego jak on ujawnienie własnej słabości, utrata panowania nad sobą i wszystkie jej konsekwencje... musiały wydawać się czymś przerażającym. .. haniebnym. Może właśnie dlatego nie powiedział jej nic - ani podczas spotkania w bibliotece, ani gdy byli razem w łóżku, ani w pokoju Mercy przed jej odjazdem... Uznał, że jego zachowanie budzi w niej taką samą zgrozę jak w nim...

Gdyby to mogła być prawda! Ziarnko padło na podatną glebę i zapuściło korzenie. Gdybyż Hart rzeczywiście tak pragnął jej miłości, jak ona pragnęła jego...

- Zbyt długo cię zanudza! Wybacz kochającej siostrze, że zanadto się rozgadała o swoim drogim braciszku! On naprawdę chce cię tylko chronić, kochanie! Więc może od czasu do czasu mogłabym dotrzymać ci towarzystwa? Czy to byłoby dla ciebie nie do zniesienia?

- Ależ... skąd! - wymamrotała Mercy, nie otrząsnąwszy się jeszcze z szoku.

- Z pewnością wkrótce odnajdziesz swojego brata i wrócicie do domu. - Beryl uśmiechnęła się ze słodyczą i smutkiem. - A ja dopiero co odzyskałam swojego. Jakże chciałabym sprawić mu choć trochę radości!

Hart czekał w ciemnym wnętrzu wynajętego powozu i obserwował główne wejście. Ten dom publiczny znajdował się w bardzo szacownej dzielnicy zamieszkałej przeważnie przez zamożne mieszczaństwo. Wprost nie mieściło się w głowie, że tu właśnie znajduje się luksusowy burdel. Prawdę mówiąc, cieszył się takim powodzeniem właśnie ze względu na lokalizację.

Hart zdążył już dostrzec w nieoznakowanych drzwiach tego przybytku pewnego sędziego, rajcę miejskiego oraz dwóch członków Izby Lordów z partii konserwatywnej. Niewiele go to obeszło. Czekał na kogoś innego. Na osobnika, którego zauważył, jak wymyka się z hotelu Browne'a, i pośpieszył za nim z czystej ciekawości, która niebawem przekształciła się w zimną wściekłość. Rozsiadł się wygodnie w powozie i czekał dalej.

Chyba już zbliża się północ... Myśli Harta -jak zawsze - pobiegły do Mercy. Nie wywiązał się dotąd ze swej obietnicy. Mimo wszelkich wysiłków, mimo zatrudnienia grupy prywatnych detektywów nie odnalazł jeszcze jej brata. Nie spocznie jednak, póki tego nie dokona. Dobrze wiedział, że wypadki, z których Mercy wyszła obronną ręką, wiążą się z osobą Willa.

O Boże, ależ był zmęczony! Trzy dni nieustannego czuwania nad nią, żeby nigdy nie była sama, żeby zawsze ktoś jej strzegł - czy to on sam, czy wynajęci przez niego detektywi... No i trzy dni -uśmiechnął

się ze smutkiem - oglądania ślicznych, ale wzgardliwie odwróconych pleców Mercy!

Traktowała go jak powietrze. Ignorowała z całym rozmysłem. Nie miał jej tego za złe. Nie tylko pozbawił ją dziewictwa. Próbował również pozbawić ją żalosnych złudzeń, że jej brat nadal jest tym samym kochanym i pełnym miłości chłopcem, którym był dawniej. Wiedział, że będzie się ich rozpaczliwie trzymała. Tym bardziej że chciała koniecznie naprawić jakąś krzywdę, którą rzekomo wyrządziła bratu dawno, dawno temu. No cóż on sam mógłby być ekspertem od wyrzutów sumienia i pokuty za grzechy!

Jakiś ruch przy drzwiach burdelu przerwał rozmyślenia Harta. Zauważył z niesmakiem, że wychodzący stamtąd mężczyzna ledwie się trzyma na nogach. Ślizgał się na oblodzonych stopniach i jedną ręką usiłował zapiąć swój długi płaszcz.

Hart wysiadł z powozu i przeszedł na drugą stronę ulicy. Przystanął pod gazową latarnią rzucającą pomarańczowy blask. Wreszcie mężczyzna, na którego czekał, znalazł się w odległości kilku kroków od niego.

-Dobry wieczór, Henley! Dziwne sobie wybrałeś miejsce na spotkanie z wyborcami.

Poruszający się dość niepewnie Henley Wrexhall zatrzymał się raptownie i wytrzeszczył na niego zmętniałe oczy. Tak cuchnął alkoholem i dymem cygar, że Hart zmarszczył nos z obrzydzeniem.

- Hart! - wykrzyknął zakłopotany Henley i zachwiał się jeszcze mocniej. - Co ty tu robisz?!

- Mógłbym cię spytać o to samo, zwłaszcza że twoja żona zapewniła mnie trzy godziny temu, że przebywasz na jakimś ważnym zebraniu w gronie patriotów.

-Niech cię diabli! -W Henleyu doszła nagle do głosu pijacka zadziorność. -Jak śmiesz mnie szpiegować?! To Beryl napuściła cię na mnie, co?

-Nie.

Wargi Henley a wykrzywiły się w gorzkim grymasie.

- Powinienem był wiedzieć - mruknął z wyraźnym rozczarowaniem - że od razu poleci do wielkiego hrabiego Perth! Ze wszystkim, psia-krew! Czy chodzi o dom, czy o męża, czy o jego karierę... jak w dym do braciszka!

- Jesteś pijany.

-I owszem! - zgodził się Henley. - Jestem pijany! Może nie mam prawa decydować o tym, gdzie mieszkam i jak długo... Cholera, nawet od Actonów musieliśmy się wynosić, bo coś ci się uwidziało! Ale pić i łajdaczyć się będę, gdzie i kiedy sam zechcę!

Nie było sensu z nim dyskutować. Bredził jak w gorączce. I wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał się przewrócić. Hart chwycił go za ramię i pociągnął za sobą.

- Idziemy, Henley! Pogadamy o wszystkim jutro rano.

- Właśnie że teraz, do cholery! - oświadczył szwagier, próbując mu się wyrwać. - Na trzeźwo nie będę miał odwagi, ale teraz ci powiem. - Wziął głęboki oddech. - Mam dość twojej pomocy, twojego poparcia i twojego domu! Chcę wrócić do dawnego życia, bez żadnych długów wdzięczności, a zwłaszcza wobec ciebie!

- Na litość boską, Henley, o co ci chodzi? Jeśli ci się nie podoba w Bentwood, wyprowadź się stamtąd czym prędzej - odparł z niesmakiem Hart. - Guzik mnie obchodzi, gdzie mieszkasz!

Henley zamrugał zdziwiony.

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście!

- A co z resztą? - dopytywał się szwagier.

- Z jaką resztą?

- Z forszą! Z tymi wszystkimi pieniędzmi, za które Beryl urządza swoje wieczorki, imprezy dobroczynne i przyjęcia dla różnych polityków!

- Ależ Henley! Z pewnością wiesz znacznie lepiej niż ja, jaki jest dochód z posiadłości! Nie dawałem Beryl żadnych innych pieniędzy.

- Właśnie że dawałeś! - upierał się Wrexhall. - Skąd by je miała, jeśli nie od ciebie?!

- Kto prowadzi księgi rachunkowe w Bentwood? Kto zarządza majątkiem? - spytał Hart.

- Beryl - odparł Henley i nachmurzył się. - Podobno to lubi.

- No to jej podziękuj za dodatkowy dochód. Zawsze miała smykałkę do rachunków.

- Nic mi nie mówiła. - Brwi Henleya zbiegły się w grubą krechę. - A co z moją karierą... i z twoim poparciem?

- Nie mam pojęcia, o czym bredzisz!

- Bzdura! Beryl ciągle mi to powtarza. Jak to możesz szepnąć słówko komu trzeba albo użyć swoich wpływów, bo masz te wszystkie grube ryby w kieszeni! Sam wiesz. No i tak, chyłkiem-ciszkiem, możesz kopnąć mnie w górę, na sam szczyt kariery.

- Nie ruszyłem nawet palcem, psiakrew! Ani dla twojej kariery, ani wręcz odwrotnie.

Bez ostrzeżenia Henley zamachnął się, próbując go uderzyć. Hart z łatwością uniknął ciosu. Spotkanie ze szwagrem z każdą chwilą bardziej przypominało scenę z jakiejś groteskowej farsy. Bez trudu schwycił Henleya za ramię i wykręcił je do tyłu.

Wrexhall szarpał się dziko, wymachując w powietrzu drugą ręką.
- Puszczaj! I nie waż się mówić, że Beryl mnie okłamuje!
- Słuchaj, skończony idioto! - syknął Hart przez zaciśnięte zęby. -
Jeśli się nie uspokoisz, dam ci w pysk! I to porządnie. Z pewnością bez
śladów się nie obejdziesz i Beryl będzie zła.

Jego słowa wywarły magiczny efekt. Henley zwił bezwładnie w je-
go objęciu, a naburmuszona mina zmieniła się w żalną.

- Myślisz, że będzie zła? Dlaczego?

- Dlatego, że cię kocha. Chociaż diabli wiedzą za co!

- Wcale mnie nie kocha! - zaprotestował Henley. - Uważa mnie za
ostatniego gamonia, co sam sobie nie radzi!

Hart puścił go. Henley stał w miejscu i chwając się lekko, wpatry-
wał się z rozpaczą w czubki swoich butów.

- Słuchaj no, Henley! - powiedział Hart, gestem ręki wzywając po-
wóz. - Chyba już najwyższy czas, żebyś porozmawiał z Beryl. Zupełnie
nie rozumiem, po jakiego diabła wmawiała ci, że udzielam poparcia two-
jej karierze politycznej, ale wiem, że cię kocha. Może mówiła ci o mnie
te wszystkie bzdury, żebyś myślał, że jest ci niezbędna?

- Co ty gadasz? Przecież Beryl i bez tego jest mi niezbędna! Zawsze była!

Powóz zatrzymał się obok nich. Hart otworzył drzwiczki.

- Powiedziałeś jej to choć raz?

Henley wgramolił się do wnętrza i spojrzał znów osowiałym wzro-
kiem na Harta.

- A po co? Chyba każdy to widzi! Taka piękna, inteligentna, ambitna
kobieta jak Beryl... Mogłaby mieć każdego. Kogo tylko zechce. Zawsze
się bałem, że jak się prędko nie wybije, to pożałuje, że się związała z
takim zerem jak ja.

Hart potrząsnął głową.

- O tym też jej powiedz.

Zatrzasnął drzwi, zastukał na woźnicę i wpatrywał się w powóz zni-
kający w mroku nocy. Stał przez dłuższą chwilę, spoglądając za nim i ża-
łując, że sam nie potrafi skorzystać z rady, której przed chwilą udzielił
szwagrowi.

27

Mercy weszła do holu z pewnym wahaniem, gdyż po raz
pierwszy
w życiu czuła się onieśmielona i niepewna. Nawet po... po tamtej nocy nie

była onieśmielona. Przytłoczona, podniecona, sfrustrowana... owszem. Ale nie onieśmielona! Jeśli w holu czekał na nią Hart (a była tego pewna, gdyż widywała go tam zawsze, odkąd zamieszkała w hotelu Browne'a), musi z nim pomówić! Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się dokoła.

Nie było ani Harta, ani Beryl. Za to czekał na nią liścik od Nathana Hillarda.

Odnalazł Willa!

Mercy wróciła biegiem do swego pokoju, pośpiesznie włożyła płaszcz i naciągnęła rękawiczki, wetknęła kolta do kieszeni i wybiegła z hotelu bez kapelusza. Nathan pisał, że stawi się przed wejściem do hotelu o dziewiątej. Dziewiąta właśnie dochodziła. A Nathan, wierny przyrzeczeniu, czekał na ulicy.

- Dzień dobry, panno Coltrane! - Uchylił kapelusza i skłonił się. Wyminęła go i podbiegła do czekającego na nich powozu. Hillard bez słowa pomógł jej wsiąść, podał woźnicy adres i wsiadł za nią.

- Byłem zaskoczony i rozczarowany, gdy księżna powiadomiła mnie, że opuściła pani Acton Hall - powiedział, otulając jej nogi pledem.

- Gdzie jest mój brat?

- Niedaleko stąd, droga pani - uspokoił ją, choć uśmiech nieco mu przygasł. - Pobyt w rezydencji Actonów stracił dla mnie wszelki powab, gdy zabrakło pani uroczej obecności. Wyjechałem stamtąd wczoraj.

- Tak? - Odsunęła zasłonkę i wyjrzała przez okno.

- Od tej pory skoncentrowałem wszystkie siły na tym, by wyświadczyć pani tę drobną przysługę. Szukałem pani brata wszędzie i naprzykrzałem się wszystkim znajomym, rozpytując o niego.

Mercy całym wysiłkiem woli otrząsnęła się z rozmyślań. Hillard zasługiwał na coś więcej niż na podziwianie profilu nieuważnej rozmówczynie.

- Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczna za pomoc.

- Marzę o tym, by spełniać wszelkie pani życzenia.

Słyszała w jego głosie niewątpliwy zapach. Wpatrywał się w nią swymi błyszczącymi oczami.

- Dotarły do mnie pewne... pogłoski... Niektórzy twierdzą, że pani wyjazd z Acton był wynikiem jakiegoś skandalu - mówił z wyraźnym zażenowaniem. - Panno Coltrane, jeśli ktoś panią znieważył, ja...

- Nie, nie! Nie spotkała mnie żadna zniewaga. Czy jesteśmy już na miejscu?

- Niebawem będziemy. - W jego miękkim głosie zabrzmiała nutka zniecierpliwienia. - Pani szczęście, panno Coltrane, znaczy dla mnie ogromnie wiele... Więcej, niż zdołam wyrazić.

- Dziękuję panu. - Nie miała wcale ochoty na podobne rozmowy. Była zbyt pochłonięta myślą, że już wkrótce, za małą chwilę znów zobaczy brata. Ale to Nathan Hillard go odnalazł. Ileż mu zawdzięczała! Przy najmniej grzeczność. - Proszę mi wybaczyć... Innym razem wysłucham pana z całą uwagą. Ale teraz nie jestem w stanie...

Hillard zarumienił się.

-Ależ oczywiście! To ja proszę o wybaczenie. Dałem się ponieść uczuciom i nie pomyślałem, co pani teraz przeżywa.

- Proszę... - odezwała się pośpiesznie, pochylając się ku niemu i dotykając jego osłoniętej rękawiczką dłoni. - Niech pan nie uważa mnie za niewdzięczną! Jestem panu bardzo zobowiązana!

Hillard skinął głową i odwrócił twarz. Mercy oparła się lekko o poduszki, uspokojona jego delikatnością. Wkrótce zobaczy Willa! Niepokój i radość przeplatały się ze sobą, miotając nią burza emocji. Przyglądała się z okienka powozu, jak eleganckie rezydencje ustępują miejsca poczerniałym domkom z piaskowca, a zamiast szerokich ulic pojawiają się ciasne zaułki.

- Muszę panią ostrzec, moja droga - odezwał się w końcu Nathan, przerywając długie milczenie. Dźwięk jego głosu wyrwał Mercy z zadumy. - O ile wiem, pani brat nie czuje się zbyt dobrze.

-Co takiego?...

- Obawiam się, że ten młody człowiek jest poważnie chory. Nie wiem, czy powinna go pani oglądać w takim stanie... ale słyszałem, że... Niestety, to może być jedyna okazja.

- Co... co pan ma na myśli?...

Popatrzył jej w oczy z nieskończonym współczuciem i ujął jej dłoń.

- Niekiedy ludzka zachłanność bywa zbyt wielka i ciało tego nie wytrzyma. Jeśli ktoś w pogoni za... niezwykłymi doznaniem zapędzi się zbyt daleko, może już nie mieć odwrotu.

- O Boże... - A więc Hart miał słuszość! Will był narkomanem.

- Spada się wtedy coraz niżej i niżej - ciągnął Hillard łagodnym, pełnym żalu głosem. - Obawiam się, że stan pani brata jest nieodwracalny.

-Nie! To niemożliwe!

- Chciałbym wierzyć, że ma pani rację.

- Kiedy Will mnie zobaczy... - Mercy urwała. Jak brat zareaguje na jej widok? - Czy on wie, że się zjawię?

Nathan potrząsnął głową.

-Nie chciałem go wytrącać z równowagi. Dotarła do mnie... tak z ust do ust... pogłoska, że jest tam, dokąd jedziemy. Wysłałem tam więc wczoraj późnym wieczorem człowieka, by się upewnił, czy to prawda.

Końskie kopyta załomotały jeszcze mocniej po bruku i powóz zatrzymał się z hałasem. Mercy wysiadła. Ujrzała przed sobą zawilgocony, nieforemny budynek. Ciemne okna, podobne do oczu ślepeca, wyglądały na wąską, pustą uliczkę.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Nathan.

- Dzień dobry, Hart! - powitała go Beryl przed wejściem do hotelu. Lodowaty wiatr targał jej sobolowym kołnierzem i wywołał silne rumieńce na pociągłej twarzy.

- Witaj, Beryl - powiedział zmęczonym głosem Hart, wręczając woźnicy pieniądze. - Co robisz na ulicy o tak wczesnej porze?

- Wysłałam na spacer - odparła. - Musiałam przemyśleć wiele spraw. - Na szczupłej twarzy nie było już dawnego napięcia, tylko spokój z domieszką melancholii.

- Rozumiem. Chodzi o Henleya?

- Tak.

Poczuł bolesne współczucie, gdy obdarzyła go bladym uśmiechem. Ubiegłej nocy z największą przyjemnością rozkwasiłby szwagrowi gębę za wszystko, co przez niego wycierpiała Beryl. Zorientował się jednak, że on sam przyczynił się (co prawda nieświadomie) do ich nieszczęścia, a i Beryl nie była bez winy. Gotów był teraz zaakceptować wszystko, co siostra postanowi.

- Gdzie jest Mercy? - spytał po chwili, spoglądając ku oknom jej pokoju.

- Dopiero pół do dziesiątej, Hart. Jeszcze nie zeszła na dół.

- Chwileczkę, panie hrabio... - odezwał się nagle portier, niejaki Phipps.

- Słucham? - spytał Hart. - Wiem od Phippsa o każdym kroku Mercy - wyjaśnił, widząc zdumione spojrzenie Beryl.

- I pewnie wylecę przez to na zbity pysk, jak się derekcja dowie! - skomentował portier, rozglądając się niespokojnie na wszystkie strony.

- Nie ma obawy! No, o co chodzi? Rozpytywał ktoś o pannę Coltrane? Może ten młody Amerykanin, o którym wspomniałem?

- Nie, panie hrabio. To nie ten. Ale panna Coltrane wymkła się z hotelu i odjechała z innym gościem.

Hart zmarszczył brwi.

- Z kim?

- A bo go znam? Nie powiem, szykowny facet. Zmyli się jakie pół godziny temu.

- O Boże, Hart! Tak mi przykro! - zawołała przerażona Beryl. -Nigdy nie przypuszczałam, że tak wcześnie...

- Mniejsza z tym! - przerwał jej niecierpliwie Hart. Dreszcz niepokoju znów przebiegł jego stargane nerwy. - Wiesz, dokąd pojechała, Phipps?

Portier skinął głową.

- Słyszałem, jak ten elegancik kazał się wieźć na Rector pięćdziesiąt cztery.

- Na Rector Street? - powtórzył Hart. Był to jeden z najbardziej podejrzanych zaułków Soho. Siedlisko wszelkich sprzecznych z prawem uciech. Mercy mogła się tam udać tylko w jednym celu: żeby odnaleźć Willa. Hart czuł rosnący niepokój. Może Will sam wysłał po nią jednego ze swych kompanów, żeby...

Odepchnął portiera, wpadł do hotelu, przemknął przez hol i wbiegł po schodach do swego apartamentu. Rzucił na łóżko obity skórą kuferek i pośpiesznie go otworzył. Przekopał się przez niezbyt liczne sztuki garderoby i wydobyl spod nich niewielki przedmiot starannie owinięty w impregnowaną tkaninę.

Rozsupłał rzemyki i otworzył zawiniątko. Kolt 44 błysnął ku niemu groźnie i ochoczo z fałd miękkiej wełny. Hart znów zaczął przetrząsać bagaż i znalazł pudełko z nabojami.

Wysypał na dłoń mosiężne tulejki, chwycił rewolwer, załadował magazynek, zamknął go ze szczękiem i popędził schodami w dół, przez hol i na ulicę.

- Dorożka! - wrzasnął. Trwoga ogarniała go jak pożar. Jeśli Will naprawdę tam był, mógł zabić Mercy! Nie będzie świadków. Nikt się za nią nie ujmie.

Dorożka była już przy krawężniku. Nim się zatrzymała, Hart wskoczył do środka.

- Dam ci dwa suwereny, jak za kwadrans będziemy na Rector Street!

Nathan powiodł Mercy wzdłuż bocznej ściany budynku; znaleźli się na wąskiej, nieprzejezdnej uliczce. Tonący w wiecznym cieniu wznoszących się po obu stronach murów ceglany chodnik pokryty był warstwą śliskiej, prawie czarnej pleśni. Hillard pociągnął Mercy ku nierównym stopniom wiodącym do poobijanych, ale solidnych drzwi. Zastukał trzykrotnie.

Rozległ się zgrzyt metalu i w drewnianej tafli pojawił się maleńki otwór. Chwilę później drzwi skrzypnęły i otworzyły się. Niepozorny Ajjata o wymizerowanej twarzy ocienionej rzadką siwą brodą wpuścił ich do środka.

Nathan wyjął z kieszeni jedwabną chustkę i podał swej towarzysze.

- Proszę osłonić nos i usta, droga pani. Co za odór!

Mercy w milczeniu poszła za jego radą. Z przerażeniem rozglądała się wokół. Nathan tymczasem odciągnął na bok egzotycznego portiera i zaczęli coś szeptać.

Znajdowali się w ciemnym, nisko sklepionym korytarzu. Oświetlało go zaledwie kilka świec. Przylepione do szorstkich drewnianych półek tkwiły w kałużach roztopionego wosku. Z knotów unosił się gryzący dym, który pozostawiał czarne plamy na ciemnoróżowych ścianach.

Z miejsca, w którym stała Mercy, widać było mnóstwo małych pokoi-
ków; można było do nich wejść z korytarza przez niskie, łukowate drzwi. Za tymi izdebkami znajdowały się następne, całe wnętrze domu przypominało plaster miodu. Niektóre wnęki były przesłonięte zasłoną, inne otwarte. W każdej klitce znajdowało się jakieś nędzne posłanie, a pomiędzy izdebkami tkwiły podobne do ośmiornic pękate miedziane kociołki fajek wodnych, z których sterczało mnóstwo rurek.

Zewsząd dochodził syk i bulgotanie wody. Brudne, zabezpieczone jedwabiem przewody wiły się jak węże wśród ciężkich draperii przesłaniających niezliczone zakamarki. Cichy, nieprzerwany odgłos kipiącej wody przerywały od czasu do czasu jęki, pomruki, a nawet (co było najgorsze) niezrozumiały, posepny śmiech.

To były katakumby. Katakumby dla żywych trupów.

I tu znajdował się Will!

- Proszę tędy, panno Coltrane.

Nathan Hillard przepuścił ją przed sobą. Mercy dreptała teraz za starym Azjată. Niebawem zatrzymał się i wskazał nieosłoniętą alkowę.

Cienki siennik przylegał do samej ściany. Koło wezgłowia płonęła świeczka, pryskając gorącym woskiem. Na posłaniu leżała jakaś skulona postać z odwróconą głową; Mercy nie widziała twarzy.

- Nie pali. Dwa dni - poskarżył się Azjata. - Nie ma pieniędzy. Nie chce iść. - Potrzęsnał głową i odszedł, pozostawiając Mercy wpatrzoną w postać tak obcą, a zarazem tak dobrze znaną...

Nathan dotknął ramienia dziewczyny.

- Zaczekam obok, droga pani - szepnął. - Proszę się pośpieszyć. Nie ufam temu Chińcowi!

Skinęła głową, wdzięczna za jego troskę, i podeszła bliżej do siennika.

-Will?

Brak jakiegokolwiek reakcji. Przemknęły jej przez głowę ostrzegawcze słowa Nathana. Dobry Boże, chyba Will nie umarł?

- Will! - powtórzyła głośniej, z niepokojem. Leżący mężczyzna odwrócił się.

- Och... - wykrztusiła Mercy. - Och, Will!

Serce jej się krajało. Był wychudzony, blady, a źrenice miał tak rozszerzone, że oczy wydawały się czarne. Wpatrywał się w nią tępo i mrugał powiekami jak starzec.

- Mercy? - spytał chrapliwym szeptem. I nagle uśmiechnął się słodko, z zachwytem. Poczula, że serce jej pęka.

- Tak, Will. To ja, kochanie...

Podniósł się na posłaniu i natychmiast jęknął z bólu. Złapał się za brzuch i pierś wychudłymi, drżącymi rękami, zgiął się wpół. Mercy uklekła obok i objęła go.

Cały się trząsał. Przez jego ciało przebiegały skurcze, oczy uciekły w głąb czaszki, wargi wykrzywiły się w okropnym grymasie. Przytuliła go jeszcze mocniej. Kiedy paroksyzm minął, Will zmrużył oczy i popatrzył na siostrę. Przechylił głowę na bok i uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby nie pamiętał już bólu, który przed chwilą tak go dręczył.

- To naprawdę ty, Mer? - Wydawał się szczęśliwy jak dziecko. Jego uśmiech był przymilny i zaraźliwy jak niegdyś. Ale złote kędzierzawe włosy miał zmierzwione i spleśzczone z tego boku, na którym leżał. Mercy chciało się płakać.

- Tak, kochanie. Już wszystko dobrze. Zabiorę cię do domu.

Z jego twarzy zniknęła nagle radość.

- Do domu?

- Tak - powiedziała, odgarniając mu brudne włosy ze spoconego czoła. - Wracamy do Teksasu.

Chwycił Mercy za nadgarstek i odciągnął jej rękę od swojej twarzy. Jego chude palce okazały się nadszpiewanie silne.

- Nie wracam do domu. Zostanę tutaj!

- Jesteś chory, kochanie - przekonywała go pieszczotliwie. - Powinieneś wrócić do domu. Potrzebujesz kogoś, kto by się o ciebie troszczył.

- Mama umarła - powiedział z wyrazem takiego bólu i zagubienia, że Mercy wybuchnęła płaczem.

- Ja będę się troszczyć o ciebie. Razem z tatą.

Rozpacz zniknęła z jego twarzy równie szybko, jak się pojawiła.

- Razem z tatą?! - powtórzył. - Coś ci się pomyliło, Mer! Zapomniałaś, że tata i ja nie jesteśmy... jak by to rzec... w najlepszej komitywie?

- Wiem. Ale to się zmieni! - Łzy płynęły strumieniami po jej policzkach. - Wszystko się zmieni! Nie będzie już żadnych nieporozumień, moja w tym głowa! Przyrzekłam to mamie.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem. Śmiał się i śmiał, coraz bardziej boleśnie, chrapliwie i strasznie, aż wreszcie dostał napadu kaszlu. Otarł usta rękawem koszuli i potrząsnął głową. Wpatrywał się w siostrę - rozbawiony, chory i żaloszny.

- Nigdy nie obiecuj tego, co nie leży w twojej mocy, Mer! Skąd ci przyszło do głowy, że możesz naprawić moje stosunki z ojcem?!

- Bo to ja jestem wszystkiemu winna! - Nareszcie to wyznała! - Wybacz mi, Will! Naprawdę tak było. Cieszyło mnie, że on... że on...

- Że on mnie nie lubi? - podsunął Will bardziej zaciekawiony niż zaszokowany.

Skinęła głową bez słowa.

Will jęknął nagle i przyłgął do brudnej ściany. Rozpaczliwie zaczęła szukać jakiegoś sposobu, żeby mu ulżyć w bólu.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytała.

Oczy Willa zwięziły się w szpareczki.

- Pieniądze... na fajkę...

-Nie, Will!

- Nie? To idź sobie.

- Nie odejdę!

Otworzył oczy.

- Odejdiesz. Musisz odejść! Bo ja i tak nie wrócę z tobą. Nie mam co robić w Teksasie. A ty w tej norze! To dobre dla takich jak ja. Idź stąd, Mercy!

- Przyrzekłam mamie! - szlochała.

-Już ci mówiłem... Nie naprawiaj... czegoś nie popsuła... - Z trudem wyduszał z siebie te słowa, zmagając się z bólem, złany potem. - Nie bądź taka... zrozumiała. To, że nam się... nie układało z tatą... nie ma nic wspólnego... z tobą!... Było nam czasem miło... we trójkę... jeździć... strzelać... Nadal tak dobrze strzelasz, Mer? - Odwrócił się i dostrzegła w jego oczach jakiś błysk. Łzy? Cierpienie? Żal?

- Chyba tak.

- To dobrze! Zawsze byłem z ciebie dumny! - Niewidzialny oprawca znów rozciągnął go na kole tortur. Każdy mięsień w jego ciele stężał, z czoła kapał pot. Will odsunął się od siostry, zwinął w kłębek, kryjąc dłonie między kolanami. - Naprawdę... nie masz... pieniędzy? Kilku... funtów?

- Nie. - Otarła mokre policzki grzbietem ręki. Nie będzie karmić tej bestii, która mieszkała w Willu! Wyswobodzi brata od niej!

- Tak? - powiedział półprzytomnie - To chyba... odpoczne...

- Wróć razem ze mną, Will! Tak cię proszę!

-Nie teraz... -Jego głos był słaby i dziwnie daleki. -Może kiedyś.. . Ale ty idź zaraz, Mer! Co ci po mnie?

-Ale ja za tobą tęsknię! Brak mi ciebie! - Znow zaczęła płakać. - Chcę znowu mieć brata!

Zza zasłon dobiegły jęki. Niewidoczni potępieńcy przyłączyli swoje głosy do jej skarg. Kręte korytarze rozbrzmiały kakofonią strzaskanych marzeń.

Mercy oparła głowę na ramieniu Willa i zanosila się płaczem. Tak właśnie wyglądała prawda: nie sprowadziły jej tu wyrzuty sumienia ani poczucie obowiązku, ani złożone matce przyrzeczenie. Po prostu tęskniła za bratem. Pragnęła, by wrócił.

Will nie odpowiadał. Oddech miał płytki, spojrzenie nieprzytomne.

- Panno Coltrane! - rozległ się cichy, nagły głos Nathana. - Musimy już iść. Tu nie jest bezpiecznie! Ci ludzie gotowi zabić za parę butów, a co dopiero za pieniądze na fajkę opium! Grozi pani niebezpieczeństwo. Wielkie niebezpieczeństwo! Musimy stąd wyjść.

Mercy podniosła zalaną łzami twarz. Nathan Hillard pochylał się nad nią.

-Ale Will...

Hillard potrząsnął głową.

- Będzie się tylko opierał, jeśli spróbujemy go stąd zabrać. Nic się nie da zrobić. Wrócimy tu później, z kimś do pomocy.

Jakby na potwierdzenie słów Nathana leżący za jej plecami Will zaczął się rzucać i jęczeć. Otworzył oczy i rozejrzał się dokoła. W rozszerzonych źrenicach błysnęło przerażenie. Chwycił siostrę za ramię i przyciągnął do siebie, wpatrując się nieprzytomnie w coś poza nią.

-Mercy... to on... cię tu ściągnął? - Nie mógł złapać tchu. Oczy miał martwe i szkliste.

- Kto, kochanie?

- On... - szepnął, oblizując spieczoną wargę. - Ten diabeł...

Mercy potrząsnęła głową i przygryzła wargę, by znow się nie rozplakać.

- Nie ma żadnych diabłów, Will!

Wybuchnął gorzkim, histerycznym śmiechem.

- Są, Mercy! Są! Och, są! - Powtarzał to bez końca. Nawet wtedy, gdy zamknął oczy, mamrotał, zapadając w półsen.

Nathan wziął Mercy za rękę i pomógł jej wstać.

- Chodźmy już! Nie ufam temu chińcowi. Kto wie, czy nie pobiegł po jakichś opryszków, żeby nas obrabowali?

- Nie możemy tak zostawić Willa!

- Musimy. Obiecuję, że wrócimy tu później.

- Jak tylko zawiadomimy policję? Za godzinę? - nalegała Mercy.

- Tak, tak - zapewniał ją Nathan, rozglądając się nerwowo.
- Jeszcze chwilę! - Wyrwała mu się i podbiegła znów do Willa. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła rewolwer. Wetknęła go pod zmięty cienki koc. Wsunęła bratu do kieszeni kilka nabojów.
- Will - szepnęła - zostawiam ci mój rewolwer, żebyś miał się czym bronić. Na pewno wrócę! Nie zostawię cię tu samego! Już niedługo, Will!
Podniosła się z klęczek. Nathan ujął ją za ramię i wyprowadził z palarni opium na tonącą w gęstej jak mleko mgłę boczną uliczkę.

28

P

JL rzekłety woźnica! - mruknął Nathan. - Kazałem mu czekać.

Mercy rozejrzała się wokoło. Palarnię urządzono w starej, opuszczonej cegielni. Trzeba czym prędzej wyciągnąć stąd Willa!

- Gdzie my właściwie jesteśmy? - spytała. - Muszę wracać do hotelu. Znaleźć Harta!

- Harta?

- Harta. Lorda Perth - odparła, spoglądając to w prawo, to w lewo. Z jednej strony stos zbutwiałych beczek zagradzał jakieś wyjście. Z drugiej było podwórze, zamknięte murem. Z boku widniał nisko sklepiony pasaż. Powiewał nad nim jakiś stary, postrzępiony afisz, objijając się niemrawo o szerniałe cegły. Mercy ruszyła w tamtą stronę.

- Po co szukać Perth? - spytał Hillard. Mercy obejrzała się przez ramię. Jej towarzysz nie pośpieszył za nią. Stał cały sprężony, jakby na coś czekał.

- On nam pomoże - wyjaśniła Mercy. - Tędy można wyjść?

- Czy moja pomoc nie wystarczy? Ostatecznie to ja odnalazłem pani brata! - W jego głosie była nuta urazy.

- No tak... - powiedziała Mercy. - Oczywiście.

- Czy pani wie... - Pochylił się w jej stronę; na jego przystojnej twarzy ukazała się zmarszczka niepokoju. - Kiedy wyjeżdżałem od Actonów, niektórzy szepotali, że między panią a Perthem doszło do czegoś... niestosownego. Uznałem to za oszczercze plotki, ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy to nie była prawda? - Popatrzył na nią przenikliwie błyszczącymi oczami. - Co między wami zaszło, Mercy?

Zesztywniała, urażona i trochę zaniepokojona wyrazem jego twarzy.

- To nie pańska sprawa!

-Ależ tak! Kiedy dżentelmen zamierza poślubić damę, ma prawo znać jej przeszłość.

Zaczerpnęła raptownie powietrza.

- O, przepraszam! - Wykrzywił usta w grymasie irytacji. Niecierpliwie cmoknął językiem i ściągnął zamszowe rękawiczki. Ukazały się niezwykle białe ręce; wypolerowane paznokcie załśniły w mrocznym zaułku. - Nie zabrałem się do tego, jak należy, prawda? - Położył rękawiczkę na wilgotnej ziemi i przyklęknął na jedno kolano. - Czy zechce pani mnie poślubić, panno Coltrane?

Wpatrywał się w nią z twarzą rozjaśnioną słodkim uśmiechem. Uniósł lekko brwi, jakby pokpiwał z tej uroczystej pozy. Jego oczy błyszczały nadzieją. Naprawdę spodziewał się, że przyjmie jego oświadczenia... Tutaj... w takim momencie! Chyba był szalony?!

Mercy z trudem szukała właściwych słów.

- Ja... ja zdaję sobie sprawę, jaki to dla mnie zaszczyt... ale niestety muszę odmówić.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- A więc to Perth? - spytał.

Co mu powinna odpowiedzieć? Jak przerwać tę okropną, niesmaczną scenę? Chyba mówiąc prawdę.

- Tak - przyznała.

Pokiwał głową, jakby potwierdziła jego podejrzenia; jakby ta odmowa nie była dla niego całkowitym zaskoczeniem. Wstał i niedbale otrzepał kolano rękawiczką. Mercy odetchnęła z ulgą i znów ruszyła w stronę dość odległego muru.

- To fatalnie - mruknął Hillard. - Naprawdę wolałbym ożenić się z tobą, niż brać sobie na kark ten nędzny ludzki ochłap!

Mercy zatrzymała się nagle. Łagodny, pełen rozczarowania głos Nathana przyprawiał ją o gęsią skórę.

- Były tylko dwie możliwości, moja droga: ty albo on. I nie mów, że ci nie dałem uczciwej szansy!

- Szansy? - Odwróciła się do Hillarda. Z uśmiechem mierzył do niej z pistoletu.

- O, tak! - skinął głową. - Szansy na życie. Jedno z was musi umrzeć. Twój ojciec jest co prawda bogaty, ale nie tak jak myślałem. Połowa jego majątku nie wystarczy na moje potrzeby.

- Potrzeby? - powtórzyła jak echo, dyskretnie wymacując stopą grunt za sobą. Jej jedyną szansą była teraz ucieczka.

-Niezapłacone rachunki -wyjaśnił grobowym głosem Hillard. - Długi, weksle i... o Boże, nie będę cię nudził szczegółami! Wystarczy

powiedzieć, że bardzo się uradowałem z poznania twego kochanego braciszka. Aż się prosił, żeby go oskubać! - Znowu się uśmiechnął. - Powiadam ci, nigdy jeszcze nie widziałem kogoś, kto z takim entuzjazmem oddał się złu!

Z przerażeniem uświadomiła sobie koszmarną prawdę. To on wpuścił jej brata w nałóg! Ten łagodny, uśmiechnięty, dobroduszny człowiek był diabłem, o którym mamrotał Will!

- O mój Boże! Postanowiłeś go zgubić... od pierwszej chwili!

- Skądże znowu! - cmoknął językiem. - Wcale nie od pierwszej! - W jego głosie była jakaś groteskowa skromność. - Z początku Will po prostu płacił za nas obu, rozumiesz. Ale apetyt w nim rósł, a co za tym idzie, rosły jego wydatki, no i moje też. I wtedy zaczęły się kłopoty. Chłopak pochodzi z bogatej rodziny. Czy nie powinna spłacić jego długów? Ale sama wiesz, jaki jest Will! - Potrząsnął głową niemal z czułością. - Uparty do końca! Za nic nie chciał prosić o pieniądze. Oświadczył, że nigdy tego nie zrobi. A kiedy się dowiedział, że jesteś w Anglii, dostał strasznych wyrzutów sumienia i obrzydliwie się kajał. Chciał zerwać naszą znajomość, wyobraź sobie! Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem!

Uniosł ręce, jakby domagał się sprawiedliwości. Mercy zdrząła.

- Oczywiście, nie mogłem na to pozwolić, więc podsunęliśmy Willowi coś silniejszego. Od razu zapomniał o głupstwach! O tak, nasz Will to urodzony narkoman!

Poczuła, że się dusi.

- O, przepraszam. Ciebie to nie pociąga, prawda? Wobec tego może lepiej, że się nie pobierzemy.

- Dobrze, zabijesz mnie. Ale jak się dobierzesz do pieniędzy mojego ojca? - spytała Mercy, chcąc zyskać na czasie.

Jej ukryte pod długą spódnicą stopy niemal niedostrzegalnie cofały się w stronę wiodącego na ulicę pasażu. Hillard zdawał się tego nie dostrzegać.

- Widziałas przecież swego braciszka - odparł Nathan i wskazał lufą pistoletu schodki prowadzące do palarni opium. - Mam go w garści raz na zawsze. Postradał duszę w chwili, kiedy wetknąłem mu w gębę nargile, a on zaczął ssać łapczywie jak niemowlę przy piersi!

- O Boże! Cóż za ohyda...

-No, no! Mówisz jak twój brat w rzadkich chwilach przytomności. - Rozpostarł palce w żartobliwym, niby to obronnym geście. - Zawsze mnie zdumiewało, jak kurczowo czepia się pewnych zasad! Czy wiesz, że nigdy nie zwrócił się do ojca po pieniądze? Musiałem sam się fatygować. Bardzo ładne podróbki, choć nie wypada się chwalić! A kie-

dy zjawiłaś się w Anglii, wszystko doskonale się ułożyło. Nigdy nie żałowałaś pieniędzy. Wystarczyło nagryzmolić kilka słów i miałem gotówkę jak w banku. Ale nie starczało tego na długo. I w końcu... no cóż... doszedłem do wniosku, że lepiej zgarnąć wszystko. Stałem przed alternatywą.

- Jaką? - spytała bez tchu.

- Will albo ty, oczywiście - odparł ze zdziwieniem. - I przyznam szczerze, że wolałbym, gdybyś za mnie wyszła. Jesteś diabelnie ładna. - Uśmiech Hillarda był zatrwająco normalny i słodki. Jego błyszczące oczy nieco przygasły. - Ale potem zaczęłaś węszyć. Nie mogłem pozwolić, żebyś przed czasem natknęła się na Willa. Nie był mi jeszcze całkowicie posłuszny.

- Więc to ty zaaranżowałaś te dwa wypadki?

Nathan z całą powagą przytaknął ruchem głowy.

- Nie zamierzałem cię zabić, skądże znowu! Niby po co? Mieliśmy się pobrać! Tylko ostatni kretyń morduje przyszłą żonę przed ślubem. Próbowałem cię tylko powstrzymać. Nie chciałem, żebyś zbyt szybko odnalazła Willa.

A więc od momentu, gdy zjawiła się w Anglii, wszystko było zaplanowane i starannie wyreżyserowane.

- Szkoda, że nie jestem tak dobrym strzelcem jak ty, moja droga - usprawiedliwiał się Nathan. - Chciałem cię lekko postrzelić w ramię. Żebyś leżała spokojnie w łóżku i przesyłała braciszkowi forszę.

- A ta strzelba podczas polowania na bażanty? Jak sobie z nią poradzisz?

- Odrobina piasku - i lufa zatkana. Nic prostszego.

Była już bardzo blisko pasażu. Zimny, wilgotny wiatr rozwiewał jej włosy. Jeśli błyskawicznie się odwróci i pobiegnie... Jeszcze kilka kroków.

- Nic nie rozumiem... Gdybym się zgodziła za ciebie wyjść...

- Tobym zabił Willa. Zmarłoby mu się akurat dziś po południu. Wspomniałem ci, że z nim nie najlepiej, prawda? - Hillard westchnął. - Teraz będę musiał trochę go odchuchać, żeby mógł wrócić do domu. Odwieziemy twoje śliczne zwłoki do tej dziury, skąd pochodzisz. A zrozpaczony tatuś pewnie niebawem...

Mercy odwróciła się na pięcie i pomknęła przed siebie. U wylotu pasażu pojawił się wysoki czarny cień. W jednej ręce trzymał broń, drugą wyciągał ku niej.

- Hart!

Huknął strzał.

Poczuła w głowie straszny ból. Odwróciła się instynktownie tam, skąd padł wystrzał, i poczuła, że traci równowagę. Oczy jej rozszerzyły się ze zdumienia i...

Hart pochwyił ją, zanim upadła na ziemię.

- Nie! - Wykrztusił tylko to jedno słowo. Niski, drapieżny pomruk bólu i protestu wyrwał się z jego duszy. Odbił się echem od oślizgłych murów i zagrzmiął w wietrznych zaułkach. - Nie! - Jednym ramieniem tulił do siebie bezwładne ciało Mercy, ale drugą ręką pociągnął za spust. Broń wypaliła. Hillard upadł.

To jednak Hartowi nie wystarczyło.

Odrzucił głowę do tyłu i rycząc jak rozjuszony ranne zwierzę, strzelił ponownie. Nawet gdy skurczone ciało Hillarda wpadło pomiędzy beczki i znikło mu sprzed oczu, Hart strzelał nadal. Raz po raz naciskał spust. Opróżnił cały magazynek. Zbutwiałe beczki dygotały i rozlatywały się, kule odskakiwały rykoszetem od szerniałych murów, sypały się iskry. Wewnątrz domu, na ciemnych, krętych korytarzach wszczęło się zamieszanie. A Hart nie ustawał. Nawet, gdy zabrakło mu naboju, a za naciśnięciem spustu rozlegał się tylko suchy trzask iglicy, strzelał jak obłąkaniec.

W końcu rewolwer wypadł ze zdrętwiałych palców. Hart runął na kolana, nie wypuszczając z objęć bezwładnego ciała ukochanej. Połowa jej twarzy była zalana krwią, która przesłaniała lewe oko i szkarłatnymi łzami ściekała po policzku.

-Mercy...

Błagał Boga o cud. Modlił się bez słów, nie wiedząc nawet, że to robi. Każde drgnienie palców głaszczących pokrwawioną twarz, każdy dreszcz lęku, gdy nie dostrzegał żadnych oznak życia, były żarliwym błaganem o litość.

I jego modlitwa została wysłuchana.

Mercy drgnęła. Nagle i nieoczekiwanie. Hart wstrzymał dech. Mercy poruszyła się w jego ramionach i zerknęła na niego zdrowym okiem.

-Oj!...

Hart wybuchnął chrapliwym, urwanym śmiechem. Mercy przyjrzała mu się uważniej. Po twarzy ciekły mu łzy.

- Aż tak cię... ubawiłam?

- O Boże, Mercy! - wykrztusił, ocierając mankietem swojej koszuli jej zalane krwią oko. Głęboka ryna znaczyła skroń Mercy i ginęła pod jej włosami. - Myślałem, że ty... - Reszta nie chciała mu przejść przez zaciśnięte gardło.

Mercy poczuła nagłą litość. Wydawał się taki zagubiony, taki zrozpaczony, gdy wpatrywał się w nią pustym, bezradnym wzrokiem. Jego

oczy powiedziały jej wszystko. Kryła się w nich cała przeklęta wiedza człowieka, który zasmakował potępienia.

- Jesteś zły... że kto inny... mnie ustrzelił? - szepnęła ochryplym głosem. - Mówiłeś, że... tylko tobie wolno!

Skinął głową bez słowa.

- No tak! - uśmiechnęła się.

Przy każdym ruchu krzywiła się z bólu, ale to nie powstrzymało jej od pogłaskania stężalej, udręczonej twarzy, która pochylała się nad nią. Hart odwrócił raptownie głowę, przywarł ustami do jej dłoni i ucałował ją jak świętość.

- To się już... nie powtórzy... Obiecuję! - powiedziała Mercy.

- Niestety! Bardzo się mylisz, złotko!

Hart instynktownie objął Mercy mocniej. Zza potrząskanych beczek wyłonił się Nathan Hillard. Z uśmiechem celował do nich z pistoletu. Hart chwycił swego kolta i natychmiast sobie uświadomił, że magazynek jest pusty.

- Spudłowałeś! - zaśmiał się Hillard. Był to straszny śmiech, taki normalny, ciepły, pełen szczerzego rozbawienia. - A teraz obawiam się, że jeśli to nie samopowtarzalna broń, nie masz ani jednej kuli! - I z zimną krwią wycelował w Mercy.

Hart zasłonił ją własnym ciałem. Gotów był na każdy ból, ale kiedy padł strzał, nie poczuł żadnego. Obejrzał się na wroga.

Hillard wpatrywał się z najwyższym zdumieniem w czerwoną, powiększającą się plamę na swojej białej koszuli. Nagle runął, nie odrywając oczu od skrwawionej piersi.

Czyjś kaszel przyciągnął uwagę Harta. Na schodkach do palarni opium stał oparty o futrynę Will Coltrane. W ręku miał dymiącego kolta 38.

- Ale ja... mam... - wyszeptał.

29

T

JL ydzień później Hart stał w promieniach porannego słońca w swoim apartamencie w hotelu Browne'a. Po raz nie wiedzieć który przeglądał list, który przysłano mu z Afryki Południowej. Był zwięzły, jasny i bezosobowy.

Klient naszego banku, znany pod nazwiskiem Francis Jonathan Miller, od dwudziestu sześciu miesięcy nie dokonał żadnej wypłaty ze swego konta.

Hart złożył kartkę i wetknął ją z powrotem do koperty. Mogło istnieć tylko jedno wytłumaczenie: ojciec umarł. A on sam był istotnie hrabią Perth.

Zarówno on, jak i jego siostry mogli spokojnie wieść dotychczasowe życie. Nie groził im już żaden skandal. Pozostawało jednak poczucie straty, jakiegoś emocjonalnego niezaspokojenia... Hart wyprostował się. Cóż, trzeba będzie z tym żyć. Nauczył się obywać bez wielu rzeczy. Była tylko jedna strata, z którą nie umiałby się pogodzić...

Drzwi jego pokoju otwarły się raptownie. Mercy stała w nich przez chwilę, pełna ciepła i życia. Unoszące się w powietrzu złote drobinki, poruszone nagłym podmuchem, zaczęły płaszać wokół niej niczym elfy wokół królowej wrózek. W ukośnych promieniach słońca kremowa suknia połyskiwała, a błyszczące włosy odcinały się ciemną czerwienią od białej gazowej przepaski na czole.

- Czy tylko moja sypialnia budzi w tobie takie zaborcze instynkty? - spytał Hart. Inne pytanie nie przeszłoby mu przez gardło. Bał się, straszliwie się bał, że Mercy opuści go natychmiast, gdy się przekona, jak bardzo jest mu potrzebna.

- Skądże znowu! - odparła, wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi. - Nie tylko twoja sypialnia budzi we mnie zaborcze instynkty, ale przede wszystkim ty!

Nie umiał odpowiedzieć na te żarciki. Może kiedy indziej zdobyłby się na zręczną ripostę. Teraz jednak pragnął tylko patrzeć na Mercy. Syćć oczy jej widokiem.

Przez cały tydzień czuwał u jej drzwi. Kiedy lekarze potrząsali głowami, wydziwiali i coś tam bąkali o wstrząsie mózgu i uszkodzeniu wzroku, był bliski szaleństwa. W końcu jednak uznali, że wszystko powinno być doskonale, zostanie tylko niewielka blizna na lewej skroni. I wówczas Hart zszedł ze swego posterunku.

A teraz? Co prawda błądność Mercy nadal go niepokoiła, ale jej zielonozłote oczy były lśniące i czyste, a rzęsy - te bardzo długie, nieprawdopodobne rzęsy - trzepotały kokieteryjnie. No i uśmiechała się.

- U ciebie jest znacznie więcej światła niż w moim pokoju - zauważyła. - Czemu wszyscy lekarze czują taką niechęć do słońca?!

Beryl oznajmiła bratu, że Mercy nie spodziewa się dziecka. A zatem już nic jej z nim nie wiązało. Absolutnie nic. Rozdarcie cienkiej błonki nie wydawało się z pewnością Mercy dostateczną przyczyną do zawarcia małżeństwa. Musiałby istnieć inny, znacznie ważniejszy powód. Na przykład miłość.

Kiedy jednak kręciła się z taką swobodą wśród jego drobiazgów, Hart myślał tylko: o Boże miłosierny, jak ja zdołam bez niej żyć?

Mercy przechadzała się bez pośpiechu po pokoju, kołysząc biodrami, wywijając falbanami spódnicy. Wyjęła z wazonu strzępiastą, żółtą chryzantemę i przedfilowała z nią przed samym nosem Harta - niemądra dziewczyna! Rozejrzała się dokoła i przysiadła w nogach łóżka.

- Dowiedziałeś się czegoś o Willu? - spytała.

Ach tak! Wypuścił powietrze z płuc. Więc dlatego przysła!

- Nie, Mercy. Próbowałem się czegoś dowiedzieć. I to na wszelkie sposoby, możesz mi wierzyć. Ale jak dotąd bez rezultatu. Jeśli jednak będziemy szukać dostatecznie długo i wytrwale, w końcu go odnajdziemy.

Zwiesiła głowę i wpatrywała się w złożone na podolku ręce.

- Mercy - powiedział Hart, starannie dobierając słowa. - Może byłoby lepiej dla Willa, gdybyśmy go nie odnaleźli.

- Jak to? - spytała, podnosząc głowę. Hart poczuł ulgę: w jej oczach nie było podejrzliwości, tylko wielka troska.

- Jeśli Will się znajdzie, zostanie oskarżony o morderstwo.

- Ależ on nam uratował życie! - zaprotestowała.

- Wiem. Był jednak w palarni opium, a poza tym zabił... znaną osobistość. Strzałem w plecy. Teraz przynajmniej pozostaje na wolności... -

Mercy nic na to nie odpowiedziała, więc brnął dalej: - Przysięgam, że jeśli go odnajdziemy, będzie miał najlepszego adwokata w Anglii. Ale nie mogę przysiąc, że go ułaskawią. - Zamilkł na chwilę. - Powiedz, Mercy, jak mam postąpić?

Odetchnęła głęboko.

- Przestań go szukać.

Skinął głową i na chwilę zaległo ciężkie milczenie.

- Pewnie wrócisz wkrótce do Ameryki - odezwał się w końcu Hart.

- Do Ameryki? Tak, chyba tak...

- Bardzo mi przykro, że twój pobyt w Anglii był taki nieudany.

Popatrzyła na niego wyraźnie zaskoczona, a Hart skłął się w duchu za to idiotyczne określenie.

- No cóż... - powiedziała Mercy i usta leciutko jej zadrgały. Poczucie humoru nawet w tej chwili dało o sobie znać. - Ty w moim kraju też się niezbyt dobrze bawiłeś!

- To prawda.

Znowu zapadło milczenie. Zegar na kominku wybił kwadrans; Mercy spojrzała na czasomierz z wyraźną urazą. Wstała, wygładziła lśniąca fałdy atlasowej spódnicy. Zaraz odejdzie! Może już na zawsze?

Hart trzymał się swojego postanowienia. Stał bez ruchu jak głaz, do którego nieraz go przyrównywano. Miał wrażenie, że ktoś mu podciął ko-

lana, a z serca odpływa cała krew. Nigdy jeszcze nie odczuwał tak ostro, jakie bolesne i okrutne jest życie i jak nieskończenie długo trzeba je znosić.

- Ilu ludzi zabiłeś w Ameryce? - spytała Mercy. Jej pytanie całkiem go zaskoczyło.

- Trzech - odparł.

- W uczciwej walce?

Nie miał pojęcia, na co jej ta wiadomość. Ale choć sto razy wolałby skłamać, musiał jej powiedzieć prawdę.

- Nie. To nie była uczciwa walka. Byłem lepszym strzelcem. Znacznie lepszym niż oni.

Na gładkim czole Mercy pojawiła się między ciemnymi brwiami gniewna zmarszczka. Bandaż osunął się na oko.

- Strzelałeś w plecy? - spytała, ściągając gazową opaskę. Ciemnoróżowa poszarpana linia odcinała się od perłowej skroni.

-Nie.

- Pierwszy sięgnąłeś po broń?

-Nie.

- To co w tym było nieuczciwego?

Popatrzył na nią bezradnie.

- Ja nigdy nie chybiam.

-Nigdy?

- Nigdy.

- Rozumiem. - Sięgnęła do tyłu i zaczęła mocować się z zameczkiem naszyjnika; bursztynowy wisior spoczywał między jej piersiami. Z pewnością wchłonął w siebie ciepło jej ciała i słońca.

-Rozumiem... -powtórzyła. -Powinieneś być stwierdzić na piśmie, jaki to z ciebie niezawodny strzelec, i rozdawać to ostrzeżenie w formie ulotki. Albo jeszcze lepiej: zamieścić we wszystkich gazetach ogłoszenia: „Nigdy nie puduję!”

Uśmiechnął się ironicznie.

- To mogłoby wyrzucić odwrotny skutek. Zawsze znajdzie się taki, co zechce sprawdzić.

-Ach tak! -Uchwyciła się tych słów jak adwokat popisujący się przed ławą przysięgłych. - Więc cóż mogłeś poradzić, że walki były nierówne?

- Mogłem do nich nie stawać.

Słyszał w swoim głosie żal i głęboki smutek. Nie skrucę. Na to już było za późno. Ale żal, szczerzy żal. Tak. Zawsze go odczuwał.

Mercy wpatrywała się w niego przez kilka niekończących się sekund. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezbronny. Nawet w płytkich okopach w Afryce Północnej, gdy mierzyło weń tysiąc karabinów. Nawet w teksaskim

saloonie, kiedy stał plecami do drzwi i błysnęła mu nagle w lustrze lufa rewolweru. Teraz Mercy wiedziała o nim wszystko. Absolutnie wszystko. Zaczęła znów bawić się naszyjnikami.

- Ach, ty uparty osłe! Gdybyś nie stanął do walki, już bym nie żyła!

- Uporała się z naszyjnikami i rzuciła go na łóżko. Znów sięgnęła obiema rękami do tyłu. W tej pozycji jej biust jeszcze się uwydatnił, urocze wzgórki omal nie wyskoczyły ze stanika. Hart z trudem przełknął ślinę.

- Co ty wyrabiasz, u diabła?! - spytał. Był jak zahipnotyzowany złotym światłem poranka, podniecającym, korzennym zapachem jej ciała, leniwym tykaniem zegara.

- Rozbieram się - wyjaśniła.

Te przekłete guziki nie chciały się odpiąć! Mercy czuła, że odwaga ją opuszcza. Ale musiała to zrobić. Właśnie teraz. Hart stał o jakieś cztery metry od niej i ani drgnął. Jego twarz była kamienna, obojętna, daleka... Żyły w niej tylko oczy, pełne rozpacz i błagania.

Kochał ją.

Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Słowa Beryl rozbrzmiewały echem w jej mózgu: potrafi kochać, ale nie ma pojęcia, co to znaczy być kochanym.

Ona go tego nauczy. Nie będzie miał żadnych wątpliwości co do jej uczuć, nim wyjdzie z tego pokoju.

Palce Mercy mocowały się niezdarnie z perłowymi guziczkami. Każda sekunda była coraz większą torturą, gdy stał tak z obojętną twarzą i płonąącym wzrokiem. Nagle z pomrukiem zniecierpliwienia Mercy szarpnęła za pięć stanika. Małe guziczki z brzękiem sypnęły się na podłogę.

- Załatwione! - oświadczyła ze spokojem i zsunęła rękawy z ramion. Hart nadal stał bez ruchu.

To na nic! Gdyby ofiarowała mu siebie w darze, przyjąłby to jako jałmużnę. Zasługiwał na coś więcej. Na to, żeby go uwodzono!

Zsunęła ciężkie fałdy sukni przez biodra, a gdy opadły na podłogę, wyplątała się ze sterty porzuconego atłasu i zaczęła rozwiązywać sznurówki gorsetu. Ściągnęła go i koniuszkami palców podniosła do góry, potem rzuciła na ziemię. Dlaczego, u diabła, Hart się nie odzywa?!

-Mercy...

Szept był tak cichy, że ledwie go dosłyszała. Nie miała pojęcia, czy to jedyne słowo jest zaklęciem, czy błaganiem? Podniosła na niego oczy.

Wszystkiego się spodziewała, ale nie tego! Zbliżył się do niej z wahaniem, jakby się obawiał, że Mercy ucieknie albo roześmieje mu się

w twarz. Jego piękne oczy pociemniały z emocji. Zatrzymał się na odległość ręki. Jego pierś wnosiła się i opadała w gorączkowym oddechu.

- Nie musisz tego robić - powiedział, wpatrując się w nią badawczo.

- Nie muszę? - spytała, marszcząc czoło ze zdziwieniem. - Właśnie że muszę! Chcę cię mieć - i nie widzę żadnego innego sposobu. Chcę poczuć cię obok siebie. I w sobie.

Objęła rękami jego kwadratową brodę. Poczula na dłoni szorstkość zarostu. Od jak dawna marzyła o tym, żeby go dotknąć, by poczuć znów pod palcami te wydatne, nadal nieruchome rysy! Westchnęła z satysfakcją.

Przeciagnęła lekko palcami po jego twarzy. Jego szczęka była mocna i napięta, a skóra powyżej zarostu - nieoczekiwanie gładka. Ogarniał ją skupionym, pełnym zachwytu, pytającym spojrzeniem.

Był najbardziej niebezpiecznym mężczyzną, jakiego знаła. Czula w nim twardą, nieugiętą siłę powstrzymywaną żelazną wolą. Zupełnie jakby gładka sprężona do skoku drapieżnika. A jednak drżał pod jej dotknięciem.

Odpięła kilka górnych guzików jego koszuli, odsłaniając mocną szyję. Mercy ogarnęła pokusa, by ją ucałować, ale pohamowała się i postanowiła skończyć rozpinanie koszuli. Spojrzała w górę i palce odmówiły jej posłuszeństwa.

Hart wpatrywał się w nią z niepokojem, niemal z trwogą. Twarz miał nadal kamienną, tylko skóra mocno napięta na skroniach i szczękach świadczyła o tym, że czuje się przyparty do muru i kurczowo trzyma się swej pozornej obojętności jak ostatniej deski ratunku.

Ostatnie guziki zostały rozpięte. Mercy ostrożnie rozchyliła poły sztywnej białej koszuli, obnażając gładką i muskularną pierś Harta. Potem ściągnęła mu rękawy z potężnych barków.

Zadrżał. Oparła ręce na jego szerokich ramionach i wspięła się na palce. Przez sekundę poczuła na sobie jego przeszywające spojrzenie. Potem zamknął powieki, a ona go pocałowała. Usta Harta rozchyliły się z jękiem. Były pełne, twarde i ciepłe. Zaczęła drażnić zębami jego dolną wargę, błagając go w duchu, by zareagował, by odwzajemnił pocałunek.

Nadal jej nie dotykał. Jego ramiona nie poruszyły się, by ją odsunąć albo przyciągnąć do siebie. Po prostu stał, jakby unieruchomiony przez jakąś niewidzialną siłę, i pozwalał się całować.

Czyniła to niezwykle delikatnie. Trudno to było właściwie nazwać pocałunkami. Rozchylone wargi muskały policzki Harta, zatrzymywały się o włos od jego ust, tak że ich oddechy mieszały się ze sobą. Dotykały jedwabistego wnętrza dolnej wargi i gorącej, jędrnej poduszeczki wargi górnej. Potem jej usta powędrowały dalej. Obsypywała delikatnymi po-

całunkami jego policzki, grzbiet nosa, powieki, skronie; czuła na własnej twarzy szybki, gorący oddech Harta. Raz po raz powracała do jego ust. Pachniał świeżo bielonym płótnem, dymem z cygar i ulotnym, typowo męskim zapachem piżma.

Przeczesała palcami jego włosy chłodne, sprężyste, jedwabiste. Odwrócił się i przylgnął policzkiem do wnętrza jej dłoni, otarł się o nią z niskim, gardłowym pomrukiem polującego kota. Taka niesamowita słodycz.

Upadła kobieta... Co za głupie określenie! - przemknęło przez jej zmacony umysł. Kobieta nie pada, ona tonie w powodzi odurzających, leniwych pieszczot! Hart podniósł głowę. Zaprotestowała lekkim okrzykiem.

- Nie chcę niczego więcej - szeptał rwącym się głosem - tylko całować cię, Mercy. Tylko całować! - zapewniał, starając się przekonać ją... a może siebie? - Pozwól mi...

- Tak - odparła. - Tak! - Zanurzyła palce w gęstych, brunatnych włosach na karku Harta i przyciągnęła go do siebie. - Całuj mnie, Hart - szepnęła.

- Tak! - wykrztusił gwałtownie, bez tchu. Spadł ustami na jej usta i tym razem głód zatriumfował nad delikatnością. Pochylił się jeszcze niżej, jego ręka oplótła jej talię. Rozstawił szerzej nogi i objął nimi ciasno jej biodra.

Czuła wyraźnie twardą wypukłość napierającą na jej uda w miejscu, gdzie się stykały. Hart nie był już nieruchomy - przyciskał się do niej biodrami, kołysząc się lekko; jedną ręką obejmował jej głowę od tyłu, druga zawędrowała na pośladki Mercy. Powinna być zaszokowana, ale czuła tylko coraz większe pożądanie. Gdy jej ciało zaczęło poruszać się w tym samym rytmie co jego, Hart jęknął.

Wilgotny język muskał natarczywie jej złączone wargi. Mercy spełniła jego żądanie; wślizgnął się głęboko do wnętrza jej ust. Uchwyciła się kurczowo Harta, gdy ich języki prowadziły ze sobą namiętą grę - coraz zachłanniej sze, wilgotniej sze, gorętsze. Wreszcie kolana załamały się pod Mercy. Hart nie podtrzymał jej, lecz opadł razem z nią na stos rozgrzane-go słońcem atłasu, płótna i koronek.

Mercy wygięła się w łuk ku potężnej, górującej nad nią postaci. Pragnęła go. Chciała poczuć go na sobie i wewnątrz siebie. Uniósł się na łokciach. Mięśnie jego piersi i rąk przypominały żywą płaskorzeźbę, złocistą i drżącą.

- Pragnę cię, Hart - powiedziała Mercy. Zamknął oczy. Jego twarz zastygła w maskę pełną napięcia. Słońce lśniło złotem na jego sprężonym ciele. - Pragnę cię... - powtórzyła.

-Nie rozumiesz! -warknął dziko, nie otwierając oczu. -Już nad tym nie panuję. Nie zdołam się powstrzymać!

- Nie musisz.

- Nie chcę ci znów zrobić krzywdy - wykrztusił bez tchu przez zaciśnięte zęby.

Mercy wyciągnęła rękę i dotknęła jego płaskiego, miedzianego sutka. Hart osunął się nagle do przodu i wsparł na jednym łokciu. Drugą ręką chwycił Mercy za przegub. Zawahał się, ale tylko na sekundę. Potem przycisnął jej rozwartą dłoń do swojej piersi.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy.

- Nie skrzywdziłeś mnie.

- To dlaczego wtedy płakałaś? - spytał napastliwie. W jego oczach błysnął gniew na samego siebie.

-Bo odsunąłeś się ode mnie. Zabrałeś mnie tam... na najwyższy szczyt... a potem mnie opuściłeś! - Płonął w niej niegasnący ogień i musiała iść za tym płomiennym wezwaniem. W rozpustnym natchnieniu ściągnęła z ramion koszulę i uniosła pierś, muskając Harta sutkiem. Zwinął się jak pod uderzeniem.

-Boże wielki!

Zwróciła ku niemu głowę i końcem języka dotknęła jego piersi.

- Proszę... - powiedziała, liżąc go tak zachłannie, jak on przedtem pieścił ją. Niemal brutalnie przyciągnął jej głowę do siebie. - Proszę... - powtórzyła.

- Tak - wykrztusił. - Dam ci wszystko... albo umrę!

Złożył ją na pościeli i ściągnął z niej cienką białą koszulę. Nagie piersi Mercy kąpały się w ciepłym słonecznym świetle. Spojrzał na nią pociemniałymi, pełnymi napięcia oczami.

- Zabiorę cię... tam...!

Była to zarazem groźba i obietnica. Mercy uniosła się na łokciach, szukając jego ust, ale popchnął ją z powrotem na pościel. Znikła gdzieś jego gwałtowność. Zastąpiła ją leniwa, zmysłowa, imponująca pewność siebie.

- Zacałuję cię całą - mrucał. - Będę całował tutaj... - Przesunął palcem wskazującym po dolnej wardze Mercy, odchylił ją i przejechał czubkiem palca wzdłuż jej wilgotnego, atlasowego wnętrza. Zacisnęła na nim wargi i zaczęła delikatnie ssać.

Oczy Harta stały się niemal czarne. Nozdrza rozdęły się. Wchłaniał jej zapach, wyczuwał jej reakcję, jej gotowość. Wyciągnął palec z ust Mercy i wilgotnym końcem dotknął jej brody. Potem sunął nim powoli wzdłuż jej szyi i obojczyka, aż do piersi.

-I tutaj... - Zataczał leniwe kręgi wokół ciemnych brodawek, pieścił je z dręczącą powolnością, aż wyprężyły się i stwardniały. Potem nachylił się i zaczął ssać - leciutko, delikatnie - obwodząc językiem każdy sutek. Mercy jęknęła i wygięła się w łuk, napierając jeszcze bardziej piersiami na jego usta. Pragnęła, by zagarnął ją całkowicie.

Hart podniósł głowę. Oddychał z trudem, jego twarz była napięta. Znowu przypominała maskę.

- Jeszcze nie.

- Mam cię błagać? - poskarżyła się. Miejsce między udami było teraz nabrzmiące, obolałe, podrażnione. Każdy ruch Harta powiększał jeszcze jej udkę. Była szalona, zaborcza, zgłodniała. Tylko twarda wypukłość, którą niedawno czuła tuż przy sobie, mogła zaspokoić ten straszliwy głód... ale Hart odsunął się od niej.

- Możesz błagać - odparł. - To ci nic nie pomoże. Pragnę cię, ale nie będziemy się śpieszyć. Jest jeszcze tyle miejsc, które muszę wpiernić ucałować...

Jego palce podjęły znowu wędrówkę po jej ciele, muskając ulotną pieszczotą brzuch Mercy, obrysowując kontur jej bioder, zsuwając delikatnie obrzeżone koronką pantalonek.

- ...I tutaj. - Gdy dotknął płytkiego zagłębienia pępka, Mercy zeszywniała. Hart uśmiechnął się leniwym, drapieżnym uśmiechem, a jego ręka zakradła się na niezwykle wrażliwą wewnętrzną stronę jej uda. Mercy zadrzęła i uchwyciła się muskularnych ramion Harta.

- Proszę...

- O co prosisz? - szepnął. - Może o to? - Przesunął rękę w górę; Mercy instynktownie uniosła biodra. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Serce jej tłukło się jak szalone. Hart rozchylił palcem wrażliwe fałdki u styku ud i zaczął je delikatnie głaskać. Pieścił je bez końca; odnalazł pulsujące centrum rozkoszy i potarł delikatnie.

- Proszę cię, Hart... - wykrztusiła, prężąc się pod jego dotknięciem.

- Tak, właśnie tu. - Uniósł dłoń ku swej twarzy, wdychając zapach jej ciała. Potem, nie odrywając wzroku od oczu Mercy, dotknął językiem palców, poznając jej smak. - O, tak... Tu przede wszystkim.

Nie mogła dłużej tego znieść. Wsunęła ręce pomiędzy ich ciała, szarpnęła za spodnie Harta. Nie przeszkodził jej, nawet nie próbował. Pierś wznosiła mu się i opadała jak kowalski miech. Cofnął się nieco i przysiadł na piętach. Nie odrywał oczu, szklistych od powstrzymywanej żądzy, od dłoni Mercy na swoim rozporku.

Trafiła na zapieczęcie i otworzyła je gwałtownym ruchem. Poczwała, jaki jest gładki, gorący i twardy - skała obleczona w aksamit... Objęła go dłońmi i pogłaskała.

Tylko raz.

Całe opanowanie Harta znikło. Rzucił się na nią z gwałtownym pomrukiem. Jego usta przebiegły szlak wytyczony przez ręce. Pieszcząc ją i całując, wciągał Mercy coraz głębiej w zawrotny wir zmysłowej rozkoszy. Igraszki jego ust sprawiły, że w pełnym słońcu czuła lodowate dreszcze, że była napięta jak struna skrzypiec, że zawisała między dręczącym oczekiwaniem a doskonałym spełnieniem. Wielbił ją dotykiem, słowem i nieartykułowanym westchnieniem, aż całe jej ciało rozplomieniło się i stało tak wrażliwe, że nawet muśnięcie motyli skrzydeł odczułaby jako ból.

Nakrył ją własnym twardym ciałem, objął za pośladki, uniósł ku sobie. Z zachłanną radością powitała jego atak i odwzajemniła go. Pragnęła poczuć go w sobie, chciała, by wypełnił ją aż po brzegi. Jednym szybkim ruchem zagłębił się w niej.

Wodziła dłońmi po jego plecach. Pod czystą, gładką skórą grały twarde mięśnie. Słyszała nad samym uchem jego chrapliwy oddech. Przywarła do niego, spragniona jak najściślejzego zespolenia. Opasała udami jego biodra, objęła jego twarde pośladki. Z gardła Harta wyrwał się głęboki jęk. Zaczął się odwieczny taniec. Głębokie pchnięcie i odwrót. Nasycenie. Wszzechogarniający żar. Męska dominacja. Fala pierwotnej, czystej rozkoszy. Mercy wzbijała się pod niebo na spirali zmysłowych wrażeń stapiających się w jedno niezwykle doznanie.

Było to przeżycie tak wstrząsające, że krzyknęła. Zaraz potem Hart odrzucił głowę do tyłu, a jego niski, chrapliwy krzyk był dopełnieniem i odbiciem jej wołania.

Hart dotknął jej policzka i otarł łzę spływającą z kącika oka.

- Sprawilem ci ból?

- Nie - odparła pośpiesznie. - To dlatego... że to było... takie przejmujące. ... takie... - Zrozumiała, że nie zdoła tego wyrazić. - Och, Hart! Kocham cię. Tak bardzo cię kocham!

Przygarnął ją gwałtownie, ale zdążyła dostrzec na jego twarzy wyraz zdumienia. Tulił ją do piersi, kołysał w ramionach, czuła gwałtowne bicie jego serca.

- Powiedz to jeszcze raz - poprosił słabym głosem.

- Kocham cię.

Gładził ją po włosach.

-O Jezu!... Ty naprawdę...? -I dodał szybko z lękiem: -Dobry Boże! Mercy, chyba wiesz, że ja...

- Wiem, że mnie kochasz. Nie mam żadnych wątpliwości.
- Kocham cię - rzekł z powagą. - Pokochałem cię w chwili, gdy wdarłaś się do mojej sypialni, żeby mnie szantażować. Nie chciałem cię pokochać, ale nic na to nie mogłem poradzić.

-Hart...

-Pozwól mi powiedzieć. Boże, ja muszę ci to powiedzieć! Beryl spytała kiedyś, czy mógłbym żyć bez ciebie. Odpowiedziałem, że tak. Jakoś bym wyżył. Ale do końca życia bym tego żałował. Jeśli coś sprawiłoby mi radość, wiedziałbym, że przy tobie byłbym jeszcze szczęśliwszy. A każde zmartwienie byłoby niczym w porównaniu z tym jednym nieustannym bólem. - Wpatrywał się w nią z napięciem, pragnąc, by go w pełni zrozumiała. - A kiedy bym umierał, Mercy, bez względu na to, po ilu latach, przeżyciach, doświadczeniach, moja ostatnia myśl pobiegłaby ku tobie. Bóg widzi, że cię kocham, Mercy. Starłem się nie okazywać tego... Tak bardzo się starałem.

Pochyliła się ku niemu i całowała go w powieki, w usta, w szyję, aż wreszcie rozpacz znikła z jego udręczonych oczu.

- Staraleś się aż za dobrze! - ofuknęła go w końcu i sprawiła, że się uśmiechnął. - Jakiś ty był obojętny, jaki nieczuły! Byłam pewna, że nie możesz znieść mego widoku... Nawet później, kiedy zaczęłam podejrzewać, że coś do mnie czujesz, ciągle nie miałam pewności. W końcu coś mnie przekonało!

-Co?...

- To, że spudłowałeś.

- Spudłowałem?

- W tym pasażu! Chybiłeś. A ty przecież nigdy nie chybiasz! Sam mi to mówiłeś. Tylko bardzo gwałtowne uczucie mogło sprawić, że taki groźny, zimny jak lód mężczyzna nie trafił do łatwego celu. Jestem pewna, że to była miłość.

Hart nie sprzeczał się, tylko przewrócił Mercy na plecy.

-Zimny jak lód?

- Owszem - zamruczała, czując znów przy sobie jego pobudzone ciało. -I bardzo niebezpieczny!

- Mam całkiem inne zdanie na temat tego lodu. A co do niebezpieczeństwa, to spróbuj tylko mi się wymknąć z tego pokoju!

Epilog

/ akieś ciekawe wieści? - spytał Hart, opadając na skórzany fotel naprzeciw żony.

Mercy machnęła palcem w stronę listów, które właśnie przeczytała.

- Beryl pisze, że Annabelle postarała się w końcu o syna i spadkobiercę dla Actona.

- Brawo. Ale co nas to obchodzi?

- No, no, Hart! Przecież to twoja siostra. I musisz przyznać, że realizuje swe ambicje ze zdumiewającą konsekwencją!

Hart burknął coś, wcale nie przekonany.

- Może i jest zdumiewająca, ale kara boska i tak jej nie ominęła. Złapała swego księcia, lecz musi co rano spoglądać w oczęta teściowej. Założę się, że księżna wdowa nigdy się nie wyrzeknie swojej władzy!

- Kiedyś przecież pożegna się z tym światem - zauważyła Mercy.

- Myślisz, że wtedy zostawi syna w spokoju? Bardzo wątpię!

Mercy roześmiała się.

- Wcześniej czy później musimy odwiedzić Annabelle. Od dłuższego czasu stale nas zaprasza.

Wzruszył ramionami. Nie przebaczył najmłodszej siostrze, że nie zjawiła się na ich ślubie. Mercy urabiała go, jak mogła, ale nie liczyła na większe rezultaty w ciągu najbliższego dziesięciolecia.

Hart był doprawdy przeczulony na jej punkcie! Ale wcale nie miała mu tego za złe. Jak wspaniale wyglądał w tym fotelu, odprężony... i taki męski. Silne nogi szeroko rozstawione, wielkie ręce na kolanach. Nocne koszmary, których nabawił się we wczesnej młodości, jeszcze od czasu do czasu go dręczyły. Ale teraz ona była zawsze przy nim, gdy zrywał się

w trwodze. Sypiali też zawsze na łóżku... no, przeważnie! -poprawiła się Mercy. Jej myśli, raz oderwawszy się od powszednich spraw domowych, poszybowały całkiem innym torem.

- Jeszcze jakieś nowiny? - spytał mąż, wrywając ją z zadumy.

- A, prawda! - Mercy przypomniała sobie o czymś i uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Dostałam list od taty. Pyta, kiedy dotrzemy obietnicy i spędzimy kolejny rok w Teksasie.

-Och, Mercy...

- Wiem, wiem! Ale dałeś słowo. Dwa lata w Teksasie, dwa w Anglii. Całkiem rozsądny układ i znacznie lepszy, niż na to zasługujesz!

-Hm...

- A poza tym tatuś przysłał ci prezent. - Rzuciła mu paczkę w grubym brązowym papierze. Hart schwycił ją jedną ręką. - Kolejny tom twoich bohaterских przygód!

- Co u diabła! - Hart rozdarł opakowanie. Niewielka książka w złotej okładce spadła mu na kolana. Obrócił ją w rękach i prychnął pogardliwie. - Nie można by zaskarżyć tego wydawcy? Na litość boską! To już trzecia w ciągu ostatnich dwóch lat!

Mercy uśmiechnęła się niewinnie.

- Chyba nie, mój najmilszy. Kto by pomyślał, że kiedy zdecydujesz się ujawnić swoją mroczną przeszłość, londyńskie towarzystwo uzna (przyznając, dzięki wydatnej pomocy Beryl i Henleya), że to urocza i porównująca historia! A sam mówiłeś, że śmietanka towarzyska z Ameryki i Anglii tak się już wymieszała, że to zakrawa na kazirodztwo... Więc łatwo było przewidzieć, że Amerykanie rzucą się na najświeższe ploteczki o swych zamorskich krewniakach!

- To nie żadne ploteczki, tylko zwykła potwarz! - Machnął ręką w stronę książki leżącej na jego kolanach. - *Markiz pogromca*, na litość boską! - Otrząsnął się z obrzydzeniem. - Nie raczyli zapamiętać nawet mojego tytułu!

- Gdyby podali prawdziwy, mógłbyś ich naprawdę zaskarżyć - powiedziała, zerkając na zaczerwienioną, pociągłą twarz swego przystojnego męża. -No, nie marudź! Pomyśl, jakim jesteś groźnym i fascynującym bohaterem! - Zniżyła głos do dramatycznego szeptu. - Zimny jak lód. Obdarzony żelazną samokontrolą i... - Zachichotała, gdy Hart zerwał się na równe nogi. Kilkoma długimi krokami przemierzył pokój i chwycił ją na ręce. Objęła go za szyję i przytuliła się do niego.

- Jeszcze ci pokażę, jaki jestem groźny! - obiecał ze znaczącym spojrzeniem.

- Pani hrabino! - doleciał z holu roztrzęsiony głos.

Hart zaklął, ale nie puścił żony. W drzwiach pojawiła się młoda kobieta w przekrzywionym czepku, czerwona jak burak.

- O co chodzi, Brenno?

- O tę smarkulę od sąsiadów!

- Córkę wicehrabiego Sheridana? - spytał niecierpliwie Hart. - Co z nią?

- Ryczy wniebogłosy.

- Coś jej się stało? - spytała Mercy ze współczuciem.

- Eee, chyba nie, psze pani. Tylko się wścieka i wrzeszczy, że powie tacie!

- O czym powie tacie, Brenno? - spytał Hart. Jego ręka błądziła wokół biustu żony zgoła nieprzystojnie.

- Że panicz William ją postrzelił.

- Co takiego?! - wrzasnęli Mercy i Hart zgodnym chórem.

- Z tej procy, co to mu pani hrabina zmajstrowała. Trafił ją prosto w pupę!

- Och! - westchnęła Mercy i zerknąwszy na męża, zaczęła chichotać. Zawtórował jej niepohamowanym śmiechem.

- Dobrze się państwu śmiać! Ale co ja powiem temu tam wicehrabiemu o naszym paniczu Willu i jego córce?!

- Powiedz Sheridanowi, żeby z góry zamówił uroczyste nabożeństwo ślubne u Świętego Jerzego - odparła Mercy.

- Co też pani hrabina...?

1. Każdy Perth, jak mu zbierze na zaloty, zaczyna od strzelania!

Podziękowania

Ta książka ma dla mnie specjalne znaczenie; tym większą wdzięczność czuję wobec tych, którzy namawiali (a czasem i zmuszali!) mnie do tego, bym włożyła w nią wszystko, na co mnie stać. Pragnę podziękować mojej agentce Damaris Rowland za jej gorące i niezwykle umiejętne wsparcie, Laurze Cifelli z Dell Books za to, że umieściła mnie na liście swych propozycji wydawniczych, oraz redaktor Marjorie Braman za jej entuzjazm i niezwykle trafne sugestie. Jestem ogromnie wdzięczna Sally Mitchell z Tempie University, która cierpliwie odpowiadała na wszystkie moje pytania związane z epoką wiktoriańską. I wreszcie chciałabym podziękować Susan Kay Law, w której zawsze, o każdej porze, znajdowałam życzliwego krytyka; Susan Sizemore, która w mgnieniu oka potrafiła wymyślić trafne rozwiązanie zawikłanej akcji; Christine Dodd, która nie tylko orzekła: „To będzie wspaniała książka!”, ale powtarzała mi to, ilekroć nachodziły mnie wątpliwości.